2

adeusz Nowak • Jerzy
efan Stawiński • Tadeusz
óżewicz • Andrzej Stawar
Stefan Lichański • Zbi-
niew Bieńkowski • Jaro-
aw Iwaszkiewicz • An-
drzej Kijowski •

twórczość

LUTY 1957

Rok 13

30 v

twórczość

LUTY 1957

2

twórczość

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XIII LUTY 1957 NR 2

SPIS TREŚCI

Tadeusz Nowak
POLEGLI
str. 5

Jerzy Stefan Stawiński
UCIECZKA
str. 9

Arnold Słucki
MIASTO TON
str. 36

Jerzy Miller
POWRÓT
str. 38

Tadeusz Różewicz
NOWA SZKOŁA FILOZOFICZNA
str. 40

Leszek Elektorowicz
CO POZOSTAŁO EGOTYK NA BRZUCHU LEŻĘ WŚRÓD TRAW
str. 51

Małgorzata Hillar
JARMARK DZIKI CZŁOWIEK
str. 54

Jan Strzelecki
ZAPISKI 1950—1953
str. 57

Andrzej Stawar
ST. I. WITKIEWICZ I JEGO „NIENASYCENIE"
str. 106

Książka miesiąca

Stefan Lichański
Z PERSPEKTYWY „WSPÓLNEGO POKOJU"
str. 122

Wśród książek

NOTATNIK JERZEGO ZAWIEYSKIEGO — *Zbigniew Bieńkowski*
str. 133

LIRYKA BEZ ZŁUDZEŃ — *Michał Głowiński*
str. 135

POETA MORALNEGO PORZĄDKU — *Arnold Słucki*
str. 139

STRZĘPKI CZASÓW POGARDY — *Zbigniew Pędziński*
str. 141

PŁOMIEŃSKI REDIVIVUS — *Stefan Lichański*
str. 144

„ROCZNIK LITERACKI 1955" — *Henryk Krzeczkowski*
str. 146

Na widnokręgu

SPRAWA DNIA — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 150

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 151

PORTRET BERNARDA SHAW — *Bronisław Wiśniowski*
str. 154

KRONIKA ANGLOSASKA — *Henryk Krzeczkowski*
str. 159

KRONIKA NIEMIECKA — *Barbara Rafałowska*
str. 161

POKŁOSIE ZJAZDU LITERATÓW
str. 164

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI — *Józef Spinc*
str. 166

Noty
str. 172

Książki nadesłane
str. 175

REDAKTOR NACZELNY:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 10.—. Prenumerata kwartalna zł 30.—, półroczna zł 60.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu". Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 171/c z dnia 8.1.1957 r.
Nakład 6610 egz. Druk ukończono w lutym 1957 r. B-66

Tadeusz Nowak

POLEGLI

Pamięci Brunona Jasieńskiego

TOWARZYSZE ZMIENIAJĄ TWARZE

A był to czas miażdżenia
sumienia i wątroby,
brzucha, serca i skroni.
Towarzysz twarz odmienia,
przyjaciel zmienia maski.
Zmarły się nie obroni,
nie wskrzeszą go oklaski.

Wnętrzności ziemi dymią
i dymią karabiny.
Przysypany jest ziemią,
nakryty skórą brzucha.
W ostatni flet wikliny
flet barbarzyński dmucha.

KUGLARZE

Kuglarze średniowieczni,
jarmarczni cudotwórcy
narzędzia tortur niosą.
W płaczu gorzkim bezpieczni
po swoją śmierć wymyślną
skazańcy idą boso.

Ludzie mali widzieli,
jak głowa w ciemność weszła.
Za nią poszli anieli
na żelaznych podeszwach.

Misterium się zaczyna.
Anieli ściętą głowę niosą,
korpus, sumienie i wątrobę.
Na białej kości trzeszczy trzcina.
I znów skazaniec stoi boso
Z twarzą wciśniętą w ręce obie.

WYWOŁYWANIE ZWIERZĄT

Zwierzę pierwsze:

— Ściągnąć z niego ordery.
Myśmy się pomylili.
To nie był święty szczery.
Zataił bestię w sobie,
udawał świt motyli,
pliszkę i ćmę w żałobie.

Wnętrze jego otwórzcie
i wyprowadźcie osła.
Był bogiem na odpuście,
słuchali go żebracy
i tłuszcza za nim niosła
mirt i berło na tacy.

— I cóż tam? — Niech szef zgadnie.
— Osioł? — nie, szefie, jagnię.
— Niech jagnięciu łeb utną,
żona będzie mieć futro.

Zwierzę drugie:

— Policzcie jego zęby
i do piwnicy wrzućcie,
będą szczury na uczcie
żreć ze świątka otręby.

— Woda, szefie, po krocze,
szczury do niego — pij!

W tańcu go ćwiczy
nasz wierny kij.

— I cóż tam? tygrys?
— Nie, szefie, łania.
Szczur jej brzuch wygryzł,
łeb jej się słania.

— Obedrzeć skórę z łani
dla żony na dywanik.

Zwierzę trzecie:

— Cierń mu włóżcie na głowę,
zęby nożem otwórzcie,
jęzor jego rozwiążcie
na palącym się chruście.

— Bok jego tkwi na włóczni,
ocet i żółć go poi.
Będziemy mniej rozrzutni,
zwierzę się w nim oswoi.

— I cóż tam? niedźwiedź?
— Nie, szefie, gil.
Z pieśni jarmarcznych
strzepuje pył.

Ale ucieszny wielce
i paradny jarmarcznie.
Frak ma na kamizelce,
buty nosi juchtowe.
A zanim śpiewać zacznie,
biret wkłada na głowę.

— Łeb ukręcić gilowi,
a biret usynowić.

MAŁE WYZNANIE

A był to czas wmawiania
w łagodność ptasią bestii.
Kurtyna się odsłania
przed tymi, co odeszli

z twarzą nocy podaną.
Cóż dzisiaj płacz nasz znaczy?
Oto leżą pod ścianą,
a na nich piach żebraczy.

Myśmy ich nie ustrzegli
i pomylili w gniewie.
A kiedy w nas polegli,
wołamy ich wstydliwie
z ziemi, gdzie będzie rdzewieć
ponad nimi igliwie.

Towarzysze ułomni.
O swojego sokoła
groźny gmin się upomni
i przed sąd nas wywoła.

Z twarzy nam zdejmie maski,
usta piachem zasypie
i ostatnie oklaski
zmiesza z gliną na stypie.

Maj 1956

Tadeusz Nowak

Jerzy Stefan Stawiński

UCIECZKA

Październikowa mgła osaczyła obóz białym pierścieniem. Solidne, nowoczesne koszary w stylu bawarskim otaczały wielki dziedziniec. Od północy stały luźno piętrowe bloki mieszkalne, od południa, równolegle do siebie, długie, parterowe garaże. Dziedziniec zamykała od wschodu oszklona hala i połączony z nią budynek, ozdobiony bawarską wieżyczką, „cebulką". Wzdłuż szosy wreszcie, od zachodu, zbudowano długi, szary gmach; wycięto w nim łuk na bramę. Koszary starannie otoczono podwójną warstwą drutów.

Choć dobiegała dziewiąta rano, dziedziniec był całkiem pusty i cichy, jak gdyby z obozu ewakuowano ludzi; tylko na drewnianych strażnicach tkwili znudzeni żołnierze nad karabinami maszynowymi. Nagle otwarto bramę. Z szosy weszła w asfaltową uliczkę obozu pstrokata kolumna jeńców. Wlekli się niby czwórkami, ale w zupełnym bałaganie, przeważnie w cywilnych ubraniach, w czapkach, beretach czy furażerkach; nieśli worki, chlebaki, walizki. Byli niegoleni, wychudli i pomęczeni.

— Oflag — powiedział z ulgą Kurzawa. Na głowie miał furażerkę, ozdobioną dwiema gwiazdkami. Na plecach dźwigał zwykły worek.

— Sanatorium — dodał Szpakowski. Był krępy, o brzydkiej, płaskiej twarzy. — Udało się. A cały czas myślałem, że nas szurną do koncentraka. Dlaczego tu tak pusto?

Przeszli bramę i podwójną warstwę drutów. Lśniły martwo okna budynków. Przed nimi wlókł się opieszale starszawy major. Nagle od czoła kolumny podano jakieś hasło. Szeregi wyprostowały się; równano w czwórkach. Po chwili wybijali już po asfalcie równy krok, aż poszło echo wzdłuż milczących murów. Osowiali żołnierze eskorty przypatrywali się tej nagłej przemianie ze zdumieniem. Kolumna maszerowała twardo jak na defiladzie. Major utrzymywał krok najwyższym wysiłkiem.

— O rany, patrz! — zawołał Szpakowski.

Przed oszkloną halą zawieszono wielki transparent: „Festiwal muzyki symfonicznej".

— Konwencja genewska — powiedział Kurzawa. — Inne życie.

— Dziwny naród ci Niemcy — westchnął Szpakowski. — Tam palą w piecach ludzi, a tu festiwal. Gdzie ci jeńcy, u Boga Ojca?

Czoło kolumny wsuwało się do hali. Była wielka i pusta. Opierali się o ścia-

ny, siadali na tobołach. Znowu zamienili się w stado zmęczonych ludzi. Na podwyższeniu stanął niski feldfebel o sprytnych oczkach.

— Będzie łaźnia i umundurowanie — powiedział po polsku twardym, śląskim akcentem. — I rewizja. Wiemy, że w Warszawie wypłacono panom dolary. Lepiej oddać dobrowolnie.

Nikt się nie ruszył. Szpakowski drapał się pod pachami.

— Od razu każdy łapie się za dolary — burknął.

Pierwsza grupa jeńców podeszła do rewizji. Szpakowski wyjął z kieszeni sporą kromkę chleba i począł wiercić w niej dziurę. Wsunął tam zwinięty zielonkawy banknot.

— Te, Kurzawa, patrz! — zawołał nagle. Kurzawa odwrócił się. Przez szklaną ścianę hali widać było obozowy dziedziniec. Z bloków ciągnęły nań gęste strumienie ludzi w zielonych płaszczach. Grzechotały drewniane saboty. Strumienie wlewały się w asfaltową uliczkę, okalającą żwirowany plac wielką elipsą. Po chwili pierścień zamknął się i dokoła dziedzińca począł krążyć szybko, niczym w rytualnym tańcu, wielotysięczny, zielony tłum. Zdawało się, że ludzie ci spieszą dokądś z desperackim uporem; a przecież kręcili się w kółko. Kurzawa rozwarł szeroko oczy.

Szarzało, gdy odziani w amerykańskie mundury i belgijskie płaszczyki, z drewniakami w rękach przemierzyli opustoszały już dziedziniec i weszli w drzwi bloku. Był to jeden z owych długich garaży. Ściemniało się; zamknięto za nimi na klucz wielkie wrota. Była to duża hala z rzędem potężnych drzwi żelaznych, teraz zamkniętych na głucho. Ciasno stłoczono rzędy drewnianych, trzypoziomowych prycz; przed nimi ustawiono koszarowe szafy i stoły. Panowała tu jasność i gwar; od stołów zrywali się oficerowie z rozjaśnionymi twarzami. Kurzawę oszołomiło światło, ciepło i hałas, mechanicznie ściskał ręce nieznanych mu ludzi. Za nim dreptał na krótkich nóżkach Szpakowski, uśmiechając się rozlewnie. Przeprowadzono ich przez halę, minęli mroczną umywalnię z kuchnią w kącie i weszli do niewielkiej izby. Tutaj prycze ustawiono w czworobok. Od stołu poderwało się kilku ludzi.

— W imieniu drużyny witam panów serdecznie — powiedział wysoki, przystojny brunet, wyciągając uroczyście rękę. — Porucznik Korwin-Makowski.

— Podporucznik Dąbecki — stuknął obcasami młodzieniec o dziecinnej, rumianej buzi.

— Pędziszewski.

— Marianek.

— Krygier.

— Żak.

Wszyscy podchodzili z uśmiechem. Ostatni, Żak, obrzucił ich zmęczonym spojrzeniem. Kurzawa cisnął na podłogę swój worek.

— Panowie są pewno głodni i zmęczeni — powiedział Marianek, pucołowaty mężczyzna ostrzyżony do skóry.

— Pewno — zaśmiał się Szpakowski. — Łatwo było spalić Warszawę?

Na mgnienie oka zapanowała cisza. Kurzawa trącił Szpakowskiego łokciem. Gdzieś w górze zatrzeszczał siennik. Podnieśli głowy. Na brzegu pryczy zatknięto tablicę z tektury; „Uwaga! Cisza! Tu śpi Turek!" Spoglądała na nich

głowa w czerwonym, spiczastym czepku. Był to mężczyzna chudy, o śniadej twarzy, pooranej bruzdami.

— Złaź, Turek — powiedział Krygier. — Mamy nowych kolegów.

— Dobry wieczór — odpowiedział tamten. — Żal mi panów.

— Nie ma czego — odparł Szpakowski. — Zmęczyła nas wojna. Chcemy sobie trochę poleżeć. Tu spokój.

Korwin-Makowski podniósł z naganą prawą brew.

— Tu jest pańskie łóżko — powiedział do Kurzawy wskazując wolny kojec na pierwszym piętrze. — Po poruczniku Zawistowskim. I prosimy na mały poczęstunek.

Szpakowski właził już na najwyższe piętro. Na stole pojawił się talerz z barwnymi kanapkami i kubki. Turek złaził powoli z pryczy zapinając mundur. Na głowie zawiązał teraz po hiszpańsku czerwoną chustkę. Zasiedli na ławkach dokoła stołu. Cienkie plasterki żołnierskiego chleba ozdobiono beefem, mieloną szynką, serem i łososiem. Obok stał talerz herbatników z pomarańczowym dżemem i pastą orzechową. Zażywny podporucznik Krygier, najstarszy chyba w drużynie, w rogowych okularach, położył na stole kilka paczek amerykańskich papierosów.

— O rany... — szepnął Szpakowski i sięgnął drżącą ręką po kanapkę. Kurzawie zaschło w gardle.

— Jedzcie, panowie, jedzcie — zachęcał ze słodkim uśmiechem Marianek. — Zaraz będzie kawa.

I siadając do stołu przeżegnał się nieznacznie. Żak oparł głowę na dłoniach i przymknął oczy. Korwin-Makowski usiadł obok Dąbeckiego, prosty i sztywny. Na klapach munduru naszył ułańskie proporczyki. Kurzawa przyglądał mu się badawczo.

— My się znamy, panie poruczniku — powiedział po chwili. — Pamięta pan? Podchorąży Kurzawa... Dawał mi pan szkołę.

Korwin-Makowski przymrużył oczy.

— Chyba tak... przypominam sobie — powiedział bez entuzjazmu. — Świat jest mały.

— Rozstaliśmy się ostatniego dnia września — ciągnął dalej Kurzawa. — Pędzili nas Niemcy do koszar w Skierniewicach. Pamięta pan te śledzie? Dobrze, że padał deszcz.

— Zwolnili pana z obozu? — zapytał Korwin-Makowski.

— Skręciłem w lewo, wlazłem do sklepiku i w nocy wróciłem do Warszawy — opowiadał Kurzawa. — A pan... od tego czasu?... Pięć lat?

Korwin-Makowski potaknął niechętnie. Żak zachichotał.

— To nietakt, panie poruczniku — powiedział do Kurzawy. — Nie tylko wykpił się pan od obozu, ale zarobił pan przez ten czas dwie gwiazdki. Tego panu nie wybaczy oficer służby stałej.

Korwin-Makowski spojrzał na Żaka wyzywającymi, przymrużonymi oczyma, ale nic nie powiedział. Szpakowski pożerał kanapki mlaskając. Marianek przybiegł z garnkiem wrzątku i nalał do kubków.

— Udało mi się — powiedział Kurzawa w chęci usprawiedliwienia. — Ale chyba i tutaj zdarzały się ucieczki?

— Po co? — parsknął Szpakowski chwytając kanapkę z łososiem. — Taka Kanada...

Korwin-Makowski rzucił mu wściekłe spojrzenie. Żak znowu zachichotał złośliwie. Krygier błysnął okularami i otworzył niewielką puszkę kawy Nestle'a.

— Nieraz próbowano ucieczki — wtrącił Dąbecki z uśmiechem. — Choćby podkop w bloku G...

— Co to? — zdziwił się Szpakowski. — Kawa w proszku?

— W proszku — potwierdził Turek, który siedział dotąd zaspany i osowiały. — Kawa w proszku, mleko w proszku, jajka w proszku...

— I ludzie w proszku — dodał Żak.

— Nie udała się ta ucieczka? — dopytywał się Kurzawa.

— Nie — westchnął Marianek. — Wyszli za drutami wprost na Niemców. Ktoś sypnął.

— Porucznik Jakowiecki zrobił sobie niemiecki mundur i wyjechał na rowerze za bramę — wtrącił Dąbecki. — Dotarł do jeziora Bodeńskiego i widział Szwajcarię. Złapali go na brzegu.

Krygier częstował „camelami". Szpakowski rozparł się na stołku i zaciągnął mocno.

— Klawo tu u was—westchnął. — Że też jest jeszcze takie miejsce na tym zasranym globie...

Korwin-Makowski zamienił spojrzenie z Dąbeckim. Obaj zesztywnieli.

— Naprawdę nikt stąd nie uciekł przez te pięć lat? — pytał dalej Kurzawa. — Słyszałem, że w innych obozach...

— Uciekł porucznik Zawistowski z naszej drużyny — powiedział uroczyście Korwin-Makowski. — Odziedziczył pan po nim pryczę, panie p o r u c z n i k u Kurzawa.

— A jak uciekł? — zapytał Kurzawa.

— Nie wiadomo — stwierdził sucho Korwin-Makowski. — Zniknął. Niemcy przetrząsnęli cały obóz. Kamień w wodę. To był świetny oficer: stal nie człowiek. Jest już na Zachodzie.

— Cwaniak — westchnął Szpakowski obżerając się biszkoptami.

— Uratował honor obozu — uśmiechnął się Kurzawa.

— Musiał uciekać — wtrącił niechętnie Żak. — Zamęczyliby go w koncentraku. W 39 roku był dowódcą plutonu w Bydgoszczy. Niby mordował Niemców. Ktoś go sypnął.

Znowu zapanowała cisza, tylko Szpakowski mlaskał hałaśliwie. Tłustawy porucznik Pędziszewski wpatrywał się chciwie w ocalałe kanapki. Wyciągnął nieśmiało rękę, ale natychmiast ją cofnął pod żelaznym spojrzeniem Korwin-Makowskiego.

— Panowie nie jedzą? — zapytał Kurzawa.

— Nie — odparł Korwin-Makowski pospiesznie. — My po kolacji. To dla was.

Pędziszewski uśmiechnął się żałośnie. Turek poprawił kolorową chustkę i sypnął do kubka kopiastą łyżkę kawy.

— Porucznik Zawistowski nikogo nie mordował — powiedział Dąbecki. — Był wzorowym oficerem i świetnym kolegą. Mocny charakter.

— I prawy człowiek — dodał Marianek.

— Inne było z nim życie — dodał Pędziszewski. — Szkoda go.

— Szkoda? — zapytał pogardliwie Korwin-Makowski. — Obowiązkiem oficera w niewoli jest ucieczka. On jeden pokazał...

— Ja bym stąd uciekł nie z obowiązku oficera — wtrącił Żak. — Po prostu wytrzymać nie można.

— Prosiłem pana, żeby pan do mnie nie mówił, panie poruczniku Żak — odparł ostro Korwin-Makowski i odwrócił się do niego tyłem. Żak wstał gwałtownie od stołu. Drżącą ręką chwycił metalowe pudełko Pleyersów. Między pryczami, pod ścianą, stała budka z tektury, zadrukowanej angielskimi napisami i godłami Czerwonego Krzyża. Żak odsunął ostrożnie ściankę. W środku stał miniaturowy stoliczek z dykty; przy filiżance leżała otwarta książka. Z tekturowego sufitu zwisała na kablu żarówka. Żak nalał wrzątku do filiżanki, dokręcił żarówkę, która zabłysła jasnym światłem, i ostrożnie usiadł na stołku. Wypełniał całą wolną przestrzeń jak lalka w pudełku. Po chwili zamknął ostrożnie tylną ściankę. Przez szpary przenikało światło. Szpakowski spojrzał na Kurzawę i przymrużył lewe oko. Pędziszewski, który kręcił się niespokojnie dokoła stołu, podszedł nagle do szafki. Osłoniwszy się drzwiami, wydobył okrajany ze wszech stron kwadrat chleba i uciął zdecydowanym ruchem sporą kromkę.

Kurzawa obudził się w środku nocy. Chciało mu się pić. Czuł całe ciało, jak gdyby leżał na kamieniu. Obok Pędziszewski chrapał świstliwie. Nocna żarówka, osłonięta pokrowcem z tektury, oświetlała zarysy prycz. Z budki Żaka przenikało światło; przez szpary widać było kontury pochylonych pleców. Kurzawa ześlizgnął się ostrożnie na posadzkę. Bolały go kości. Wsunął nogi w drewniaki; wydały głośne klaśnięcie, gdyż podłoga była z betonu. Ktoś syknął wściekle. Kurzawa ruszył w stronę drzwi stąpając na palcach; mimo to czynił znaczny hałas.

— Nauczyć się chodzenia w drewniakach! — warknął ktoś.

Kurzawa dotarł do drzwi, uchylił je ostrożnie i wszedł do umywalni. Lekko lśniły kamienne koryta w świetle mizernej żarówki. W kącie stała prowizoryczna kuchnia, teraz wygasła; obok siedziała na stołku chuda postać w czerwonej chuście na głowie. Kurzawa poznał Turka. Na blacie kuchni jaśniał niebieskim płomykiem „spitfire" — kuchenka, zbudowana przemyślnie z dwóch puszek po sproszkowanym mleku. Obok leżały przygotowane drewienka. Na kuchence szumiała menażka, pełna kawy. Kurzawa spojrzał na zegarek: dobiegała czwarta.

— Witam — powiedział Turek. — Pan się pewno dziwi?...

Kurzawa podszedł do koryta, uzbrojonego w liczne krany; nagle cofnął się. Na kocu, rozłożonym na kamiennej podłodze, leżała krzyżem nieruchoma postać. Był to Marianek. Kurzawa odkręcił kran.

— Nie dziwię się niczemu — odparł łyknąwszy wody. — Bezsenność?

— Śpię w dzień — powiedział Turek. — Kawy?

I wskazał ręką dymiący garnek. Na powierzchni zgromadził się brązowy osad. Dobrze pachniało. Marianek podniósł głowę i natychmiast ją opuścił.

— Pan to sam wypije? — zapytał Kurzawa.

— Sam — powiedział Turek z uśmiechem. — Właśnie sam. Tego derwisza nie liczę: on zresztą drzemie. Pan wie, co to jest... pięć lat? Nawet w klozecie siedzi się w towarzystwie! Widzi pan, co się zrobiło z Żaka.

— Nie będę przeszkadzał — Kurzawa uczynił ruch, jakby chciał odejść.

— Nie. Pan ze świata. Niech pan zostanie.

I podniósł do ust kubek. Kurzawa zadrżał. W umywalni był przeciąg.

— Nie przyjaźni się pan z nikim? — zapytał.

— Żadna przyjaźń nie wytrzyma tych żaren — odparł Turek z przekonaniem. — Tu nie potrzeba kobiet, żeby skłócić przyjaciół. Zawsze razem, rozumie pan?!

— Pozostaje ucieczka — uśmiechnął się Kurzawa.

— Ee tam — machnął ręką Turek. — Czy w ogóle jest gdzieś lepiej? Bestia ludzka nigdzie nie daje żyć. Zresztą... ucieczki się nie udają.

— A ten... Zawistowski?

— Wyjątek od reguły — pokiwał głową Turek. — On jeden na cztery tysiące ludzi przez pięć lat. Popiję sobie kawy przez tych parę miesięcy do końca wojny... a później w świat. Brr...

— Pewno — powiedział Kurzawa. — Teraz rzeź. Europa sika krwią. Do ludzi strzelają na ulicach jak do psów. Polska spalona. Smażą się w ogniu stosy ludzkich ciał. Nie myślałem, że może istnieć miejsce tak spokojne, jak ten obóz...

— Tak to wygląda — uciął Turek i popił kawy.

— Dobranoc — powiedział Kurzawa. — Przepraszam, jeżeli pana dotknąłem. Ja tu odpoczywam.

— Kiedyś zachwycałem się tymi Alpami — uśmiechnął się Turek. — Rysowałem je. Później druty. A później za papierosy malowałem pawianów jak żywych.

— Pawianów? — zdziwił się Kurzawa.

— Wyższych oficerów. Piekło. Teraz nic nie robię.

Wsunął do spitfira parę cienkich drewienek. Marianek podniósł się na łokciach.

— Msza jest o szóstej — powiedział z nadzieją w głosie. — Obudzić pana, panie poruczniku? Może pan zna ministranturę?

Kurzawa zaczerwienił się.

— Ja... nie... źle się czuję — bąknął.

— Odczep się od normalnego człowieka, derwiszu — powiedział Turek. — Tyś sfiksował po trzech latach, a on tu jest drugi dzień.

Marianek opadł na koc. Kurzawa zamknął cicho drzwi. Po chwili wsunął się na swe legowisko. Pędziszewski chrapał i świstał. Prycza trzęsła się lekko.

Dobiegało pół do dziewiątej. Mokra mgła zasnuła góry i zawisła nad obozem. Na dziedzińcu rozciągnęły się ruchliwe szeregi jeńców. Stali w pięcioszeregach, odziani w wojskowe płaszcze różnych armii. Na głowy nasadzili furażerki, połówki, wełniane amerykańskie czapeczki z daszkiem. Nogi obuli w drewniaki, saperki czy polskie buty z cholewami. Dreptali w miejscu, przestępowali z nogi na nogę, kręcili się w kółko z rękami w kieszeniach płaszczy. Kurzawa stał obok Szpakowskiego. Przed nimi Dąbecki rysował butem na żwirze faliste linie.

— Tu las, a tu kota 205 — wyjaśniał.

— Wiem — odparł z lekceważeniem Korwin-Makowski. — Enpeel ruszył ze wsi Rynia... Wystawiliście się jak na patelni.

— A co mieliśmy robić? — zawołał z przejęciem Dąbecki. — Przecież straż przednia...

— Trzeba było obsadzić lizjerę lasu — stwierdził autorytatywnie Korwin-Makowski. — Szarża szwadronu rozniosłaby te czołgi.

— Przecież ryglowali z koty 205! — krzyknął Dąbecki. — Wysiekliby nas jak słomę!

— O czym oni mówią? — zdziwił się Szpakowski.

— O wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku — odparł z ironią Żak.

— O rany! — zdziwił się Szpakowski. — A kto to jeszcze pamięta?

Kurzawa kopnął go w kostkę. Dąbecki zaczerwienił się jak uczennica. Korwin-Makowski spojrzał na Szpakowskiego z lodowatą wyższością.

— Pan nie brał udziału w kampanii wrześniowej? — zapytał.

— Miałem piętnaście lat — odparł Szpakowski.

— I jest pan oficerem? — podniósł brwi Korwin-Makowski.

— Czasu wojny — wytłumaczył Kurzawa.

— Zweryfikuje się te awanse — pokiwał głową Korwin-Makowski i odwrócił się do Szpakowskiego tyłem.

— Jutro rozpoczynamy bejzik — powiedział szeptem do Kurzawy. — Wytypowaliśmy pana, panie poruczniku.

— Co to bejzik? — zdziwił się Kurzawa.

— W tym wypadku wyszkolenie wojskowe — odparł Korwin-Makowski. — Taktyka. Zaprowadzę pana do apelu. Bierze się dla zmylenia podręcznik *Basic English*. Nikomu ani słowa.

— Dziękuję za pamięć — uśmiechnął się Kurzawa. — Wolę poczytać Karola Maya z obozowej biblioteki. Zmęczyła mnie wojna.

— Odmawia pan? — oburzył się Korwin-Makowski. — Czy pan wie, że obowiązkiem oficera w niewoli...

— Wiem — odparł Kurzawa. — Nie interesuje mnie kariera wojskowa. Pewno nie będzie już wojen.

Korwin-Makowski wzruszył ramionami i odwrócił się do Dąbeckiego. Żak stał w pierwszym szeregu, wpatrzony tępo w żwir dziedzińca.

— Panowie oficerowie! — krzyknął miękko jakiś głos. Stuknęły drewniaki i buty. Starszy bloku meldował się wysokiemu oficerowi niemieckiemu o twarzy artysty. Ten podniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Nagle Żak wystąpił z szeregu. Stanął nieruchomo o trzy kroki przed frontem.

— Co pan, panie poruczniku Żak? — zaniepokoił się starszy bloku. — Niech pan będzie rozsądny...

— Postoję — odparł twardo Żak. Niemiec zatrzymał się.

— *Wollen sie über etwas Beschwerde führen?* — zapytał.

— *Nein, danke* — odparł Żak.

— *Also, eintreten, bitte!* — zniecierpliwił się Niemiec. Żak nie ruszał się. Niemiec zamienił zakłopotane spojrzenie ze starszym bloku. Od czoła kolumny szli podoficerowie licząc piątki.

— *Ihre Gefangenennummer?* — zapytał wreszcie Niemiec.

— *Zweihundert zweitausend vierhundert einundsiebzig* — wyrecytował jednym tchem Żak wyciągając z kieszeni blaszkę z numerem. Niemiec zapisał cyfrę w notesie i ruszył dalej. Żak stał nadal samotnie przed szeregiem. Feldfebel minął go zręcznie.

— Po co mu to? — zapytał Kurzawa.

— On chce się dostać do aresztu — odparł Krygier. — Jedyne miejsce w obozie, gdzie siedzi się samemu. Ale duża kolejka: trzeba czekać parę tygodni.

Zmierzchało się. Zamykano bramy bloków. Czepek Turka czerwieniał pod tekturową tablicą. Dąbecki ugniatał na stolnicy kartoflano-mączną masę. Korwin-Makowski dosypywał mu z woreczka białej mąki. Kurzawa wyjął z szafki kubek i postawił obok stolnicy.

— Tu jest nasza część stołu, panie poruczniku — powiedział surowo Korwin-Makowski. Kurzawa wzruszył nieznacznie ramionami i odszedł na drugi koniec. W otwartych drzwiach szafki Pędziszewski okrawał resztki bochenka. W budce Żaka paliło się światło.

— Czwartek dzisiaj? — zastanawiał się Pędziszewski. — Zjadam już niedzielną porcję. Zły, kochany chlebuś...

— A jutro będziesz pan gwizdał? — zapytał Szpakowski.

— Repetę biorę od strzelców z kuchni — szepnął konfidencjonalnie Pędziszewski. — Gardzą mną za to w drużynie. Niegodne oficera.

— Ale godne brzucha — stwierdził Szpakowski. — Żeby doczekać paczki!

Obok Marianek szykował pedantycznie cieniutką kanapkę z margaryną i przejrzystym płatkiem amerykańskiej konserwy wieprzowej. Krygier otworzył szafkę pewnym ruchem i dobył nienapoczęty kawałek chleba; ukrajał na deseczce trzy spore pajdy, posmarował masłem z małej puszki i obłożył suto łososiem. Do kubka wsypał dwie czubate łyżki mlecznego proszku i sporą garść tartej czekolady. Szpakowski nie spuszczał zeń łapczywego wzroku.

— Kupisz pan dolary? — zapytał cicho. Krygier błysnął okularami.

— Po czterdzieści papierosów.

— A chleb ile?

— Dwieście papierosów.

— Chleb pięć dolarów? — zezłościł się Szpakowski.

— Prawo podaży i popytu — powiedział spokojnie Krygier krając kanapki na małe kawałeczki. — Radzę kupić fasolę. Pęcznieje przy gotowaniu.

— Chlebuś! — wtrącił się Pędziszewski. — Chlebuś i czekoladę!

Szpakowski skinął na Krygiera. Zniknęli w cieniu szafek. Drzwi otworzyły się z hałasem.

— Lipa, panowie, lipa! — krzyknięto od progu i pośrodku stołu zadymił kibel przejrzystego, żółtawego płynu. Krygier skrzywił się pogardliwie i odsunął kubek z czekoladą. Dyżurny położył na stole dwie białe kostki.

— Marianek, margaryna! — krzyknął Pędziszewski.

Marianek wstał, wytarł nóż serwetką, podszedł do szafki i ostrożnie wydobył wagę, skleconą z dykty, sznurka i blaszanych pokrywek. Wagę tę ustawił pośrodku stołu, pod lampą, rozwinął pergamin i począł uroczyście krajać margarynę. Celebrował niczym ksiądz przy ołtarzu. Oczy jego były uważne i skupione. Każdą kostkę podzielił na cztery części. Kładł je kolejno na wagę i paru zręcznymi ruchami wyrównywał gramowe różnice wagi. Jednakowe prostokąciki leżały obok siebie na pergaminie. Korwin-Makowski stanął tyłem do stołu, dotykając prawie nosem drzwi szafki. Zamknął oczy.

— Czyja? — zapytał Marianek wskazując nożem kostkę margaryny.

— Pędziszewskiego! — odparł Korwin-Makowski.

Pędziszewski dziobnął nożem wskazaną kostkę.
— Czyja? — wołał Marianek wskazując inną.
— Dąbeckiego.
— Czyja?
— Turka!
Turek wysunął głowę spod napisu. Twarz miał wychudłą i zmiętą.
— Ciszej — powiedział. — Moglibyście uszanować sen jedynego człowieka na tej sali. Wiecie, że siedzę w kieszeni Krygiera i że on bierze moją margarynę.
Schował głowę pod koc. Krygier wstał ciężko, dobył z szafki talerzyk i rzucił niedbale kostkę obok paru innych. Szpakowski westchnął cicho.
— Zamiast fasoli dasz pan czekoladę — zdecydował nagle. — I to zaraz.
Krygier skinął obojętnie głową.
— Czyja? — wrzeszczał Marianek.
— Pana porucznika Żaka! — odparł z naciskiem Korwin-Makowski.
— Żak, margaryna! — zawołał usłużnie Pędziszewski. Ścianka budki uskoczyła. Żak wylazł tyłem, ze zgiętymi plecami i potrącił Korwin-Makowskiego, który stał nadal z zamkniętymi oczyma. Obaj odskoczyli jak oparzeni. Żak w milczeniu podszedł do stołu i wziął pierwszą kostkę z brzegu.
— Nie ta! — jęknął płaczliwie Marianek. — Dlaczego pan zawsze na złość?
— Bo nie mogę patrzeć na was i na te wasze błazeństwa! — zawołał z rozdrażnieniem Żak. — Boże, gdyby istniało w tym obozie jakieś miejsce... gdzieby człowiek był sam... piwnica, strych, choćby klozet...
— Pan nas obraża, panie poruczniku! — przerwał mu Korwin-Makowski.
— Daj spokój, Romciu — wtrącił z uśmiechem Dąbecki. — Przecież on jest nieodpowiedzialny.
— Właśnie, nieodpowiedzialny! — krzyknął Żak z ogniem w oczach i zaraz zamilkł.
— Czego pan nie wiejesz, jak ten Zawistowski? — zapytał Szpakowski wyłażąc zza szafki z czekoladą w ręku.
— Zawistowski pewno teraz zajada befsztyki w Szwajcarii — westchnął Pędziszewski. — Krwiste befsztyki z cebulką. Pamiętacie, jak smakują befsztyki?!
— Ee tam! — machnął ręką Krygier. — Siedzi sam w pokoju, przy radio i zastanawia się, dokądby pójść wieczorem. A niedawno spał na tej pryczy.
— Bzdury! — powiedział z pogardą Korwin-Makowski. — To świetny oficer. Na pewno walczy u Maczka albo u Andersa. Przecież Turek sam mówił...
Turek wysunął głowę spod koca.
— Mój kolega dał znać do domu, że Zawistowskiego widziano w Anglii — powiedział. — Nic więcej nie wiem. Nie wymawiajcie mojego nazwiska, bo to mnie budzi.
— Myślicie, żebym stąd nie zwiał? — krzyknął Żak. — Przez druty przejść nie sztuka, ale dalej... Każdy Niemiec jak pies policyjny!
— Niech pan przejdzie przez druty, jeżeli nie sztuka — powiedział spokojnie Krygier. — Nie lubię próżnego gadania.
— Przejdę choćby jutro — powiedział Żak.
— Zakład? — wyciągnął rękę Krygier. — Tysiąc papierosów.
— Zakład — potwierdził Żak. — Może mnie wsadzą do aresztu.
— Dajcie spokój, panowie — jęknął Marianek. — Lepiej nie kusić diabła! Wartownik...

— Niech strzela — odparł Żak. — Wtedy na pewno stąd wyjdę.

— Żaka trzeba wsadzić do wariatów — odezwał się z pryczy Turek. — Zrobi jakieś głupstwo.

— Od pięciu lat jestem u wariatów — warknął Żak. — Tylko tam są separatki. Która margarynka moja, Marianku?! — wyszczerzył zęby.

Marianek zamrugał oczyma i cofnął się o krok.

— Wypraszam sobie!... — zaczął Korwin-Makowski, ale Dąbecki podniósł już stolnicę pełną klusek. Ruszyli do kuchni.

— Jutro po apelu proszę panów pod druty! — powiedział Żak.

— A Zawistowski spaceruje teraz nad brzegiem Tamizy i patrzy, jak w wodzie odbijają się światła — powiedział Turek. — Z dala szumi miasto. Jest sam wśród tłumu przechodniów i marzy o kimś bliskim...

— Na pewno o was! — zaśmiał się sarkastycznie Żak i wlazł do budki. Trzasnęły tekturowe drzwiczki.

Kurzawa obudził się z zimna. Zmarzł pod dwoma kocami. Leżał chwilę w mroku, po czym usiadł na łóżku i sięgnął po płaszcz. Obok Pędziszewski jak zwykle chrapał i świstał. Z umywalni dobiegały ciche szmery. Spojrzał na zegarek: dochodziła trzecia. Przewrócił się na drugi bok i okrył kocem po same uszy, lecz sen nie nadchodził. W umywalni coś zachrobotało. Kurzawa zlazł cicho z pryczy, narzucił płaszcz na pidżamę i rezygnując z hałaśliwych drewniaków ruszył do drzwi w skarpetkach. Otworzył je ostrożnie: stawiały lekki opór. Kurzawa nacisnął mocniej. Na podłodze siedział Marianek, oparty plecami o framugę.

— Zaraz, zaraz — krzyknął piskliwie.

Ale Kurzawa już zobaczył. Pod ścianą, wysoko, stał na rurze wodociągowej Turek i wyciągał kij od szczotki z czarnego otworu w suficie. Na kiju chybotała niewielka blaszanka. Turek obejrzał się, zachwiał, uchwycił równowagę i opuścił kij stawiając blaszankę na kuchni. Zeskoczył z koryta na kamienną podłogę. Czarny, prostokątny otwór w suficie nagle znikł. Nie można było poznać, gdzie się znajdował. Turek otrzepał mundur z kurzu, wyprostował się i spojrzał na Kurzawę. Marianek dygotał ze strachu.

— Gimnastyka? — uśmiechnął się Kurzawa.

Turek nie odpowiedział. Oddychał przyspieszonym rytmem.

— Zasnąłeś, derwiszu? — szepnął do Marianka. — Modlisz się dniem i nocą, a w najważniejszej chwili zasypiasz?

— Nie było słychać kroków — jęknął Marianek.

— Szedłem w skarpetkach, żeby nikogo nie budzić stukotem — tłumaczył Kurzawa. — Bardzo mi przykro...

— Idź spać — powiedział Turek do Marianka. Ten czmychnął do drzwi kocim krokiem. — Napije się pan kawy, panie poruczniku Kurzawa?

Kurzawa skinął potakująco. Zasiedli przy spitfirze.

— Robi pan wrażenie porządnego człowieka — powiedział Turek zmęczonym głosem. — Zresztą... wszystko mi jedno. Przypadek. Muszę panu zaufać. Może i lepiej, bo trudno we dwóch... Jeść nie ma co.

— Czego pan się boi? — zapytał Kurzawa.

— Gadulstwa. Różne rzeczy dochodzą do Niemców. Tu chodzi o życie.

— Jestem małomówny — powiedział Kurzawa. — Pięć lat w konspiracji. Niech pan mówi, jeżeli to potrzebne.

— Obaj z Mariankiem dzielimy się z nim jedzeniem — rzekł Turek. — Nikt więcej o tym nie wie. A ja sprzedaję pół paczki za kawę i papierosy. Inaczej bym zdechł. On jest głodny i chyba chory. Powinien pan nam pomóc.

— Kto? — zapytał Kurzawa i spojrzał w sufit. — Polak?

Turek sięgnął znowu po garnek z kawą. Twarz rozjaśniły mu migotliwe płomyki spitfira.

— Pan jest oficerem zawodowym? — zapytał.

— Nie — odparł zdziwiony Kurzawa. — Byłem studentem, kiedy wybuchła wojna.

— To dobrze. Nie muszę pana prosić o słowo honoru.

— Mów pan wreszcie! — zniecierpliwił się Kurzawa.

— Nie domyślił się pan? — twarz Turka skrzywił ironiczny uśmiech. — To ten jedyny w ciągu pięciu lat, który stąd uciekł. Ten, co zajada w Szwajcarii befsztyki i walczy bohatersko na Zachodzie. Porucznik Zawistowski.

Stali wszyscy w pięcioszeregu. Dziedziniec bielił się lekką powłoką szronu. Dzień był słoneczny i w czystym powietrzu góry rysowały się ostro na tle bladego błękitu. Z miasteczka rozlał się szeroką falą pełny dźwięk dzwonu.

— Pogoda — powiedział Pędziszewski. — Na pewno będzie alarm. Amerykanie nie przepuszczą takiego dnia.

— Cholera — westchnął Szpakowski. — Góry.

— Słońce — dodał Krygier. — Tu są dobre tereny narciarskie. Czytam właśnie *Trzech panów na śniegu.*

— Szmira — stwierdził Turek i mrugnął na Kurzawę. Ten skinął lekko głową. Korwin-Makowski tkwił sztywno w lśniących butach z cholewami.

— Pułkownik Klon-Białecki wzywa nas na czternastą — powiedział głośno, żeby wszyscy słyszeli. — Zamelduje nas u generała.

Dąbecki stuknął żartobliwie obcasami.

— Myślisz?... — zapytał.

— Myślę — odparł Korwin-Makowski. — Dużo myślę. Tam przenosi się ośrodek władzy. Klęska Niemiec już bliska, mój kochany.

— Za pół godziny proszę panów pod druty — powiedział Żak. — Obok bloku J.

— Ostatni raz błagam pana... — zapiszczał Marianek. — To szaleństwo...

Żak opędził się ruchem ręki. Niemieccy podoficerowie zdawali raport. Po chwili prysły szeregi; tłum jeńców wlewał się w asfaltową jezdnię. Zawirowało opętańczo zielone koło.

— Zrobi pan kilka kółek? — zaproponował Krygier Kurzawie. — Ja po apelu robię piętnaście.

Kurzawa wymówił się i ruszył w stronę izby chorych. Mieściła się w piętrowym, frontowym budynku. Korytarz lśnił czystością. Biało lakierowane drzwi prowadziły do małych, dwułóżkowych pokoików. W ambulatorium był już Szpakowski. Tęgi major wkładał fartuch. Za Kurzawą wsunęło się do pokoju dwóch kapitanów.

— Wstyd powiedzieć, panie doktorze — szeptał Szpakowski. — Zaciekłe są, cholery.

— Pan pewno z Warszawy? — zapytał major. — Siedzi pan już tu dwa tygodnie i dopiero dzisiaj...

— Właśnie — westchnął Szpakowski. — Uwzięły się... jak to mędy.

Obaj kapitanowie zesztywnieli i cofnęli się o krok. Spojrzeli na siebie z oburzeniem. Major dobył z szafki niewielką tubę.

— Następny — warknął.

— Chciałbym coś na kaszel — powiedział Kurzawa, gdy za Szpakowskim zamknęły się drzwi. — Dusi mnie w nocy i budzę kolegów.

— Zakaszleć — rozkazał major.

Kurzawa zakaszlał z całych sił, aż się załzawił. Był to kaszel wymuszony z głębi trzewi.

— Rozebrać się proszę — rozkazał major.

— Kiedy ja...

— Proszę się rozebrać — powtórzył major groźnie. Kurzawa zdjął mundur i koszulę. Zalśnił potężny tors.

— Szrapnel? — zapytał major dotykając świeżych zabliźnień.

— Tak — odparł Kurzawa. Major przytknął słuchawkę do jego piersi.

— Serce jak maszyna — powiedział. — Płuca jak miechy. Ciepłota?

— Nie, nie — zawołał Kurzawa. — Kaszel...

— Pewno — wzruszył ramionami major. — Ciężka choroba — nieróbstwo. Bezczynność was gubi, moi panowie. Przepracuje pan co najmniej pięć godzin dziennie.

— Jak? — zdziwił się Kurzawa wkładając mundur.

— Wszystko jedno jak — parsknął major. — Niech pan pisze pamiętniki i robi sto pięćdziesiąt kółek dziennie. Może się pan też zgłosić na kurs dla starostów albo na lekcje chińskiego. To ostatnie bardziej się przyda. Następny proszę.

— A coś na kaszel, panie majorze? — zawołał Kurzawa.

— Bzdury — warknął major i sięgnął do szafki po tubkę pastylek. — Nie palić tyle papierosów. Następny proszę.

Kurzawa wyszedł na dziedziniec. Porwało go rozpędzone koło. Przy ścianie ostatniego bloku od szosy, pod dubeltową linią kolczastych drutów, o kilkanaście metrów od narożnej budki strażniczej rozmawiali w grupach jeńcy. Niemiec gapił się bezmyślnie znad karabinu maszynowego. Za drutami lśniła gładkim asfaltem szosa, dalej pęczniało zielone od ozimin wzgórze, niknące później we mgle. Żak stał samotnie pod ścianą. Kurzawa wydobył się z rozpędzonego koła i poszedł dalej, do Krygiera i Szpakowskiego. Z drugiej strony budki, w licznej grupie, Turek mówił coś do nieznanego Kurzawie podporucznika o smagłej, przystojnej twarzy. Tamten poderwał się nagle i sprężył jak do skoku.

— Pan mnie nie będzie uczyć honoru, panie poruczniku! — wrzasnął. — Wszyscy wiedzą, co o panu sądzić!

Turek zaśmiał się pogardliwie.

— Ja też wiem, co o panu sądzić! — zawołał. — I niech mnie pan nie ciąga

przed żadne sądy honorowe, bo uważam to za błazeństwo! Rozumie pan? Za błazeństwo!

— Dobrze! — krzyknął podporucznik. — Załatwię się z panem na miejscu!

I chlasnął Turka rozpłaszczoną dłonią po uchu. Ten pochylił się nagle i uderzył podporucznika pięścią w brzuch. Po chwili zwarli się w bójce. Otoczono ich ścisłym pierścieniem. Dwaj generałowie zamarli z oburzenia. Niemiec wychylił się z budki i wybałuszył oczy.

— Panowie oficerowie! — wrzasnął jakiś suchy pułkownik. — Wstyd! Hańba! Na oczach wroga i to zwykłego gefreitra!

— Rozdzielić ich zaraz!

— Plamią mundur polskiego oficera!

— Mundur jest amerykański i to z pierwszej wojny! — krzyknął Turek rzucając się na przeciwnika. Kotłowali się w uścisku, aż im spąsowiały twarze. Niemiec na wieżyczce wybuchnął śmiechem. Nagle Kurzawa, jak gdyby tknięty jakąś myślą, odwrócił się szybko.

— Patrzcie! — szepnął.

Odwrócili się. Żak przelazł już przez pierwszą linię drutów i począł przeciskać się przez drugą nie bacząc na kolce. Jak zwykle był blady. Turek rzucił się jak kogut na podporucznika, który parował chaotyczne ciosy ze spokojem i wprawą. Gefreiter na wieżyczce rechotał, aż mu oczy zaszły łzami.

— Panowie oficerowie! — krzyczał pułkownik. — Przestańcie! Rozkaz pana generała!

— Może mnie pocałować! — zacharczał Turek i dosięgnął pięścią nosa przeciwnika. Niemiec przy karabinie maszynowym ocierał łzy rękawem.

Żak przelazł przez druty, odczepił z kolca połę płaszcza, przeciął spokojnie asfaltową szosę i wszedł na pole. Krygier przypatrywał mu się z otwartymi ustami. Z rozpędzonego koła odrywali się spacerowicze. Żak szedł teraz miedzą wśród oziminy. Nagle zatrzymał się i pochylił. Powolnym ruchem wyrwał parę trawek i podniósł do ust.

Walczących rozdzielono; Turek dyszał mocno i ocierał twarz chustką. Podporucznik podniósł furażerkę, otrzepał ją i włożył; odwrócił się od suchego pułkownika, który grzmiał groźnym basem. Niemiec na wieżyczce spojrzał z żalem na odchodzących przeciwników i rozejrzał się z roztargnieniem po dziedzińcu. Żak ruszył dalej, pochylony nad mokrą i pulchną ziemią, jak gdyby wdychał jej zapach. Nagle z mgły wypadły z wrzaskiem dwie kobiety, wskazując na samotną postać w zrudziałym wojskowym płaszczu. Żak przystanął. Na szosie zahamował z piskiem opon wojskowy samochód. Niemiec na wieżyczce wychylił głowę, sczerwieniał i począł ryczeć z całej siły płuc. Przy bramie wszczął się ruch. Zawyła syrena. Żaka opadła gromada żołnierzy; dał się prowadzić, lekko uśmiechnięty. Turek z podporucznikiem zniknęli w tłumie, zanim wściekły gefreiter zdołał odszukać ich wzrokiem.

— Wygrał, cwaniak — westchnął z podziwem Szpakowski.

— Jako trzynasty oficer wyszedł za druty — stwierdził Krygier. — Zły znak. Chętnie wypłacę mu papierosy. Stąd nie można uciec. Do granicy jest wiele kilometrów.

— Przecież ten wasz Zawistowski... — zaoponował Szpakowski.

— Na to trzeba być Zawistowskim — uśmiechnął się Krygier.

Kurzawa przymrużył oczy. Żaka wprowadzano przez bramę do Komendy Obozu.

Prycza Żaka była pusta. Kurzawa otworzył cicho szafkę. Wyjął z niej niewielki kawałek chleba. Patrzył nań chwilę, przyłożył nóż, naciął jedną kromkę, potem drugą, grubszą, ale po chwili przesunął nóż i szybkim ruchem przekrajał kawałek na pół. Zgarnął palcem okruchy i podniósł do ust. Z chlebem, kawałkiem margaryny i krążkiem mięsa ruszył do umywalni. Siedział tam Turek nad kawą; na kuchni stała patelenka z paroma plasterkami kartofli.

— To cała kolacja? — zapytał Kurzawa. — Zagłodzi się pan.

— Od roku nie mam apetytu — powiedział Turek. — Zmęczyła mnie ta dzisiejsza bójka.

— Dobrze rozegrane — powiedział Kurzawa. — Żaka chyba zamknęli w areszcie. Należy mu życzyć długiego pobytu. Zapisano go złotymi zgłoskami w historii obozu.

— Właśnie — uśmiechnął się Turek. — Porównują to nawet z ucieczką Zawistowskiego. Może pan chyba iść. Dla niego to będzie święto. Nienajlepsza noc, bo Pędziszewski przeziębił pęcherz i lata co pół godziny. Był przed pięcioma minutami. Zastukam po pana.

Podał Kurzawie puszkę po sproszkowanym mleku. Było tam trochę żywności.

— Trzeba by wtajemniczyć Krygiera — powiedział Kurzawa. — Zawistowski miałby jedzenia po gardło.

— Nie wierzę handlowcom — odparł Turek. — Zbyt dbają o własną skórę.

— To samo słyszałem o artystach — uśmiechnął się Kurzawa.

— Artyści oprócz skóry mają trochę sumienia. Właź pan, bo czas leci.

Podszedł do drzwi. Kurzawa chwycił puszkę, wlazł na umywalnię, wystukał na suficie literę H znakami Morsego. Natychmiast zaczerniał prostokątny otwór, jak gdyby zdmuchnięto kawał ściany. Kurzawa podał puszkę, chwycił się rękami brzegów otworu, odepchnął od rury i wlazł do zimnego, niskiego pomieszczenia. Zaraz znikł jaśniejący otwór i zrobiło się zupełnie ciemno.

— Pan porucznik Kurzawa? — usłyszał chrapliwy szept. — Jestem Zawistowski.

Kurzawa namacał gorącą, chudą rękę. Usiadł na podłodze.

— Przyniosłem panu pastylki na kaszel — szepnął. — Zimno tu.

— Chyba gorzej było w lecie — odparł tamten. — O mało się nie upiekłem jak prosiak w piekarniku. Teraz mam koce. Najgorsza jest ciemność. Pół roku nie widziałem ludzkiej twarzy.

— Zapali pan? — Kurzawa wyciągnął papierosy.

— Nie można — westchnął Zawistowski. — Tu jest otwór wentylacyjny. Odzwyczaiłem się od palenia. Niewiele potrzeba człowiekowi do życia. Marzę o pryczy i o ludziach. Samotność jest straszna.

— Na dole wszyscy czczą pana jako bohatera.

— Słyszałem — zaśmiał się Zawistowski. — Czy pan wie, że ja tu chodzę tylko na czworakach? Trzy kroki wszerz i cztery wzdłuż. Może i lepiej. Mało mam sił. Gdybym mógł czytać! Wie pan, że mówię głośno do siebie?

Zaraz zakaszlał i przytknął rękę do ust.

— Proszę zażyć lekarstwo — powiedział Kurzawa. — Mogą usłyszeć kaszel.

— Nie byłoby lepiej? — westchnął Zawistowski. — Dla was jestem ciężarem. Komu w ogóle jestem potrzebny?

— Choćby tym na dole — szepnął Kurzawa. — Do końca wojny niedaleko.

— Coś nowego na froncie? — zainteresował się Zawistowski.

— No... tymczasem nic. Lokalne walki.

Zawistowski westchnął. Z dołu cicho zastukano. Kurzawa poderwał się i uderzył boleśnie głową o beton.

— Ciasno tu — szepnął Zawistowski. — Szkoda, że pan idzie. Turek podaje mi tylko jedzenie na kiju. Wiem, że tak bezpieczniej.

Uchylił klapy. Kurzawa zawisł w próżni, namacał stopą rurę, zeskoczył zwinnie z umywalni. Turek odszedł od drzwi i nalał kawy.

— Napij się pan — powiedział. — Dobrze, że on jest tam w górze. Daje mi to życie.

— Ale pan jesteś świnia — odparł Kurzawa.

Nad dymiącym kiblem „lipy" zapłonęła lampa. Krygier czytał *„Völkischera"*. Szpakowski pił żałośnie „lipę"' zagryzając cienkim chlebkiem, Korwin-Makowski i Dąbecki zdejmowali płaszcze: byli w odświętnych polskich mundurach.

— Daj, panie Boże, doczekać paczki — powiedział Szpakowski do Kurzawy. — Wszystko zjem na raz.

Kurzawa wzruszył ramionami. Gryzł powoli swą kromkę chleba co chwila ją odkładając. Korwin-Makowski włożył amerykańską bluzę i podszedł do stołu. Z obrzydzeniem wziął niedomytą miskę Szpakowskiego i odsunął ją na środek, pod lampę.

— Żak nie wrócił? — zapytał Dąbecki.

— Nie — odparł Krygier. — Przychodzili oficerowie, żeby mu pogratulować wyczynu. Nawet generał Bączewski przysłał oficera ordynansowego.

— Właśnie — potaknął Korwin-Makowski. — Postanowiliśmy zrewidować nasz stosunek do porucznika Żaka. Wczoraj zrehabilitował się jako oficer... i gotowi jesteśmy zapomnieć o przeszłości.

— Dał się złapać dwóm wiejskim babom — warknął z góry Turek.

— Tu nie ma wiejskich bab — skrzywił się Korwin-Makowski — I nie można wymagać od oficera, żeby się szamotał z kobietami. W aktualnych warunkach porucznik Żak zrobił bardzo dużo: zakpił sobie z wroga. Oczywiście nie można porównywać jego żartu do bohaterskiej ucieczki porucznika Zawistowskiego, ale i on zapisał się chlubnie w historii naszego obozu. Postanowiliśmy z porucznikiem Dąbeckim wycofać nasze skargi z oficerskiego sądu honorowego.

Powiódł triumfalnym wzrokiem dokoła. Szpakowski szukał na stole okruchów chleba. Dąbecki zawinął rękawy koszuli i wyjął z szafki stolnicę. Ustawił ją obok Kurzawy.

— Powinien pan chodzić na bejzik, panie poruczniku — powiedział cicho. — Porucznik Korwin-Makowski jest może zbyt wymagający wobec siebie i innych, ale tym razem...

— Niepotrzebnie się zajmuje cudzymi sprawami — odparł Kurzawa tak samo cicho. — Zmęczyła mnie wojna i odpoczywam. Po co mi taktyka?

— Przyda się — odparł pewnie Dąbecki.

— Pan myśli o nowej wojnie? — uśmiechnął się Kurzawa. — Nie był pan dawno w kraju. Takich doświadczeń się nie zapomina.

— Jeżeli zdobędziemy niepodległość, panie poruczniku — odparł Dąbecki. — Życie nie płynie po różach między Niemcami a Rosją.

— Przecież ta wojna jeszcze trwa! — żachnął się Kurzawa. — Co dzień mordują dziesiątki tysięcy ludzi! Nie chcę o tym słyszeć, rozumie pan?! Za bramą tego obozu rzucę w diabły mundur i żadna siła nie zmusi mnie nigdy do ubrania się na zielono!

Dąbecki przypatrywał mu się z wdzięcznym uśmiechem.

— Zmieni pan zdanie, panie poruczniku — powiedział. — Jest pan Polakiem.

Skrzypnęły drzwi. Do izby wszedł Żak. Wszyscy porwali się z miejsc.

— Witaj, bohaterze! — krzyknął radośnie Pędziszewski. Korwin-Makowski chrząknął uroczyście.

— Panie poruczniku Żak — powiedział. — W imieniu wszystkich kolegów z drużyny chciałem wyrazić...

— O areszcie nie ma co marzyć — burknął Żak ze złością. — Może pod koniec miesiąca. Znowu mnie wpuścili do panów i zamknęli klatkę na klucz. Wiedzą, jak mnie ukarać.

Korwin-Makowski spąsowiał i spojrzał rozpaczliwie na Dąbeckiego. Tamten stuknął się dyskretnie w czoło.

— A Zawistowski uciekł — powiedział Krygier wyjmując z szafki pokaźne pudło angielskich papierosów. — Pańska wygrana, Żak.

— Dziękuję — odparł tamten z ironicznym uśmiechem. — Niech pan przekaże na fundusz imienia porucznika Zawistowskiego. Dla oficerów, którzy będą próbowali ucieczki.

— Co to znowu znaczy? — jęknął Korwin-Makowski.

— Nic — powiedział Żak. — Nie chcę papierosów.

— Co takiego?! — zdumiał się Krygier. — Tysiąc papierosów? Zwariował pan?

Żak spojrzał na niego z pogardą. Krygier łyskał niepewnie okularami. Ułożył papierosy w równy stos. Pędziszewski przerwał siorbanie zupy z obiadu. Szpakowski kręcił się niespokojnie. Turek schował tekturę z napisem i usiadł na pryczy. Zamienił szybkie spojrzenie z Kurzawą.

— Nie chcę papierosów — powtórzył Żak. — Zwariowałem.

— Głupiś! — warknął Turek ze złością. Kurzawa spojrzał mechanicznie w sufit.

— Panie Żak, przecież to tysiąc papierosów — zawołał Krygier błagalnie. — Dwanaście puszek kawy! Pięć bochenków chleba! Bierz pan, u diabła! Należą się panu!

Szpakowski przełknął ślinę. Żak przesunął wzrokiem po twarzach. Wpatrywano się w niego z napięciem. Uśmiechnął się.

— Wiem, że nikt z was nie będzie próbował ucieczki — powiedział. — Zawistowski był jeden. Zostawię te papierosy na stole. Kto zechce, zabierze je sobie. Tylko bez losowania, panowie.

Wziął jednego papierosa i zapalił.

— Zostało dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć — powiedział. — Niech pan je teraz podzieli, panie poruczniku Marianek.

— Co on robi? — westchnął Krygier.

Korwin-Makowski wstał godnie od stołu.

— Panie poruczniku Żak — powiedział. — Pański wybryk obraża honor drużyny. Nie wiem jak inni koledzy, ale my z porucznikiem Dąbeckim postanowiliśmy zareagować...

— Daj spokój, Romciu — bąknął znad stolnicy Dąbecki. — Przecież pan Żak już trzykrotnie zlekceważył wezwanie sądu honorowego.

Żak wyjął z szafki kubek, puszkę z kawą i chleb.

— Zostawiam panów z papierosami — powiedział i ruszył do swej budki. Przez szpary zabłysło światło. Stali bezradnie nad stołem.

— Pięć chlebusiów — westchnął Pędziszewski. — Dziesięć czekolad!

Stos bielał w jasnym świetle lampy.

— Wyglądacie z góry jak stado małp — powiedział Turek.

Korwin-Makowski odwrócił się do niego tyłem. Krygier otworzył nową paczkę „cameli".

— A może by tak... te papierosy na kaplicę? — zaproponował cicho Marianek.

— Nie wolno ich ruszać! — warknął Korwin-Makowski. — Tylko pan porucznik Krygier...

— Wygrał je — odparł Krygier. — Zostawił, jego sprawa.

Pędziszewski wrócił żałośnie do zupy. Rozchodzili się w milczeniu do swoich prycz. Kurzawa wyjął zeszyt z angielskimi słówkami. Z góry dobiegł cichy, stłumiony kaszel.

— No, widzi pan, panie Kurzawa — powiedział Turek i wyciągnął mandolinę.

Kurzawa obudził się z krótkiej drzemki. W świetle nocnej żarówki bielał stos angielskich papierosów. Z góry złaził ostrożnie Szpakowski w białych gaciach. Zatrzymał się przy stole i przyglądał się papierosom. Po chwili rozejrzał się szybko i położył rękę na blacie. Kurzawa zakaszlał głośno. Szpakowski cofnął błyskawicznie rękę i ruszył do drzwi. Po paru minutach wrócił i napotykając wzrok Kurzawy szybko wlazł na pryczę. Kurzawa nie spuszczał oczu ze stołu. Obok świstał jak zwykle Pędziszewski. Minęło chyba z pół godziny. Z góry dobiegł ledwo słyszalny, stłumiony kaszel. Kurzawa wstał cicho, zsunął się z pryczy i chwyciwszy ręcznik podszedł do stołu. Nagle cicho skrzypnęły drzwi. Kurzawa odwrócił się: z umywalni wracał Marianek z kocem na ramieniu. Na widok Kurzawy cofnął się natychmiast. Kurzawa ruszył w stronę stołu. Nagle w ciszy trzasnęła zapałka: Korwin-Makowski zapalał papierosa. Kurzawa skręcił raptownie do swej pryczy. Położył się. Ognik papierosa zataczał miarowe ruchy. Minęło kilka minut. Korwin-Makowski zlazł z pryczy, na pidżamę zarzucił płaszcz i spojrzawszy przelotnie na stół ruszył do umywalni. W drzwiach zderzył się z Mariankiem.

— Dobry wieczór — powiedział tamten. Korwin-Makowski burknął coś pod nosem. Kurzawa obrócił się na drugi bok.

— No i co? — usłyszał nad uchem cichy szept.

— Idź pan stąd — szepnął.

Marianka jak gdyby zdmuchnęło. Po chwili wrócił Korwin-Makowski. Znowu trzasnęła zapałka i począł biegać ognik papierosa.

Przez otwór w murze przenikało na strych brudne światło. Zawistowski zaniósł się cichym, tłumionym kaszlem i przykucnął nad lusterkiem. Był w płaszczu, z kocem narzuconym na ramiona. Widział szarą, wychudłą twarz o czarnych oczach, lśniących niezdrowym blaskiem.

— Wyglądasz coraz gorzej — szepnął. — Dobrze, że cię nikt nie widzi. Nie poznaliby porucznika Zawistowskiego.

Przerzucił ciężar ciała na drugie kolano.

— Myślisz, że w Polsce na ciebie czekają? Dla nich jesteś dalekim wspomnieniem. Minęło pięć lat krwawej walki. Siedzisz na tym stryszku jak wieprzek w chlewiku i marzysz o radości zstąpienia między ludzi. A wystarczy zejść na dół, obozowy bohaterze...

Otarł twarz wilgotnym ręcznikiem. Zadrżał i okrył się mocniej kocem. Z dołu dobiegały jakieś szmery. Przyłożył ucho do podłogi.

— Nic — szepnął po chwili spoglądając znowu w lusterko. — Nic nie usłyszysz. Szumi ci tylko w uszach. Zdechniesz tu z gorączki i z głodu. Ale ty masz wredną mordę!

Drżącą ręką otworzył puszkę i wyjął z niej kawałek chleba. Posmarował go margaryną, nałożył mięsa i ugryzł. Żuł długo pokaźny kąsek. Po chwili odłożył chleb i popił kawą z termosu.

— Widzisz, nie możesz jeść. Powinieneś iść do szpitala, bo się tu wykończysz. Nikt się nie spodziewał jeszcze jednej wojennej zimy. Tutaj nikt cię nie wyleczy. Musisz się zdecydować.

Nasunął na uszy wełnianą czapkę i położył się ostrożnie w półmroku, okrywając pod brodę kocami.

Kurzawa obudził się około ósmej. Marianek wrócił właśnie z kaplicy. Wnoszono dymiącą „lipę". Pośrodku, posępny i uroczysty, siedział Korwin-Makowski, obok niego Dąbecki patrzył drętwo w przestrzeń. Naprzeciwko Szpakowski popijał żałośnie lipę, niczym nie zagryzając. Krygier łyskał ironicznie okularami znad porannej kawy, zabielonej skondensowanym mlekiem. Pędziszewski pożerał kawałek chleba mlaskając głośno. Wszyscy milczeli: papierosów na stole nie było.

Kurzawa zeskoczył z pryczy i spojrzał w górę: Turek spał pod swym napisem. Szczęknęły drzwi i z umywalni wyszedł Żak w białym podkoszulku, z ręcznikiem na ramionach. Nikt na niego nie spojrzał. Żak podszedł do swej szafki, otworzył ją i złożył przybory do golenia.

— Cieszę się, że panowie skorzystali z mego zaproszenia — powiedział z ironią.

Ręka Korwin-Makowskiego zacisnęła się na kubku z lipą. Dąbecki zaczerwienił się po szyję. Pędziszewski przypominał zbitego psa. Kurzawa gwizdał cicho. Żak włożył mundur i płaszcz, nacisnął na głowę polówkę.

— Dziękuję panom — powiedział. — I smacznego.

Szczęknęły drzwi. Korwin-Makowski rąbnął kubkiem o blat, aż chlusnęła lipa.

— Panowie oficerowie milczą?! — zapytał. — Dają się policzkować temu... temu...

— Głupia sytuacja — przyznał Pędziszewski. — Kto zabrał te papierosy?

— Złodziejstwa u nas przez pięć lat nie było! — krzyknął Korwin-Makowski i spojrzał na Szpakowskiego. Ten uśmiechnął się głupio. Turek podniósł głowę w czerwonym czepku.

— Nie można spać przez te kłótnie — powiedział sennie. — Papierosy były właściwie niczyje. Majątek opuszczony. Właściciel prosił, żeby je zabrano i ktoś z tego zaproszenia skorzystał.

— Swoiste pojęcie o honorze! — warknął Korwin-Makowski.

— Niech nam pan tu nie wymyśla od złodziei! — odkrzyknął Turek.

— Mogę panu dać satysfakcję, panie poruczniku! — porwał się Korwin-Makowski.

— A pan ciągle z honorem w tym piekielnym kryminale — wzruszył ramionami Turek.

— Panowie — jęknął Marianek zerkając z rozpaczą na Kurzawę. Ten wstał i podszedł do szafki.

— Za trzy dni paczka — usiłował łagodzić Szpakowski. — Drzazgi polecą. Wszystko wrąbię za jednym posiedzeniem.

— Zakład? — zapytał Krygier.

— Pan mnie nie znasz — zaśmiał się Szpakowski. — O co?

— Jeżeli pan zje swoją paczkę za jednym posiedzeniem — no, w ciągu dwóch godzin, dostanie pan ode mnie drugą, jeżeli nie — odda mi pan następną.

— Zgoda! — wyciągnął rękę Szpakowski. — Wieprza bym zjadł, a nie głupią paczkę.

— Panie poruczniku Szpakowski — krzyknął Korwin-Makowski. — Czy pan nie wie, co się stało z papierosami?

— Może pan Turek wypalił w nocy? — podrapał się w głowę Szpakowski.

— A pan, panie poruczniku Kurzawa? — pytał dalej Korwin-Makowski. — Pan wstawał w nocy, o ile się nie mylę.

— Pan też — odparł Kurzawa. — Chodził pan do ubikacji.

Korwin-Makowski zerwał się od stołu.

— Od czasu ucieczki porucznika Zawistowskiego atmosfera w tej drużynie stała się nie do wytrzymania — powiedział hamując pasję. — Gdyby on był między nami, nigdy by do czegoś podobnego nie doszło.

— Pewno — wtrącił z przekonaniem Pędziszewski. — To był człowiek!

— Lepiej, że uciekł — wtrącił Dąbecki.

— Zamelduję o wszystkim, gdzie należy — powiedział Korwin-Makowski przymrużając oczy. — Jeżeli papierosy pana porucznika Żaka nie znajdą się do jutra, przenosimy się z porucznikiem Dąbeckim do bloku B. Strych południe-południe.

Kurzawa zamienił z Turkiem szybkie spojrzenie.

— Apel! — krzyknięto od drzwi.

Kurzawa wsunął się szybko przez otwór w suficie i Zawistowski założył klapę. Oddychał chrapliwie w ciemności.

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedział. — Ale niepotrzebnie się pan naraża. Wystarczyło podać na kiju.

— Pana przede wszystkim narażam — odparł Kurzawa. — Ale dzisiaj mam większą porcję. Obozowy bohater nie może być głodny.

— Dlaczego pan kpi, panie poruczniku? — szepnął Zawistowski. — Nie potrzeba mi więcej jedzenia.

Kurzawa podsunął mu chlebak.

— Dwa bochenki chleba, margaryna, mięso, czekolada i fistaszki — wyliczał triumfalnie.

— Boże — westchnął Zawistowski. — Przecież to majątek... Skąd wy...

— Dostaliśmy angielską paczkę z papierosami. Dwa tysiące sztuk.

— Ale mnie nie trzeba — bronił się Zawistowski. — Wy musicie więcej jeść...

Kurzawa próbował przeniknąć oczyma ciemność. W nikłej poświacie z okienka jaśniała niewyraźnie plama twarzy.

— Jak się pan czuje? Słyszałem w nocy kaszel. Brał pan pigułki?

— Głupstwo. Trochę się przeziębiłem. Niestety... nie mogę iść na izbę chorych, prawda? — dodał żartobliwie.

— Raczej nie — zaśmiał się Kurzawa. — Niemcy zdążyliby pana wyleczyć z przeziębienia i zamęczyć w koncentraku. Poza tym... nie może pan robić tego kolegom. Tutaj nie wolno ludziom odbierać mitów.

Zawistowski nie odpowiedział od razu. Oddychał głośno.

— Straszna jest samotność — powiedział. — Niech pan zabierze to wszystko.

— Nie ma mowy. Podamy panu jutro coś na grypę.

— Źle sypiam — szepnął cicho. — Z braku ruchu. Czy pan wie, ile przyjemności może sprawiać sama myśl o zwykłym chodzeniu na dwóch nogach? Gdybym mógł chociaż stanąć prosto jak człowiek... Czy nie moglibyście mi się postarać o proszki na sen? Luminal czy coś podobnego?

— Dobrze — odparł Kurzawa. — Śpiącemu czas szybko leci. Gdyby pan mógł przespać tę zimę jak niedźwiedź! Aby do wiosny.

— Czekaliśmy tak niejednej wiosny — szepnął martwo Zawistowski. Z dołu cicho zastukano.

— Niech się pan na koniec nie rozkleja — szepnął Kurzawa. — Dobranoc.

Zawistowski podniósł z wysiłkiem klapę. Kurzawa zsunął się błyskawicznie. Turek i Marianek odeszli od drzwi.

— Zadowolony z żarcia? — zapytał Turek.

— Nie podoba mi się ten Zawistowski — powiedział Kurzawa. — Rdza przeżarła stal. Trzeba by lekarza.

— Lekarza! — zmartwił się Turek. — Jak my mu sprowadzimy lekarza?

Drzwi otworzyły się znienacka i do umywalni wkroczył Korwin-Makowski w płaszczu narzuconym na ramiona. Przyjrzał się im podejrzliwie. Turek postawił na spitfirze patelenkę z obiadowymi kartoflami.

— Zje pan coś z nami, panie poruczniku? — zapytał.

Korwin-Makowski otworzył drzwi do ustępu gwałtownym ruchem.

— Zostały dwa papierosy — powiedział Turek. — Zapalimy?

Powietrze było czyste i zimne. Góry mieszały się z niebem w lekkiej słonecznej mgiełce. Sznur jeńców ciągnął zwolna z kuchni do bloków. Nieśli miski z zupą i po trzy kartofle na deklach menażek. Obok Kurzawy szedł Dąbecki.

— Piękny świat — powiedział. — A tu druty i zupa z suszonej brukwi.

— Oficer w niewoli nie zajmuje się głupimi porównaniami — zaśmiał się Kurzawa.

— Gdyby nie nasze sztywne zasady postępowania, zamienilibyśmy się w stado zwierząt — odparł poważnie Dąbecki. — Dlatego stwarzamy sobie inny, fikcyjny świat.

Doganiał ich Pędziszewski z wielką michą zupy. Na deklu leżało sześć dorodnych kartofli.

— A ta druga porcja dla kogo, panie poruczniku? — zawołał Kurzawa.

— Dla porucznika Zawistowskiego! — wrzasnął Pędziszewski. — Nie wie pan, że od roku biorę dla niego obiad?

— Bydlę — powiedział Dąbecki, gdy ich Pędziszewski minął. — Wszyscy nie mogliby brać repet. On nie ma żadnych hamulców. I jeszcze miesza w to porucznika Zawistowskiego! Przykro mi, ale dzisiaj się wyprowadzamy. Do kolegów pułkowych.

Kurzawa skinął w milczeniu głową i przystanął. Środkiem dziedzińca sunął z budynku administracyjnego Szpakowski. O parę kroków za nim dreptał Marianek. Nieśli w obu rękach tekturowe pudła.

— Paczka! — krzyczał już z daleka Szpakowski.

Widać było, jak mu drgają szczęki. Dąbecki oddalił się z godnością. Kurzawa zajrzał do pudła: na miskę wypaproszono konserwy, obok leżały pudełka i pudełeczka, wszystkie otwarte. Dogonił ich Marianek.

— Papierosy? — zapytał.

— „Old goldy" — odparł Szpakowski.

— Ja mam „camele" — powiedział z dumą Marianek. — Dżem?

— Truskawki.

— Ja mam pastę z fistaszków — triumfował Marianek. — Śliwki czy rodzynki?

— Śliwki.

— Co komu ze śliwek — westchnął Marianek. — Ja mam rodzynki. Kawa Nestle'a?

— A odchrzań się pan! — wrzasnął Szpakowski.

Ruszyli. Zaryczała przeraźliwie syrena.

— Alarm! — jęknął Szpakowski. — Nie zdążę po obiad, cholera!

— Znowu parę godzin w bloku — westchnął Kurzawa. Przyśpieszyli marszu. Syrena wyła ze zmiennym natężeniem. Dziedziniec szybko pustoszał; ludzie z zupą i kartoflami biegli co sił. Kurzawa i Szpakowski przeszli ogólną salę, umywalnię i weszli do izby. Krygier, Korwin-Makowski i Turek stali nad swymi paczkami. Marianek wyjął z szafki wagę i począł dzielić z namaszczeniem konserwy.

— Będziemy czekać na wagę, Kurzawa? — zaśmiał się Szpakowski. — Bierz swoją połowę, bo zaraz się zabieram do jedzenia.

— Zakład stoi, panie poruczniku? — zapytał Krygier.

— Stoi, stoi — zawołał Szpakowski. — Co mi szkodzi najeść się na pana koszt?

— Czekoladę i mleko oddaję za kawę — zawołał Turek.

— Pan się zabija — westchnął Pędziszewski. — Dawaj pan.

Kurzawa począł dzielić produkty. Szpakowski oblizywał palce tłuste od mięsa.

— Niech żyje Czerwony Krzyż! — zawołał. — Niech żyje Oflag! Niech żyje firma — jak jej tam... American Food Corporation! Kto by stąd zwiewał!

— Proszę mi tu nie wykrzykiwać błazeństw pod nosem — syknął Korwin-Makowski. — I proszę zabrać swoje miski z mojej części stołu.

Żak zlazł z pryczy i wsunął się do swej budki z książką w ręku. Był blady i chmurny. Kurzawa wstawił naczynia do szafki. Zza otwartych drzwiczek dobiegało głośne mlaskanie Pędziszewskiego. Dąbecki dzielił paczkę z wprawą chirurga przy operacji. Pośrodku stołu Szpakowski ustawił dwie miski.

— Grunt to naukowa metoda — powiedział. — Tłuste do tłustego, słodkie do słodkiego...

Do pierwszej miski wrzucił margarynę, mięsa, pasztet, ser i począł ubijać na masę. Żak znowu wyszedł z budki i wspiął się na swą pryczę, przytykającą do okna.

— Niech pan się nie pokazuje w oknie — krzyknął Marianek. — Przecież alarm lotniczy! Wachman strzeli i po wszystkim.

Żak wzruszył ramionami, pogrzebał w walizce, wyjął z niej małą książeczkę i powrócił bez słowa do budki. Z dala dobiegł cichy warkot samolotów. Szpakowski zabrał się z lubieżnym uśmiechem do drugiej miski: wysypał mleko i kawę, plasnął dżemem, starł na miazgę biszkopty i czekoladę, wrzucił suszone śliwki, cukier i dodał szklankę wody. Mieszał długo sinobrunatną masę.

— Wszystko — powiedział. — Mydła i papierosów nie zjem.

Krygier skinął głową na znak zgody. Turek skrzywił się, wlazł na pryczę, wystawił napis i nakrył głowę kocem. Kurzawa usiadł obok Szpakowskiego i rozłożył zeszyt z angielskimi słówkami. Pędziszewski patrzył z troską na obie miski.

— Chyba nie da pan rady — pokręcił głową. — Człowiekowi się zdaje nie wiadomo co...

— Gotów? — zapytał Krygier. — Wszyscy panowie jesteście świadkami...

— Nas proszę w to nie mieszać — odparł dumnie Korwin-Makowski wstając. — Nie należymy już do tej drużyny.

— Godzina czternasta — Krygier spojrzał na złotego Schafhausena. — Do szesnastej musi się pan z tym załatwić.

Warkot samolotów stopniowo narastał. Powietrze, wzruszane setkami śmigieł, wibrowało przejmująco. Na tle błękitu widać było przez okno siatkę srebrnych krzyżyków. Szło kilkaset latających fortec. Szpakowski zanurzył łyżkę w tłustej, żółtawo-różowawej mazi. Przełknął pierwszą łyżkę, uśmiechnął się z lubością, wziął następną. Przypatrywali mu się uważnie. Nadeszło kilku jeńców z sali ogólnej. Było zupełnie cicho. Nagle Kurzawa zdrętwiał: z góry dobiegł tłumiony kaszel. Zaraz Turek podniósł się na pryczy i zakaszlał charkotliwie, głośno. Marianek przeżegnał się ukradkiem. Szpakowski pożerał chyba dziesiątą łyżkę; zwolnił tempa i spoważniał. Ubyła jedna trzecia tłustej mazi. Obok piętrzyła się groźnie sinawa mieszanina słodkości. Tekturowa budka Żaka zatrzęsła się kilkakrotnie. Szpakowski coraz wolniej poruszał szczękami. Uczynił nagle żałosny grymas: widzowie wybuchnęli głośnym śmiechem. Szpakowski zamknął oczy i pobladł. Znowu zaśmiano się hałaśliwie. Budka Żaka zatrzęsła się wściekle; boczna ścianka prysła pod naporem ramion, dach opadł żałośnie na stolik. Żak odgarnął tekturę i wyskoczył. Szpakowski nagle znieruchomiał, wybałuszył oczy i z jękiem wypluł gruby kąsek na łyżkę. Nawet Marianek śmiał się piskliwie.

— Panowie nie mogą być cicho?! — krzyknął Żak. — Co to za błazeństwa?! Nie chcę was słyszeć, rozumiecie?

— Może pan wyjść! — odparł ostro Dąbecki. Żak odwrócił się: szczątki budki sterczały żałośnie. Przesunął drżącą ręką po czole i skoczył w stronę drzwi.

— Nie mogę! — jęknął z rozpaczą Szpakowski. Krygier uśmiechnął się z wyższością. Nad sufitem ktoś znowu zakaszlał. Szpakowski zerwał się nagle i pobiegł do umywalni. Widzowie śmiali się do łez.

— Czekajcie! — porwał się nagle Dąbecki. — Dokąd poszedł Żak?!

I rzucił się do drzwi, za nim Pędziszewski. Przebiegli umywalnię i wpadli na salę ogólną. Miała kilkadziesiąt metrów długości. Żak dochodził do drzwi po przeciwnej stronie.

— Żak! — krzyknął Dąbecki. — Stój pan!

Krzyk jego zginął w gwarze. Było tu ze dwieście osób. Żak odwrócił się na mgnienie i dostrzegając pogoń dopadł drzwi. Po chwili znalazł się w sieni, pod wrotami, zamkniętymi na wielki rygiel. Odsunął go rozpaczliwym wysiłkiem.

— Żak! — zawołano. — Stój! Alarm!

Kilku oficerów wpadło do sieni. Ale Żak szarpnął wrota i wypadł na dziedziniec.

Było tu słonecznie i pusto; na żwirze kładły się długie cienie budynków. Żak przystanął na chwilę, zaczerpnął w płuca powietrza i ruszył ku środkowi placu. Skrzypiały głośno o żwir podkute buty. Szedł powoli, zapatrzony w potężny i biały masyw gór. Pośrodku dziedzińca zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Nigdzie nie było śladu człowieka. Żak uśmiechnął się. W tej samej chwili padł karabinowy strzał. Żak upadł na kolana, po czym pochylił się, jakby chciał ucałować ziemię i legł ciężko na boku.

Szpakowski leżał na pryczy cicho jęcząc. Dąbecki układał bieliznę w walizce. Korwin-Makowski opróżniał metodycznie zawartość szafki ustawiając dokoła mrowie puszek i woreczków. Kurzawa wypisywał z książki nową porcję słówek. Pędziszewski podszedł cicho do budki Żaka i począł ją ustawiać. Tektura wymykała się co chwila; opadał dach. Nikt nie patrzył w tę stronę. Pędziszewski ułożył wreszcie dach, dokręcił żarówkę.

— Niech pan zgasi — wzdrygnął się Dąbecki. — Nie rozumie pan?...

Pędziszewski wykręcił w milczeniu żarówkę, zamknął ostrożnie budkę i podszedł do stołu. Chwycił automatycznie rękojeść łyżki, wbitej w miskę ze słodką masą. Łyżka ani drgnęła: podniósł całą miskę. Brunatna masa zastygła jak lawa.

— Też coś — bąknął i rzucił miskę na stół. Szpakowski jęknął cicho. Z góry dobiegł kaszel. Kurzawa wstał z hałasem.

— Panowie mimo wszystko się przenoszą? — zapytał.

— Mimo wszystko — odparł sucho Korwin-Makowski.

Kurzawa zakaszlał głośno. Między prycze wszedł chudy podporucznik w drucianych okularach.

— Cześć panom — powiedział. — Mogę się już wprowadzać?

— Za chwilę — odparł Dąbecki. — Ma pan do wyboru dwa łóżka.

— Trzy — dodał ponuro Pędziszewski.

— Zawsze wolę wyższe — uśmiechnął się tamten. — Lepsze powietrze i więcej światła. Ja dużo czytam i piszę. Przepraszam panów, nie przedstawiłem się. Doktor Kaliszewski.

— Pan jest lekarzem? — zapytał szybko Kurzawa.

— Doktorem filozofii — odparł tamten z dumą. — Czy w drużynie panów mieszkał porucznik Zawistowski?

— Mieszkał — odparł drętwo Pędziszewski.

— Znałem go — pochwalił się Kaliszewski. — To był człowiek zdolny do rozrywania wszelkich oków. On jeden pokazał tym Niemcom...

Rozejrzał się dokoła.

— Nie są to idealne warunki do pracy... Trudno, obóz. A to miejsce może też będzie wolne?

I wskazał na budkę Żaka. Przez uchylone drzwiczki widać było zwisającą żarówkę. Na stole leżała otwarta książka.

— Jest wolne — powiedział Korwin-Makowski.

— To świetnie! — ucieszył się Kaliszewski. — Będę mógł pracować wieczorami nie przeszkadzając panom. Oczywiście żarówkę i stolik panowie zabiorą...

— Nie zabierzemy — powiedział sucho Dąbecki. Korwin-Makowski podniósł siennik i począł wyjmować podtrzymujące go deski.

— Sam się o nie postarałem — wytłumaczył. — Zostawię panu kilka, żeby się pan nie zawalił.

— Głupstwo — odparł Kaliszewski. — Mam swoje. Pobiegnę po rzeczy. Mam nadzieję, że będzie nam się zgodnie mieszkało.

Kurzawa powrócił do angielskiego. Korwin-Makowski pochował już puszki i woreczki; wsunął do walizki lśniące ostrogi i zamknął wieko. Obok leżał tobół z kocami i pościelą. Drzwi otworzyły się cicho i wszedł Turek. Śniada, zmięta twarz była zaróżowiona z zimna. Aż pod brodę opatulił się wełnianym szalikiem.

— Mam zastrzyki — szepnął Kurzawie do ucha. — Kaszle?

Kurzawa potaknął głową. Turek rozebrał się i wlazł na pryczę. Znowu zapanowało milczenie. Dąbecki kończył pakowanie. Znad sufitu dotarło znowu pokaszliwanie, tym razem wyraźniejsze. Turek chwycił mandolinę i uderzył w struny. Zaśpiewał cicho, nastrojowo.

Korwin-Makowski zarzucił tobół na plecy.

— Dzisiaj mógłby się pan wstrzymać od śpiewu, panie poruczniku Turek — syknął. — Posądzałem pana o więcej taktu. Cieszę się, że stąd odchodzimy. Od czasu, kiedy uciekł Zawistowski...

— Z nim się pan też kłócił — wtrącił Pędziszewski.

— Niech pan rozmawia z tymi, którzy panu dają repety, panie poruczniku Pędziszewski — zawołał Korwin-Makowski i zwrócił się do Dąbeckiego: — pewno już awansował na kapitana.

Turek uderzył mocniej w struny mandoliny. Korwin-Makowski ruszył do drzwi. Dąbecki uśmiechnął się do Kurzawy przepraszająco.

Zmierzchało się. W otworze tkwił jasiek, ale przez szparę wpadał nikły odblask obozowych świateł. Zawistowski leżał nieruchomo, przykryty pod brodę kocami. Co chwila wstrząsały nim dreszcze. Oddychał przyspieszonym

rytmem, wypuszczając obłoki pary. Co pewien czas tłumił kaszel. Spod podłogi dobiegały zniekształcone głosy.

— Siedzą tam wszyscy — szepnął. — Patrzą na siebie, chodzą i głośno mówią. Decyduj się, bohaterze. Jeżeli nie zejdziesz, zdechniesz tu jak bezdomny pies.

Zakaszlał znowu. Głośno chrzęściły płuca. Z dołu dobiegły dźwięki mandoliny.

— Turek gra — szepnął. — Pewno słychać twój kaszel. Uczyli cię przecież, że szybka decyzja jest podstawą zwycięstwa.

Podźwignął się na łokciach i usiadł z wysiłkiem. Odrzucił koce i próbował stanąć na czworakach. Udało mu się to na chwilę, ale zaraz zachwiał się i opadł na legowisko dysząc ciężko.

— Możesz wołać o pomoc — szepnął. — Pewno cię przeniosą na izbę chorych. Przez parę dni będziesz wśród swoich... I niech się dzieje, co chce.

Okrył się znowu kocami. Leżał z otwartymi oczyma.

— Skapitulujesz? Oddasz się Niemcom jak zdychające cielę? Zniszczysz legendę o poruczniku Zawistowskim?

Namacał ręką puszkę po sproszkowanym mleku.

— Jeżeli już nie możesz jeść, to śpij — szepnął i wydobył niewielką tubkę. Wysypał na dłoń kilka białych pastylek.

— Jedną, dwie, dziesięć? Gdzie przebiega granica między snem a śmiercią?

Wysypał na dłoń resztę pastylek.

Siedzieli we trzech przy kuchni. Turek odstawił z ognia garnek. Przywiądł jakoś i zgarbił się.

— Boże — powiedział drętwo Marianek. — Czy jest pan pewien, panie poruczniku?

— Jestem pewien — odparł cicho Kurzawa. — Trupów widziałem przez te lata dostatecznie dużo, żeby się nie mylić. Obok leży puste pudełko po luminalu.

— Może tamci potrafiliby go utrzymać przy życiu — szepnął Turek.

— Jacy tamci? — zapytał Kurzawa.

— Korwin-Makowski i Dąbecki. Biologiczne typy. Ale sam nie chciał. Nie rozmawiali ze sobą od dwóch lat. Jakieś pułkowe kłótnie.

Zamilkli i wpatrywali się tępo w ogień spitfira. Kurzawa zapalił papierosa. Lekko drżała mu ręka.

— Cholera — westchnął. — Było go wyciągnąć z tej dziury.

— I co? — wzruszył ramionami Turek. — Rodzina porucznika Kozłowskiego, który też był w Bydgoszczy, dostała pocztą urnę z prochami.

— Czy ta wojna niczego nie nauczy świata? — zapytał Kurzawa. — Będziemy kiedyś żyć jak ludzie?

— Wątpię — odparł Turek. — Ja nie będę nigdy spokojny. Niepokój jest we mnie. Zawsze będzie obóz.

— Bo odrzucasz wiarę — wtrącił z przekonaniem Marianek. — Czym jest życie bez wiary? Absurdem.

— Zawsze jest piekłem, derwiszu — powiedział z przekonaniem Turek. — Módl się za duszę tego, który leży dwa metry nad naszymi głowami.

Marianek skinął poważnie głową i ukrył twarz w dłoniach.

— Przecież nie damy mu tam zgnić! — powiedział Kurzawa.

Turek wstrząsnął się.

— Nie. Zbyt cenię to miejsce. Pójdę jutro do komendanta obozu, którego wymalowałem ze wszystkimi orderami. Lubi mnie.

— Nie boi się pan? — zapytał Kurzawa.

— Chroni mnie konwencja genewska — uśmiechnął się Turek. — Zresztą... wszystko mi jedno. I tak przeniosę się na izbę chorych. Teraz już mogę sobie pozwolić.

— Wszyscy się dowiedzą — szepnął po chwili Kurzawa. — Zginie legenda o poruczniku Zawistowskim.

Turek wpatrywał się chwilę w migotliwy płomyk.

— Postaram się, żeby nie zginęła — powiedział cicho. — Trzeba to zrobić dla niego... i dla nich.

Nalał kawy. Kurzawa przyjrzał mu się uważnie.

— Nie jest pan taki bardzo cyniczny — powiedział.

Chwycił tęgi mróz. Słońce świeciło pełnym blaskiem, a pokrywa śniegu migotała milionami iskierek, od których bolały oczy. Zwycięski łańcuch gór piętrzył się niczym granica świata. Wszyscy jeńcy obozu stali w długich kolumnach do porannego apelu. Niemieccy podoficerowie przebiegali szeregi licząc piątki. Otworzono bramę i na dziedziniec wjechał wojskowy furgon, zaprzężony w karego perszerona. Siedziało w nim kilku żołnierzy. Z Komendy Obozu wyszła grupa cywilów w bawarskich kapelusikach. Był z nimi nieznany niemiecki major.

— Panowie z gestapo — powiedział Krygier. — Już wiemy, dlaczego nie pozwolili zostać dyżurnym. Będą węszyć po blokach.

— Mogliby wybrać cieplejszy dzień — wtrącił Szpakowski. — Czego oni szukają?

— Radia — powiedział Turek. — Wiedzą, że w obozie są odbiorniki.

— Postoimy — westchnął Pędziszewski. — Poprzednim razem trzymali ze dwie godziny. Chyba że alarm...

Spojrzał z nadzieją w bezchmurne niebo. Furgon zatoczył łuk. Cywile dreptali jego śladem.

— Ee, panowie — zaniepokoił się Szpakowski. — Zaczynają od naszego bloku!

Furgon zatrzymał się przed wrotami. Cywile zniknęli we wnętrzu.

— Boże, żeby mi tylko nie zabrali rękopisu — przeraził się Kaliszewski. — Owoc dwuletniej pracy!

— A o czym to? — zainteresował się Kurzawa.

— O bankructwie niejednej ideologii — wyjaśnił Kaliszewski. — W pierwszych rozdziałach rozprawiam się z hitleryzmem.

Żołnierze dobywali z furgonu szafkę. Wniesiono ją do wnętrza.

— Nic nie rozumiem — powiedział Krygier.

— Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za ścianą — powiedział Turek zerkając na Kurzawę. — Coś mi to wygląda na donos. Może radio było w naszym bloku?

— A może ktoś sypnął tę bimbrownię na pierwszej sali? — zmartwił się Szpakowski.

Kurzawa patrzył na góry oczyma przymrużonymi od blasku. Słońce oświetlało je z ukosa; na śnieżnych powierzchniach kładły się sine cienie.

— Panie Krygier — powiedział Szpakowski. — Kupisz pan obrączkę? Dukatowe złoto.

Krygier uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Obrączki sprzedaje się w ostateczności — powiedział. — Niech się pan zastanowi.

— Wstaw się pan za mną u mojego brzucha — zniecierpliwił się Szpakowski. — Ile pan dajesz? Pięć gramów.

Przytupywali z zimna i patrzyli w drzwi bloku. Czyste powietrze przyniosło z miasteczka wibrujący dźwięk dzwonu. Kurzawa spojrzał na Turka. Ten przymknął oczy. Przez otwarte wrota bloku wynoszono szafę.

— Co to wszystko znaczy? — zdziwił się Pędziszewski.

Szafę ułożono na wozie. Żołnierze wskoczyli na kozioł. Czekali. Parę tysięcy oczu wpatrywało się w furgon. Po kilku minutach wyszli cywile z majorem. Wóz ruszył, za nim podreptali gestapowcy. Dzwon z miasteczka bił spiesznym rytmem. Wargi Marianka poruszały się nieznacznie w bezgłośnym szepcie.

— Zupełnie jak pogrzeb — zaśmiał się Szpakowski. — Nie chciałbym, żeby mnie szpicle odprowadzali na cmentarz. Co oni tam wiozą?

— W takiej szafie można by wyjechać grzecznie za bramę — powiedział Pędziszewski. — Przekupić woźnicę i konwojentów...

— Niech pan nie fantazjuje — zniecierpliwił się Krygier. — Z tego obozu nie można uciec. Chyba jak Żak: na cmentarz.

— A Zawistowski? — żachnął się Pędziszewski.

— No tak, Zawistowski — przyznał Krygier.

Zamilkli. Cały obóz odprowadzał wzrokiem dziwny furgon. Marianek pochylił głowę. Dzwon w miasteczku jęknął raz jeszcze i zamilkł. Kurzawa spojrzał znowu na Turka: wśród bruzd policzka torowała sobie drogę lśniąca łza. Otwarto bramę.

Jerzy Stefan Stawiński

Arnold Słucki

MIASTO

Wielki mam dług miłości
do miasta, które jest i którego nie ma —
poprzecinane linie wspomnienia
i linie obserwacji
wiążą się w węzły,
powstaje z nich sieć
i pod wielką siecią
jestem:
Drzewko akacji
w cemencie drży,
wyciąga liść,
i patrzą na mnie okna, okna,
ślepe, wstydliwe okna murów,
skąd płomieni ocean — — —
Tam rzeka
mostami spięta,
niby ruchliwe ciało idei
grzebieniami we włosach błyska,
brzeg napina warstwice,
jakby miasto dźwigał na oddechu,
dachy, krzyże, iglice,
monstrum nowourodzone
z twarzą Sfinksa, co wieki pamięta.
Z tysiąca domów wyglądają dziewczęta,
z tysiąca okien wybitych w pośpiechu,
skrzypiących,
ledwie się domykających,
w ciało rzeki zapatrzonych.
I stoję pełen podziwu
i pełen udręki,
milcząc,
bez słowa
jak bez ręki.

TON

Sznury u kołyski,
struny moje
ukręcone
z łez i konopi,
skrzypce moje,
podajcie mi ton.
Błyski,
błyski
na śniegu,
niebieska melodio
śniegowych winnych gron;
zimowa latorośli,
jodło,
pocałunek mi poślij,
skąd rzeka
i dom.
Strunami z lodowych sopli
rozbłyśnij,
świecznikiem srebrnym się przyśnij,
i trwaj,
aż cię słońce roztopi,
nim wiosenny uderzy grom.

Arnold Słucki

Jerzy Miller

POWRÓT

Szedłem doszedłem
przez wyrwę w powietrzu
dwuszeregiem domów
których nie ma
z opuszczonymi
rękami obiema
Szedłem doszedłem

Powietrze w maju
w godzinie zmierzchu
jak kryształ dzwoni
Kroplami deszczu
o parasole
napięte muska
aż się ulica
zagubi w mgłach
jakbym brnął polem
przez sypki piach
z sinym księżyca
blaskiem na ustach

Tak wrócić marząc
po latach wielu
z pobladłą twarzą
bezsennie chwiejnie
i szukać nocą
świateł hotelu
za linią gruzów
zbaczając w mrok
aż świt odejmie
ciemność piekącą
jakby intruzów
skargi się zląkł

Syren wojennych
łamliwym głosem
pękają wrota
ziemi i nieba
To moja pamięć
nie chce bym odszedł
i ostatecznie
przeszłość pogrzebał

Jerzy Miller

Tadeusz Różewicz

NOWA SZKOŁA FILOZOFICZNA
(OPOWIADANIE Z CZASÓW POWOJENNYCH)

1

Był koniec października, a może koniec listopada 1945 roku.

Zastukałem do białych drzwi. Odezwało się za drzwiami jakby mruczenie, pochrząkiwanie grubego zwierza. Wszedłem do gabinetu filozofa. Był to najwybitniejszy polski filozof współczesny, zdaje się, uczeń Husserla.

Zapisałem się jesienią na uniwersytet. Profesor wykładał na naszym roku „wstęp do teorii poznania". Płonęła we mnie dziwna ambicja, aby, pomijając wszelkie pośrednie stopnie wtajemniczenia naukowego, zapisać się na seminarium. Czemu mówię, że ta ambicja była „dziwna"? Otóż w tym okresie byłem przekonany, że ludzie są stadem biednych dwunogich zwierząt, oszalałych ze strachu. Stado zwierząt (do którego zaliczałem i siebie), przerażone ogniem i podniecone zapachem krwi, zdolne było jeszcze do szukania posiłku, trawienia i parzenia się.

Ale nie będę się teraz rozwodził nad tymi myślami.

Ukłoniłem się filozofowi, objaśniłem krótko, kim jestem, skąd się wziąłem w jego gabinecie, i poprosiłem o przyjęcie na seminarium. Profesor uśmiechnął się. Chrapliwym, ciepłym głosem wyjaśnił, że muszę przedtem zapisać się na proseminarium. Skrzywiłem się. Profesor przyjrzał mi się uważniej i powiedział „...no, cóż, proszę pana, co pan czytał z filozofów, co pan zna... proszę mi opowiedzieć".

Zacząłem sobie gorączkowo przypominać.

Bardzo mi się podobała piękna głowa uczonego. Była to precyzyjna maszyna, skonstruowana przed pięćdziesięciu chyba laty w sławnych uczelnich niemieckich. Mimo zniszczeń wojennych pracowała świetnie. Było to niezwykłe zjawisko. Niekiedy tylko, w czasie wykładu, profesor spoglądał w okno i milczał chwilę. Za oknem był kawałek muru, listopadowe niebo.

Stałem przed nim w saperkach, przyniesionych „z lasu", i przypominałem sobie nazwiska filozofów.

— Czytałem Sokratesa — powiedziałem stanowczo i zamilkłem. Profesor uśmiechnął się i przechylił głowę. — Właściwie nie Sokratesa, tylko Platona o Sokratesie — poprawiłem się. — Czytałem Platona, Nietzschego... — Profesor znów się życzliwie uśmiechnął. — Czytałem też *Ewolucję twórczą* Bergsona —

dorzuciłem z dumą. Profesor jakby na coś jeszcze czekał... Powoli zaczęły mi się przypominać jakieś nazwiska ze sztubackich czasów. Nazwiska „filozofów", i kolegów, z którymi mówiło się o sensie życia, o celu naszych działań, o Bogu.

— Czytałem jeszcze Spencera i Drapera.

Oba te nazwiska wymówiłem niezbyt pewnie, bo już nie pamiętałem, o czym oni pisali. Jednak jednego z nich czytaliśmy ze Zbyszkiem w parku. Na rok przed wybuchem wojny. Była to książka, a raczej broszura, w podartej zielonej okładce. Była napisana przez Spencera albo przez Drapera. W tej chwili nie pamiętałem jednak ani tytułu książki, ani jej treści. Zapomniałem w czasie okupacji hitlerowskiej. Może zresztą książkę napisał ktoś inny. Teraz przypomniałem sobie jeden fragment, była tam mowa o dogmatach wiary katolickiej i autor zapytywał uszczypliwie, „czy ktoś widział palec Ducha Świętego"'. Pamiętałem o „palcu", ale nie wiedziałem, o co chodziło tamtemu filozofowi, więc dałem spokój i nic o tym wszystkim profesorowi nie mówiłem. Po chwili milczenia znów wymieniłem nazwisko. Freud. Profesor poruszył się. Wyraźnie pamiętałem jakieś żarty na temat pewnego snu, w którym śniący otwierał dolną szufladę komody i załatwiał się do tej szuflady; miało to oznaczać stłumioną w dzieciństwie chęć stosunku płciowego z nianią. Ale to były żarty. Natomiast jeśli chodzi o nogę, to byłem pewien, że czytałem o roli nogi w życiu seksualnym w książce Freuda. Wywody uczonego wydały nam się takie śmieszne, że wyuczyliśmy się ich ze Zbyszkiem na pamięć. Jeszcze w tej chwili mogłem wyrecytować profesorowi fragmenty dotyczące nogi:... „noga jest odwiecznym symbolem płciowym już w mitach, odpowiednio do tego but lub pantofel jest symbolem niewieścich części płciowych, stosownie do tego w perwersji odpowiadającej fetyszyzmowi tylko brudna i niemile woniejąca noga jest przedmiotem płciowym... noga jest pojmowana w miejsce członka u kobiety, którego brak przez dzieci bywa silnie odczuwany...". Oczywiście pewne logiczne człony tych naukowych wywodów były przez nas opuszczone i wychodziły z tego takie idiotyczne historie, że pękaliśmy ze śmiechu.

Profesor pochylony w moją stronę czekał jakby na nowe nazwiska. Niestety wymieniłem prawie wszystkie znane mi dzieła. Wspomniałem o pesymiście Schopenhauerze. Z wielkiej jakby ciemności, z głębokiej studni, z mgły dzieciństwa wydobyło się jeszcze jedno nazwisko. Ale nie powiedziałem tego nazwiska profesorowi. Nazwisko miało obce brzmienie i nigdzie już o nim nie czytałem, od czasu jak wyszedłem z dzieciństwa. „Mulfort". Tak nazywał się ten tajemniczy filozof. Mulforta nie czytałem sam, bo nie znałem jeszcze wtedy liter alfabetu, czytał go starzec, który miał żonę z czarnymi, palącymi oczami. Niestety, teraz o Mulforcie wiedziałem bardzo mało. Nie pamiętałem już, czy Mulfort pisał o hipnotyzmie czy o higienie, może pisał o hipopotamach, a może o haszyszu. W każdym razie był on prawdopodobnie Anglikiem.

Było to ostatnie nazwisko, jakie wymieniłem, a właściwie pomyślałem. Mulfort mylił mi się zresztą z mulfonem. Ale nigdy nie byłem zupełnie pewien, jak wygląda mulfon. Gdzie to zwierzę żyło i czym się żywiło? Jednak co do mulfona miałem jakąś pewność, że ma zakręcone rogi i długą, wełnistą sierść. Być może daje mleko. Ale to są już domysły. O Mulforcie nie wiedziałem nic.

Oczywiście słyszało się też i o Kancie, ale tylko w żartach. Podobno Kant

powiedział: „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie". To było chyba wszystko. Czekałem teraz, co mi powie profesor.

Szare oczy profesora zapaliły się na chwilę i zgasły. Był znużony, ale chyba w środku bawił się doskonale; a może był tylko zmęczony i zdziwiony.

— Wy walczyliście z bronią w ręku, my chroniliśmy myśl ludzką. Wy w lesie, my, gdzie się dało... jest pan przyjęty do mnie na proseminarium. Czytamy tam teraz Humę'a *Traktat o naturze ludzkiej*. — Podał mi rękę. Ukłoniłem się i wyszedłem z gabinetu filozofa.

Po tej rozmowie poszedłem na obiad do stołówki akademickiej. Stałem za krzesłem jakiegoś studenta i czekałem, aż zje swoją porcję. Wszyscy jedli tutaj bardzo prędko, bo nad ich głowami stali z łyżką w ręce inni głodni. Gwar i zaduch był wielki.

Do domu wróciłem po południu. Położyłem się na łóżku i patrzałem w sufit. Przymykałem powieki. Myślałem. Mówiłem do siebie o sprawach podobno najważniejszych w życiu człowieka. Przede wszystkim stwierdziłem jeszcze raz: „to wszystko nie ma sensu". Wszystko. Życie. Czy można do tego jeszcze coś dodać? Już przed kilkoma miesiącami wyznaczyłem sobie datę. Dzień, w którym popełnię samobójstwo. Dokładne oznaczenie roku, miesiąca, dnia a nawet godziny sprawiło mi jakąś ulgę. Zdawało mi się, że takie postanowienie rozwiązuje mi ręce w stosunku do ludzi i daje swobodę postępowania. Mówiłem sobie: „nie jestem z nikim związany, nic mnie nie obchodzi".

Przede wszystkim nie cierpię ludzi. Brak życzliwości dla innych osobników tego samego gatunku jest pewnie cechą człowieka współczesnego. Jeszcze kiedy wszystkim jest wygodnie, to się uśmiechają, ale wystarczy wleźć do zatłoczonego autobusu. Patrzą na siebie z wściekłością i obrzydzeniem. Tylko idioci żartują i robią pogodne miny. Reszta patrzy z tępą obojętnością w brudne szyby. W chwilach złego humoru uważam ludzi za kupę żywego gnoju. Oczywiście siebie nie wyróżniam. Ponieważ siebie mam za nic i patrzę na swoją osobę często z nienawiścią, więc dlaczego mam poważać i miłować innych ludzi? Nie są gorsi ode mnie, nie są też lepsi.

Te uczucia nie wpływają jednak na moje postępowanie. Nie potrafię kopnąć małego dziecka, choć wiem, że w pobliżu nie ma ludzi. Wypełniony najgorszymi wyrazami i wstrętem, pochylam się, aby podnieść rękawiczkę, którą upuściła na podłogę jakaś śmierdząca perfumami baba. Są jednak w człowieku ukryte możliwości, wobec których czyn Raskolnikowa wygląda jak grzech słabego, dobrego chłopca, co rozbił doniczkę z kwiatem.

Zresztą czasy, kiedy ludzie byli demonami, minęły. Teraz najwięksi zbrodniarze okazują się nędznymi szmatami i twierdzą, że tylko zbieg okoliczności stworzył z nich morderców. Rudolf Hoess, komendant Oświęcimia, pisze w swojej autobiografii: „...proszę jednak przy wykorzystywaniu tych notatek nie wyciągać na widok publiczny tego, co wiąże się z moją żoną i moją rodziną, wszystkich moich odruchów łagodności i najskrytszych wątpliwości. Niech opinia publiczna widzi we mnie nadal krwiożerczą bestię, okrutnego sadystę, mordercę milionów. Inaczej bowiem szerokie rzesze nie mogą sobie wyobrazić komendanta Oświęcimia. Nigdy tego nie zrozumieją, że on także miał serce, że nie był zły". Uważam, że te słowa są najstraszniejszym oskarżeniem czło-

wieka współczesnego. On także miał serce. To jest prawda. Ale wracajmy do naszych małych, powszednich, trochę nudnych spraw.

Zadaję sobie pewne pytania i udzielam szczerych odpowiedzi. Może te rozmyślania studenta wydziału humanistycznego pozwolą różnym psychologom, socjologom, teologom i innym uczonym dokładniej zorientować się w świecie, w którym teraz żyjemy. Jestem jednym z was, jestem też człowiekiem. Mówiąc zresztą szczerze, zetknąłem się z różnymi ludźmi, którzy byli gorsi ode mnie. Jestem przeciętnym, młodym człowiekiem, który miał osiemnaście lat, kiedy wybuchła druga wojna światowa.

Teraz leżałem u siebie w pokoju na łóżku i myślałem. Myślałem o tym, że gdyby ustawiono w odległości stu metrów tłum ludzi, w tym „starców, kobiety i dzieci", gdyby mi dano karabin maszynowy i kazano tych ludzi wystrzelać, zrobiłbym to nie pytając o nic. Wystarczyłoby mi, że mam na sobie mundur. Że polecenie wydał przełożony. Mnie się zdaje, że hitlerowcy byli mordercami, ale i my, ich ofiary, z oporem i bez własnej woli zamienilibyśmy się w morderców.

Posiałbym więc kilka długich serii po tych „starcach, kobietach i dzieciach" i koniec. Myślę, że na większą odległość można wybić masę ludzi bez mdłości i zawrotów głowy... Lotnicy, którzy wygniatali całe miasta, odznaczali się przecież wśród innych żołnierzy nawet pewną elegancją i rycerskością. Jest to więc w pewnym sensie problem odległości oprawcy od ofiary. Chodzi o to, aby krew nie „obryzgała" rąk i żeby nasze nogi nie plątały się we wnętrznościach ofiary. Są to raczej problemy estetyczne, higieniczne. Oczywiście nie każdy jest zdolny do walki na bagnety, do zadawania tortur. Ale każdy normalny mężczyzna jest zdolny do zadawania śmierci z pewnej odległości. Rozdzieranie własnoręcznie małego dziecka to zupełnie co innego niż strzał z odległości kilkuset metrów. Zresztą w najbardziej pokojowych czasach żony ćwiartują mężów i roznoszą ich poćwiartowane ciała w walizkach po dworcach kolejowych, poczekalniach i kinach. Więc może i z tą wojną nie należy przesadzać. Może w tym wszystkim chodzi o ilość, nie o jakość.

Teraz mogę dalej opowiadać o sobie. Leżałem w ubraniu na łóżku i myślałem. Myślałem o tym, że tu stoją różne meble, leżą książki, wiszą obrazy, ale to wszystko nie ma sensu. Ja też tu leżę i też nie mam sensu. Jak tylko przestanę jeść, myć się, czytać, rozmawiać, kupować, to co mam ze sobą robić? Szkoda, że nie potrafię tego wyrazić jaśniej. Może z dalszego opowiadania to wszystko samo wyniknie.

Teraz leżę na łóżku. Ale jak leżę? Leżę tak intensywnie, tak czuję w sobie to leżenie, że zrastam się z łóżkiem w jedno. Cieszę się i rozkoszuję tym leżeniem. Przekręciłem klucz w zamku, zapaliłem lampkę, przysłoniętą kapturem ze starej gazety. Nikt do mnie nie przyjdzie, nikt mnie nie wyrzuci z łóżka, nikt mi nie każe iść w ciemność i deszcz. Nikt mnie nie będzie kopał, bił po twarzy. Mogę sobie leżeć tutaj godzinę, dwie, pięć. Potem wstanę i będę jadł. Gorące, soczyste parówki. Teraz grzeją się w rondelku. Nikt mi nie odbierze parówek, chleba, herbaty.

Dwie parówki połknąłem, rzuciłem się na nie, drugie dwie smakowałem, ssałem sosik. Do północy mogę zjeść jeszcze tuzin parówek. A jutro mogę znów kupić wędliny, bułek, owocowego wina. Mogę się zamknąć i jeść i leżeć cały dzień; jeść, leżeć i czytać starą gazetę, w którą obłożona była jakaś książka. Okazuje się nagle, że wiadomości sprzed roku są równie ciekawe jak

z ostatniego dnia. A może nawet bardziej interesujące. Okazuje się, że wydarzenia są pozorne. Wszystko się zatrzymało. Jak to dobrze! Umarli są pogrzebani. Żywi już nie umierają. Może nigdy nie będą umierać. Tam na dole, w stołówce, można jeszcze porozmawiać z kucharką, z dziewczynami, które sprzątają. Można się pośmiać. Pogodne, wesołe są te kobiety. Jakby się wczoraj urodziły, jakby pochodziły z innej planety. Wystarczy powiedzieć jakiś dowcip na temat tego, co ma pomiędzy nogami, to aż pęka ze śmiechu. Życie zwycięża śmierć. Miłość zwycięża śmierć. Biedna śmierć. Wszyscy się od niej odwracają. Przejadła się ludziom.

Ale nie schodzę na dół. Siedzę w swojej norce. Leżę na łóżku i czytam starą gazetę. Przymykam oczy i myślę o tym, czy mam jeszcze jakieś pragnienia. Nie mam życzeń. Jedno: aby mi tu nikt nie wlazł. Chcę tak leżeć. Nie chcę jechać ani do Ameryki, ani na księżyc. Nie chcę iść na operę, nie chcę rozmawiać w kawiarni, nie chcę być królem ani aktorem filmowym. Nic nie chcę. Jest mi tak dobrze, że nawet nie czuję swego istnienia. Mogę teraz być bez walki o swoje istnienie. Mam mieszkanie, jedzenie, ubranie, łóżko, piec, drzewo za piecem.

Pod wieczór wyszedłem po te parówki. Biegłem z nimi do domu jak pies, co z mięsem w pysku ucieka przed rzeźnikiem. Ciągle mam w sobie wielką radość, kiedy zdobędę jedzenie. Ciągle boję się, że zabraknie jedzenia, że mój dom się zawali. Kiedy wracam z podróży do domu, jestem zawsze przestraszony; boję się, że zobaczę ścianę z wypalonymi oknami albo kupę gruzu i splątanych rur kanalizacyjnych. To, że po tygodniowej nieobecności zastaję dom na miejscu, że znów otwieram drzwi mojego pokoju, jest dla mnie zawsze dobrą nowiną. Zawsze mi to sprawia radość. Klucz. A do tego jeszcze dom.

Otwieram szafę i jeszcze raz sprawdzam zawartość tekturowego pudła, pokrytego czarnymi napisami w języku angielskim. Od dwóch dni rozkładam na łóżku i stole różne pudełeczka, torebki i puszki. Jest tu nawet guma do żucia.

Te nocne rozmyślania nie mają żadnej wartości. Nic z nich nie wychodzi. W świetle dnia nikną razem z księżycem. Czasem układałem list pożegnalny. Ale i to mi przeszło. Ponieważ naprawdę nie mam innym ludziom nic do powiedzenia. Nic mądrego ani nic rozpaczliwego. Teraz ludzie powinni odchodzić w milczeniu. Tak jest przyzwoiciej. Właściwie powinno się wymawiać tylko niezbędną do życia ilość słów. Odejdę więc nie podzieliwszy się żadną mądrością ani okrzykiem rozpaczy; zresztą nic mnie złego nie spotkało. Nic mi się na głowę nie wali. Odejdę, ponieważ doszedłem do wniosku, że mogę tu być jutro, a mogę też nie być. Mogę umrzeć ja albo może umrzeć tych pięciu mężczyzn i dwie kobiety, co hałasują teraz w bufecie. Mogą umrzeć wszyscy i więcej się nie zjawić w tym domu. Mogą żyć, mogą umierać. To nie ma znaczenia dla innych ludzi. Czy ktoś żyje, czy nie... Ponieważ nie można złożyć jakiejś sensownej całości z poszczególnych czynów, słów i idei.

Często zadawałem sobie pytanie: czy przed śmiercią miałbym jakieś ostatnie życzenie, czy chciałbym o coś zapytać? Zawsze odpowiadałem: nie, nic. A przecież czasem podejrzewam, że w tym właśnie jest jakaś nowa treść, treść naszych czasów. Dla tych, co przyjdą po nas, będzie już to wszystko niezrozumiałe. Dawniej ludzie odchodząc z tego świata pisali listy pożegnalne, testamenty, a nawet układali sobie napisy na płyty nagrobne. Nasze pokolenie umierało skromnie. Ta nauka została nam na całe życie.

Mylą się ci, którzy mówią, że teraz, po wojnie, narosło wiele ciężkich

problemów moralnych. Jest tylko życie, a ono nie zna moralności. Są jakieś resztki, ogryzki, wspomnienia o dawnej moralności, ale żyje się obok. Ludzie żyją i umierają. Wszystko zostało wyjaśnione do końca dla naszego pokolenia.

Po tej wojnie wszyscy jesteśmy podejrzani. Bohaterowie i zdrajcy, konspiratorzy i paskarze, szantażyści i szantażowani, prowokatorzy, oprawcy i ich ofiary. Nawet umarli są podejrzani. Wszyscy zostali zatruci. Umarli i żywi. Być może mój obraz jest fałszywy, nie przeczę. Ja tylko mówię to, co myślę. Chcę jednak złożyć to zeznanie przed śmiercią, może się przyda tym, którzy wierzą w człowieka i mają nadzieję. Ja takich ludzi nie widzę.

Ale nie trzeba mówić o innych ludziach. Tu chodzi tylko o mnie. Mów za siebie. Każdy niech mówi za siebie. Być może istnieją ludzie dobrzy i mądrzy. Ale to już nie jest ważne. Niech sobie istnieją. My idziemy dalej. „Umieramy nędznie nad brzegiem zdroju życia i prawdy." Czytałem to u jakiegoś poety z zeszłego wieku. Od tamtych czasów wyjaśniło się, że nie ma „zdroju życia i prawdy".

Myślę, że nikt nie stał na korytarzu, kiedy zacząłem do siebie głośno mówić. A gdyby nawet ktoś stał... Mówiłem do siebie, jakbym mówił do drugiego człowieka, do wroga i łajdaka. Mówiłem z pogardą i nienawiścią. Słowa te nie łączyły się w logiczną całość. „Ty kupo gnoju — mówiłem — kupo gnoju, kupo gnoju. Świnio. Przeklęte życie. Ohyda. Żeby to wszystko raz się skończyło. Przeklęty. Masz, bydlaku. Tchórzu". Uderzyłem się w twarz. Potem zacząłem płakać. Płakałem w poduszkę i w tym płaczu było jakieś rozwiązanie, wyjaśnienie. Przecież to właśnie dzieci najczęściej płaczą.

Umyłem twarz w zimnej wodzie. Chciałem pobiec do pewnego znajomego. Wszystko mu opowiem — myślałem — wszystko. Zacząłem nawet wkładać jesionkę, ale ją zdjąłem i powiesiłem na gwoździu. „Nikt ci nie pomoże. Przypomnij sobie, to przecież on szukał ratunku u wszystkich, biegał po lokalach, pił wódkę, smarował sobie twarz musztardą, a ty chcesz do niego lecieć. Siedź tu. Siedź. Płacz a siedź. To jest moralista. To on kiedyś określił krótko sens życia: żarcie, spanie, spółkowanie. Ja go cenię. Ten człowiek jest zdolny, pracowity, uczciwy. Ma naprawdę wiele zalet. A jednak określił w ten sposób sens życia. Byłem tym wstrząśnięty. Czy mu biorę za złe te słowa? Nie. On to powiedział z głębokim przekonaniem.

2

Moja sąsiadka niedługo umrze. Niech umiera. Tymczasem ma jeszcze siłę i leżąc wyzywa ludzi. Nawet mnie nazywa „bydlakiem". Wykrzykuje tam za drzwiami: „trzeba być bydlakiem", wiem dobrze, że to o mnie chodzi. Nie mam do niej o to żalu i nawet uśmiecham się z pewną życzliwością, kiedy przechodzę przez ciemny korytarz i słyszę ten skrzypiący głos. Staram się, jak mogę. Chodzę na palcach, zamykam ostrożnie drzwi, nie mam radia, nie sprowadzam dziewczyn, nie upijam się. Wiem, że ona po prostu ze złości do całego świata mamroce: „bydło, bydło, bydło". Oto kończy się jej życie. Cierpi. Widocznie nie ma już ludziom nic przyjemnego i ciekawego do powiedzenia. Brawo, staruszko! Jesteś szczera. Na łożu śmierci nie kłamie się. Krótko i lapidarnie należy wyrazić swój stosunek do „ludzkości", która zresztą się nie gniewa. Ludzkość jest dobra, więcej, jest obojętna. „Bydło" żyje i jest tak bardzo zajęte, że

nie zwraca uwagi na najgorsze twoje słowa. Rachunek jest wyrównany. Umieraj. Ludzi nie zabraknie.

Więc tak wyglądamy. Znacie to powiedzenie: „o, gdybym się jeszcze raz urodził, moje życie byłoby zupełnie inne". Jest to jeden z najgłupszych frazesów na ziemi. Nie jestem złym człowiekiem. Wiem, że to nie ma znaczenia, jednak powtarzam, nie jestem złym człowiekiem. Czy nie lepiej dla mnie byłoby żyć i pracować z wiarą w „słoneczną przyszłość" ludzkości, zamiast myśleć o tym, że trzeba się będzie utopić albo powiesić? Może w ustępie?

Noc coraz głębsza. Na niebie chmury i czarne, wydłużone topole. Słychać szum. Okna wygasają, ludzie kładą się spać. Nie chcę spać, boję się snu. Człowiek powinien teraz bez przerwy żyć, siedzieć z otwartymi oczami i myśleć. Jak długo można zasypiać i budzić się bez nadziei? Ja żyję i zamierzam jeszcze żyć jakiś czas, ale już mnie nie ma. Okropne uczucie. Wolałbym w tej chwili, żeby ktoś pluł na mnie, żeby jacyś ludzie deptali mnie i obrzucali ordynarnymi wyzwiskami; czułbym, że żyję. Moje istnienie muszą potwierdzać inni.

No dole, w bufecie, już cicho. Światło zgaszono i dziewczyny poszły spać. Pada deszcz. Pluszcze twardo po betonowych płytach podwórka.

Zostawić ubrania, książki, dowody. Zostawić nazwisko, znajomości, „środowisko". Zostawić przeszłość. Jest tylko teraźniejszość i przyszłość, która się rodzi z minuty na minutę i której nie znam. Sam muszę przeżyć swoją przyszłość. Urwać się z łańcucha i uciec. Nie chcę jutro iść na wykład. Nie ma uniwersytetu, nie ma architektury włoskiego renesansu. Nie ma miasta Paryża. Kiedy jeszcze żyłem, pragnąłem zobaczyć miasto Paryż. Dalekie miasto. Znajomych, którzy tam byli, oglądałem jak ludzi z innej planety. Prosiłem ich, aby mi w listach przysyłali opis powietrza, zakrętu ulicy, kwiatów i śmieci, obrazów i kapeluszy. Teraz mnie nie obchodzi. To nieprawda, że wróciłeś z Paryża. Proszę mi nie opowiadać o tym mieście. Ja wiem lepiej, takiego miasta nie ma. Ci wszyscy ludzie umówili się i opowiadają o teatrach, wystawach obrazów, o rzece Sekwanie i czerwonym winie. Ale ja wiem, tego miasta nie ma. Gdyby Paryż istniał, moja ulica nie byłaby taka szara i ja byłbym weselszy. Ani mój ojciec, ani dziadek nie widzieli tego miasta. Tutaj na podwórku jest ściana z czerwonych cegieł, cegła z cegłą jest tak szczelnie spojona, że nic nie można zobaczyć. Ja zawsze stałem zwrócony twarzą do tego muru.

Mój sąsiad od samego rana biega z drgającą twarzą, która zamienia się w psi pysk. Biega wściekły po korytarzu z blaszanką po soku cytrynowym i nosi wodę do ubikacji. Znów zepsuł się dopływ wody i mieszkańcy tego wielkiego domu czują swoje przykre wonie zbyt mocno, aby mówić sobie z uśmiechem „dzień dobry". Smutna córka sąsiada, płaska, w czarnym, świecącym fartuchu, pilnuje pod drzwiami ubikacji, czy ktoś nie zostawi po sobie odchodów. Wybuchają wściekłe sprzeczki. Śliczne tomiki, nakładem „Insel-Verlag zu Leipzig", tomiki Rilkego, Platona, Schopenhauera stoją na półkach bibliotecznych u tego pana. Przez całe swoje anemiczne życie poił się nektarami poezji Claudela, Mallarmé, Nervala... a teraz z wściekłością wiejskiego kundla biega po śmierdzącym korytarzu i kłapie zębami. Chętnie gryzłby ludzi. Leżę na łóżku i słyszę psią bieganinę kulturalnej rodziny. Przed chwilą była w łazience staruszka i ona nie spłukała po sobie nieczystości. Choć już niedługo umrze, to teraz trzęsie się ze strachu w swoim łóżku.

Subtelny pan wrzeszczy wreszcie: „Świnie, świnie", wiem, że nie chodzi tu tylko o mnie i o sąsiadów, ale że woła on to pod adresem całej ludzkości.

„Biedny facet — myślę ze współczuciem i odrobiną złośliwości — przesrał swoje najlepsze lata na kulturalnym ględzeniu, a teraz chce sobie odbić. Szkoda, że nie ma zębów, mógłby gryźć klamkę albo ścianę."

Cisza na korytarzu. Cisza w całym domu. Deszcz przestał padać i widać ciemne topole na brudnym, srebrniejącym niebie.

3

Żyjemy umarli. Obrotni, złośliwi, podstępni, uczynni, rozkładający się. Umarli. Znamy się dobrze wszyscy i znamy tę swoją tajemnicę. Podobno zbuntowani poeci i artyści w końcu XIX wieku uciekali do Afryki... I my możemy się buntować. Czy widzisz tych cichych ludzi z głupim wyrazem twarzy, to też wielcy buntownicy, ale nikt o tym nie wie. Są już spokojni, poskromieni czekają na ulicy na znak milicjanta, na zielone światło. Czasem tylko pijani wymiotują i odgrażają się swoim wrogom, sztuce, Panu Bogu. Przeważnie wystarczają jakieś żony albo inne, żeby takich buntowników przywołać do rzeczywistości. Tamci uciekali do Afryki, na wyspy Oceanu Spokojnego. A my gdzie uciekniemy? Może też na równik, nie, my uciekamy do toalety. Tymczasem okazuje się, że w ubikacji nie jest już tak zacisznie, spokojnie jak dawniej. Wszyscy patrzą na siebie podejrzliwie. Kto zapłaci za naprawę? Wszyscy patrzą na siebie złym okiem. Nie wiadomo, kto zostawia po sobie w muszli nieczystości. Więc może uciec w siebie? Ale lepsze już jest siedzenie w poczekalni III klasy na dworcu w Gorzkowicach niż siedzenie w sobie. My znamy nasze wnętrza, wnętrza ludzi współczesnych. Któż tam wytrzyma jeden samotny wieczór, jedną bezsenną noc? Życie moje zostało pozbawione sensu. W chwili próby walczyłem z bronią w ręku, „przelewałem krew"; jestem w porządku wobec siebie, ludzi, ojczyzny. Ale nie uratowałem sensu życia.

Wszystko skończyło się raz na zawsze, cokolwiek będę robił, jestem martwy. Kto tu znów mówi o muzyce? Kto mówi o poezji? Kto mówi o pięknie? Kto tam gada o człowieku? Kto śmie mówić o człowieku? Jakie błazeństwo, jaka komedia. Umarli, jestem z wami. Jak dobrze.

Ta biedna staruszka liczyła na mój pokoik. Wiedziała, że zamierzam się wynieść z tego wielkiego domu. Już dawno planowała sobie urządzenie kuchni w moim pokoiku. Umarła tego dnia, kiedy pakowałem walizki. Zdaje się, że konała dwa dni i dwie noce. Ale nic pewnego na ten temat nie wiem, działo się to zupełnie cicho, za zamkniętymi drzwiami.

Nasz korytarzyk był wąski i zastawiony gratami. Słyszałem w korytarzu odgłosy, jakby ktoś przestawiał drewniane skrzynie. Otworzyłem drzwi, ale musiałem się zaraz cofnąć. Drzwi oparły się o trumnę, w której wynoszono staruszkę z jej pokoju. Trumna stanęła w poprzek i ludzie nie mogli się z nią wykręcić. Obijali się o ściany, sprzęty i drzwi. Widziałem świecącą żółtym lakierem trumnę i słyszałem sapiących ludzi. Wreszcie po dłuższej chwili wymaszerowali jakoś i słyszałem ich kroki na schodach. Siedziałem na łóżku, na ubitych jak deski materacach. Przespałem tu, przeżyłem jakiś czas. Może kilka lat. Moje dwie walizki, spakowane i zamknięte, stały pod ścianą.

Kiedy tu przyszedłem, miałem nadzieję, że w tym nowym domu, wśród nieznajomych, znajdę człowieka, który pomoże mi wrócić do życia. Tymczasem oni płakali, wymiotowali, zwierzali się swoim kobietom. Prędko poczułem obrzydzenie. Później, przez wszystkie lata, omijaliśmy się.

Były to długie okresy, kiedy wszystko wydawało mi się nierealne. Ludzie byli dla mnie zrobieni tylko ze skóry i mięsa, podejrzewałem, że w środku nic nie mają; chodziło mi o duszę. Były to jakieś okropne przedstawienia. Widziałem ludzi, których ciała były zakończone głowami. W głowach tych były usta, które się prawie nie zamykały, w tych ustach mieli oni przeważnie zepsute zęby. Wszyscy ci ludzie bardzo dużo w tym czasie mówili. Były to pierwsze lata po wojnie. Mówili tak dużo, że wreszcie to wszystko, co mówili, pomieszało się zupełnie. I przez całe lata, pod koniec każdej dyskusji (rozmowy), nikt nie wiedział, o co chodzi. Byli wśród nich katolicy, komuniści oraz tacy, co na oczach zebranych zmieniali się z katolików w komunistów; były też zwyczajne pluskwy, gąbki, diabli wiedzą co, starzy, młodzi, idioci, moraliści... Moje doznania nie dotyczyły zresztą ludzi mieszkających tylko w tym domu, wspomniałem o nich na marginesie; ostatecznie interesowali mnie równie mało, jak wszyscy inni ludzie na świecie. Jeśli wspomniałem o tych ludziach, to może dlatego, że częściej się o nich w tym czasie ocierałem. Widziałem zbyt ostro. W głowach ludzi, których w tym czasie oglądałem, interesowały mnie oczy. Miały one często wyraz dziki, twardy, szyderczy i okrutny. Po obu stronach głowy ludzie mieli uszy. Uszy wyglądały specjalnie komicznie u mężczyzn, pod kapeluszem. Wyrastały te nagie, białe albo czerwone uszy, po jednym z każdej strony głowy. Muszę się przyznać, że i nosy, w pewnych chwilach, wydawały mi się czymś niesłychanym. Wyrastały one nagle między oczami, kształt ich był jakby porzucony przez naturę. Nosy zbyt agresywnie wystawały z płaskich twarzy. Poza tym ludzie mieli po dwie nogi i po dwie ręce. Nogami posługiwali się normalnie, skromnie, ale jeśli chodzi o ręce, to sprawiały im one wyraźny kłopot. Ludzie nie wiedzieli, co robić z rękami. Nawet bardzo inteligetni i wykształceni. Tymczasem albo je nosili w kieszeniach, albo splecione i złożone na zadku. Czasem podpierali się buńczucznie pod boki, ale i to nie miało wiele sensu. Niezłym wyjściem z tej kłopotliwej sytuacji było trzymanie w rękach gazety, rękawiczek, laski. Można też było trzymać się pod rękę. Z chwilą kiedy ręce zostawały puste, zaczynał się znów kłopot i głupia plątanina. Ręce zwieszały się po obu stronach tułowia, dyndały bez sensu. Głowy były porośnięte włosami. Widywałem też ludzi, którzy nad górną wargą, pod nosem, nosili wąsiki. Próbuję opisać, wytłumaczyć te stany „ostrego widzenia" i wiem, że wszystko zaciemniam. Człowiek umrze i nie potrafi opowiedzieć rzeczy najważniejszych. Umiera się niemową. Człowiek przegada pięćdziesiąt lat, ale te wszystkie słowa, od pierwszego do ostatniego, zamieniają się wreszcie w potworny bełkot. Wszycy ludzie mówią teraz równocześnie. Wszyscy czekają na sposobność, żeby się wygadać. Przechodziłem obok ludzi jak obok zamkniętych kiosków z gazetami.

Ponieważ znajomi mieli stałe karty wstępu do Filharmonii, chodziłem czasem na koncerty. O ile sobie dobrze przypominam, byłem pewnego wieczora na IX symfonii Beethovena. Widziałem na podium członków orkiestry w ciemnych garniturach. Siedzieli przed pulpitami i trzymali różne instrumenty. Potem grali. Siedziałem tam i przyglądałem się chórowi. Stare, biedne anioły w białych bluzeczkach... Chór śpiewał patetyczną pieśń, wyglądało to wszystko tak, jakby ci wszyscy kiepsko płatni wykonawcy zamierzali wstąpić do nieba. w ostatnim rzędzie muzykantów siedział starannie uczesany mężczyzna z czarnym wąsikiem. Mężczyzna ten uderzał z niewzruszonym dostojeństwem w bęben. Był podobny do Hitlera. Trochę się nudziłem, a trochę męczyłem.

Symfonia zdawała mi się stanowczo za długa. Zresztą w sali było bardzo ciepło i nie było wentylacji. Czułem, że to jakaś gigantyczna muzyka, bardzo wielka, ale pozbawiona dla mnie sensu i znaczenia. Przecież i tak nie uniesiemy się do nieba, mimo niebywałego wysiłku męczenników sztuki. Z tą muzyką jest podobnie jak z katedrą, która stoi na wzgórzu i panuje nad „królewskim" miastem, ale ma o wiele mniejsze znaczenie niż rzeźnia miejska, stadion sportowy, kino „Apollo" lub wieża ciśnień i wodociągów. Zresztą zdaję sobie sprawę, że porównanie symfonii i katedry do rzeźni miejskiej jest naciągane, demagogiczne i po prostu głupie.

Mimo że miałem już dwadzieścia pięć lat, chciałem się dowiedzieć i zrozumieć, w jakim celu żyję. Z dziecinnym uporem czekałem na objawienie. Dawniej pytałem o to innych ludzi, ale to było do niczego niepodobne, śmieszne, więc przestałem.

Przecież miałem całe okresy zupełnej martwoty. Nie było mnie. Wtedy zaczynałem się gwałtownie poruszać i nawet działać. Chciałem poczuć, że jestem. Próbowałem wtedy zawierać nowe znajomości, w pociągu, na ulicy. Nawet na schodach czekałem na ludzi, żeby z nimi porozmawiać. Zdawało mi się, że muszę wygłosić jakieś przemówienie albo zabrać głos w dyskusji, albo położyć dłoń na nodze pewnej znajomej kobiety.

Pakowałem wtedy walizkę i wychodziłem na dworzec kolejowy, kręciłem się po poczekalniach i wracałem zmęczony do domu. Wbiegałem nawet do publicznych szaletów, żeby tutaj w ciągłym szumie usłyszeć głosy życia.

BŁAGANIE

Chcę być sam. Kiedy słyszę stukanie do drzwi, wstrzymuję oddech i nie poruszam się. Ktoś tam stoi za drzwiami mojego pokoiku i czeka, żebym otworzył. Ale ja udaję, że wyjechałem.

Tak obrzydli mi ludzie, że zostałem sam. Ale i sam sobie byłem nienawistny, powtarzałem czasem długo, monotonnie: „dlaczego nie zdechłem, dlaczego nie zdechłem, dlaczego nie zdechłem". Przerażające są chwile, kiedy czuję, że nie istnieję. Tylko siedzę na krześle, tylko leżę, czytam, słucham wykładów, ale mnie nie ma. Natura, przyroda tak mi obrzydły, że całymi latami nie byłem w lesie, w polu. Nie widziałem kwiatów, pszczół, motyli, z zaciekłością wpatrywałem się w okopconą ścianę i w stos starych, pożółkłych już gazet.

Sam. Myślałem, że człowiek może być sam. Teraz wybiegam z domu, teraz jestem bliski szaleństwa. Teraz biegnę, aby być bliżej ludzi. Jak to dobrze być popychanym, jak to dobrze obracać się w złej, spoconej, niecierpliwej masie ciał. Ach, jestem z wami, jestem na zawsze. Wszystko, co ze mną zrobicie, będzie nas łączyło. Zło i dobro. Tylko nie zostawiajcie mnie samego. Byłem zarozumiały i głupi. Siedzę w swoim pokoiku i czekam. Strasznie tęsknię do żywego człowieka. Czekam na jego przyjście. Każdy głos na podwórzu, każde stuknięcie na schodach przyprawia mnie o bicie serca. Wstrzymuję oddech.

Niechby to był ten mały brudas, któremu tak brzydko pachnie z ust. Ani nowych lądów, ani gwiazd, ani szczytów górskich nie powitałbym takim okrzykiem radości, jak jego. Właśnie na niego czekam w ten jesienny dzień, w trzy lata po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Niepotrzebny mi jest Bóg, złoto, sława. Ten człowiek, który raczy do mnie wejść, nie musi być Sokratesem, Einsteinem, Napoleonem... Żeby tylko dotrzymał obietnicy ten mój kolega; starzejący się, zgorzkniały, wściekły na ludzi, pachnący piwem i starymi szmatami. Będziemy siedzieli przy stole, palili paskudne papierosy, będziemy jeszcze raz powtarzali nasze ubogie prawdy, złośliwości, plotki, żale. On będzie mi opowiadał o tym, jaki jest odważny, uczynny, szlachetny i utalentowany, jak bardzo się różni od reszty naszych znajomych. Nawet mu do głowy nie przyjdzie, jaki mu jestem wdzięczny za to, że mnie odwiedził. Nigdy się nie dowie, że patrzę na niego jak na złotego boga, mojego stwórcę, dobroczyńcę i zbawcę. Patrzę na niego z ukrytą radością, jestem mu wdzięczny za to, że siedzi przy tym stole, że jest.

Ale on nie nadchodzi.

Nie wie, że jest oczekiwany jak powietrze, woda, pokarm i światło. Gdyby wiedział, przyszedłby do mnie.

Koło godziny jedenastej w nocy jest zimno i pusto. Siedzę w elektrycznym świetle, za oknem jest ciemność. Zamykam drzwi na klucz, powoli schodzę ze schodów. Przystaję. Nasłuchuję.

Listopad 1955 — grudzień 1956

Tadeusz Różewicz

Leszek Elektorowicz

CO POZOSTAŁO

Nie ma wśród nas niewinnych są tylko skruszeni
nie szukajmy sędziego lecz oskarżycieli
Niestety
którzy mogli oskarżać — odeszli
święci
zatrzasnąwszy wieka swoich trumien
Ich usta pełne ziemi
to mowa straszna

Przybądźcie sprawiedliwsi spośród winowajców
oto krzyk tych którym darowano życie:

Gołe nasze oczy
zdarto z nich powieki
Patrzą okrutne i przekrwione
godne by spłonęły
że żyją
Cóż zostało z marzeń oprócz nienawiści
ze śmiechu oprócz okrucieństwa?
Cóż zostało z nadziei
prócz uciech nietrwałych jak iskry?
Młodość — to milczenie
gdy usta otworzy krew ciecze
Dzieciństwo — gonitwa w blasku
i ojciec zamordowany
Wspomnienia jak psy gnają za nami
odpędzane
teraźniejszość uczepiła się skurczem topielca
a przyszłość czeka z rozwartą paszczą

Lecz nie odjęta nam radość przemijania
lecz trzeba ratować coś co nas zwycięży
to —

wierność blaskom które pogasły
źródłom które wypite
wyśmianym słowom
skrzydłom oderwanym
to —
wierność miłości — źdźbłu chybotliwemu
którego korzenie martwy rozsadzają świat

1952

EGOTYK

Przybądźcie
wszyscy ukochani
którzy jesteście

— ja was ochłodzę

Przybądźcie
wszyscy ukochani
którzy będziecie

— ja was nakarmię

Wtedy obejmę was
o wszyscy ukochani
i zamknę oczy

Abym mógł tęsknić
abym mógł wołać
abym mógł westchnąć

— tylko o sobie

NA BRZUCHU LEŻĘ WŚRÓD TRAW

Nad ptaków świdry i skrzypienia
nad śmiech osiki
trzepot zielonych powiek brzozy —
trawy stojące przy mych oczach
wyższe od gór są i od drzew:

Źdźbło się przechyla —
na niebie strzępiasta brew

Pod obłokiem
dmuchawca nieruchawe balony

Pociski w planety ostro wymierzone

Szable w błękicie
saraceńskie miecze
wiatr nimi siecze
chmur marmury

Tam igła niecierpliwa
łaty białe naszywa
na niebieską skórę

A nad szczytami
źdźbło
z wiszącymi złotymi talerzami

Z boku ciemna pokrzywa
świerkowi się pokrzywia
Słońce mi do stóp przypina
podeszwy z gorących blach

Leszek Elektorowicz

Małgorzata Hillar

JARMARK

Konie rude
konie białe
konie popielate
wychylają aksamitne szyje
z kolorowych dug
jak łuków triumfalnych

Palą się na wozach
wielkie ogniska
pomidorów

Różowy prosiak
i różowe dziecko
na snopku słomy
kwiczą

Baby
sękate jak
uschnięte drzewa
baby kopiaste
z biustami
jak dobrze wyrośnięty chleb
na złote szalki
kładą jabłka
kładą gruszki
kładą kładą

Kudłata owca
szarpie nogami
słomiany warkocz

W koszu z pałąkiem
czerwone koguty
trzęsą się ze strachu

Siwy dziad
gliniane garnki
na ziemi rozstawił
astry w te garnki
możesz włożyć
ogórki z koprem
zsiadłe mleko

Po brodzie dziada
skacze słońce

Ponad wozami
krążą osy
z brzuchami
w żółte prążki

Od tysiąca lat
te same osy
od tysiąca lat
te same wozy
od tysiąca lat
te same garnki
ten sam dziad

DZIKI CZŁOWIEK

Ja
dziki człowiek
boję się
słów
zimnych
ciężkich
obojętnych

boję się
cierpkich uśmiechów
przymrużeń oczu
wzruszeń ramion

Kiedy byłam dzieckiem
pisałam wiersze na strychu

Żeby się nie śmieli

Godzinami rozmyślałam
jak wyleczyć
chorą nogę żaby
siedzącej w rowie

Dziś
jak wtedy
pragnę rąk
które głaszczą

słów
ciepłych
miękkich
jak owcza wełna

Małgorzata Hillar

Jan Strzelecki

ZAPISKI 1950–1953

16.V.1950

„Naszym zadaniem jest zbliżyć człowieka do jego najpiękniejszych marzeń i jego największych nadziei — zbliżyć go do nich rzeczywiście i praktycznie, aby sami chrześcijanie znaleźli na naszej ziemi początek swego nieba". (Garaudy)

Jako figura stylistyczna — to nawet niezłe. Lecz jako postulat programu partii politycznej — to, moim zdaniem, zbyt wiele. Może nie doceniam istoty partii, może minimalistycznie ograniczam jej zadanie, jej rolę, jej cele, ale wydaje się, że brak tego ograniczenia otwiera drogę do Wielkiego Kłamstwa. Realizacja najpiękniejszych marzeń nie może być celem politycznej partii, która jest maszyną tak szczególnego rodzaju, że nigdy nie sięgnie gwiazd. To jest zadanie niewykonalne dla nikogo, zadanie, którego lepiej nie wysuwać jako drogowskazu — bo rzecz musi się skończyć nie realizacją nieba na ziemi, a komunikatem Politycznego Biura, że niebo już osiągnięto, i świętem ludowym z pochodem i muzyką na cześć Nowej Ery. Budujmy jasne domy, drukujmy mądre książki, przekazujmy robotnikom najlepsze tradycje, uczmy się od nich hartu i wytrwania, twórzmy socjalistyczny ustrój — ale nie realizujmy na ziemi początku nieba. Bo to się smutno skończy.

31.X.1950

Konserwatywna strona dialektyki, głosząca, że dopóki jakiś układ gospodarczo-społeczny nie wyczerpał swych zadań, istnieć musi — i istnieć z wyższego stanowiska historiozofii dialektycznego postępu powinien — jest dość trudna do strawienia dla wielu rewolucjonistów. Ich psychika skłania się do moralizatorskiego ahistoryzmu; ludzi ustroju, z którym walczą, oceniają pod wpływem moralnego oburzenia, ujmują ich motywację na wzór szkaradnych lalek, wprawianych w ruch nitkami przez haniebne siły. Te skłonności psychologiczne nie stoją w żadnym związku z teorią — ta, przeciwnie, domaga się ponadludzkiej niemal rzeczowości, zwrócenia uwagi

nie na błędy i zbrodnie ludzi, a na logikę rzeczy, tłumaczącą postępowanie i nasze, i przeciwników. Psychologia rewolucjonisty kieruje się potrzebą zrzucenia na kogoś konkretnej winy za ciężar historycznych udręczeń. I dlatego tak trudno znaleźć w publicystyce i literaturze marksistowskiej zdania, które stałyby na wysokości teorii, które nie popadałyby w łatwą pogardę i łatwe rozczulenie, które cechowałaby rezygnacja ze swojego rodzaju *Greuelmärchen* na rzekomą chwałę rewolucji. Rosja zrezygnowała już z *Greuelmärchen* — ale tylko w stosunku do własnej historii — kierując się przy tym nieco podejrzaną motywacją i stanem ducha. Od negacji przeszło się tam do organizacji uwielbienia dla symboli narodowej chwały — ujmowanych bez związku z historią ludzkiego postępu, tak że państwowotwórczy punkt widzenia rzutuje się wstecz, jakby przestały już obowiązywać słowa klasyków o żandarmie Europy w stosunku do np. Suworowa. Z konserwatywnej strony dialektyki zrobiono tu użytek dla nacjonalistycznej hagiografii.

11.XI.1950

„Jeśli chcecie stworzyć dzieło chrześcijańskie, bądźcie chrześcijanami i szukajcie sposobu stworzenia dzieła pięknego, w które przejdzie wasze serce; nie starajcie się »robić po chrześcijańsku«. Jeżelibyście robili z estetyki artykuł wiary, zepsulibyście swą wiarę. Jeżelibyście robili ze swego nabożeństwa prawidło roboty artystycznej lub jeżelibyście zmienili troskę o zbudowanie bliźnich w prawidło waszej sztuki, zepsulibyście swą sztukę“ (Z Maritaina) Czy to nie odnosi się przypadkiem również do zagadnienia realizmu socjalistycznego? I czy warto — wobec artystów — cofać się poza Maritaina, do tych spośród katolickich teoretyków sztuki, którzy nie przyjmowali jego zdania, że „dzieło chrześcijańskie wymaga, aby artysta był wolny jako artysta”, i że „dusza artysty dosięga całkowicie swego dzieła i kieruje nim, lecz powinna ona dosięgnąć i kierować nim tylko przez stałe usposobienie artystyczne”. Myślę, że nie warto. Myślę, że „liberalizm” marksistów powinien sięgać co najmniej tak daleko, jak liberalizm współczesnego Ojca Kościoła.

12.XI.1950

Czy to Miłoszowskie: „o szlachetni, pozwólcie, jedno tylko zdanie: Mądrość bez gniewu tyle warta, co gniew bez mądrości — to znaczy nie warta nic”, odnosi się również do mnie? Czy ja również pragnąłem owego „państwa złotego środka, uśmierzonej ludzkości”, czy ja również mówiłem — „woda jest zła i zły jest ogień, a dobre tylko niebo?“. To wielkie pytanie, na które nie łatwo odpowiedzieć. Sądzę, że czas wojny wytwarzał jakąś najgłębszą z przeżywalnych niechęć do techniki rządzenia przemocą, niechęć do przerażających skutków racjonalizmu władzy. Czyśmy myśleli zbyt ahistorycznie? Czy tkwił w nas — bezwiednie — ów sentymentalizm Żeromskiego, który czekał na swą wyśnioną „Polskę bez żandarma“? Nie sądzę, żeby tak było:

nasze pokolenie jest wodoszczelne wobec podszeptów skrajnego humanitaryzmu, zamazującego wymowę konieczności, a koniecznością jest w rewolucyjnym czasie istnienie aparatu przemocy. Sądziliśmy po prostu, że pokolenie nasze jest bliższe socjalizmowi niż wielu jego hałaśliwych propagatorów, że można mu oszczędzić i propagandy, i strachu, że można, niczego nie ukrywając, zdobyć jego przyświadczenie, jego oddanie, jego wiarę. Dlatego staraliśmy się być „mądrzy bez gniewu" w stosunku do rówieśników.

7.III.1951

Jeśli się dobrze zastanowić nad schematyczną interpretacją faszyzmu — to dojść można do przerażającego wniosku, że jeśliśmy nie zostali SS-manami, oczywiście polskiego chowu, to tylko przez przypadek. Gdyby faszyzm rozwinął się u nas, to my, nasi bliscy, nasi znajomi, moglibyśmy „ulec uwarunkowaniu"', moglibyśmy poddać się wpływom środowiska; polscy bezrobotni wstąpiliby do SA, robotnicy budowaliby polskie Partei-Stadt. Jeździliby po Polsce w ramach Kraft durch Freude, pilnowaliby więźniów w polskich obozach, walczyliby o polskie kolonie itd. Gdyby los, czyli palec ekonomicznego rozwoju, wskazał na nas, tak by się stało — i nic by w tym nie było dziwnego, nadzwyczajnego, oburzającego — po prostu historia. Niemcom się po prostu przydarzyło — i właściwie oni zdejmują ciężar grzechów ze wszystkich potencjalnych faszystów, ze wszystkich potencjalnych dozorców Oświęcimia — ktoś musiał przecież tę rolę odegrać, inaczej pojęcie konieczności musiałoby zniknąć z interpretacji historii. I tu pojawia się — tak jak pojawiło się przed nami w czasie wojny — zagadnienie bynajmniej nie intelektualne. Zagadnienie możliwości oporu przeciwko temu ciśnieniu konieczności, odbierającemu ludziom nie tylko chleb, ale i pewność najprostszych poczuć moralnych, podstawiając pod piękne pojęcia — jak wierność, wspólnota, los — słowa wiodące do kresu nocy, czyny nurzające ręce we krwi. Osobowość — to nie coś, co by oznaczało inteligenckie poczucie wzniosłej szlachetności i wyjątkowości — to człowiek, który nie uległ. Ten człowiek był naszą nadzieją, był świadectwem, że można się nie wstydzić przed światem, że my sami nie jesteśmy po prostu niedorosłymi sierżantami polskiego SS. I ten człowiek ratował nasze prawo do smutnego wstrętu. Kto rozumiał i rozumie te sprawy, kto przeżył to wszystko, co zsyłało widzenie istot człekokształtnych z czasów pięcioletnich bojowych rekolekcji polskiego podziemia, kim wstrząsnęła hitlerowska socjotechnika organizacji ludzkiego upadlania w obozach, nie będzie się dziwił, że marksistowskie obiegowe skwitowanie tych zagadnień zrzuceniem wszystkiego na ustrój i na zgniłe klasy nie wystarcza. Nie chodzi o przewrażliwienie. Ale wiedza o tym, jak człowiek może upaść, wymaga, jako przeciwwagi, wiedzy o możliwości siły, oporu, wielkości, nie tylko na drodze do socjalizmu. I to jest rdzeń zagadnień personalizmu w naszym kręgu przeżyć, rdzeń, który do dziś nie usechł. Marksizm jest nauką o okazjach kształtowania człowieka — ale nie o człowieku samym. Sam — w zakresie swych ulubionych faktów — wymaga interpretacji, interpretacji właśnie personalistycznej.

7.III.1951

TECHNIKA WALKI I SOCJOLOGIA WŁADZY

Lenin w swym artykule *Wszyscy do walki z Denikinem,* rozważając sprawę stosunku komunistów do specjalistów wojskowych, podkreśla istnienie sprzeczności między usposobieniem ludzi zajętych „długotrwałą szkołą pracy obok specjalistów wojskowych a usposobieniem ludzi opanowanych przez zapał bezpośredniego zadania: bezlitosnego zdławienia kontrrewolucyjnych zakusów specjalistów wojskowych". Stwierdza, że to „bezlitosne zdławienie" wymaga innych przymiotów aniżeli powolność i ostrożność w usposobieniu uczącego się człowieka. Jest to wszystko próbką słuszności ogólniejszej zasady, głoszącej, że nie tylko „byt klasowy", ale również „byt funkcyjny" wywiera wpływ na „myślenie", na postawy ludzi, na wyrabianie w nich pewnych cech, na perspektywę widzenia ludzi i rzeczy. Sądzę, że na „sprzeczności" i „konflikty" wyrastające na tym podłożu zwraca się zbyt małą uwagę, niżby należało. W epoce czujności namnożyło się zbyt wielu specjalistów od dławienia specjalistów w różnych dziedzinach życia — i stąd np. konieczność uderzenia w surmy frontu narodowego na odcinku stosunku do inteligencji technicznej. „Chcemy — mówił Bierut — aby mieli przed sobą jasną perspektywę życia, aby miały ją ich dzieci." To tylko przykład konieczności przeciwdziałania owemu funkcyjnemu uwarunkowaniu narastającemu w ludziach, ogarniętych „zapałem czujności". W innych urzędach państwowych — poza aparatem partyjnym — można by ich znaleźć równie wiele. Powstaje stąd zagadnienie, w jaki sposób zawodowe upodobanie i deformacje, wytwarzające się w epoce przewagi technik dyktatury wśród ludzi aparatu, wpływają na całość rozwoju społeczeństwa. Owe przymioty funkcyjne ludzi wojska, ludzi władz bezpieczeństwa, ludzi aparatu partyjnego — to temat dla „socjologii władzy" w społeczeństwie na drodze do socjalizmu.

15.III.1951

„Najwyższym ideałem zarówno wychowania jak i samowychowania jest pełnia życia doskonałej osobowości, silnej indywidualności. Takimi indywidualnościami byli na przykład Leonardo da Vinci i Goethe." Spasowski wypisuje tej przyszłej doskonałej osobowości kodeks cnót jednostkowych: „Osobowość doskonała winna posiadać nie tylko, jak mówi Hegel, »wnętrze swoje własne«, nie tylko być sobą, bogatą w treść wewnętrzną, być pełną, silną i dzielną, stateczną w swych dążeniach, postępowaniu i pracy, winna nie tylko być światłą i twórczą, kochającą prawdę i piękno, lecz powinna ponadto posiadać uczuciowość szlachetną, być wrażliwą na szczęście i niedole istot czujących, chętną do obrony jednostki, jej praw i rozwoju" (*Wyzwolenie człowieka,* str. 53).

Jesteśmy gdzieś w środku między Gundolfem — z jego monografią

o Goethem jako wzorze osobowości — i Tołstojem. Jesteśmy twarzą w twarz z obrazem doskonałości, do którego dochodzimy metodą samokształcenia, uprzyjemnianego pomocą wzajemną. „Ignaś, nie pieprz tyle o duszy" — jak powiedziałby Rudnicki, „Osobowość dana jest temu, kto się jej wyrzeknie" — jak powiedziałby katolicki dialektyk. „Osobowość jest blaskiem nad głową tych, co oddają się ponadindywidualnemu dziełu" — powiedziałby Mounier. I miałby rację. Mieliby rację wszyscy. Kto chodzić będzie po ziemi z rękami wyciągniętymi ku nogom anioła indywidualnej doskonałości, nie osiągnie wiecznego zbawienia. Tego typu tęsknot socjalizm nie podejmował się zaspokoić. A socjotechnikę tego typu niewątpliwie szlachetnych pedagogów charakteryzuje powiedzenie: „Gdy każda istota rozumna będzie dążyła do wychowania w sobie idealnej szlachetności woli i postępowania, wzniosłości charakteru, wówczas stanie się możliwe nie tylko szczęście ludzkości, lecz wszystkich istot żyjących w ogóle". Jakże stąd blisko do antyrewolucyjnej wzniosłości inteligentów zbawiających się na własną rękę!

12.IV.1951

„Na wszystkich dalszych i bliższych przedmiotach spoczywał ów czarodziejsko-kryształowy blask, który widuje się tylko o tej jesiennej porze. W dali rysowały się Worobiowe Góry za wsią, cerkwią i dużym białym domem. I ogołocone drzewa, piasek, kamienie, dachy domów, zielona wieżyczka cerkwi i cegły dalekiego białego domu — wszystko to nienaturalnie a wyraziście rysowało się niezwykle ostrymi liniami w przezroczystym powietrzu. W pobliżu widać było znajome kontury rozwalonego, na poły spalonego pańskiego domu, który zajęli Francuzi, a obok, za ogrodzeniem, ciemnozielone krzaki bzu. I nawet ten zrujnowany, wypalony dom, podczas dżdżystej pogody odpychający swą brzydotą, obecnie, w jaskrawym, nieruchomym świetle wydawał się kojący i piękny." (*Wojna i pokój,* str. 118)

W Zakopanem, w listopadzie 44 roku byliśmy w sytuacji, podobnej do Piotra patrzącego z jenieckiego baraku na Worobiowe Góry. Jak on, prawie boso. Jak on, niepewni następnego dnia. I jak on, pełni jakiegoś spokoju, jakiegoś przekonania, że cokolwiek by nas spotkało — idziemy, jak w powstaniu, dobrą drogą. Jesienne wieczory, góry w oknie co rano, tak bardzo przypominające dzieciństwo, powietrze tchnące zapachem lasu, ostre piękno warszawskich wspomnień — to wszystko było kojące i piękne — i to wydobywało się na powierzchnię życia, to stawało się jaśniejsze niż pożary domów, zamykające naszą przeszłość. Żyliśmy ogarnięci wspaniałą beztroską, odnalezioną na dnie życia, na dnie powagi. Bernanos pisał kiedyś, że niektórzy ludzie przekonują się naprawdę, czym są, dopiero wtedy, gdy życie nimi potrząśnie, gdy odrze ich z wszystkich ról, do których przywykli, wygód, w których się zamknęli, przybranych uczuć, które w siebie wmówili — nas nie trzeba było z niczego odzierać, czas wojny wytrawił w nas wszystko nieistotne. I pozostawił jak piętno trudnego wtajemniczenia — to kojące i piękne przeżycie, pojawiające się zawsze ,gdy jesteśmy na dobrej drodze.

9.VII.1951

Wiem od tamtych lat, w których wszystko poza oddaniem było głupotą i podłością, że tajemnicą życia, niedostępną dla ludzi zbyt mądrych, jest oddanie — *engagement* — w języku Mouniera. Wiem to od dawna, od czasu, gdyśmy życiem wiernym temu słowu wyrośli ponad bezradną poezję lat międzywojennych, gdyśmy czuli, rozmawiając ze starszymi ludźmi, czytając dawne, przed wrześniem pisane książki — że napełniamy się doświadczeniem sięgającym spraw, o których tamci nie mają pojęcia. Wiem, że jedyny blask życia bije z uczestnictwa w tworzeniu rzeczy, którym człowiek oddaje siebie całego, z tworzenia rzeczy, w których narasta nowa ludzka wspólnota w najszerszym z możliwych zasięgu. Żyliśmy mocną, milczącą moralnością tak pojętej służby, przeciwstawiając ją jako istotną treść socjalizmu — zarówno mieszczaństwu, jak czasom pogardy. Tylko z takiego życia wyrasta słowo, wyrasta wiersz, wyrasta spokój, który trzeba co dzień zdobywać na nowo. Co zalega we mnie dzisiaj, że nie strzegę tego doświadczenia, że nie jestem wierny temu poznaniu, że tracę zdobytą żyzność? Jestem w gruncie rzeczy chory, chorobą nabytą w tamtych latach, chorobą wiedzy o technice współczesnych rządów, chorobą wiedzy o Lewiatanie jakiejkolwiek barwy; każdy poryw jest dziś hołdem składanym Lewiatanowi Wspaniałemu — i to jest tą nieradosną wiedzą, z którą jakoś trzeba się uporać, żeby żyć — albo wszystko będzie przesycone wspomnieniem, które przytłacza, które zobowiązuje, które nie pozwala żyć poniżej siebie.

7.IX 1951

Przerwać, choćby na własny użytek, ów spisek milczenia, w którym utonęły lata okupacji. Odcięcie od tych lat oznacza odcięcie się od źródła siły, od własnych wspomnień, własnej krwi. Jeśli lata 1914—18 są końcem wieku XIX, jeśli pierwsza wojna zaciążyła tak znacznie na losach Europy, na losach ludzi, systemów myśli i rządzenia, na obyczajach, na strukturze uczuć — to cóż dopiero lata drugiej wojny — lata doświadczalnego piekła rządów skutecznych i świadomych celu. Uczucia, postawy, odkrycia wynikłe pod tamtym ciśnieniem nie są nabytkiem, którego można się pozbyć. Nic silniejszego, jaśniejszego od prawdy — nie przyjdzie. Można więc albo stępieć, albo trwać dalej, rozwijając to wszystko, co jest rdzeniem logiki uczuć, ukształtowanej w tamtym czasie. Życie nasyca naszą wrażliwość raz tylko. Próby zapominania o tym są początkiem klęski, jeśli należy się do ludzi, których tajną krwią jest logika serca. Mówiąc słowami Krzysztofa:

— Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo — jestem prosty.

Wyrwać siebie z tamtej ziemi, z ziemi kraju milczenia, to znaczy umrzeć. Tylko nie sentymentalizować, tylko krzepnąć wokół swych początków.

28.IX.1951

Jeżeli w bardzo ciasnym znaczeniu słowa wszystko, co jest kulturą, służyć ma podbudowie — jeśli pisarz fotografować ma górnika i murarza i nie pozwalać im przez to na żadną „transcendencję", na żadne przekraczanie ich własnej codzienności w kierunku innym niż wyznaczona przyszłość socjalizmu; jeżeli malarz ma ze swej strony okładać ich portretami tak szczelnie, by niczego nie dojrzeli w świecie poza swym bohaterskim torsem w przodującej roli; jeżeli wszelkie zamyślenie, które nie jest zamyśleniem nad odwróceniem biegu rzek i przekształceniem łańcuchów gór, ma być zesłane zapomnieniu, tknięte pogardą w imię szczęścia ludzkości; jeśli literatura powtarzać ma w nieskończoność negatyw i pozytyw naszych czasów — to znaczy kapitalizm w ujęciu realizmu krytycznego i socjalizm w ujęciu laureatów stalinowskich nagród; jeśli ludzki los będzie oznaczał już tylko drogę społecznego awansu lub wykrycie wroga; jeśli uczucie braterstwa zastrzeżone zostanie jedynie dla tych, co myślą tak samo; i jeśli na koniec i na nieszczęście zwycięstwo będzie blisko — to Ustrój Wielkiego Inżyniera Dusz Ludzkich czekać będzie los godny pożałowania, los maszyny obracającej się w próżni. Gdyby pedagogika Wielkiego Inżyniera wywierała wpływ nieodwracalny, gdyby cel i ofiara tej nauki — Nowy Człowiek Epoki Socjalizmu zatracił wszystkie potępione dążności, to u progu owej krainy, o której ludzkość śniła dniami i nocami, umarłby z rozpaczy nie znajdując dzieła dla rąk, nie musząc bić rekordów i walczyć o pokój. Musiałby chyba — o czym już zresztą myślą Naczelni Inżynierowie — wsiąść w atomową rakietę i udać się na podbój nowej ojczyzny, w której rozwój dziejowy byłby nieco opóźniony, w której — na szczęście — istniałby jeszcze kapitalizm. Gdzież owa Grecja, o której coś się tłukło po głowie owemu zapomnianemu idealiście — Marksowi? A może już dzisiaj, kiedy przygotowuje się w radosnych godzinach po pracy transparenty na powitanie epoki komunizmu, kiedy, jednym słowem, obłapiamy ideał za nogi, może już teraz należałoby walczyć o n o w e przeciwko s t a r e m u? — Może to n o w e to byłby nawrót do spraw zakazanych, do uczuć wyklętych, do myśli nieliniowych — słowem do pełni rozwoju jednostki, o której coś tam stoi w *Manifeście*? A może starym byłoby to, czym tak szczycimy się dzisiaj? Dialektyka może płatać figle nawet Wielkiemu Inżynierowi, który sądzi, że nawet ona, Ona, Pani Świata, nie może go przekroczyć; że posłuszna wyrokom Instancji przeistoczyła się bez reszty w oswojoną krytykę i samokrytykę i nic bez jego poleceń nie zrobi. Ale wtedy klucz historii, ów kwiat paproci wszystkich historiozofów i polityków chcących dosiąść rumaka Apokalipsy Ostatecznego Wyzwolenia, musiałby znajdować się u niego w kieszeni. A mam wrażenie, że jednakże unosi się on nad wodami.

28.IX.1951

O PODOBIEŃSTWIE PRZECIWIEŃSTW

Tak się dziwnie składa, że najlepszymi przewodnikami po umysłowości naszego czasu są dwie książki z biegunów politycznego krajobrazu. Carla Schmidta — *Begriff des Politischen* jest właściwie komentarzem do *Krótkie-*

go kursu. Niech się nikt nie obraża, to tylko taki podstęp Obiektywnego Ducha — jakby powiedział Hegel. Podstęp, w którym posługuje się on w swych zamiarach białym i czarnym, a raczej czarnym i czerwonym, dobrem i złem, zimnem i gorącem. Obie książki są przejawem ducha czystej polityki, owej płodnej i śmiertelnej wiedzy naszych dni. Czysta Polityka wstąpiła na tron, opróżniony przez Czystą Ekonomię, i obecnie przeżywamy jej okres klasyczny. Na czym polega jej czystość? Na tym, że tak, jak uprzednio ekonomia wpoiła wszystkim, pod grozą odpadnięcia w wyścigu wolnej konkurencji, konieczność posługiwania się zasadą opłacalności, tak obecnie Czysta Polityka wypiera na obszar *bezprizornosti* wszystko to, co w życiu nie godzi się z zasadą politycznej użyteczności. Wszelkie wartości muszą się albo ugiąć, albo zginąć. Świat staje się monistyczny, czysty, politycznie czysty aż do kresu nocy. Wszystko poddaje się mocy owej politycznej skuteczności, o której wyrokują kolegia mężów współczesnej mądrości. Wyrokują o niej z doskonałością, sięgającą krańca ciasnoty oślepłego rozumu. Nie dostrzegają, że zasadą Doskonałego Bezpieczeństwa doprowadzą do powszechnego śledzenia wszystkich przez wszystkich; nie widzą, że zasadą Absolutnej Mobilizacji doprowadzą do rozciągnięcia cięciwy. Nie życzą sobie spostrzec, że zasada Nieustannego Entuzjazmu prowadzi do blednicy serca, że zasada dzielenia świata na Wrogów i Przyjaciół odrzuca często ziarna, a wybiera plewy. Nie pamiętają, że na kolegia magów czyha obłęd władzy. Czysta Polityka zostawi po sobie pobojowisko, pełne zadławionej żyzności, połamanych pędów, okrwawionych nadziei — i pustkę w sercu tych, którym zgaśnie jej światło.

30.IX.1951

CZY TYLKO DEKADENCJA

Z dużą wnikliwością, znawstwem i taktem, który bynajmniej nie jest najmniej ważną zaletą krytyki, analizuje Mach przyczyny „odejścia" Nałkowskiej spod pozytywistycznych sztandarów rodzinnego domu. Pod adresem młodopolskiej doby nie słychać tutaj żadnych niewybrednych przekleństw, tylko spokojną i trafną ironię, która jest lepszą, przenikliwszą bronią — i ma w sobie coś, co tchnie niezagasłym urokiem, coś z *esprit chevaleresque,* coś z pojedynku, przed którym partnerzy wymieniają ukłon. Och! oczywiście, z Himmlerem nie wymienia się ukłonów. Hoessowi nie posyła się przed strzałem kwiatów — tylko się ich wiesza — ale ów czar jest czarem i o ile możności nie należy go likwidować. Ale wracajmy do tematu. Mach kwituje młodopolskość paroma zwrotami. Spokojnie i trafnie. Bez krzyku. Ale nie o to chodzi. Nawet Mach nie może zresztą zrobić tego w tym artykule — nie stawia całej problematyki, jaką epoka młodopolska, neoromantyzm i odpowiadające mu prądy w nauce i filozofii stawiają przed współczesnym, selekcjonującym, oceniającym historykiem kultury. Z punktu widzenia, który zdaje się reprezentować krytyka radziecka, w okresie tym nie działo się nic twórczego, z Europy bił po prostu pod niebo zapach gnijącego kapitalizmu. Nauka i sztuka tych czasów przygotowywały faszyzm swoją krytyką racjonalizmu, kultem instynktów, arystokratyzmem ducha i pogardą użyteczności. Pięknie. Sam podejmuje się poprowadzić krytykę w myśl tych intencji.

Znajdzie się tu dużo dobitnego materiału. Od d'Annunzia do Mussoliniego prowadzi prosta droga. Równie łatwo zajść od Spenglera do Rosenberga, od Maurrasa do Doriota. Ale jeśli już wykryliśmy nieładny zapach i zadowoliliśmy swój gniew, powiedzmy sobie — czy to wszystko? Czy nie ulegamy mitowi „całościowego spojrzenia", które zbyt często prowadzi do dowolnego wyboru reprezentantów owych sądzonych całości? Czy krytyka *esprit bourgeois* u Péguy, czy jego tęsknota pokorna i żarliwa do epoki, do bohaterstwa — to też tylko poza przesyconego dekadenta i przygotowywanie faszyzmu? Czy analizy Schelera stwierdzające, że wartości się przeżywa, że niesposób ich uzasadnić — to tylko podkopywanie powagi rozumu i torowanie drogi irracjonalizmowi? Czy tematyka Pareta — to naprawdę jedynie złośliwy antyracjonalizm? Czy Freud — to hołd ciemnym mocom, których uświadomiony proletariat powinien się wstydzić? Czy odejście od historiozofii — to tylko lęk mieszczaństwa przed ujrzeniem swego bliskiego upadku? Czy ta część filozofii życia, która pod światopoglądami, pod konstrukcjami rozumu dostrzega strukturę uczuć i głosi prawa tej struktury do wyrazu przeciw wszystkiemu, co w kulturze skostniało — to też tylko współpraca z Goebbelsem?

Na umysłowości socjalistycznej zaciążyła niezmiernie urazowa psychologia walki, która węsząc wszędzie faszyzm oddawała często przeciwnikowi dzikie i „niepewne" kwiaty. Nawet Mouniera oddał Żółkiewski Trumanowi, gdyż ten nie zgodził się ze Żdanowem w sprawie Tita. Z tych pozycji niezmiernie ciasnych, nieufnych, urazowych, często zacofanych sądzono całe ostatnie pięćdziesięciolecie, stwarzając w ruchu klimat politycznej bojowości, ale umysłowego lenistwa. Analizę zastępowano zarozumiałą filipiką, zrozumienie różnorodnych dążeń — kropieniem ich święconą wodą z dogmatycznego dzbanka. Zaciążyła na ruchu wiedza o własnej wszechwiedzy, zarozumiałość, za którą powoli zaczęła się wytwarzać pustka. Rosja miała zresztą własne zagadnienia, a w Europie nikt bodaj, poza Lukácsem, nie stał na wysokości zadania. Dzisiaj jest już za późno — na razie — i szerzy się fantastyczna ignorancja owego okresu. Dzisiaj nawet Rousseau, gdyby nie napisał *Umowy społecznej,* byłby uznany za prekursora faszyzmu, dlatego że był cierpki dla encyklopedystów i głosił kult uczuć i prostoty. Niewątpliwie faszysta. Wracamy więc na pozycje scientyzmu, racjonalizmu i tym podobnych czcigodności. O człowieku nie wiemy nic, poza tym, że się w nim odbija rzeczywistość, czasami dobrze, czasami źle, reakcyjnie czy postępowo, ale zawsze odbija. W filozofii zatrzymaliśmy się na empiriokrytycyzmie. Analizy etyczne zastępujemy opowieściami o prawdziwym człowieku. Słowem Europa ginie, my zwyciężamy? To dlaczego nie ratujemy jej skarbów? Czy dlatego, żeby nie dostrzec własnego ubóstwa?

2.X.1951

OBIEKTYWNE SKUTKI ZWRACANIA UWAGI TYLKO NA OBIEKTYWNE SKUTKI, CZYLI NIESPODZIANKI DIALEKTYKI

Mannheim zwraca gdzieś uwagę na to, że refleksologia, stanowiąca rosyjski odpowiednik behavioryzmu, leży u podstaw działania naszego aparatu władzy i że pedagogika masowej propagandy jest właściwie

wytwarzaniem skojarzeń i wyrabianiem odruchów, bez większej troski o tzw. przez wszelkich subiektywistów pokrycie wewnętrzne. Oburzylibyśmy się na to niezmiernie. Przecież behavioryzm został uroczyście potępiony, jako plugawy produkt imperializmu widzącego w ludziach maszyny do produkcji i zabijania i nie dostrzegający człowieczego dostojeństwa. Przecież zwracamy taką uwagę na głęboki, przeżyciowy, szczery stosunek do spraw i norm partyjnych, do dekalogu cnót nowego człowieka. Mannheim to po prostu oszczerca, lokaj i płatny agent. A jednak chyba nie. Mechanizm działania partii typu stalinowskiego, w połączeniu z programową niechęcią maszynistów do wszelkiego „subiektywizmu", to znaczy również do dostrzegania niepożądanych przeżyć ludzi, poddanych jej trybom — prowadzi w praktyce do fabrykowania skonwencjonalizowanych odruchów, które pokryć mają człowieka tak dokładnie, aby zanikło w nim z braku powietrza to wszystko, co nie znajduje w nich swego wyrazu; uczucia nie wyrażone w słowie, w działaniu, w porywie, bledną jak głodne dziecko; myśli nie formułowane zatracają swój kształt i krwistość, stają się stadem smętnych cieni. Wiedza o gaszeniu życia innego niż zaprojektowane jest dobrze widzianą wiedzą naszych czasów. Ale tak powiedziałby tylko brzydki cynik, my zaś mówimy inaczej: mówimy, że zewnętrzne zachowanie się człowieka jest lub będzie przejawem jego uczuć. I jesteśmy o tym przekonani tak żarliwie i tak stuprocentowo, że nie odczuwamy potrzeby sprawdzania tej tezy. I piszemy w gazetach, codziennie, bez przerwy, bez ratunku: „Uchwalili z entuzjazmem, podnieśli normy z zapałem. Witali z uniesieniem, zgromadzili się z gniewem". Wkładamy w ludzi zaprojektowane uczucia, na podstawie ich zewnętrznego zachowania się, zinterpretowanego po linii naszych życzeń; i tak dzieje się nieustannie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu; zagadnienie zgodności uczuć i odruchów niknie, zasypane ciężarem konwenansu i mgłą (politycznego) zapomnienia. I w praktyce sprawa ta przestaje nas obchodzić. I w praktyce, że tak powiem, staczamy się na pozycje behavioryzmu. Motywy niby inne, a obiektywne skutki — identyczne. A przecież obiektywne skutki są, jak nas uczono, najważniejsze.

5.X.1951

Nadbudowa służy podbudowie: za tym prostym powiedzeniem, podobno genialnym, kryje się cała filozofia kultury, niezbyt, moim zdaniem, zgodna z zasadniczą ideą realizacji owej filozofii wolności, której historycznym sprzymierzeńcem był kapitalistyczny proletariat. Przypomnijmy sobie młodego Marksa, wysuwającego wniosek o niezbędności filozofii dla proletariatu i proletariatu dla filozofii. Można więc niekiedy, dla kontemplacyjnych choćby celów, dokonywać pewnego „oderwania" i rozpatrywać ziemskie sprawy z wyniosłego stanowiska owej filozofii, która domagała się kiedyś realizacji. Jeśli z takiego stanowiska spojrzymy na teorię i praktykę stosunku między nadbudową i podbudową w szczęśliwych krajach socjalizmu, dojdziemy do niewesołych wniosków. Owa teoria służebności wywodzi się z historycznej analizy ustrojów klasowych, to znaczy ustrojów, których symbolika, masowe wierzenia, obiegowe idee, miały umacniać instytucje

oparte na ucisku, władzę opartą na przemocy, bogactwo oparte na wyzysku zależnej pracy. Nadbudowa tych ustrojów zawsze „dostarczała uzasadnień" panującym instytucjom epoki, podnosiła ich potęgę, współtworzyła ich świetność. W ogólnych zarysach, biorąc pod uwagę społeczne funkcje owej nadbudowy z punktu widzenia bądź władców, bądź ich przeciwników, można by tak powiedzieć. Jedni powiedzieliby to z zadowoleniem, drudzy z goryczą — nie chodzi tu o drobiazgi psychologiczne. Ale i jedni, i drudzy, i cała ta teoria uogólnia chyba na całość zjawisk kulturalnych pewną perspektywę wyrosłą na politycznym punkcie widzenia i nie dostrzega tej ich części, która jest tajną krwią kultury, warunkiem jej życia, jeśli życie jej polegać ma nie tylko na dostarczaniu dostaw do dworów, municypalności, kapituł, magistratur i komitetów centralnych. Teoria ta popełnia emocjonalne przeoczenie, podobne do wielu, którym ulegał ruch rewolucyjny. Ulega „psychologii przeciwstawienia", które Plechanow śledził na rozwoju literackich gatunków. Zjawisko to polega na tym, że użytkowanie jakiejś wartości — pojęcia, symbolu, teorii, instytucji — przez jedną z walczących grup czy klas powoduje niemal automatyzm negatywnych reakcji po drugiej stronie barykady. Tak działo się z pojęciem narodu, państwa, rodziny, obowiązku, honoru, miłości itd. Sposób użytkowania danej wartości przesłania jej istotną treść. Teoria służebności ma wszelkie cechy teorii, zbudowanej na podstawie takich automatycznych odruchów. I jak wielu ludzi wśród marksistów i ludzi świeckich zauważyło, nie tłumaczy ani zjawiska trwałości naczelnych wartości kultury, ani psychologii twórczości. Tak samo zresztą, jak teoria absolutnej klasowości nauki. Czy więc teoria ta, zdjęta ze stosunków klasowych i wykorzystująca polityczną mądrość i technikę odwiecznych przeciwników do swych własnych celów, przygotowuje czas, w którym zniknąć mają ślady klasowości w kulturze, a wraz z nimi nieco masywna troska o służebność? Moim zdaniem, nie. Wdzięczność życiu uchodzić będzie kiedyś za uczucie, które nie staje się podejrzane przez to, że wybucha bez adresu. Troska i pieśń towarzyszyć będą ludziom, wolnym od kłopotania się o to, że jedna oddala ich od ludowego optymizmu, a druga nie naśladuje szumu gołębich skrzydeł. Oczywiście, będzie to może kiedyś innym razem, dziś na razie nie. Ale może już dziś warto przygotowywać ścieżki pańskie, przygotowywać myśli, które będą chyba kiedyś potrzebne, które staną się nadbudową nowego okresu. Okresu, który nastąpi, jeśli epoka Państwowego Monopolu Kultury nie będzie trwać wiecznie.

12.X.1951

Nasza reakcja przeciwko wielu racjonalistycznym uroszczeniom marksizmu wyrastała w najgłębszym związaniu z ruchem i była formą — tak się nam w każdym razie zdawało — jego najskuteczniejszej obrony: wynikała z chęci otwarcia drogi dla najjaśniejszych przeżyć pokolenia. Z pewnymi zjawiskami psychologii marksizmu, z pewnymi stronami teorii i jej interpretacji — jak systematyczna niechęć do rozumienia uczuciowego życia człowieka, oschłość, pewien cynizm, wyniesiony z walk ze wzniosłościami stojącymi na straży

wątpliwych wartości — walczyliśmy dlatego, żeby stworzyć przestrzeń dla uczuć, które nie rozwijają się w klimacie podejrzenia.

Świat tych uczuć stanął przed nami zbyt blisko, wchłonął nas zbyt głęboko, abyśmy mogli przyjąć obiegowe schematy pseudopsychologii, jakie kursowały na ogół w socjalistycznych kołach. Przyjęcie ich byłoby tłumieniem czegoś w sobie, byłoby stawianiem się w pozycji obwinionego, byłoby ustępowaniem wobec psychiki skostniałej, byłoby zresztą odstępstwem wobec objawienia. To nie była tylko walka o indywidualną odrębność, o miejsce dla jakiejś osobistej melodii: to była walka o — ni mniej ni więcej — duszę pokolenia. Tej walki nie można było wygrać, wracając na pozycję lat siedemdziesiątych, nie zdając sobie sprawy z tego, jakie niebezpieczeństwo niesie przechwycenie wielu prawd pokolenia przez ideologów faszyzmu. Nauka istotnie nie wyznacza wartości, etyka naukowa jest bezsensem, świat wartości jest światem walki bogów, ale z tego powodu nie należy rozdzierać szat nad irracjonalizmem — a budować swojego boga. Historia istotnie nie jest zdeterminowana tak dalece, jak to się wydawało naszym ojcom — ale tym bardziej szykować trzeba siły walki i zwycięstwa. Polityka istotnie nie może istnieć bez mistyki — czyż mistyka bezklasowego społeczeństwa ludzi wolnych i bujnych nie jest mistyką dość mocną? Starzy proboszczowie marksizmu uznawali to za nowinki, za przyjmowanie „platformy wroga". Nie spostrzegali, że była to platforma czasu, na której ich zabrakło. I nie spostrzegali, że ten brak jest jedną z tajemnic największej klęski, jaką poniósł socjalizm w ciągu swej historii. Zdawało się im, że jesteśmy wszyscy przeciwko nim, a myśmy przecież walczyli o nich, za nich.

12.X.1951

WIEDZA INŻYNIERÓW DUSZ LUDZKICH

Wiedza o duszach ludzkich, którą rozporządzają Inżynierowie naszych czasów, jest zdumiewająco nikła. I dlatego praktyka kieruje się raczej masywnymi i bezpiecznymi przepisami magii niż komunałami, które nadają się jedynie na tekst transparentów. W pierwszym okresie rewolucji mówiło się jeszcze, że sprawy człowieka zostaną postawione dopiero po 50 latach. Dzisiaj podobne postawienie sprawy uznanoby za obrazę. Nowy człowiek jest już przecież gotów. To ten, który przetrwał Stalingrad, zdobywał Berlin, sadzi pasy lasów i odwraca bieg rzek. Schylmy czoło przed „prawdziwym człowiekiem", gdyż on jest symbolem tych wszystkich, co przetrwali ojczyźnianą wojnę. Tylko nie uważajmy przez to sprawy za skończoną, gdyż to, co się nam naprzykrzenie sławi jako produkt socjalizmu, jest dla nas rzeczą tak prostą i tak tradycyjną, że nie jesteśmy w stanie dopatrzyć się w tym cech nowości. Musielibyśmy czapkować na cześć samych siebie. Więc odwracanie biegu rzek, więc epos przekształceń przyrody? Pięknie — naszemu pokoleniu odpowiadają gigantyczne prace. Jest w nich oddech przebudowy życia, jest w nich styl czasu. Czyż to nam nie wystarcza? Chyba nie. Nowa Huta nie zasłania Nowego Wspaniałego Świata. A trudno nie uciec się do tego symbolu, jeśli się mówi o wiedzy Inżynierów. Gdyż tworzymy nadbudowę absolutną, usuwając ze świata kultury jak zarazę to wszystko,

co by tworzyło w ludziach jakąś siłę, niepodległą magii naszych czasów. Siły tej udziela samodzielne zdobywanie stosunku do wartości naczelnych. I dlatego nie budzimy ludzi, a wyuczamy ich katechizmów. Dlatego nie boimy się wzrostu tylko wtedy, gdy stoimy nad nim z nożycami. Dlatego sprawujemy kontrolę nad wszystkim, co by było porywem człowieka, co by było samodzielnym wyciągnięciem ręki ku wartościom sztuki, religii, moralności. Bo nasza wiedza nie rozumie tych zjawisk. Bo nasza magia czuje się zagrożona. Bo nasza praktyka, magią wsparta, traci swą skuteczność. Dlatego rozciągamy między ludźmi a światem szczelną kopułę naszej nadbudowy. Nie ma gwiazd, jak tylko te, którym pozwalamy świecić. Nie ma spraw, jak tylko te, które powzalamy przeżywać. A kuglarze diamatu malując słońce na sklepieniu, każą nam wierzyć, że innego nie ma.

15.X.1951

Czy coś się zmieniło od tamtego czasu, kiedy na dnie nocy, niepewni jej końca, wzruszaliśmy ramionami na dźwięk wszelkich zapewnień deterministów, że socjalizm „z konieczności" zwycięży? Wydawało nam się, że w ich rzekomo czysto naukowych zapewnieniach, w ich łatwowierności wobec własnych marzeń tkwi jakiś lęk, jakaś niepewność, jakieś niedorastanie do historii, do wszystkiego, co w niej nieprzewidziane. Kto nie może wyjść naprzeciwko nadchodzących zdarzeń, nie przesłaniając sobie oczu wykonanym przed wyjściem rachunkiem, zawierającym gwarancję powodzenia, wyliczenie pomyślnego wiatru — nie dorasta do ludzkiego losu. Takim optymistycznym rachunkiem wydała się nam w czasie wojny większość socjalistycznej literatury. Na pewno nie z zamiłowania do tragizmu świata, lecz z zestawienia jej wyliczeń z treścią naszych przeżyć. Czas dzisiejszy nie wpłynął na zmianę tej zasadniczej podejrzliwości wobec wszelkiej deterministycznej wiary. Dlatego technicy władzy nie budzą w nas entuzjazmu, lecz niepokój swą uskrzydloną pewnością. Wychodzimy na wezwanie wartości, których blask ujrzeliśmy u kresu nocy. Wierność im nie zależy u nas od przekonania, że świat będzie im łaskawszy.

26.X.1951

ARTYKUŁ F. W „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ", CZYLI O NAUKOWOŚCI ETYKI

Śmiech dziecka jest piękny i należy przyłożyć swą rękę do walki ze wszystkim, co mu zagraża — ale zdanie „należy walczyć o szczęście dzieci" — nie ma nic wspólnego ze zdaniem nauki. Jeżeli przyjmiemy to zdanie, nauka pokazać nam może środki służenia przyjętej wartości. Ale samo przyjęcie nie jest możliwe bez najzupełniej subiektywnego stosunku do owego uśmiechu. Ten prosty fakt nie może znaleźć łaski ze strony wielu diamatyków. Uznaliby to za hołd irracjonalizmowi. I dlatego pchają się z nauką w krainę przyświadczeń, nie chcąc zrozumieć tego, że postępują jak natręci. Nie rozumieją ludzi i siebie i dręczą świat wymęczonym racjonalizmem, nieufnym wobec wszelkiej prawdy serca, wymagającym niedostar-

czalnych racji dla czegoś, co wszelkie racje uzasadnia. Ta nieufność jest ich oznaką. Mają swoje słówka, swoje powiedzenia, po których się ich rozpoznaje. Jednym z tych słówek jest „subiektywizm". Składamy hołd walce ze wszystkim co niesprawdzalne, co niechętne lub wrogie regułom rzetelności myślenia, utwierdzanym metodami nauki. Nauka jest dla nas jasnym tworem człowieka, narzędziem jego zwycięstw, rękojmią prawości. Ale w porządku życia jest siłą służebną, chyba że przyjmiemy hasło czystej nauki, tego upiora o oczach pełnych smutku i szyderstwa. Jest siłą służebną wobec naczelnych, subiektywnie wybranych, wartości.

8. XI.1951

O POŻYTKU METAFIZYKI

„For century after century it insisted upon the infinite worth of the individual human soul" — pisze Whitehead o chrześcijaństwie, czyniąc je sprawcą nowożytnego subiektywizmu. Zdanie to przypomniało mi nasz stosunek do etyki chrześcijańskiej w okresie wojny. W etyce tej widzieliśmy siłę, nadającą ludziom moc oporu wobec nakazów i porywów wszelkich ziemskich namiastek Boga, wszelkich współczesnych lewiatanów, obiecujących w zamian za posłuszeństwo — ukojenie poczuciem wspólnoty i służby, ukojenie rozstroju po relatywistycznym indywidualizmie. Chrześcijaństwo stało w poprzek samoubóstwienia partii, państwa, narodu, w poprzek etykom zmilitaryzowanych kolektywów, wydających swoje dziesięć przykazań i mówiących językiem mistyki i strzałów. Było szkołą koniecznej odpowiedzialności za własne indywidualne życie. Mówię tu o etyce, która wartość zbawienia umieszcza ponad wszelkimi wartościami ziemi, ponad uznaniem zespołu, wdzięcznością Führera, obawą śmierci i pogardą bliskich. Mówię o etyce, która braterstwo w Bogu — to znaczy w najwyższych wartościach — stawia wyżej niż braterstwo plemienia i broni. Ten chrześcijański heroizm nie był zjawiskiem częstym. Ale różne jego nasilenia, różne stopnie trwały w ludziach jak osad stuleci i ciążyły swą fatalną siłą przeciw sile posłuszeństwa zbrodni, przeciw zwątpieniu, przeciw samotności. Heroizm ów był urzekającym wzorem, zatkniętym gdzieś wysoko ponad głowami ludzi, związanych z mistyką wierności głosom świętych i aniołów. Był wezwaniem do pokornej wzniosłości, nadającej moc, której nie przełamią moce piekieł — i to nam było bliskie. Szanowaliśmy źródło tego wzoru, widząc w nim redutę podobną do naszej. Stosunek ten trwa do dziś i dlatego wzruszamy ramionami, gdy szacunek dla religii nazwie ktoś językiem Lenina — uległością wobec fideizmu. Nie mamy szacunku dla „religii w ogóle", chodzi o bliskość siłom, które broniły godności człowieka i wznosiły go ponad zatruty czar zmilitaryzowanych wspólnot.

22.XI.1951

Wynotować nieco materiałów do zagadnienia utopii sentymentalno-równościowych w tradycjach socjalizmu. To nie byle jaka sprawa. W jaki sposób mógł np. Kautsky uważać Platona za socjalistę — chyba tylko zaciemniwszy

sobie głowę perspektywą walki z zasadą własności, w której widział niechcący wszystkich antywłasnościowców po jednej stronie. Szszczególny front, w którym Cabet kroczy obok paragwajskich jezuitów, a członkowie falansterów przepijają do strażników platońskiego państwa. Ta szczególna wspólnota powinna powiększyć się jeszcze o koszary SS i przeróżne niemieckie Ordensburgi; trzeba było być szczególnie ślepym, żeby nie dostrzec tego rodzaju zbliżeń i swoim antywłasnościowym sentymentalizmem przesłaniać sobie i innym widzenie rzeczy. To należy zapisać na karb wiary w raj, który nastąpi po zniesieniu mieszczańskiej własności, jedynej przeszkody na drodze do powszechnego szczęścia. Najwyższe duchy ludzkości były za naszą ideą — myślał sobie czule Kautsky i stwierdzał z zadowoleniem, że już Platon powierzał mędrcom rządy nad najlepszym z ustrojów. A on, Kautsky, czytał przecież tyle książek!

22.XI.1951

PRZECIW AUTOMATYZMOWI

Moje personalistyczne przekonania wiązały się ściśle z poglądem, że nasz zmieniony po rewolucji byt wcale nie musi działać w kierunku seryjnego produkowania Wspaniałych Ludzi Nowych Czasów. Ten automatyzm oczekiwań, tak wyraźny na przykład u Bebla, wynikał z określonej perspektywy nadziei i nie miał nic wspólnego z nauką. A wynikało z niego, i trwa w dalszym ciągu, systematyczne niedostrzeganie, odwracanie uwagi od zjawisk sprzecznych z wiarą w wypełnienie się marzeń. Marks też ulegał owemu perspektywicznemu złudzeniu: *„Die Aufhebung des Eigentums ist die vollständige Emanzipierung aller menschlichen Sinne und Eigenschaften"* — „zniesienie własności oznacza całkowite wyzwolenie wszelkich ludzkich treści i właściwości." Wydaje się, że wykazywanie tych złudzeń jest wyrazem troski o realizację owej „emancypacji wszelkich ludzkich treści i właściwości" w obliczu trudności, ujawnionych po rewolucji. Jest walką z automatyzmem nadziei, który przestaje być bezinteresowny. Staje się rodzajem ideologii urzędowej partyjnego aparatu.

23.XI.1951

Krzywicki, śladem modnego w swoim czasie prądu, również zagłębiał się w psychofizjologiczną typologię ludzi i analizował ich role w różnych społecznych środowiskach. Przy okazji uwag nad typem telestenicznym, które to piękne słowo oznacza ludzi, mających dar głębokich uczuciowych powiązań, zdolność długotrwałości uczuć tkliwych i sympatycznych, wypowiada uwagę, tchnącą swoistym marzeniem owych pełnych nadziei czasów.

„Doniosłość ich wzrasta i musi wzrastać w miarę tego, jak wszelkie więzi natury przymusowej rozluźniają się i rozpryskują, aż w końcu w owej przyszłej »kooperacji swobodnej«, jak wyraża się Herbert Spencer, staną się podstawowymi, pierwszorzędnego znaczenia spoidłami gromad. Typ bowiem rozpatrywany jest wyłącznie i całkowicie typem wolnego i nieprzymuszonego związku, typem uspołecz-

nionym, umiejącym poświęcić się, wczuć się w innych, a traktującym innych jako równych sobie. Jednemu tylko nie może podołać: rządzeniu innymi, przynajmniej w swoich najdoskonalszych wcieleniach." (*Studia socjologiczne*, str. 213)

Jak niedawno jeszcze swoisty, zrzeszeniowy anarchizm był sprawą, która niezmiernie łatwo zjawiała się na progu nadziei i na końcu ewolucji. Idea zrzeszenia, przeciwna idei państwa i rzeczywistości klasowego społeczeństwa, była miarą oceny współczesności, była naczelną normą realizmu krytycznego, dającą siłę sądu i oceny. To była — jak dziś widać — dziecięca choroba lewicowości, ale niektóre strony tej choroby piękniejsze są od naszego dzisiejszego zdrowia. Oczywiście, w literaturze nie zmieniliśmy ani słowa. W dalszym ciągu zmierzamy ku formom życia, odpowiadającym najśmielszym nadziejom zrzeszeniowych marzycieli. W polemikach z zawiedzionymi na razie zrzeszeniowcami odpowiadamy w dalszym ciągu tak, jak Lenin odpowiadał anarchistom — chcemy tego samego, tylko jesteśmy mądrzejsi. Partia nowego typu — to jedyny, właściwy środek do wspólnego celu. To taki dialektyczny chwyt historii, która przez napięcie przymusu automatycznie zmierza ku wolności. I nie przeprowadzamy, szanując ich uczucia, zasadniczej krytyki tej najwspółcześniejszej utopii, tkwiąc w sentymentalizmie, przybierającym — dzięki swej długotrwałości — charakter masywnej hipokryzji. Idea zrzeszenia jako typu współczesnego społeczeństwa jest nieźle pilnowanym mitem.

29.XI.1951

SPRAWA MITU

Literatura socjalistyczna z końca dziewiętnastego wieku przesiąknięta jest horoskopami, rzutującymi w porewolucyjną przyszłość wszelkie marzenia o dobrobycie i równości, jakie tylko mógł wymyślić ów najbardziej utopijny z wieków. Marks zastrzegał się co prawda przeciw przewidywaniu przyszłości dalszemu niż początek rewolucji, ale kto oprócz niego mógłby się zdobyć na taki ascetyzm wyobraźni. Marzono sobie dalej pod powierzchnią naukowych teorii, jakby nigdy nic. Proszę zajrzeć do Bebla — jest on bliżej żywej myśli proletariackiej niż teoretyk Kautsky. Proszę policzyć ilość wydań Bellamy'ego. I to było konieczne — jeśli w ruchu mieli być żywi ludzie. To było dobrym prawem wszystkich socjalistów, bez względu na krytykę mieszczańskiej nauki. Krytyka ta usiłowała wykazać istnienie mitu pod podszewką nauki. A socjalistyczne środowisko, dotknięte w swych scientyficznych uczuciach, uważało to za kłamstwo i obrazę i starało się, ze zdwojoną gorliwością, wykazać pozytywistycznym łykom bezgrzeszną naukowość swych marzeń. Zetknęliśmy się z tymi echami przeszłości w czasie wojny i wydawało się nam, że sprawa postawiona została najzupełniej błędnie. Że ze strony socjalistycznej występował jakiś brak samowiedzy, brak odwagi w uznaniu siły swoich marzeń, i brak analizy wydajności nauki w zakresie przewidywań. Mit uznawano za słowo deprecjonujące. W tym okresie, w okresie nabrzmienia europejskiego horyzontu czarnymi mitami „młodych narodów", ten uraz był dość zrozumiały. Ale nie można zbyt długo ulegać urazom. Z socjalistycznym ruchem wiązał się i wiąże mit

szczęśliwej przyszłości ludzkiego rodzaju, w której ucichnie zgiełk walk o chleb i o władzę, w której zniknie rozerwanie człowieka na nędzę i na marzenie, w której wraz z ludzkim braterstwem kwitnąć będą sztuki i nauki. To jest, skryty czy wyjawiony, obraz nadziei, mit — to trzeba sobie powiedzieć. I nie przejmować się krytyką urojeń padającą ze stanowisk mieszczańskich sceptyków, niezdolnych do życia nadzieją o stwierdzonej mityczności. Życie nie spełni naszych pragnień; ale są one towarzyszem naszych działań, które bez nich straciłyby barwę i kierunek. Nauka nie gwarantuje osiągnięcia ziemskiego raju, ale jedynym ziemskim rajem jest działanie, wiedzione porywem serca ku nadziei i kierowane wskazaniami wiedzy. Mit nie jest naszym grzechem — ale naszą cnotą; nie poniża rozumu — ale wskazuje mu zadanie. To przyznanie musiałoby pociągnąć za sobą znaczną zmianę naszej nadbudowy. Ale zwolniłoby nas od konieczności tkwienia po uszy w mitologii najgorszej z najgorszych — mitologii nieuświadomionej lub konwencjonalnej.

1.XII.1951

PRZESTROGI PERSONALISTY

„Organizacja jest postępem w kierunku ładu, ale nie może przekraczać punktu, poza którym człowiek zredukowany zostaje do wymiaru swej funkcji. Uspołecznienie jest zdobyczą życia duchowego, jeśli tylko wielkie mechanizmy nie stłumią osobistej inicjatywy a konformizm nie zdusi śmiałości umysłów. Praca, udział w życiu publicznym i politycznym stwarzają pożądaną przeciwwagę wobec grożącego ludziom niebezpieczeństwa egocentrycznej samotności i subiektywistycznego bezkształtu. Ale i one mogą z kolei stać się narzędziami odczłowieczenia, jeśli usiłują wyprzeć z życia i poniżyć to wszystko, czym jest i co przynosi skupienie, czas milczenia, wytchnienie i obok nich wewnętrzny dramat, metafizyczny niepokój, praca nad duchowym ładem, sprzeciw sumienia i nieustanne dążenie do uczłowieczenia społecznego porządku i uwewnętrznienia prawdy.“ (Emmanuel Mounier)

Udział w życiu politycznym i publicznym może stać się narzędziem odczłowieczenia: oto fragment dialektyki współczesności, nie dostrzegany przez inżynierów dusz ludzkich lub dostrzegany z aplauzem.

8.XII.1951

Bez względu na oburzenie kapłanów dialektyki, Bergson ma rację — przynajmniej w stosunku do nas. Nasz rozum, nasza wiedza jest rzeczywiście wiedzą o świecie rzeczy użytecznych dla naszego działania. Co przekracza horyzont naszej partyjnej widoczności, nie jest po prostu dostrzegane. Czego nie znamy sami, poznajemy najczęściej za pomocą masek, które wkładają nasi przeciwnicy — i dlatego pewne wartości kultury wydają się nam tylko maskami, za którymi kryje się szatańska twarz wroga lub niewierzącego. Dlatego tak beznadziejnie wygląda nasza humanistyka, jeśli nie jest częścią historii społeczno-gospodarczej. Stajemy się krańcowo niezdolni do odczucia

wartości innych postaci życia niż te, które są użyteczne z naszego, aparatczykowskiego punktu widzenia. Jesteśmy wielką fabryką ksenofobii. Ratuje nas nieco tradycja, którą szanujemy zresztą tylko dlatego, że była szczeblem naszej doskonałości. Ratuje nas nieco walka o pokój, gdyż możemy wtedy pozwalać sobie na luksus uprzejmości w stosunku do ludzi inaczej myślących i jesteśmy skłonni odczuwać nawet spore zadowolenie z siebie, jako z Europejczyków, umiejących wzbudzać w sobie tak wykwintne uczucia. Ale ten margines akceptowanej inności wypływa również jedynie z naszego działania, jest marginesem znaczonym linią naszej propagandy. Poza nim rozciąga się pustka i kraj wrogości. Umieszczamy tam wszystko, co nie mieści się w świecie rzeczy pożytecznych w budowaniu naszej nadbudowy. I dlatego świadomością panującą naszego czasu jest świadomość politycznego kontrolera życia. Stąd nasz stosunek do żywiołowości, której częściowe uznanie byłoby rzucaniem cienia na wszechmoc kontrolerów.

16.XII.1951

O NIEZMIENNOŚCI TECHNIKI RZĄDZENIA — CZYLI NIE WSZYSTKO DA SIĘ WYTŁUMACZYĆ ZASADĄ „PANTA RHEI"

„Czy my tak łatwo pozwolimy, żeby byle kto i byle jakie nuty układał i niech tego dzieci słuchają, aby ich dusze nasiąkały poglądami nieraz wprost przeciwnymi tym, które, zdaniem naszym, mieć powinny, gdy dorosną?

— Nie pozwolimy. Ani mowy.

Więc zdaje się, że przede wszystkim wypadnie nam patrzeć na palce tym, którzy mity układają i jak ułożą jaki ładny mit, to go dopuścić... Potem nakłonimy niańki i matki, aby te aprobowane mity opowiadały dzieciom i formowały dusze ich mitami o wiele bardziej niż ciała rękami. A wiele z tych mitów, które dziś opowiadają, wyrzucić precz...

— Co ty w nich ganisz?

Kiedy ktoś obrazowo a nieładnie mówi o bogach i bohaterach... (A znasz czyny Kronosa i to, co mu syn zrobił). Nawet, gdyby to była prawda, to nie uważałbym, żeby to należało tak sobie opowiadać ludziom głupim i młodym, tylko najlepiej to przemilczeć, a gdyby już trzeba było o tym mówić, to tylko pod osłoną największej tajemnicy i niechby tego słuchało jak najmniej osób, po złożeniu ofiary nie z wieprza, ale z czegoś wielkiego i co by było trudno dostać, aby liczba słuchających była jak najmniejsza." (Z *Państwa* Platona)

3.III.1952

O PRZEKONANIACH PONADKLASOWYCH I PONADHISTORYCZNYCH

„Bracie, rzekł Tristan, dobrze to powiadają: serce człowieka więcej warte niż złoto całej krainy."

Jakiej klasie przypisać należy wpadnięcie na ślad tej „prawdy"? Tristan

jest niewątpliwie feudalnym diukiem. Więc przekonanie o wartości przyjaźni, przekładanie serca nad złoto jest tradycją feudalizmu? Serce — to wierność rycerza; wierność rycerska jako koronna cnota, zdobiąca człowieka — to nawet pasuje do nadbudowy ustroju. Czy to wszystko? Bynajmniej. Pogarda złota — nie jako ozdoby, a jako miary wartości człowieka, to przecież najserdeczniejsze uczucie Tristanów i Kaherdynów, to — później — narzędzie klasowej obrony przed mieszczaństwem, podnoszącym głowę. Więc obie strony tego porównania pasują najściślej do nadbudowy ustroju, są jej etycznym zwornikiem, krzyżem u kopuły. Czy to wszystko, co można o nim powiedzieć? Jeśli na treść tego zdania spojrzymy od strony roli Kościoła w umacnianiu feudalnej struktury, nadaje się ona wspaniale do godzenia chłopów i pospólstwa z ich psim i wyzyskiwanym losem. „Serce człowieka więcej warte dla Boga niż złoto całej krainy.“ Zdanie to w takim przebraniu można by znaleźć u tysięcy kaznodziejów, mnichów i biskupów wzdłuż i wszerz całej historii Kościoła. Czy to wszystko? Czyśmy już zrozumieli genezę i funkcję tej „prawdy”. czy już jesteśmy ponad nią, wolni od jej zatrutego uroku? Skreślmy Tristana. Wstawmy na jego miejsce stoika, który popadł w niewolę u Rzymian i wyzwolony został bez okupu przez swego pana-filozofa. Wstawmy na jego miejsce każdego z robotników, który poznał wartość przyjaźni w latach kryzysów i w latach walki. Jednym słowem, zmieniajmy sytuacje społeczne — w których słowa te mogłyby zostać wypowiedziane, zmieniajmy czasy i ludzi. Cóż się okaże? Że geneza tej „prawdy” nie wiąże się z genezą feudalnego rycerstwa, a jej funkcje nie wyczerpują się w niesieniu pociechy odrzuconym od ziemskiego stołu. Że sytuacją, która nadaje znaczenie tym słowom — jest sytuacja przyjaźni, i że tej sytuacji, powtarzającej się poprzez historię, zawdzięczają one swoją trwałość. Ludzki byt — to nie tylko byt klasowy, to nie tylko byt króla czy chłopa, rycerza czy niewolnika, właściciela czy robotnika. Wszyscy z nich są czasami ludźmi — o czym, również czasami, zapominają niektórzy marksiści — i uczestniczą w sytuacjach losu, w chwilach, właściwych każdemu ludzkiemu istnieniu. Owa wartość przechodnia pewnych przekonań i prawd etycznych, ich siła fatalna, zdolność do życia w ramach najróżniejszych ustrojów pochodzi właśnie stąd, że czerpią one swe znaczenie z sytuacji losu raczej niż z sytuacji klasy, że dojść może do nich każdy człowiek, wykraczający z „nadbudowy” swego kręgu, klasy, środowiska. Wykraczający gdzie — poza historię? — jakby powiedzieli gorliwcy! Wszystko jedno, jak to nazwiemy, możemy wymyślić nazwę mniej drażliwą. Marks w swej kawaleryjskiej szarży na „ludzką naturę” niemieckiego idealizmu oświadczył butnie, że wszelkie takie „ponadhistoryczne“ kategorie powstały w społeczeństwie klasowym, a w bezklasowym znikną. Nie podzielam futurystycznych nadziei i entuzjazmów, które zresztą od czasów Marksa utraciły wiele ze swej świeżości. „Przyjaźń jest cenniejsza od złota całej krainy“ — to uczucie i ta hierarchia wartości wydaje mi się rzeczą zgoła ponadustrojową i nie jestem w stanie się tym zmartwić. Społeczeństwo bezklasowe, kultura bezklasowa — jeśli już mamy mówić o różowej przyszłości — czerpać będzie swą siłę nie stąd, że kategorie takie zgniją wraz z kapitalizmem, tylko stąd,

że się wyzwolą od wszelkich zgniłych dwuznaczności, w jakie wikłała je od lat tysięcy klasowa kultura.

8.III.1952

ŚWIADOMOŚĆ KRYTYCZNA I ŚWIADOMOŚĆ DOGMATYCZNA CZYLI O TYM, O CZYM W POLSCE MÓWI SIĘ DOŚĆ RZADKO

„Świadomość krytyczna wie, że żyje w świecie pełnym zagadnień, problematycznym, nieskończonym, w którym twórcze i nigdy nie dokończone ludzkie działanie zostawia swój ślad. Świadomość dogmatyczna odgradza się od ryzyka i niepewności płynnej rzeczywistości i garnie się do świata, który systematycznie wyjałowiano z problemów, do świata, w którym zarozumiałe pewniki zastępują pytania; ów świat wyzwala człowieka z ciężaru wolności, która narzuca mu twarde zadanie nieustannego odnawiania nie tylko treści pojęć, które porządkują jego wiedzę o świecie, ale również samej ich formy, samych kategorii poznania. Jeśli te rozważania kierujemy ku marksizmowi, znajdziemy się przed szczególną antynomią, tkwiącą w rdzeniu kultury myślowej marksistowskiego ruchu: marksizm widzi swój punkt honoru w krytyce wszelkich mitologii, w dokonaniu przejścia od socjalizmu utopijnego do naukowego, od systemu metafizyki prawd wiecznych do historyzmu uznającego względność i problematyczność prawd danej epoki. Lecz jednocześnie, stając się rodzajem ludowej wiary, bliskiej dawnym wiarom głoszącym Apokalipsę i nadejście tysiąclecia, wzmacniając swą polityczną siłę przez wchłonięcie potężnych energii ludowej religijnej wiary, wchłania jednocześnie składniki niezmiernie niebezpieczne dla swobody rozwoju samego ruchu i badawczego ducha. Nie należy nadawać temu rozdźwiękowi zbyt dramatycznych rysów. W historii kultury było już ich wiele. Ale trzeba ów fakt uznać i opisać, trzeba, aby marksiści podjęli to zagadnienie z całą powagą i jasnością, gdyż inaczej zawładną nim przeciwnicy, przybierając pozę obrońców wolności i kultury i przekształcając problem w polityczny slogan.“ (Remo Cantoni: *Pierwiastki mitu i krytyki w kulturze marksistowskiej. „Esprit“*, maj 1948)

Cantoni stwierdza — słowem — napięcie między kulturą ludową a naukową, między kulturą a polityką wewnątrz ruchu. Wymagania, które polityka stawia sztuce, nie zawsze służą sprawie socjalistycznej kultury. Myślenie krytyczne nie zawsze odpowiada potrzebom mas zaangażowanych w walce i nie zawsze podoba się sztabom rewolucji, przywykłym do posłuchu. To jest fakt, którego istnienia nie warto zasłaniać oskarżeniem o chęć powrotu do wieży z kości słoniowej, o elitaryzm czy o trockizm. Bez wniosków, jakie zrodzić może podjęcie tych spraw, uznanie tych napięć, oddajemy kulturę w służbę polityki w sposób nieco administracyjny, naukę w służbę mitologii z beztroską prawdziwie partyjną. Budujemy świat doskonale posłuszny, świat bez zgrzytów, świat rządzony okólnikami Wszechwładnych Wydziałów, świat bez zarzutu z punktu widzenia skutecznego rządzenia, ale nie bez lęku z punktu widzenia jego ofiar i tych wszystkich, dla których wszechwładza aparatu oznacza zagrożenie socjalistycznej kultury.

10.III.1952

Z BUCKLA

„W *Newmans Developpement of Christian doctrine* znajduje się kilka uwag o umniejszaniu się siły weslejanizmu, co dr Newman zdaje się przypisywać temu, że wyznawcy jego stanęli na tym punkcie, na którym »porządek zastępuje miejsce zapału«; prawdopodobnie tak było...“ I prawdopodobnie u nas też tak będzie, jeśli już nie jest. Co również świadczy o tym, że na świecie działają prawa, o których nie śniło się naszym filozofom. Prawa te opierają się na dość zrozumiałym fakcie, że myśl uporządkowana, gotowa, skatalogowana, ułożona na półkach, oddana pod straż belfrom wszelkiej maści, obowiązkowa, znana aż do kresu nudy, nie pociągnie ludzi, których niegrzeczna i irracjonalna natura ciągnie w stronę krajów, niezupełnie zbadanych na tej urzędowej mapie świata. A ludzie ci, pełni zapału, muszą wykroczyć poza istniejący porządek. I za nimi, a nie za stróżami porządku, idzie ciekawość, nadzieja, oczekiwanie, tęsknota, sława, słowem cały korowód bogiń, wyrażających niespokojne strony tej niesfornej ludzkości. Próbujmy temu zaradzić, wprowadzając przywilej i urząd Naczelnego Odkrywcy i rezerwując go zawsze i niezmiennie dla władcy partyjnego kościoła. Ale to nie zmienia zasadniczej sytuacji, utrwala ją tylko, nadając urzędowe piętno nawet sławie, nadziei, tęsknocie — to znaczy pozbawiając je nieuchwytnej, trudnej do zaplanowania cechy, barwy uczuć — barwy zapału. W uniesieniu z powodu odkryć Stalina, stwierdzającego z genialną spostrzegawczością, że kapitalista mówi tym samym co proletariusz językiem i że dziecko rosyjskie rozumie dziś język Puszkina, było nieco za dużo porządku. I zdaje się, że to nie dodawało rzetelnej siły uniesieniom, jeśli to nie były uniesienia z tego prostego powodu, że zdrowy rozsądek nie zginął jeszcze na obiecanej ziemi.

10.III.1952

Z METALLMANA

„Poszukując jednak sensu dziejów jako całości, historiografia opuszcza teren nauki, a staje się w pełnym słowa znaczeniu jasnowidzeniem nie tylko przeszłości, ale i przyszłych losów ludzkości.”

W naszej naukowej epoce, jasnowidze nie zajmują honorowej loży, są nawet dość lekceważeni, ich profesja nie napotyka czci i szacunku pogrążonych w codzienności łyków. Dlatego zarzut jasnowidztwa przypomina zarzut o szalbierstwo, o fałszowanie kart, o uwodzenie nieletnich. Przystosowaliśmy się zupełnie do tych arcymieszczańskich i arcypozytywistycznych horyzontów i oświadczamy dumnie, że prowadzimy uczciwy handel, że można na nas liczyć, bo niczego poza nauką nie sprzedajemy, że fałszują inni. A któż zaręczy, że jasnowidzenie nie jest świetnością, a hańbą, prawdą, a nie szalbierstwem, źródłem dumy, a nie poniżenia? Oczywiście w znaczeniu nadania możliwego sensu temu, co potrafimy stworzyć,

a nie w znaczeniu zdarcia zasłony z twarzy Ducha Świata. Takie jasnowidzenie jest najtrwalszą opoką marksizmu i wydaje się, na przekór wielu marksistom o duszach buchalterów, że zdanie Metallmana nie jest zdaniem, które należałoby wypalić gorącym żelazem i rozwiać jego prochy na cztery strony świata.

11.III.1952

ROMAIN ROLLAND O LAICKIM KOŚCIELE, CZYLI O TYM, CO NAS CZEKA

„Na scenie pojawiła się nowa władza, która uzurpowała sobie prawo sprawowania absolutnego rządu nad duszami. Jej twórcy, wolnomyśliciele, zawarli pakt z rządem, który ujrzał w nich niezrównane kółeczko, niezwykle przydatne w maszynie politycznego despotyzmu. Dążyli nie tyle do zniesienia Kościoła, ile do zajęcia jego miejsca. Zbudowali już swój kościół, mieli swój katechizm i swoje obrzędy, swoje chrzty, pierwsze komunie, śluby, a również dzielnicowe, krajowe i nawet światowe koncylia. Cóż za niewysłowiona dufność biła z tysięcy nieboraków gromadzących się do kupy, aby sobie swobodnie pomyśleć. Ich wolność myślenia polegała głównie na tym, aby w imię Rozumu zabraniać wolności innym.“ *(Jan Krzysztof,* t. V, str. 203)

Wszystko jest oczywiście w najzupełniejszym porządku, gdyż Rolland uprawia destrukcyjną krytykę mieszczańskiej republiki wolnomyślicielskich koleżków, to znaczy jest naszym ideologicznym pobratymcą. Niepokoić nas może jedynie to, że mniej mu chodzi o mieszczańskość *Libres-Penseurs,* niż o ich dążność do absolutnej władzy nad duszami. Powiedzielibyśmy, że w jego krytyce widać wpływy formalizmu, że nie chodzi mu o treść idei, w imię których sięga się po władzę, a o formę jej wykonywania. Niechęć do wszelkiego absolutyzmu w dziedzinie ducha, to coś, naszym zdaniem, równie sentymentalnego, jak niechęć do wszelkiej dyktatury. Wszystko zależy od treści, formy nie da się oderwać itd. itd. Umiemy tak gadać godzinami i nigdy się nie nudzimy.

A przecież ironia Romain Rollanda nie da się odstraszyć tym gadaniem. „Niewysłowiona dufność tych tysięcy nieboraków, którzy odczuwają potrzebę powoływania się na Stalina, by uwierzyć w swe prawa do korzystania z tytułu twórczego marksisty. Niewysłowiona dufność tysięcy nieboraków, którzy diamatyczną teokrację uznają za świetlany pałac wyzwolonej ludzkości. Dążą oni w nierównie mniejszym stopniu do zniesienia Kościoła, co do zajęcia jego miejsca” — te zdania Rollanda trafiają w poważną część naszej duszpasterskiej polityki. Trafiają w nasz administracyjny system budowania i zabezpieczania jedynie naukowego światopoglądu. Trafiają w nasze przekonanie, że władza świecka jest bez władzy duchowej liberalnym nieporozumieniem. Trafiają w naszą praktykę ustanawiania nieomylnego autorytetu w sprawach wiary, bazy, nadbudowy i językoznawstwa. Trafiają w armię zbawienia naszych partyjnych dewotek, w strach przed herezją, w duchową policję — a my kwitujemy niespokojny śmiech tej ironii oświadczeniem, że zręby owego gmachu diamatycznej teokracji, wznoszone w warszawskim tempie, gotują ludziom najśmielszą z wymarzonych wolności.

Jeśli wolność jest zrozumieniem konieczności, to oczywiście przewyższymy niedługo wszystko, co ludzkość dotąd osiągnęła. Nareszcie można zrozumieć, dlaczego z takim uporem i z zadowoleniem powtarza się u nas tę Kantowską maksymę, nadając jej całkowicie odmienne znaczenie. Ta maksyma jest gwarancją posad diamatyków.

12.III.1952

Z LISTÓW PERSKICH

„Wiadomo ci, Mirzo, że niektórzy ministrowie Szacha Solimana w Persji zamierzyli zniewolić wszystkich Armeńczyków, aby opuścili królestwo lub przyjęli mahometanizm. Uczynili to w tym rozumieniu, iż państwo będzie zawsze skażone, póki zachowa w swym łonie niewiernych." (*Listy perskie*, str. 138)

Jeśli władza duchowa nie jest rozdzielona od świeckiej, jeśli rządzą namiestnicy Boga, którym zewnętrzne posłuszeństwo ciała wydaje się szyderstwem z ich władzy, jeśli wypełnianie rozkazów uważane jest za cześć składaną opatrzności, a wypełnianie ich bez zgody serca — za krzywoprzysięstwo, to wtedy „państwo będzie zawsze skażone, póki zachowa w swym łonie niewiernych". Dzieje się tak zarówno z Bogiem, jak z Ideą, jeśli ma być Ideą wyłączną, udzielającą namaszczenia władzy. Dążymy więc do czystości. Innowiercy, przeciwnicy lub obojętni wobec diamatu, są kąkolem na spółdzielczych łanach naszego ludowego państwa.

14.III.1952

OBIEKTYWIZM GRAMSCIEGO

„Inną nowością, wprowadzoną przez Wellsa, są dzieje ziemi przed pojawieniem się człowieka; zniekształcona też została historia Kościoła katolickiego i jego wpływu na rozwój kulturalny i wyczuwa się, że Wells jest anglikańskim antypapistą, a nie historykiem, pozbawionym uprzedzeń." (*Z Listów z więzienia*, str. 154—55). Wells pisał, słowem, z partyjością anglikańskiego antypapisty. Gramsci nie żąda od niego niczego innego, tylko wyzbycia się uprzedzeń, czyli próby nadzwyczaj mieszczańskiego obiektywizmu. Nie sądzi przy tym, aby ten obiektywizm prowadził do fałszowania historii. Wprost przeciwnie, sądzi, że wiedzie do przedstawienia jej tak, aby jej przebieg i związki narzucały się jako nieodparcie prawdziwe każdemu, kto wyzbędzie się uprzedzeń. Gdy się to czyta, dostrzega się w całej pełni rację jednego z katolickich publicystów, który, mówiąc o Związku Radzieckim, stwierdzał, że to, co najsilniej zaciążyło nad komunistyczną kulturą — to brak łączności z *universe of discourse*. Gramsci wychowywał się w tym świecie od dzieciństwa. Jego myśl przechodziła przez najsurowsze, bo przyjacielskie, konfrontacje. Jego stanowisko powstało istotnie, tak jak stanowisko wszystkich prawie wielkich komunistów: jako wyciągnięcie wniosków

z tradycji dotychczasowej kultury. I stąd inny nieco do tej kultury stosunek, inny stosunek do jej wartości, znanych, przeżytych — niż u entuzjastycznych zetempowców. Obiektywizm nauki nie budzi u niego uśmiechu lekceważenia. Oznacza wartość, która doprowadziła go do komunizmu. Oznacza narzędzie, które strzeże ludzi przed nową wieżą Babel, przed pomieszaniem języków, przed partykularyzmem najserdeczniejszych entuzjazmów, przekształcających się w biurokratyczną tresurę serca. Oznacza tradycję, która stała się już oddechem. Szkoda, że nie można wydać u nas pism Gramsciego. Nasza nadbudowa strzeże nas nawet przed tym, co najlepsze w tradycjach komunizmu.

14.III.1952

Na przeszłość patrzymy zwykle tak, jakby każda z kultur miała swój komitet centralny, który z równą naszemu doskonałością opanował popłatną sztukę wznoszenia użytecznej nadbudowy. Jest to oczywiście pewna przesada, ale to zdanie opisuje punkt graniczny, ku któremu dążą nasze interpretację walk ideowych w przeszłości — im większy miały zasięg oddziaływania, im ważniejszą odgrywały rolę w kształtowaniu publicznej opinii. Przykładów nie brak. I potem nasze twierdzenia wracają do nas jak powrotne echo, a my przypisujemy im mistyczne znaczenie, nazywając je głosem klasy, kłaniając się nisko i, odgrywając z powagą i z półświadomością komedię posłuszeństwa wobec samych siebie, głosimy posłuszeństwo instynktowi klasy. Marksowska wiedza o ideologiach dotarła już u nas pod strzechy, ale w postaci, którą nadali jej ludzie tak przywykli do manipulacji w dziedzinie kultury, że teraz już wszystko niemal, co było przed nimi, uważają również za manipulację. Nasza teoria, ulegająca zamówieniu społecznemu tej kadry działaczy, zdaje się zapominać, że kultura była niekiedy wyrazem przeżyć, a nie tylko interesów, doznań, a nie tylko poleceń, uczuć, a nie tylko kalkulacji. Oto jeden kierunek niebezinteresownych zniekształceń naszej teorii kultury. Drugi polega na tym, że każdą wartość napotykaną jak przeszkodę na drodze naszych politycznych celów nazywamy „też polityką" i oczyszczamy tym prostym zabiegiem niebo ze wszystkich norm moralnych, które mogłyby stanąć wyżej niż polityczna użyteczność. Względna prawda staje się tutaj absolutnym rozgrzeszeniem sumienia.

20.III.1952

DWA PUNKTY WIDZENIA I DWA TYPY ZWYCIĘSTW

Partie rewolucyjne ulegają szczególnej perspektywie widzenia swoich przeciwników — perspektywie agenturalnej, identycznej zresztą, co ich najzaciętsi wrogowie, którzy w najspokojniejszych ludziach dostrzegają agentów żydo-komuny. Perspektywa agenturalna polega na łączeniu wszelkich przeszkód na drodze naszego działania z bezpośrednią interwencją naj-

groźniejszego przeciwnika. Perspektywa ta znalazła swój wyraz w teorii uzasadniającej władzę partii nad wszystkimi dziedzinami życia, które w przeciwnym wypadku opanowałby wróg. Wszelka inność niekontrolowana staje się terenem zagrożenia naszych świętości. Jest w tym sporo historycznej prawdy i sporo histerycznej przesady, która już dawno przestała być bezinteresowna. Zwycięstwo tej perspektywy maksymalnego bezpieczeństwa (jeszcze jeden dowód, kto pełni dziś władzę) wpływa na ukształtowanie się polemicznych wzorów, przy których zastosowaniu zwycięstwo nie polega na wykazaniu swej rzeczowej słuszności, lecz na wykryciu cudzych związków z agenturą. Niknie najzupełniej, bez ratunku i nadziei, typ polemiki, wynikający z przekonania, że nasz partner pozostanie uczciwym człowiekiem nawet wtedy, jeśli nie zdołamy wytrzebić mu z głowy wszystkiego, co było w niej przed początkiem rozmowy. Niknie pogląd, że ludzie mogą być w sposób równie z naszym głęboki powiązani z wartościami, których zachowanie wcale nie zagraża szczęściu ludzkości, mimo że nas one bezpośrednio nie interesują. Nie rozmawiamy z najlepszymi — chyba że na kongresie pokoju — a wtedy nie jesteśmy z nimi w stanie walki. Jeśli jesteśmy — to staramy się ich skompromitować, nie zwyciężyć. Zapomnieliśmy już prawie o smaku braterstwa odczuwanego właśnie w czasie walki, zapomnieliśmy prawie o istnieniu innego zwycięstwa niż zwycięstwo przez kompromitację. Nasze zwycięstwa odnosi prawie zawsze sędzia śledczy, rzadko moralista. Zwycięża nie tyle wyższa racja, co lepszy urząd bezpieczeństwa. Okres przejściowy — jak pocieszali się starzy komuniści. Tylko że młodzi pomyśleli inaczej.

23.III.1952

O NIEMOŻLIWOŚCI STOSOWANIA METODY KARTEZJAŃSKIEJ W NAUCZANIU MARKSIZMU

„Nie przyjmować nigdy żadnej rzeczy za prawdziwą, póki nie poznam jej oczywiście jako takiej, to znaczy unikać starannie pośpiechu i uprzedzenia i nie pomieszczać w swoim sądzie nic, jak tylko to, co się przedstawi naszemu umysłowi tak jasne i wyraźne, iż nie będę miał żadnej możliwości podania tego w wątpliwość.“ (*Rozprawa o metodzie*)

Ta pierwsza z zasad metody kartezjańskiej, czyli po prostu reguła dobrej roboty, nie może niestety znaleźć dziś zastosowania w skali społecznie doniosłej. Możności podawania w wątpliwość unikamy nie drogą wskazaną przez autora traktatu o namiętnościach duszy, a drogą zgoła inną — przez podnoszenie owych namiętności przeciwko wątpiącym. W okresie przejściowym wszystko da się wybaczyć, ale my zatracamy powoli samą gwarancję odrodzenia — poczucie, że coś jest nie w porządku na tym niedługo najlepszym ze światów, poczucie przyzwoitości. Jedną ręką umieszczamy posągi Kartezjusza w Panteonie Postępu, drugą grozimy tym, co by mieli ochotę wypróbować jego pouczenia.

29.III.1952

O MICIE MORALNEJ ISTOTY ROZUMU

Nauka jest boginią, która podjęła się wyzwolić ludzkość. I dlatego rzekomo nie cierpimy wszelkiego ograniczenia jej uprawnień i pola działania. Każdego, który to czyni, pomawiamy o zamiary wrogie społecznemu dobru. Racjonalizm mieszczański krytykujemy tylko od strony jego utopijności i po dokonaniu w nim drobnej, dialektycznej poprawki przejmujemy cały bagaż jego pretensji i złudzeń. Zapominamy, że pokolenie współczesne nasyciło się aż do dna cierpliwości, do kresu nocy — widokiem racjonalizmu w służbie techniki zagłady, w służbie Hoessów i Himmlerów. I nie bardzo skłonne jest żywić podziw dla nauki, techniki i tym podobnych tworów w sposób równie rozanielony, co dziewiętnastowieczni burżuje i socjaliści, owe dzieci, co nie zaznały owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Przekonaliśmy się najdokładniej, my dojrzewający w Epoce Pieców, że nauka jest istotą etycznie neutralną, że nie jest wyposażona w żadną tajemną właściwość, która kierować ją będzie zawsze ku wartościom życia. I dlatego nie bardzo rozumiemy żarliwy upór, z jakim marksizm, broniąc czcigodnego mitu moralnej istoty rozumu, umieszcza słowo „wartość" zawsze pod słowem „nauka", słowo „miłość" zawsze pod słowem „poznanie". Marksizm, dzisiejszy marksizm w swym zaperzeniu nie dostrzega, że żadna wartość nie wypływa z żadnej nauki, i że każda nauka służyć może wszelkim wartościom. Prymat irracjonalizmu? Bynajmniej — zrozumienie oczywistości, którą nazwać można mniej niepokojącą. Uczuciowy stosunek do obrazu nauki wiodącej ludzkość ku „jutrom, które będą śpiewać" przeszkadza wielu ludziom dostrzec ów chłodny obiektywizm ich przewodniczki. Kapitalizm czy faszyzm zawinił rzekomo tym, że nie chciał i nie mógł wykorzystać jej zdobyczy. Cóż za złudzenie — chciał i mógł tylko w innym celu, w służbie innych wartości. Nauka nie uległa tam pogwałceniu — oddawała się z przyjemnością, znudzona swą cnotą, będąc równie świetna z wiankiem i bez wianka. Nie umiemy tego zrozumieć w sposób, który mógłby wpłynąć na naszą filozofię wartości. Pozostajemy wierni mitowi, który strzeże budowy diamatu.

4.IV.1952

W SPRAWIE SŁUŻEBNOŚCI IDEOLOGII

„Ogólnie biorąc, wpływ jego teorii i dzieła o umowie społecznej na umysłowość polską był olbrzymi. Ale książki Rousseau a zwłaszcza jego *Uwagi nad rządem polskim* dostarczały argumentów wszystkim dosłownie obozom politycznym. Z pomysłów Jana Jakuba korzystali zarówno konserwatyści, podchwytując jego argumenty antymonarchistyczne, jak zwolennicy reform." (Leśnodorski: *Wstęp do Kołłątaja).*

Jednym słowem, z poglądów intelektualnego autorytetu starają się korzystać wszyscy, każdy, kto potrafi, jeśli tylko sytuacja nie zaszła tak daleko, że jedni zdołali już w pełni przechwycić jego poglądy. Ci, którzy nie zdążyli,

nie mają wtedy nic lepszego do roboty, jak uprawiać politykę opisaną bardzo zgrabnie w znanej bajce Lafontaine'a. Niekiedy nazywa się to klasowym uwarunkowywaniem wrogich ideologii. Ileż to już razy owo uwarunkowywanie było odbiciem nie czego innego, lecz po prostu naszego intelektualnego spóźnienia. Z wieloma pomysłami, z wieloma poglądami nauki zaznajamiamy się często dopiero wtedy, gdy nasi przeciwnicy zdążyli już je wykorzystać w swoich arcywrogich celach i stąd wyprowadzamy wniosek o ich służebnej roli — usprawiedliwiając w ten sposób swoje lenistwo i zapóźnienie. Stwarzamy sobie w ten sposób uniwersalne alibi, tłumaczące naszą nieobecność przy warsztacie nauki. Przykłady? Stosunek przodującej nauki do wszystkich zdobyczy psychologii postaci, psychologii indywidualnej, do rozwoju socjologii wiedzy, do neopozytywizmu, do semantyki, do funkcjonalizmu. Cóż to właściwie oznacza? Nie jest to niczym innym, jak usprawiedliwieniem nieobecności przy rozwijaniu nauki przez powołanie się na klasową obcość tematyki i rozwiązań. W ten sposób horyzont wiedzy o świecie i o człowieku w socjalistycznych społeczeństwach wyznaczony zostaje zasięgiem wzroku i pojemnością umysłu zarozumiałych i zazdrosnych arrywistów nauki. To jest w każdym razie tendencja, znajdująca coraz mniej oporu.

6.IV.1952

ELUARD O SZTUCE — CZYLI O PRZEMIJALNOŚCI NASZEJ NADBUDOWY

„Niegdyś można było myśleć, że delektowanie, budzenie zachwytu jest jedynym celem sztuki, i jesteśmy pewni, że będzie to jej celem jutrzejszym. Dziś jednak nie jest ani możliwe, ani dopuszczalne oddawanie się innym wysiłkom twórczym poza tymi, które przynoszą natychmiastowy, bezpośredni pożytek." (Eluard: *Refleksje o malarstwie)*

Ni mniej, ni więcej, tylko oddanie przyszłości, oddanie marzeń hasłu wyklętemu u nas po wieki, hasłu „sztuka dla sztuki". Klasowa funkcja tego hasła nie wypływa więc według Eluarda z jego „istoty"; nie wyczerpuje prawdy twierdzenie, że ktokolwiek wypowiada się na rzecz tego hasła, to niezależnie od tego, kiedykolwiek by to mówił, służy celom reakcji. Eluard a z nim wielu francuskich komunistów nie straciło jeszcze siły marzenia, nie uległo dialektyce na tyle, aby czcić teraźniejszość jako jedynego prawodawcę nadziei. Malarstwo bezpośrednio użytkowe nie staje się dla nich ideałem, lecz, co najwyżej, obowiązkiem moralnym człowieka dziś walczącego. Realizm socjalistyczny, epos malarski tej drogi przez mękę, jest więc, jego zdaniem, ochroną związku artysty z ruchem, chroni go przed powrotem ku grze samotnej wyobraźni, przed odrealnieniem świata, przed hołdem geometrycznej abstrakcji; jest strofą pieśni śpiewanej dziś przez walczących ludzi. Jest tym i niczym więcej. To dużo, bardzo dużo, jeśli śpiew idzie z głębi serca. Ale nie wyraża on ostatecznej nadziei, nie sięga dna pragnienia, nie wyczerpuje wyobraźni. Kryje ona w sobie, jak dziecko przenoszone przez czas walki, zdolność zachwytu życiem, zdolność nierównie pojemniejszą niż płótna dzisiejszych realistów — i jej ma być za grobem zwycięstwo. Ona ma być kochanką ludzi jutro urodzonych. Tak sądzi Eluard, ale czy nie popełnia

niebezpiecznego odchylenia, dostrzegając przemijanie naszych najuroczystszych zawołań, odmawiając na przyszłość chleba naszym ministrom kultury?

I, jako dialog z Eluardem, słowa z przemówienia Żdanowa: „Czyż możemy więc pozwolić na to, aby Achmatowa, Zoszczenko i im podobni, lansując podstępnie reakcyjne hasło »sztuka dla sztuki«, zasłaniając się maską apolityczności, wprowadzali pomiędzy nas idee obce sowieckiemu narodowi?"

Cóż zrobić! Inżynierowie dusz ludzkich nie mogą sobie pozwolić na najmniejszą nawet pobłażliwość dla haseł, w których kryje się zalążek upadku ich wszechwładzy.

20.IV.1952

BENIAMIN CONSTANT „O DUCHU PODBOJU"

„Ludzie wojenni cenią sobie ponad wszystko szybkość działania zarówno w układach, jak i w prowadzeniu bojów. Jednomyślność przekonań wydaje im się równie konieczna, co jedność mundurów w wojsku. Opozycja jest dla nich bezładem, rozumowanie buntem, sądy wojennymi radami, sędziowie żołnierzami, którym wydano zlecenia, oskarżeni wrogami, rozprawy sądowe bitwami." „Ten obraz nie jest bynajmniej przesadą zrodzoną z bujnej wyobraźni" — dodaje Constant, przekonując swych czytelników, zbyt przejętych duchem liberalizmu, aby zdolni byli wyobrazić sobie rzeczywiste wcielenie przeciwstawnego, wojennego ducha. Dziś, dla nas, to zastrzeżenie nie jest bynajmniej potrzebne. „Sądy są dla nich wojennymi radami, sędziowie żołnierzami, którym wydano zlecenia, oskarżeni wrogami" — jakże dobrze to znamy, jakie to dla nas dalekie od przesady. Chimerą wyobraźni byłoby dla nas raczej coś innego, co by nie przypominało tak dobitnie rysów naszej ludowej rzekomo sprawiedliwości. Chimerą byłoby wcielenie wielkiego snu liberałów, owego marzenia sprawiedliwych, rojących ponad zamętem walk narodów i klas wizje sprawiedliwości oderwanej — tak, właśnie oderwanej — od wszelkich racji stanu, wszelkich interesów, wszelkich skutków obiektywnych. Ową utopię uważano w ubiegłym wieku, który nie wiadomo dlaczego do dziś dnia uchodzi za trzeźwy, za rzecz, która wkrótce odwiedzi ziemię. Jakżeśmy zmądrzeli przez ostatnie lata, zmądrzeli aż do zatraty marzeń. Utopię tę uznajemy ochotnie za mieszczańskie wyrachowanie, jako że był to wiek dyktatury łyków, którzy musieli na tym coś zarobić; i swobodni, radośnie wyzwoleni od ucisku zwodniczego anioła sprawiedliwości oderwanej, rozwijamy własną koncepcję sprawiedliwości wyzbytej chimer, rzetelnej, uczciwie klasowej. Nasza Temida odbywa swoje sądy na grobie wszelkich idealistycznych absolutów. I dlatego przypomina twarz ducha podboju, którą wielki liberał straszył dzieci XIX wieku.

7.V.1952

„Tego, co się nie zrodziło, brak będzie po wieczność. Jeśli nie powstanie książka, dzieło sztuki, filozofia, to po wieczność będzie ich brakować." (Péguy: *Situations)*

To poczucie może być progiem szaleństwa albo źródłem zbawienia. Sza-

leństwa, jeśli dopełni kielich goryczy, zbawienia, jeśli wzbudzi żarliwość wyrwania rzeczy, jakie mogliśmy stworzyć, z potępionego kręgu istot, których po wieczność zabrakło. Jeśli w naszym czasie, który przekonanie o zmienności rzeczy wyniósł do rzędu kanonu, może się przydać jakaś wiara w wieczność, to właśnie chyba ta — wiara w wieczne nieistnienie rzeczy, których z naszej winy świat nie oglądał.

8.V.1952

„Intelektualiści współcześni mają stokrotne prawo posiadać swą własną metafizykę. Spór toczy się bynajmniej nie o nią, a o to, czy uda się im w oparciu o użycie i nadużycie środków, którymi włada państwo, narzucić panowanie tej metafizyki nad wszystkimi innymi. Nie chodzi tu o ocenę tej metafizyki czy tej religii. To całkiem inna sprawa. Nawet gdyby cechowała ją doskonałość — a przecież metafizyki doskonałej nie ma i być nie może, gdyż na mocy definicji nie może istnieć metafizyka złożona z twierdzeń opartych o dowód ważny powszechnie i przyjęta tą drogą w życiu politycznym i społecznym; a więc nawet, powtarzam, gdyby — co jest czystą niemożliwością — metafizyka ta była tworem doskonałym, nawet wtedy państwo nie miałoby żadnego prawa wcielania jej, narzucania, przyswajania właściwymi sobie środkami. Nie miałoby prawa uczynić z niej podstawowej części swej budowy ani stać się jej wykonawcą czy świeckim ramieniem.“ (Péguy: *Situations)*

Walka o zeświecczenie państwa, toczona przez wiek XVIII — co jest jedną z największych jego zasług — będzie musiała być podjęta na nowo. Na nowo trzeba będzie pisać — tym razem przeciw świeckiej, nie duchownej teologii — traktat o tolerancji Locke'a. Na nowo trzeba będzie wskazywać państwu skromniejsze zadania niż troska o dusze, które dawniej zbawiać chciano przymusem sakramentów — dziś przymusem ideologicznego szkolenia. Na nowo rozłączać będzie trzeba *spirituel* od *temporel* i odbierać urzędnikom państwowym władzę wiązania i rozwiązywania na ziemi ludzi za ich metafizyczne przekonania. Na nowo rozłączyć trzeba będzie państwo od Kościoła i to nie na rzecz żadnej świeckiej teologii — tylko przeciw niej, w obronie rzeczy pospolitej, która stała się rzeczą sakralną. Niech państwo przestanie skrywać swe czoło w chmurach, niech nie zastępuje nam świata, który mówi do nas własnym, nie państwowym językiem, niech będzie rzeczą wspólną różnym metafizykom, różnym wiarom, niech będzie gospodarzem spraw ziemskich, nie rozdawcą prawdy i metafizycznego oglądu świata. Niech będzie rzeczą zwykłą, pospolitą — nie archaniołem. Amen.

11.V.1952

O NIECHĘCI DO SYSTEMU I ROLI DOBRYCH LUDZI

„Omawiano trzy aspekty zagadnienia: zdrowie, oświatę i stan kulturalny. Świadomie pominięto polityczną stronę sprawy. Usunięto w cień wszelkie różnice poglądów społecznych, filozoficz-

nych i religijnych. Nie analizowano głębiej głównej przyczyny ponurego stanu obecnego. Nie wymieniono prawdziwych sprawców zła ani z imienia, ani z funkcji społecznej." „Nie przyjechaliśmy tu po to, aby bronić kapitalizmu czy komunizmu — powiedział na komisji oświatowej członek delegacji radzieckiej, prof. Gonczarow — zjechaliśmy się tu, aby bronić dzieci." (*„Nowa Kultura"*, 11.V.1952)

W wypowiedzi Gonczarowa przejawia się pewien rodzaj niechęci do systemu, mniejsza o to — udany czy szczery. Obrona dzieci ważniejsza jest niż obrona komunizmu. W obronie dzieci skupić się mają wszyscy ludzie dobrej woli, dlatego usuwa się w cień wszelkie różnice poglądów. Jednym słowem, postawa ponadklasowego humanizmu przyjęta za podstawę międzynarodowego ruchu. To, czego teoretycznie nie ma — ponadklasowy stosunek do wartości, łączący ludzi w działaniu — służy w montażu imprez, do których przywiązujemy sporo wagi i znaczenia. Zjawa, mara, niebyt, złudzenie — jako narzędzie naszej polityki. Cóż to właściwie znaczy? Różne rzeczy. Dość istotne wydają się dwie twarze tego interesującego zjawiska.

Po pierwsze: polityka nasza uchodzić ma za służebnicę nie systemu, lecz zasadniczych wartości o uniwersalnym zakresie obowiązywania, wartości takich, jak zdrowie dziecka, dobrobyt, rozwój osobowości itd. System jest tylko technicznym dodatkiem do tego bukietu realizowanych snów. Za taki chce uchodzić, to jest jego legitymacją, jego honorem, jego prawem istnienia, jego jedyną racją bytu. Jego wartość wywodzi się z ponad nim bijących źródeł. Wartości o ogólnoludzkim znaczeniu. I to jest — fakt czy wiara — rdzeniem jego dodatniej samowiedzy, przyczyną jego wpływu na ludzi.

Po drugie: liryzm ogarniający naszych przedstawicieli na różnych kongresach jest dość kłopotliwy dla zbyt gorliwych interpretatorów doktryn o klasowym charakterze wszelkich wartości. Jeśli praktyka pouczać ma i wzbogacać teorię, to ta praktyka (to znaczy ni mniej ni więcej, tylko cały ruch w obronie pokoju, dość poważna część światowej polityki partii komunistycznych) wymaga poważnych uzupełnień naszego teoretycznego gmachu. Polaryzacja według twierdzeń kongresmanów przebiega nie po linii klas, a po linii wartości. Klasowość owych wartości pozostawiona zostaje w cieniu, oczywiście tylko na kongresach. Aby wybrnąć z trudności, trzeba by do nauki o klasach dodać naukę o wartościach i o sytuacjach, w których wartości te aktualizują się szczególnie jasno. Ale to wykraczałoby daleko poza istniejący zasób obiegowych twierdzeń marksizmu. I utrudniałoby wewnątrz kraju, a nie na kongresach — politykę czujności. „Dobry człowiek" dobry jest wtedy, gdy ze wstrętu do Trumana okazuje chęć współpracy z nami. U nas zaś sztuki o dobrym człowieku pisze się po to, aby ukazać szkodliwość jego dobroci. Dobroć jego pomaga wrogom, utrudnia budowę socjalizmu, przeszkadza szerzeniu się doskonałej nienawiści klasowej. Z powyższych uwag wynika nieodparcie wniosek: trzeba stworzyć pas zasiedlenia wokół demokracji ludowych, przeznaczony dla dobrych ludzi. Broniliby nas przed Ameryką, nie szkodziliby w domu.

21.V.1952

„Tak samo naród cały, we własnej tylko i nierozdzielnej uznającej się egzystencji, byłby jako obwarowana i ze wszech stron zamknięta monada, która samej siebie jeszcze nie pojmuje i nie rozumie. Żeby się dobrze pojąć, potrzeba znać drugich, a z nimi zostawać w ciągłych stosunkach. Wtenczas tylko, kiedy jedno stawi się przeciw drugiemu, i to, i tamto pojmuje siebie.“ (Mochnacki: *O literaturze polskiej,* str. 49)

My stawiamy się przeciw drugim, ale mimo to niezbyt dobrze pojmujemy siebie. Gdyż to postawienie nie łączy się z wierną znajomością drugich, lecz z rodzajem wyabstrahowanej nieco antytezy, którą oglądać można na planszach, wystawionych na placach naszych miast. Przypisujemy sobie bogactwo przymiotów, których zanik chcielibyśmy u tych drugich stwierdzić. U nas dzieci kąpią się w morzu, słońcu i kwiatach — u nich gnieżdżą się w slumsach, blade i sparszywiałe. U nas dla ducha buduje się pałace — u nich sadza się go na elektrycznym krześle. U nas w pełni rozwija się kwiat, który u nich był zawsze kopciuszkiem — wolność prasy i wolność zrzeszeń, zagwarantowane stalinowską konstytucją i społeczną własnością drukarń i publicznych przybytków. I tak dalej i dalej, poprzez dosyt i nędzę, rozpacz i entuzjazm, ucisk i braterstwo, śmierć i miłość. Ale pomimo tego „stawiania się przeciw drugim“ pozostajemy ze wszech stron zamkniętą monadą, która samej siebie jeszcze nie pojmuje. Zdanie, które Marks wypowiedział pod adresem pojedynczych ludzi, odnosi także do partii. „W walkach historycznych odróżnić należy frazesy i urojenia partii od ich rzeczywistej istoty, odróżnić wyobrażenie, jakie mają o sobie, od ich realnej treści.” Nasze wyobrażenie o sobie kształtuje się więc w sferze urojeń wedle przeciwstawnych obrazów, na których po jednej stronie występuje portret krwiożerczego staruszka z twarzą zżartą przez syfilis, po drugiej postać hożej dziewczyny, której ciało i duch zawarły wszelki urok świata. To przeciwstawienie nie może wywoływać niczego innego, tylko dumę i wstręt. Albo niewiarę. To jest cena, jaką płacimy za przyjemność oglądania tych sielankowo-makabrycznych obrazków.

23.V.1952

ASNYK I ENGELS — CZYLI O WSPÓLNYCH POSTAWACH I POGLĄDACH POZYTYWISTÓW MIESZCZAŃSKICH I MARKSISTÓW

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
I ten ich związek z dobrem świata ścisły
I cel ich wieczny w swoją wcielasz wolę,

Wtedy swobodne masz do czynu pole,
Odpadło jarzmo — więzy twoje prysły
I jako czynnik chętny, niezawisły
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Ten wiersz mógłby służyć za motto do rozdziału pt. *Wolność i konieczność* w *Antydühringu.* Asnyk nie pisał go na pewno na zamówienie Engelsa. Pisał go, wersyfikując poglądy swoich przyjaciół-pozytywistów. A przecież patos tych strof jest dla uszu ludzi współczesnych — niezwykle marksistowski. Lecz my po prostu zapominamy dziś, i do zapominania jesteśmy skłaniani, że w marksizmie tkwią ogromne złoża poglądów i sformułowań, które stanowiły wspólną własność epoki. I że z tego punktu widzenia bliżej jest od Marksa do Comte'a niż od Marksa do Stalina. Ta sprawa uwarunkowania zwalczających się nurtów myśli nie tylko różną sytuacją klas, ale wspólną sytuacją pokoleń, mających nad głowami to samo filozoficzne niebo, jest w marksizmie sprawą nie zauważaną, przemilczaną, odstawioną na wieczną niepamięć, na martwą bocznicę. Walka klas zawsze podobno rozszczepia jak cios pioruna drzewo ludzkiego poznania od liści aż do korzeni. Wielu z nas żarliwie garnie się do takiego ujęcia. Wykazanie klasowego uwarunkowania nauki i ideologii jest w tych warunkach dziecinną igraszką. O czym zapominamy? O tym, że w historii bywało często tak, że pod tym samym niebem filozofii toczyły się najzaciętsze boje. Romantyzm był w stosunku do Oświecenia i reakcją, i postępem. Prawo romantycznej idywidualności do swoistego istnienia, prawo do wyrażania swej osoby w sposób niepodległy konwencjom, zgodny z głosem serca — to prawo, naczelne hasło epoki, było zarówno wygrywane przeciw prawom człowieka, jak uznane za ich uzupełnienie, skutek, konsekwencje. Rousseau, odrzucając współczesność i głosząc kult pierwotności, nie tylko walczył z teorią postępu, ale gotował ziemię do przyjęcia *Świtezianki* i zbiorów Kolberga. Od cywilizacji uciekano nie tylko w kraj mitów średniowiecza, lecz również w kraj barwnej ludowości, czułej, szczerej i prostej jak życie Emila. A wszystkie te przejawy spotykają się jakoś ze sobą pod dachem romantyzmu. Z pozytywizmem byłoby podobnie — podobnie z początkiem wieku XX. Więc albo rozbić trzeba te pojęcia, wykazując, że są fikcjami przejętymi bezkrytycznie od mieszczańskich historyków kultury, albo postawić zagadnienie dynamiki rozwoju życia umysłowego nie tylko w schemacie: idealizm — materializm lub — racjonalizm — irracjonalizm, uważając zawsze każdego z partnerów za przedstawiciela dążeń innej klasy. Wdzięczne zagadnienie dla tych, którzy chcą się przyczynić do twórczego rozwoju marksizmu.

24.V.1952

„Największą radością jest walka o nowe życie" — tak lub podobnie powiedział Gorki, wyrażając przeżycie tych wszystkich, którzy w rewolucyjnej walce wydobywali się z ponurej ciasnoty „królestwa mroku" (*tiomnogo carstwa*). Poznawaliśmy prawdę tego zdania najjaśniejszą, smutku sięgającą radością, kwitnącą jak jaśmin na rdzy kolczastych drutów, wśród głodu, lęku, obozów i rozstrzeliwań. Pamiętamy do dziś smak tej prawdy i pamięć ta w najtrudniejszych chwilach bije gdzieś głęboko w nas, jak źródło zmartwychwstania. Ale na dzisiejszej walce są cienie, grożące radości. Nie trzeba zasnuwać nimi oczu, nie trzeba uparcie szukać miejsc, do których nie dociera

słońce, nie trzeba poddawać się psychikom ludzi, stratowanych twardym pochodem naszych dni. Punkt widzenia człowieka, który jedyne zbawienie swego honoru widzi w tym, aby nie dać się oszukać — jest drogą do chorobliwości zniekształcającej równie silnie, jak punkt widzenia politycznego kontrolera. Jest kontrpodejrzliwością, której grozi podobna do tamtej tępota, i — jak każda antyteza — prowadzi żywot zależny, nie własny. Każdy śmiech dzieci w pochodzie wydaje się wtedy śmiechem zamówionym. Każda wydana książka — ideologiczną kontrabandą. Każda inwestycja — politycznym chwytem. Każdy rzetelny wysiłek — pokazem dla publiczności. Pamiętajmy, że demaskowanie, uprawiane jako zawód, stające się głównym pokarmem, prowadzi w pobliże nieuświadomionego cynizmu, do niezdolności widzenia życia zamiast mechanizmu. Mechanizmów, nadzwyczaj przemyślnych, ciemnic zarzuconych kwiatami, więźniów oprowadzanych po ulicach z policzkami natartymi różem — jest u nas sporo. Ale jest również życie. Życie ostre dla wielu wartości, którymi chcielibyśmy je napoić, ale żarliwe wobec własnych; są one istotną częścią tego horyzontu barw ludzkiego istnienia, który pragnęlibyśmy dojrzeć w końcu jako niebo nad budowami krajów socjalizmu, jako prawdziwy poranek naszej ojczyzny. I nie można powiedzieć — wszystko albo nic. Nie można współżyć jedynie z marzeniem, nie płacąc za to oschłością wobec ludzi, wzniosłym przemijaniem, zamkniętym na wezwanie tego nurtu życia, który tętni jak wezbrany potok pod wszystkimi mechanizmami. Więc skazanie się na dwoistość? Tak, ale dwoistość, zespoloną przekonaniem, nadzieją, wiarą, że na dnie serca ludzi dziś dojrzewających jest warstwa, chroniąca w sobie możliwość odzewu na wszystkie barwy naszego horyzontu.

25.V.1952

O DIALEKTYCE MATERIALIZMU

„W dalszym swym rozwoju materializm staje się jednostronny. Zmysłowość traci swój aromat i staje się abstrakcyjną zmysłowością geometry. Ruch fizyczny zostaje złożony w ofierze ruchowi mechanicznemu lub matematycznemu, geometria zostaje ogłoszona główną nauką. Materializm staje się wrogi człowiekowi. Po to, by móc przezwyciężyć wrogiego człowiekowi, bezcielesnego ducha w jego własnej dziedzinie, musi materiazlim sam uśmiercić swe ciało i stać się ascetą.“ (Marks o angielskim materializmie. *Pisma wybrane,* Tom I, str. 406—7)

Były więc już w historii okresy, w których materializm stawał się wrogi człowiekowi; gdy swoją abstrakcyjną geometrycznością oddalał się od zmysłowości; gdy uśmiercał ciało i stawał się ascetą, kierowany wymogami walki ze swym przeciwnikiem. Na logikę walki można więc czasami spojrzeć z nieco ponadhistorycznego stanowiska i z tego stanowiska oceniać szkodliwość zarówno wrogów, jak i zażartych przyjaciół. Mam wrażenie, że nasz materializm, budujący system równie świetny, jak pałac kultury, zakuty w zbroję nieustępliwej walki z idealizmem, staje się powoli, niestety, równie wrogi człowiekowi, jak tamten; że z jego krainy ulatuje aromat ludzkiego życia, innego niż junacki obóz, wzorowa szkoła, posiedzenia akademii, ban-

kiet przodowników pracy, wojskowe manewry. Jesteśmy pokoleniem, które wychowało się w drużynach, hufcach, okupacyjnych zespołach, organizacjach młodzieży, z karabinem w plecaku, więc nie podejrzewajcie nas o indywidualizm. Ale aromat ludzkiego życia nie da się wyczerpać repertuarem tych wszystkich instytucji. A myśmy stali się ascetami geometrii zorganizowanego życia.

27.V.1952

O PAŃSTWIE PROLETARIATU — CZYLI ZŁUDZENIE ENGELSA

1. „Społeczeństwo wytworzyło sobie własne organy celem ochrony swych wspólnych, własnych interesów, początkowo w drodze prostego podziału pracy. Ale te organy i główny pośród nich — władza państwowa, przeistoczyły się z czasem, służąc swym własnym, odrębnym interesom, ze sług społeczeństwa w jego panów. Daje się to zauważyć nie tylko w dziedzicznej monarchii, lecz również i w demokratycznej republice...

2. Przeciwko temu, nieuknionemu we wszystkich dotychczasowych państwach, przeistoczeniu się państwa i jego organów ze sług społeczeństwa w jego panów Komuna zastosowała dość niezawodne środki. Po pierwsze: wszelkie stanowiska w administracji, sądownictwie, szkolnictwie obsadziła w drodze wyborów, opartych na powszechnym prawie wyborczym wszystkich zainteresowanych i to z tym zastrzeżeniem, że wybory mogą w każdej chwili odwołać osoby wybrane. Po drugie: Komuna ustanowiła za wszystkie funkcje, wyższe czy niższe, pewną pensję równą płacy roboczej. Najwyższa w ogóle pensja wypłacana przez Komunę wynosiła 6.000 fr. Już to samo stanowiło zaporę dla karierowiczostwa, polowania na posady, nawet bez — wprowadzonych jako środek dodatkowy — imperatywnych mandatów, jakie otrzymywali delegaci do ciał przedstawicielskich.

W najlepszym razie państwo jest złem, które odziedziczy zwycięski — w walce o panowanie klasowe — proletariat i którego najgorsze strony będzie musiał natychmiast, podobnie jak Komuna, możliwie radykalnie odciąć, aż pokolenie, wyrosłe w nowych, wolnych stosunkach społecznych, będzie mogło odrzucić precz wszelkie rupiecie państwowości.

W ostatnich czasach socjaldemokratyczny filister znowu wpada w trwogę, gdy słyszy — dyktatura proletariatu. Cóż, panowie, chcecie wiedzieć, jak wygląda ta dyktatura? Przyjrzyjcie się Komunie Paryskiej. Była to dyktatura proletariatu.“ (Przedmowa Engelsa do *Wojny domowej*. „Książka”, 1948, str. 18—20)

Bravissimo, stary marzycielu!

Ta wzruszająca zabawa drobnomieszczańskich cnotliwców, co nawet reakcyjnego mięsa nigdy nie jedli nożem, to święto na wulkanie, obchodzone przez niedobitki utopijnych socjalistów, proudhonistów, blankistów i wszelką niemarksistowską hałastrę — to ma być wzór dyktatury proletariatu! Jak widać, ojcowie naszego kościoła ulegali niekiedy silnym wzruszeniom, które sprawiały, że patrzyli na rzeczywistość przez załzawione oczy, rojąc, że dostrzegają już pączki upragnionego ustroju. „W najlepszym razie państwo jest złem” — to czasami nawet bliskie sercu, ale cóż to

znaczy z punktu widzenia techniki zwycięskiej walki proletariatu w okresie budowania podstaw socjalizmu? Nasze ludowe państwo, nasz ludowy aparat bezpieczeństwa — jest w najlepszym wypadku odziedziczonym złem? Tak mogli myśleć tylko synowie wieku, mierzącego czas i instytucje wielką miarą teorii ewolucji, która nawet najnamiętniejszym udzielała nieco olimpijskiego spokoju i spojrzenia bogów. Trwanie przy tym spojrzeniu wydaje się dzisiaj nieco nieludzkie, obiektywistyczne, oddane kontemplacji, nie szturmowaniu historii. Czcimy swoje narzędzia, jak Normanowie czcili swoje miecze, i obca naszemu bojowemu sercu jest ochota, aby za dotknięciem dialektycznej różdżki miały się one przemienić w swe przeciwieństwo.

29.V.1952

O MORALNOŚCI POLITYKI

„Polityka nie jest współżyciem ze snami. Nie można wybierać marzenia, Wybierasz nas albo ich, tę lub tamtą z sił działających. Reszta — to złudzenie" — to nie są słowa z *Państwa i Rewolucji* — lecz słowa jednego z bohaterów *Nadziei* Malraux w rozmowie z hiszpańskim anarchistą. Słowa te są komentarzem do współczesności, streszczają problem i doświadczenie wielu tysięcy ludzi europejskiej lewicy, wielu pisarzy, ludzi nauki, działaczy z okresu rozciągającego się między Październikową Rewolucją a Trzecią Wojną Światową. Zawierają wyraz ich rozstrzygnięć, rdzeń ich motywów, są świadectwem ich nadziei lub rezygnacji. Poddajmy analizie racje tych rozstrzygnięć i spróbujmy zrozumieć postawę tych, którym to cięcie w poprzek siebie, to pozostanie w wymiarze konkretnej polityki, to pożegnanie z aniołem — wydaje się zagładą ducha. „Ona — polityka — zacytujmy tu słowa Merleau-Ponty, próbującego zrozumieć racje moskiewskich procesów — nie zajmuje się dociekaniem, jakie — szlachetne czy podłe — intencje kierowały oskarżonym; obchodzi ją natomiast ustalenie faktu, czy jego postępowanie, gdyby stało się pobudką działania mas, szkodziłoby czy pomagało sprawie rewolucji. Wystąpienie przeciw Stalinowi — pisała „*Commune*", — oznaczałoby wystąpienie przeciw kolektywizacji, przeciwko pięcioletnim planom, przeciwko socjalizmowi." (*Humanisme et Terreur*, str. 30).

Nobles ou ignobles — szlachetni czy podli — wszystko jedno, nie to jest rozstrzygające z politycznego punktu widzenia, z punktu widzenia strategii masowych działań i masowych zwycięstw.

„Książę, który działa podług konieczności, nie podług zachcianek swego ducha, popada w czynienie rzeczy, które budzą w nim wstręt i nienawiść" — pisał Boccalini jeszcze w siedemnastym wieku, widząc jasno nieuchronność składania ofiar demonom czystej polityki. Ideolodzy nasi głoszą, że konieczność ta władała tylko w epokach poprzednich formacji, zrodzona z klasowej walki możnych z plebejuszami i możnych z możnymi. Oni są czyści, nietknięci, niepokonani, rządzący w zgodzie z koniecznościami, które mocą nowej epoki, najzgodniejsze są z najczystszymi zachciankami ducha braterstwa, rozumu i cnoty. Nie czynią niczego, co budzi w nich nienawiść i wstręt. Czynią wszystko z ochotą. I to jest właśnie najgorsze.

3.VI.1952

O CNOTACH KOMUNISTY

„Komunista jest spadkobiercą, jest przedstawicielem wszelkiej ludzkiej wielkości, wszelkiego ducha poświęcenia, całego francuskiego bohaterstwa. Chrześcijanin, mam na myśli chrześcijanina, który żyje i umiera zgodnie z zasadami głoszonymi przez chrześcijaństwo, czyni tak wierząc, że po śmierci ujrzy inny świat... Co, przyznam się, nie umniejsza go w moich oczach, bo obchodzi mnie jedynie czystość, piękno i bezinteresowność na tym naszym świecie." (Aragon: *Człowiek komunista)*

Czystość, piękno i bezinteresowność — czyje to są wartości, kogo i to wyłącznie obchodzą na tym świecie? Bendę — księcia klerków? Tołstoja — patriarchę niesprzeciwiających się złu, szukających zbawienia bez walki, zwycięstwa bez krwi? Artystów opętanych występną miłością do wielkiej kurtyzany, nagiej sztuki? Nie. To są wartości komunisty, pisarza pięknej i słodkiej, *belle et douce* Francji, Aragona. Czyż my nie wytracamy w sobie z żarliwości czy lęku wobec kanonów naszej nadbudowy tego nurtu życia, który mieści w sobie, jak odbicie gwiazd, zdolność pojęcia tej logiki serca, pochylonej z jedynym zachwyceniem duszy nad sprawą czystości, piękna i bezinteresowności jako bogiń komunisty. A przecież logika ta jest jedną z postaci wielkości człowieka, którą dzedziczyć mamy bez uszczerbku, ocalić z pożarów świata, przekazać jak drogę ku źródłom tym, co nadchodzą. W słowach Aragona, w jego „na tym naszym świecie", czuć tętno przeżyć, które stają się dziś dalekie i niepotrzebne, jak to wszystko, co określamy zwykle słowem pobłażliwym i zabójczym: obciążenie. Jeśli można wierzyć w dialektykę, to chyba jedynie dlatego, że pozwala ona przechować nadzieję, że to, co stało się obciążeniem, stanie się kiedyś znowu źródłem życia nawet dla tych, którzy pozbyli się wszelkich obciążeń w czasach walki, w czasach skrzepnięcia tkliwości.

12.VI.1952

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE SYSTEMATYCZNEGO OPTYMIZMU

„Usystematyzowany optymizm nie może przesądzać o niespodziankach dziejowych. Głoszone przez Kartezjusza panowanie i władanie przyrodą pozwalało spodziewać się bezmiaru bogactw. To, co przyszło, było w istocie bezmiarem bogactw, lecz podstępnie, progresywnie i sprzecznie rozdzielonych w bezmiernym świecie zysku. I to właśnie było niespodzianką historii. Wszystko dokonało się poprzez serię posunięć, z których każde miało niewzruszalne usprawiedliwienie logiczne.

Zapowiadane przez Marksa uświadomienie i opanowanie procesów społecznych pozwalają oczekiwać bezmiaru wolności. Czy nie zajdzie tu niespodzianka dziejowa i ten bezmiar wolności nie zostanie również podstępnie, progresywnie i sprzecznie zamieniony na bezmiar przymusu i ucisku? I to również w serii posunięć, z których każde w każdej sekundzie miałoby istotnie niewątpliwe upsra-

wiedliwienie logiczne? Nowe środki, coraz liczniej dostarczane przez naukę, powiększają zarówno możliwości tego, czego społeczeństwa spodziewają się po nich, jak i ryzyko tego, czego od nich nie oczekują. To, co nieoczekiwane, musi być brane w rachubę."' (H. C. Desroches: *Znaczenie marksizmu,* str. 195)

Wydaje się, że jesteśmy organicznie niezdolni do brania w rachubę tego co nieoczekiwane. Uważamy, żeśmy dialektykę oswoili na tyle, że już nigdy nie urośnie nam ponad głowy, że nie popadniemy nigdy w przerażenie na widok kąkolu, wschodzącego wraz z sianym przez nas żytem. Uważamy, że wchłaniamy wszelkie sprzeczności, tak że żadna z nich nie powstanie kiedyś przeciwko nam. Tym optymizmem karmimy duszę pokolenia, rzucając ją bez ratunku na falę doświadczeń czasu. Wszelkie ostrzeżenie uznajemy za przejaw słabości, podszept wroga, podstęp nieprzyjaciół. Całą swą wiarę, całą siłę, całą samowiedzę wiążemy z tą kruchą, moim zdaniem, perspektywą. Dlatego nie dostrzegamy spraw, nabiegających cieniem. I powtarza się dość uporczywe zjawisko historii, że ci, którzy coś czynią, nie dostrzegają w pełni skutków swego działania, że dostrzec je musi w końcu ktoś przeciwko nim. Przykładów nie brak, nie dostrzegamy całkowicie i systematycznie tego, co można by nazwać alienacją polityczną — wyrośnięcia państwa wysoko ponad głowy mas. Kąpiemy się — w każdym razie w książkach i prasie — w złudzeniach bezpośredniej niemal demokracji, przedrukowujemy artykuły Marksa i Lenina o Komunie, jakby i u nas urzędnicy byli obieralni, a najwyższa pensja nie przekraczała płacy robotnika. Nie przeprowadzamy krytyki tych złudzeń, żeby nie odsłonić zbytnio swoistości naszego aparatu władzy, który nawet tezę o „równości żołądków" uznał już za tezę wrogą. Piszemy, że partia nie stwarza przywilejów, tylko obowiązki — i nie przeprowadzamy analizy działań biur personalnych, z którymi styka się każdy bezpartyjny, dokonując tej analizy za nas.

Nie chcemy słuchać głosów tych, którzy stojąc poza nurtem widzą lepiej pianę, widzą przenikliwiej zaczyn tego, co nieprzewidziane. Odcinamy się od światowego dialogu, od uwag obcych i przyjaciół piętnem wrogości, jakim naznaczamy każde zdanie, któremu nie poszczęściło się nam spodobać. Uważamy — na przekór lekcjom historii — że wystarczy nam własnych oczu do ogarnięcia całości tego, co czynimy. I dlatego zamiast wchłaniać, odtrącamy wszelką krytykę nieakceptowaną, krytykę od nas niezależną, która musi narastać obok nas, przeciw nam, gdyż coraz trudniej będzie wyzbyć się złudzenia. Tkwimy po uszy w owym heglowskim rozumku, który, nie oglądając siebie z zewnątrz, puszy się i wyolbrzymia i popada w końcu w szaleństwo wiary w swą jedyność.

13.VI.1952

O KONFRONTACJI PERSPEKTYW I O DUCHU CZASU PRZEMAWIAJĄCYM RÓŻNYMI JĘZYKAMI

Duch naszych czasów gada językiem bliskim *Manifestu Komunistycznego,* nie troszcząc się o to, że Stalin każe mu nadal tkwić w schellingowskiej

metafizyce i rozpatrywać rzeczy w bezruchu i oderwaniu. „Konflikty ekonomiczne wchodzą w obręb najistotniejszych spraw losu ludzkiego" — twierdzi „*Tygodnik Powszechny*" ustami Z. Kubiaka. Marksizm, jak duch święty, unosi się dzisiaj nad różnymi wodami. Zdajemy się tego nie zauważać, nie przeprowadzając z zasady żadnej konfrontacji perspektyw. Stajemy się zarozumiali i zaniedbani, jak wszyscy, co uwierzyli w swój monopol. Nie wiadomo, od czego nazywamy się dialektykami, kiedy zatraciliśmy najzupełniej piękną sztukę dialogu. Nieustannie powtarzamy swoje: „byt określa myślenie", nie spostrzegając, że rdzeń tej prawdy przeniknął już wszelkie przodujące nurty. I jeśli warto prowadzić dzisiaj dialog, to nie z outsiderami — co jest naszym ulubionym zwyczajem — a z tymi, co ów rdzeń uznają, i łączą to uznanie z różną od naszej wiedzą o kulturze. Tylko wtedy możliwy jest rozwój marksizmu, będący czym innym niż szeregiem obchodów ku czci patriarchy Józefa.

16.VI.1952

O MARKSOWSKIM HUMANIZMIE

„Zamiast owej wielkiej, przerażającej »podróży do kresu nocy«, w którą wyrusza na Zachodzie tak wielu ludzi przejętych wstrętem czy sarkazmem, zamiast ucieczek w świat religijnych wzruszeń — marksizm stawia ludzi przed przyszłością, która ma być ich dziełem. Ale nie jest to przyszłość zamknięta, lecz jedynie etap, jedynie faza na drodze do rzeczywistej emancypacji, rzeczywistego odrodzenia ludzi. Marksizm podejmuje i przedłuża dziedzictwo wielkich wątków humanistycznej myśli, wiążących się od czasu Renesansu z ideą postępu. Ale dorzuca coś niezmiernie istotnego dzięki swej dialektycznej koncepcji historii — dorzuca zaufanie do tkwiących w człowieku możliwości przekraczania swych dotychczasowych granic. Mówiono nieraz o marksizmie jako o »wierze«. Słowo to, wypowiedziane pod adresem doktryny opartej o rozum, o szczegółowe analizy i przekroje gospodarcze i społeczne, jest na pewno niesłuszne. Chyba że chodzi o wiarę w człowieka." (Georges Friedmann: *La crise du progrès*)

Ci, którzy do marksizmu d o c h o d z ą, ci którzy żyją w kręgu porównywalnych poglądów i wiar, mają, choćby doszli już dawno, wspomnienie swojej zewnętrzności, swego dystansu, wspomnienie konfrontacji, oglądu, wyboru. Marksizm występuje w ich oczach, w całej potędze swej złożoności, którą starali się przejrzeć do krańców, do opadnięcia podniet niepokoju. W ich przedstawieniach marksizmu znać oddech świata dyskusji, w którym wyrośli, przez który zbliżali się do linii frontu. Tylko oni znają pełnię światła i głębokość cienia. Tylko oni mówią o swych przekonaniach językiem komunikatywnym, językiem, w którym czuć dojrzałość, a nie zachwycenie. Tylko to pierwsze jest racjonalnie osiągalne, drugie jest darem łaski, zesłaniem ducha. I dlatego r o z m a w i a ć można tylko z nimi. I dlatego tylko oni przenoszą przez nasz czas, czas pomieszania języków, posłannictwo u n i w e r s a l n o ś c i marksizmu, tylko oni bronią go, a raczej mogą bronić przed przekształceniem się w koran, rodzący bądź zachwyt, bądź przerażenie — nigdy sąd swobodnego człowieka.

22.VI.1952

O PRAWACH CYWILNYCH PRZECIWNYCH PRAWU NATURY CZYLI ROZDZIAŁ IV KSIĘGI 26 TOMU II „DUCHA PRAW"

„Gondebaud, król Burgundii, nakazał, jeśli żona albo syn tego, który ukradł, nie wyjawią zbrodni, aby ich oddano w niewolę. Prawo to było przeciw naturze. W jaki sposób żona mogła być oskarżycielką męża? W jaki sposób syn mógł być oskarżycielem ojca? Aby pomścić zbrodniczy czyn, nakazywano inny, bardziej jeszcze zbrodniczy."

My nie nakazujemy niczego podobnego prawem. Wystarcza nam nakaz partyjnego sumienia. I nie zgadzamy się zupełnie z komentarzem Montesquieu. Duch naszych praw jest inny. Kruszymy solidarności węższe, jeśli te przeciwstawiają się racjonalności centralnego nadzoru. I uważamy, że podobieństwo z Gondebaudem jest pozorne — gdyż jego prawo służyło obronie własności możnych, a nasze sumienia strzegą dobra uspołecznionego, dobra partii i dobra klasy. Widzimy w Monteskiuszu liberała wzbraniającego państwu wkraczania w świątynię mieszczańskości — w sferę prywatnego życia. Odrzucamy sakralność tej sfery. Naturę podporządkowujemy partii.

10.VII.1952

FRIEDMANN O KRYTYCE RACJONALIZMU

„Prąd, który można, biorąc pod uwagę jego główne cechy, nazwać irracjonalizmem, zdobył sobie w latach kryzysu powodzenie, nie będące dziełem przypadku. Nie chcę przez to powiedzieć, że pewien typ racjonalizmu, hołdujący wyłącznie cnotom intelektu, zdradzający lekceważenie dla wartości uczuć, mechanistyczny w swych metodach badań, panujący w opinii za dawnych lat III Republiki — nie zasłużył na rzetelną krytykę. Zręczność Bergsona polegała na tym właśnie, że pierwszy to zrozumiał. Ale nie mniej znaczący jest fakt, że ta krytyka, zamiast zmierzać ku szerszemu, bardziej giętkiemu typowi racjonalizmu, wpadła po uszy w irracjonalizm, zaprzeczyła wartości nauce i wskrzesiła przeróżne postacie mistycyzmu." (Georges Friedmann: *La crise du progrès)*

Myśmy do dziś nie chcieli tego zrozumieć. Płacimy uciążliwy haracz mieszczańskiemu racjonalizmowi, podejmując jego długi, biorąc na swoją głowę wszelkie zaczepki, jakie spotkały go z najróżniejszych stron, znudzonych tym wielkim zadufkiem. Zamiast rozwijać lotniejszy i szerszy typ racjonalizmu, delektujemy się tylko inną nazwą i oddajemy się w pełni podobnej ciasnocie i bigoterii wobec wszystkich wielkich problemów wysuniętych przez krytykę. Korzystamy z tego, że była to przeważnie krytyka z prawej strony, a to pochodzenie jest przecież dla nas rozgrzeszeniem całkowitego nieróbstwa. Uwznioślilismy się rewolucją do tego stopnia, że nie raczymy odpowiadać na najprostsze pytania.

12.VII.1952

BUCKLE O LUDWIKU XIV I O PRZYCZYNACH UPADKU HISTORII

„We wszystkich wielkich kwestiach religijnych i politycznych tłumiony był duch badawczy i nikomu nie wolno było odezwać się ze zdaniem, nieprzyjaznym istniejącemu stanowi rzeczy. Król, uposażając piśmiennictwo, czuł się tym samym w prawie mieć je na swe usługi. Pisarze, karmieni jego dłonią, nie mogli podnosić głosu przeciw jego polityce. Niebezpieczne zaiste były to czasy dla mężów niezawisłego ducha: czasy, w których żaden autor, piszący o rzeczach religii lub polityki, nie mógł być pewny własnego bezpieczeństwa, jeżeli nie hołdował modzie i nie bronił zdań dworu i Kościoła. Król, uczuwający nienasycone pragnienie tego, co mienił sławą, usiłował poniżyć współczesnych dziejopisarzy na prostych kronikarzy jego własnych czynów. Rozkazał Rasynowi i Boalemu opisać swoje panowanie, wyznaczył im pensję i przyrzekł dostarczyć potrzebnych materiałów. Ale nawet Rasyn i Boileau, lubo poeci, wiedzieli, że nie zdołają zadowolić jego próżności, przyjęli zatem pensję, lecz nie napisali dzieła, za które płaca ta była im wyznaczona. W roku 1681 dał się nakłonić abbé Prim, Włoch mieszkający w Paryżu, do napisania dziejów Ludwika XIV. Poczyniono przygotowania, ażeby dzieło napisane po włosku, było natychmiast przełożone na język francuski. Gdy ukazało się dzieło, znaleziono w nim rzeczy, o których sądzono, iż lepiej zamilczeć. Ludwik XIV rozkazał zatem zabrać autorowi wszystkie papiery i rękopisy, a jego samego wrzucić do Bastylii...

W roku 1683 odwiedził Francję Burnet, gdzie dano mu do zrozumienia, że otrzymałby pensję, a nawet mógłby dostąpić zaszczytu mówienia z samym Ludwikiem XIV, jeśliby zechciał podjąć się napisania historii spraw królewskich, takiej historii, dodawano przezornie, która by broniła strony króla francuskiego. Śród takich okoliczności nie dziw, że historia, pod względem głównych, stanowiących jej istotę wymagań, raptownie upadła pod panowaniem Ludwika XIV." (Buckle: *Rozwój cywilizacji,* Tom II, str. 234).

6.IX.1952

O DYSKUSJI NIEUSTAJĄCEJ — JAKO DIFFERENTIAM SPECIFICAM NASZEGO USTROJU

(Z OKAZJI OGÓLNOPOLSKIEJ KONFERENCJI FRONTU NARODOWEGO)

„Dyskusja" — to słowo ma u nas najzupełniej szczególne znaczenie. Można analizować ustroje przy pomocy analizy narzędzi. Młyn wodny to — jak wiadomo — feudalizm, a parowy — to kapitalizm — jak się wyraził młody Marks, skłonny, jak każdy młody, do intelektualnych szarż. Ale można robić to również w oparciu nie o ekonomię — a o semantykę. Zdawałoby się, że to metoda najczyściej idealistyczna. Postaram się dowieść, że nic podobnego, że analiza sposobu używania słowa „dyskusja" odkryje nam całkiem realne stosunki między ludźmi i organizacjami naszego przejściowego ustroju. Parafrazując Marksa, można by powiedzieć, że „dyskusja" w dotychczasowym znaczeniu, to kapitalizm, a w obecnym, to socjalizm. Spójrzmy więc, jak nasze dyskusje ujawniają specyfikę socjalizmu.

Po pierwsze: obrządek, który zwiemy dyskusją, ujawnia serdeczną jedność przekonań między wszystkimi, którzy biorą w nim udział. W społeczeństwie kapitalistycznym, rozrywanym sprzecznościami klasowymi, w dyskusji brało udział kilka stron, kilka stanowisk. U nas jest to najzupełniej zbędne, gdyż ludzie dzielą się na dwie kategorie — tych, którzy chcą socjalizmu, i tych, którzy go nie chcą. Pierwsi są silni, zwarci i gotowi i nie potrzebują rozdzielać włosa na czworo. Z drugimi się na ogół nie rozmawia, w każdym razie nie wobec publiczności. Tak więc umacniamy się, krzepimy na duchu, opowiadamy sobie, że było gorzej, przedstawiamy się sobie w życiorysach, wygłaszamy pochwały naszych kierowników, obiecujemy sobie zdwojenie wysiłków — i to wszystko, te świąteczne rozmowy nazywamy dyskusją. Drugie stanowisko reprezentowane jest również, ale nie osobiście. Wprowadza je w zagajeniu główny ministrant obrządku, informując słuchaczy o poglądach i zamierzeniach wrogów narodowej jedności, po czym wszyscy z zapałem rzucają się w wir przekleństw i wymyślań, przestrzegając się wzajem i życząc tężyzny w walce. Dyskusje takie toczymy nieustannie, pogrążając się na przemian w toni świętego entuzjazmu i świętego oburzenia, święcąc nimi niedziele i święta, które w kapitalizmie, obyczajem mieszczańskiego indywidualizmu, spędzało się w smętnej samotności.

Po drugie: dyskusje nasze ujawniają całkowitą zgodność między kierownictwem partii a całym społeczeństwem. Nie toczą się nigdy torami, o których nie wiedziałoby nasze kierownictwo, toczą się w czasie i miejscach wyznaczonych planem. Ta harmonia była niedościgłym ideałem dla wszystkich dotychczasowych społeczeństw, ale dziś, jak marzył Norwid, ideał sięgnął bruku.

Po trzecie: obrządki te świadczą o głębokiej czci, jaką masy żywią dla swych dobroczyńców — Kierowników Ludowego Państwa, które je żywi, cieszy, ubiera, broni, daje pracę ich rękom, szkoły ich dzieciom i wieczne odpoczywanie ich wrogom. Cześć ta, wzbierająca w sercach, domaga się wyrazu i dlatego ciepłe mleko błogosławieństw spływa tak często na głowy naszej władzy, żywiąc swym strumieniem obrządek Dyskusji Nieustającej, podstawowy obyczaj Najdoskonalszej z Demokracji.

12.IX.1952

HISTORYCZNOŚĆ — JAKO IDEOLOGIA NIE LUBIĄCYCH PORÓWNAŃ

Nie ma nic prawdziwszego jak nasze ulubione twierdzenie, że kultury, ustroje, formacje są pewnymi całościami, w których części są ściśle powiązane, zależne wzajemnie od siebie, ukształtowane swą rolą w układzie powiązań. Monopol władzy politycznej, gospodarka państwowa, teokracja u Zulusów czy Kambodżan, to nie to samo, co nasze świetne instytucje. Zgoda zupełna — powtarzamy przecież hałaśliwie prawdę znaną wszystkim, wyobrażając sobie, że przodujemy światu. Zatracamy przez to wiedzę o rzeczywistych właściwościach naszego myślenia — rzeczywistych podobieństwach i różnicach ze skalaną resztą ludzkości. A owa reszta z dawna już przesiąkła przekonaniem o zmienności świata i bynajmniej nie wierzy w wieczność kapitalizmu, w niezmienność cnót, w statyczność wartości. Nawet teologowie

uczyć się zamierzają od Marksa sposobów wykładania Historii Kościoła i — na swój sposób przekonani — głoszą słabość ducha wobec naporu materii, demonstrując to przykładami z przenajświętszych dziejów. Świat patrzy dziś na swą przeszłość inaczej niż za czasów narodzin *Manifestu*. Marksizm zrobił swoje. Przeniknął całą wiedzę o kulturze. Skruszył panowanie dostojnych Absolutów, nauczył wszelkich patrycjuszy ducha szacunku dla plebsu i poniżył możnych, wywyższył poniżonych. Ale — jak się zdaje — uległ losowi, który Hegel przypisuje wszelkim konkretyzacjom ducha. Stał się więźniem własnych pomysłów. Zaczął im służyć, popadł w ich niewolę. W słowach dalej jest twórczy — ale w niektórych sprawach staje się najzupełniejszą ideologią służebną dziełom, sprzecznym z jego duchem. Historyczność praw — oto jedna z zasad, w której obecnie przejawiać zaczynamy uczucia niezupełnie czyste, trącące niepokojem, który wdziewa maskę najświętszego oburzenia. Nie chcemy wiedzieć, że istnieje coś w rodzaju praw struktury, obejmujących wszelkie twory w typie wielkich administracji ducha i przemocy. Takie prawa z samej definicji przeczą podobno zasadzie historyczności — jakby różne prawa strukturalne nie mogły funkcjonować w ramach różnych całości. Teza o historyczności praw, każąc nam z góry odrzucać wszelkie podobne badania, staje się z naukowej reguły ideologią ludzi nie lubiących porównań.

12.IX.1952

Hebbel o Siekierskiej: „Grzesznicy przeciw estetyce są gorsi od grzeszników przeciw moralności, bo ci ostatni mają przynajmniej jakieś pojęcie o idei, którą obrażają, a tamci nie." (*Dzienniki*, str. 122)

25.IX.1952

SKOK DO KOMUNIZMU — PONAD PARTIĄ, PAŃSTWEM I OKRESEM PRZEJŚCIOWYM

„Toteż, wbrew twierdzeniom Lasalle'a, dla usamowolnienia życia, dla stworzenia warunków prawdziwego rozwoju i swobody należy raczej dążyć do ograniczenia do minimum działalności państwa praworządnego, do sprowadzenia jego funkcji do spraw wyłącznie natury gospodarczej, do wyjęcia spod jego kompetencji wszelkich spraw kulturalnych, oświatowych, etycznych, do krzewienia na wszystkich polach działalności ludzkiej zasad kooperatystycznych i wszelkiego rodzaju związków pomocy wzajemnej, do budzenia w jednostkach ducha inicjatywy i poczucia odpowiedzialności społecznej." (Spasowski: *Wyzwolenie człowieka*, str. 274)

To wystarczy chyba do zrozumienia tragicznego losu tylu starych komunistów. W niektórych sprawach byli oni zbyt bliscy liberalnego anarchizmu, zbyt tęsknili do natychmiastowego skoku w królestwo wolności ponad partią, ponad państwem, ponad okresem przejściowym. Życie po zdobyciu władzy pojmowali na wzór związku gmin, korzystających ze wspólnej sieci kolei, fabryk i tramwajów, zneutralizowanej, oswojonej, nie zagrażającej swobodzie cnotliwych i sielskich partykularyzmów. Chcieli co szybciej

przywrócić państwu rolę nocnego stróża, stróża już nie mieszczańskiej własności, a społecznego dobra. Proletariackie państwo i nocny stróż! — ci ludzie nie mieli jednak poczucia rzeczywistości. Nocny stróż w domu, do którego próbują powrócić uparcie „straszni mieszczanie", staje się również dziennym stróżem, a w ogóle często przestaje być stróżem i staje się wodzem oblężonej fortecy. Zdobycie państwa — to bynajmniej nie objęcie piekarni pod spółdzielczy zarząd, a cóż dopiero państwa w kraju, w którym piekarnie trzeba dopiero budować. Owo ograniczenie do minimum funkcji państwa odpowiada zupełnie specyficznej drodze dojścia do socjalizmu — ze spółdzielczym pozdrowieniem wśród słońca i róż.

27.IX.1952

ROZMOWA Z J.

J. mówił, że miejscem, z którego najtrudniej przejść na stanowisko komunizmu, jest socjalistyczny idealizm, idealizm dobrych ludzi epoki imperializmu, inteligentów, którzy zerwali z mieszczaństwem w poszukiwaniu laickiej trójcy świętej: Dobra, Piękna i Prawdy; robotników, marzących o wkroczeniu we wspaniałość bezklasowego ustroju; dziewczyn, rojących świat, w którym panować będzie tkliwość i pomoc wzajemna ludzi bezgrzesznych i pięknych. Stąd najtrudniej zejść się z rzeczywistością, dużo twardszą i ciemniejszą niż sny i pozory. Mówił też, sięgając do osobistych doświadczeń, że dużo lepszym punktem wyjścia jest katolicyzm, hierarchiczny, wyzbyty marzeń o dobrym człowieku, głoszący ciężar ziemi i dalekość nieba.

27.IX.1952

EPOKA PROBIERCZEGO KAMIENIA

Marksizm — jeśli nie stanie się kościołem, w którym tysiące służbistych, wiernych, ale płaskich klechów, bronić będą swych materialnych i duchowych interesów przed wtargnięciem ducha wiecznego rewolucjonisty — przynosi światu kultury wielkie oczyszczenie od wszystkiego, co nie ma w sobie siły służenia ludzkiemu życiu i braterstwu. Wszelkim postaciom duchowego życia zadaje nieustępliwe i bezwzględne pytanie, podobne pytaniom wojennego sądu; pytanie o ich związki, pokrewieństwa i sprawki ze ściganym stronnictwem wyzysku. Pytania są twarde, oczy sędziów surowe, wyroki sumaryczne, pomyłki możliwe. Ale ten wielki proces, nawet obarczony wyrokami na niewinnych, wprowadza wielką jasność w sprawę zasadniczą dla zdrowia kultury, w sprawę moralnej odpowiedzialności intelektualisty za istnienie wyzysku. Zostaje tu przyłożony nóż do korzeni wielkiej pychy duchowości, wielkiej pogardy spirytualizmu, do wyniosłej wielmożności umysłu. Nastrój tego sądu bliski bywał niekiedy plebejskim samosądom, ślepym wielką nienawiścią wiekami dławionych ludzi. Stąd ostatni arystokraci ducha chętnie odwołują się do s p r a w i e d l i w o ś c i. Ale stosunek ducha i materii był — w każdym razie w dotychczasowych formacjach — s t o s u n k i e m s p o ł e c z n y m, podobnym stosunkowi pana i chłopa, mieszczanina i robotnika. I sprawiedliwość w latach wyrównania historycznych długów nie

jest sprawiedliwością ślepą na to źródło sporu. Jest raczej mieczem niż wagą — mieczem sprawiedliwej zemsty. W takich okresach istnieje prawo do przesady żywiołowo urzeczywistniane przez ludzi, którym dotychczas wszelkich praw odmawiano. To prawo do przesady przysługuje dzisiaj materializmowi. Ale nadejdzie godzina, w której mocą nieśmiertelnej dialektyki prawo przemieni się w bezprawie. *Vernunft wird Unsinn, Wohltat — Plage* — mawiał stary Goethe, niedyplomowany znawca dialektyki. Otóż rewolucyjny rozsądek, nakazujący podejrzliwość wobec wszelkich idealizmów, okaże kiedyś twarz głupca; rewolucyjne dobrodziejstwo duchowego nadzoru nad maluczkimi stanie się kiedyś powszechną udręką. Wygnańcy ducha będą wtedy witani płaczem i kwiatami. Ale nie wszyscy, tylko ci, którzy przeszli próbę. Tylko ci, których skazano niewinnie. Tylko duchy, które broniły wiecznej nadbudowy, największych prawd ludzkiego losu...

5.X.1952

„Największa wartość *Myśli* polega na tym, że z tak wielką siłą ukazują nam one konkretność tego, co określa się mianem »problemów duchowych«. *Myśli* pozwalają każdemu czytelnikowi odczuć, że owe »sprawy duchowe« to nie są sprawy teoretyczne, to nie są problematy intelektualne. ale — konkretne doświadczenia, konkretne wyznaczniki ludzkiego życia i losu. Sprawa śmierci i walki ze śmiercią jest tak samo konkretna jak sprawa głodu i walki z głodem. Tak samo rzecz się ma z wszystkimi elementarnymi doświadczeniami człowieka. To dopiero klerkowie, klerkowie o białych dłoniach, uczynili sprawy ducha sprawami teoretycznymi, ci sami klerkowie, którzy zamykali się w swych pracowniach, uciekając od hałasu walki o sprawy materialne.“ (Zygmunt Kubiak: „*Tygodnik Powszechny*“, 5.X.1952)

„Egzystencjalizm” jest dzisiaj pojęciem spotwarzającym. Skorzystaliśmy ze zręczności literackiej Sartre'a, tworzącego dogmat o ludzkiej nicości na gruzach mieszczańskiej kamienicy, aby cały obcy dotąd marksizmowi problem utopić w morzu pogardy. Cóż to za problem? Problem krytyki racjonalistycznych systemów filozoficznych i racjonalistycznego typu myślenia z pozycji myśli konkretnej, wyrastającej z zasadniczych przeżyć i niepokojów ludzkiego istnienia. Korzystamy z potężnej woli przemiany zastanego życia, odzywającej się w ludziach zacofanych stron świata, aby głosić złudność lub chorobliwość przeżyć, przekraczających wymiar perspektyw i nastrojów bojowników o nową bazę; aby bronić — metodą skojarzeń, nie argumentacji — ostatniego z racjonalizmów, głupszych od rozumu. Chcemy budować socjalistyczny ustrój —ale dlaczego mamy to czynić za cenę uznania Pascala za produkt społecznej patologii? Te ofiary nie są, naszym zdaniem, ofiarami na rzecz *landemains qui chantent* — to by nam ułatwiło zadanie. Są ofiarami na rzecz samopoczucia urzędników nowego duchowego obrządku, prosperującego z powodzeniem na rewolucyjnej zaciętości naszego czasu. Są hołdem składanym ich władzy, ich pojemności, ich sądowi, ich smakowi, ich bezpieczeństwu, ich obyczajom, ich wymiarom serca. I dlatego w naszym życiu, związanym z budowlami komunizmu, istnieje margines, na którym zapisujemy swoje o nich zdanie, zdanie skończone znakiem zapytania, postawionym nad tożsamością interesów ich i proletariatu.

5.X.1952

O TRAGIZMIE ODKŁADANIA DO NIESKOŃCZONOŚCI

„Dopiero po tym, gdy proletariat rozbroi burżuazję, może on, nie zdradzając swego światowego zadania historycznego, wyrzucić na śmietnik wszelką w ogóle broń, i proletariat niewątpliwie uczyni to, ale dopiero wtedy, w żadnym razie nie wcześniej." (Lenin: *O haśle rozbrojenia,* str. 229)

Zamierzamy spełnić wszystkie punkty mieszczańskiego koncertu życzeń, jesteśmy najwierniejsi osiemnastowiecznemu arcyprogramowi — tylko nie teraz, lecz za chwilę, potem. Wyrzucilibyśmy chętnie na śmietnik wszelkie brzydkie rzeczy, które rażą wrażliwego ducha oświeconego filozofa, rojącego świat bez (feudalnych) wojen, zgiełku broni i rozlewu krwi. Wyrzucilibyśmy na śmietnik państwo, armię, zbrojenia i tym podobne okropności, dręczące serce liberała. Jesteśmy — w swej teoretycznej niechęci do tych aparatów — najprawdziwszymi liberałami, powtarzając natchniony pacierz za przodującymi marzycielami liberalnego wyznania wiary, począwszy od abbé de Saint-Pierre'a aż do Wilhelma Foerstera. Tylko, parci siłą dialektyki, nie możemy przystać na to teraz. Marzenia zstąpią na ziemię dopiero w czasie wytchnienia, po śmierci ostatniego wroga. Jednym z tych wrogów jest liberalizm, nie pozwalający nam na rozwinięcie pełnej skuteczności walki — to znaczy przedłużający smutny czas dialektycznego oddalenia od naszych najdroższych liberalnych ideałów. Tak stoi sprawa w teorii marksizmu.

Droga historii jest istotnie dość rzadko najkrótszą linią między punktem rzeczywistości i punktem marzenia. Jest często drogą okrężną, idącą zrazu w kierunku przeciwnym ideałom. Dialektyka dławi serca, ale jest jednocześnie jego wielką szkołą, szkołą wyzbycia się wszelkiego sentymentalizmu, wszelkiej sztuki wywyższania się ponad konieczności na cudownym dywanie moralizatorskich deklamacji. Co do tego zgoda. Ale jedno w tym wszystkim przejmuje niepokojem — beztroska naszej wiary, podobno naukowej — w zapewniony powrót dialektycznie odtrąconych bogów. Wydaje się, że ta beztroska jest jednym z warunków ich wiecznego skazania na wygnanie. I walka z tą beztroską jest więc szykowaniem dróg powrotu — a w każdym razie szykowaniem gotowości serca.

6.X.1952

O SŁOWACH, KTÓRE DAJĄ ŻYCIE

Znamy słowa które dają życie
są to słowa najbardziej zwykłe
słowo zapał słowo ufność
sprawiedliwość miłość i wolność
słowo dziecko i słowo szlachetność
pewne nazwy kwiatów i owoców
słowo twórczość i słowo odwaga
pewne nazwy miasteczek i wsi

parę imion kobiet i przyjaciół
pośród nich stanie Peri
(Eluard: *Gabriel Peri*)

Słowa te określały kształt naszej wiary, równie prostej co nieustępliwej, nietkniętej żadną z klęsk, rozjarzonej tylko pożarami, płonącymi na gruzach dwudziestolecia. Towarzyszyły nam jak hasła nadziei, jak zapowiedź dalekiego świtu w czasie wędrówki przez jądro ciemności, chroniąc od wszelkich jadów, tętniących wojenną nocą. Zapał był naszym oddechem, ufność — tajemnicą walki, codziennym doświadczeniem wystawiającym na próbę nasz sąd o człowieku. Sprawiedliwość — sztandarem ukrytym pod kurtką, przenoszonym, jak godło sprawy, przez kraj nieprzyjaźni. Miłość — postrzelonym aniołem, któremu każdy napraszał się z ramieniem. Wolność — biciem serca. Dziecko — wiecznością nadziei. Szlachetność — czymś, co zapewnia śmierć z jasnością oczu. Znamy te słowa, jak słowa zaklęcia, od którego zależy ocalenie świata, ale nie nauczył nas ich marksizm. I to jest może najtajniejszym z powodów przekonania o jego granicach. Marksizm jest drogowskazem myślenia i walki, zakresem wielkich zadań ludzi dziś żyjących, nurtem najśmielszych nadziei dwu ostatnich wieków — to chyba wiele, czego chcecie więcej? Ale ponad nim jest życie, zawarte w brzmieniu tych najprostszych słów. Nasz odzew na nie nie da się wyprowadzić z marksizmu. To właśnie nasz marksizm da się wyprowadzić z odzewu, z wierności, z walki ze wszystkim, co im zagrażało.

28.X.1952

RÓŻA LUKSEMBURG O PRAWACH NASZEGO ROZWOJU

„Bez nieograniczonej wolności prasy i zgromadzeń, bez swobodnej walki między poglądami, we wszystkich publicznych instytucjach życie zamiera, staje się życiem pozornym, w którym biurokracja staje się jedynym czynnikiem działania. Oto prawo, od którego nie ma wyjątku." *(La Révolution Russe*, wznowienie francuskie, 1945, str. 27)

Działanie tego prawa — prawa wypierania życia przez pozory — jest skrzętnie utajaną chorobą naszego ustroju. Podpieramy jak umiemy nadwątlone posągi starych, demokratycznych bogiń, noszących tradycyjne imiona Dyskusji, Wolności Wyborów, aby dźwięk tych podniosłych nazw utrudniał ludziom zrozumienie tego, że wolność jest u nas jednak tylko zrozumianą koniecznością. Organizujemy dyskusję wyłączając oponentów. Nasz nowy rewolucyjny ład posługuje się arcychętnie starą konserwatywną techniką władzy, szczycąc się tym, że jej treść klasowa uświetnia jej stosowanie i wyłącza wszelkie analogie. Tym niemniej s k u t e k jest podobny, gdyż jest to prawo, od którego nie ma wyjątku. Szkoda, że nie lubimy tego zauważać.

Nieograniczona wolność prasy i zgromadzeń nie jest możliwa w czasie rewolucji. Ale czy naprawdę czynimy wszystko, co możliwe, aby biurokracja partyjna nie stała się u nas jedynym czynnikiem żywym? Czy nam przypadkiem na tym nie zależy? Pozorne życie jest przecież bezpieczniejsze i łatwiejsze do rządzenia niż życie prawdziwe. Nazywamy więc pozór — życiem, aby łatwiej cieszyć się poczuciem, że władamy nad żywiołami.

30.X.1952

O TĘSKNOCIE DO UNIWERSALIZMU NAUKI

Nie znamy na ogół wyższych pięter nowej, współczesnej „niemieckiej ideologii", ideologii poprzedników i czołowych luminarzy intelektualnych hitlerowskiego okresu. Dlatego wydaje się nam, że jesteśmy jedyni w swej nieprzejednanej krytyce mieszczańskiej nauki. Nie podejrzewamy nawet niepokojącego sąsiedztwa, jesteśmy naiwni i niefrasobliwi. Wydaje się nam, że jedynie my podkładamy oczyszczający ogień pod gmach uniwersalizmu nauki, będący siedliskiem wielkiej zarazy ducha, zwanej na przemian kosmopolityzmem i obiektywizmem. W gmachu tym, jak we wszystkim, co spodoba nam się zwalczać, kryją się naszym zdaniem faszyści. Już z tego widać, jak pozorna, jak taktyczna, jak dialektyczna, jak daleka sercu jest nasza obrona wszelkich jasności świata mieszczańskiej nauki przed atakami z prawicy. Podnoszenie sztandarów stało się u nas figurą taktyczną, zimnym przepisem strategii, obcym porywom rewolucyjnego płomienia. Nie mamy obowiązku czci dla haseł, których bronimy. Natomiast ich obrońcy mają obowiązek czci dla nas. Gdy, wiedzeni zapałem, popełniają nieostrożność postawienia wierności hasłom ponad wierność ich dialektycznym zwolennikom — stają się naszymi wrogami.

Obiektywizm nauki — wydaje się, żeśmy nigdy nie zrozumieli najserdeczniejszej krwi i oddania pełnej czci dla wszelkich społecznych i intelektualnych wartości, których symbolem stało się to pojęcie w czasie pogardy, w czasie ostrzenia i błysków hitlerowskich noży. Bynajmniej nie kryło ono woli ucieczki od uczestnictwa w historii, od braterstwa w walce, od wymierzenia sprawiedliwości ginącemu światu. Nie było umywaniem rąk, przeprowadzką w bezpieczną i kojącą krainę czystej nauki, skąd spojrzeć by można było na zmagania ziemi, jak zza niebiańskiej firanki. Nie było szkołą uwznioślonej neutralności — było szkołą walki. To był czas, kiedy nawet miłość uczyła się strzelać, kiedy pojęcie zła odzyskało całą swą starą siłę przerażania, swój absolutny wymiar. Obiektywizm nauki stanął w pierwszej linii frontu z diabelskim najazdem. Okazało się — wbrew częstym pozom i zabawom w cynizm — że ma gorącą krew, że sam jest sposobem wartościowania.

Zachowujemy się tak, jakbyśmy o tym nie chcieli wiedzieć. W tej niewiedzy jest metoda.

4.XI.1952

O ZEMŚCIE KONWENCJONALIZMU

Nasza socjologia wiedzy stała się rodzajem techniki kształtowania odruchów warunkowych. Słowo „mieszczański" zastępuje dzwonek, oczekiwaną reakcją ma być ślinienie się ze wstrętu. Staramy się uzyskać efekt, na mocy którego każda myśl nie skatalogowana i nie opatrzona przez nas pieczęcią partyjnej cenzury wywoływałaby automatycznie odruch wrogości. Filozofia dokomponowana do tej techniki walki o absolutną władzę nad duszami stara się sprowadzić każdy przejaw indywidualnej twórczości, każdą myśl, każde pociągnięcie pędzla do roli klasowej wydzieliny. Lęk przed idealizmem posu-

wamy do granic, poza którymi ostrożność zmienia się w absurd. Walczymy słusznie z poglądem, który dostrzega w walce idei jedynie dialog humanistów, nie widząc w niej śladu walki klas. Odpłacając pięknym za nadobne, my z kolei niechętnie dostrzegamy w tej walce pierwiastki, wykraczające poza walkę dwu obozów. Ta zemsta na pięknoduchach wywiera dość przykry wpływ na naszą humanistykę, sztukę, kulturę, gdyż uprawnia do wprowadzania w te dziedziny metod, kwitnących w przestrzeni politycznej walki. Ostatnią instancją wszelkich sporów staje się wtedy wyrok politycznego biura. Nasz system filozoficzny dąży przez to do przekształcenia się w system dedukcyjny, wywodzący swe kryterium prawdy ze zgodności z politycznym aksjomatem. Oto wielka zemsta konwencjonalizmu.

17.XII.1952

O RZĄDZENIU LUDŹMI I RZĄDZENIU RZECZAMI CZYLI O DZIEDZICTWIE UTOPII W MARKSIZMIE

Stara, socjalistyczna niby idea rządzenia rzeczami, nie ludźmi opiera się na założeniu nadzwyczaj mieszczańskim. *Ancien régime* nie rządził rzeczami, wytwarzanie i puszczanie w obieg rzeczy należało do mieszczaństwa — stąd łatwość, bojowość i patetyczność tego przeciwstawienia. Stąd różowe nadzieje i perspektywiczne złudzenia. Rządzenie ludźmi oparte było na przymusie, rządzenie rzeczami — na wolnym stowarzyszeniu i wolnej umowie. Rządzenie ludźmi wynikało z nierówności stanów, z chęci utrzymywania dawnych przywilejów — rządzenie rzeczami wymagało zniesienia stanów i wprowadzenia równości wobec prawa, zniesienia przywilejów szkodzących zbawiennej wymianie. To przeciwstawienie było wehikułem mieszczańskich nadziei, narzędziem mieszczańskiej walki i treścią mieszczańskiej utopii. Zobaczmy, co się później stało.

Socjalizm utopijny przejął owo przeciwstawienie z dobrodziejstwem inwentarza, przesuwając tylko termin urzeczywistnienia na późniejszą, następną epokę. Socjalizm naukowy przyznał się do niego z entuzjazmem, gwarantując odnalezienie racjonalnego, niechybnego klucza, otwierającego ten sezam szczęśliwej anarchii. Jeszcze Lenin chciał uprościć rządy nad przemysłem, wierząc w możliwość bezpośredniego niemal ludowładztwa.

Tymczasem tak się jakoś dzieje, że im bardziej rządzimy rzeczami, tym bardziej rządzimy ludźmi. Utopia odsuwa się coraz dalej. Uciekła obecnie do epoki gospodarki światowej, do ziemi bez wojen, bez państw, bez wszelkich różnic gospodarczych między obszarami świata. Ta — socjalistyczna tym razem — utopia operuje z uporem modelem gospodarki, bardziej podobnym do spółdzielczej pralni niż do światowego kombinatu, w którym przejrzystość działań zarządu dla wszystkich zainteresowanych ma być równie niemal jasna, co bilans magla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej dla członkiń spółdzielni. Stare, mieszczańskie utopie wykorzystujemy dziś jako mity, przesłaniające wielkie nożyce nadziei i rzeczywistości. Dzięki temu nie musimy zbytnio naruszać naszej nadbudowy, która usiłuje maskować rzeczywistość, podobną nie do dawnej utopii, a do unowocześnionej bajki. Bajki o uczniu czarnoksiężnika.

6.I.1953

PRZESTROGI STAREGO LIBERAŁA

„Comte zdążył doprowadzić te doktryny do ostatecznych krańców, układając w swym ostatnim dziele pt. *System polityki pozytywnej* najcałkowitszy system duchowego i świeckiego despotyzmu, jaki kiedykolwiek wyszedł z mózgu ludzkiego, z wyjątkiem może głowy Ignacego Loyoli. System, przy którym jarzmo opinii publicznej, kierowanej przez zorganizowane ciało duchowych nauczycieli i przywódców, byłoby nałożone na każdą działalność i — o ile to w ludzkiej mocy — na każdą myśl każdego członka społeczności, i to tak co do spraw, obchodzących go tylko osobiście, jak i co do tych, które zatrącają o interesy innych. Dzieło to jest słupem ostrzegawczym, co dzieje się, gdy ktoś przy swoich rozumowaniach straci z oczu wartość Wolności i Indywidualności.“ (Mill: *Autobiografia,* str. 145)

25.V.1953

O ZAPOMNIANYCH KATEDRACH

Święcimy, jako wdzięczni spadkobiercy, pamięć osiemnastego wieku, wykrywając jego mieszczańskie ograniczenie tylko w fakcie, że nie mógł urzeczywistnić tego, co obiecał. Przejmujemy jego spadek, wyposażając go tylko w lepszą polityczną technikę i w przyjaźń wierniejszej klasy. Przejmujemy wiele jego najświetniejszych porywów — i to czyni nam honor. Lecz przejmujemy zarazem wiele z jego natręctw, buffonad, pychy — i to czyni nam ujmę. Nie chcemy pamiętać, że wiek ten nie rozumiał Szekspira, że przechodził ze wzruszeniem ramion koło gotyckich katedr, że najchętniej wymiótłby je z krajobrazu wraz z feudalnymi zamkami. Nie chcemy pamiętać, że o miejsce Szekspira i o miejsce katedr trzeba się było bić p r z e c i w duchowi wieku, że bez kulturalnych skutków romantycznej reakcji nie można sobie wyobrazić współczesnej świadomości tego, co jest dziś zneutralizowanym politycznie, względnie powszechnym, przekonaniem o tradycyjnych wartościach kultury.

Ten jeden choćby przykład mógłby zastanowić dzisiejszych ministrów kultury i tych wszystkich, którzy sądzą, że dzisiejsza nadbudowa mieści w sobie, jak skarby Sezamu, wszelkie bogactwa świata, że przyszłość rodzić się będzie tylko z niej, bez zmartwychwstania wartości, na które dziś jesteśmy ślepi.

Czyż naprawdę przyszłość jeść będzie tylko z naszej ręki? Czyż naprawdę sądzimy, że uda się nam oswoić ludzi, którzy nadejdą, do tego stopnia, aby nie dostrzegli katedr, które pozostawiamy w cieniu i w pogardzie? Czy żadne odtrącone piękno nie upomni się o cześć dla siebie — i o wyrozumiałość dla nas? Gdyby tak było, historia przestałaby być dialektyczna. Sądzimy co prawda, żeśmy zdołali zupełnie upaństwowić dialektykę, ale Duch Świata śmieje się serdecznie, słysząc te uroszczenia. I szykuje dla naszych następców koncert, odegrany na strunach katedr, o których wielkości zechcieliśmy — postępowo niby i rewolucyjnie — zapomnieć.

Jan Strzelecki

Andrzej Stawar

ST. I. WITKIEWICZ I JEGO „NIENASYCENIE"

I

Stanisław Ignacy Witkiewicz należał u nas przez szereg lat do pisarzy poddanych ostracyzmowi — nie wydawano go ani wystawiano aż do czasów ostatnich. W tym okresie w kołach artystycznych powstała wokół niego pewna legenda. Niedawno Adolf Rudnicki pisał:

„Nasze największe zjawisko artystyczne pierwszej połowy dwudziestego wieku — Stanisław Ignacy Witkiewicz — wciąż czeka na odkopanie" (*„Świat"*, Nr 41/56).

Mamy tu więc przejście z jednej krańcowości w drugą.

Autor *Nienasycenia* był synem Stanisława Witkiewicza, głośnego krytyka i malarza na przełomie pozytywizmu i Młodej Polski. Używał pseudonimu Witkacy, tak go też nazywano poufale w kołach artystycznych, aby go odróżnić od znakomitego ojca. Urodził się w roku 1885. Wychowany wśród artystów, od wczesnego dzieciństwa zdradzał wielkie zdolności, zresztą przed pierwszą wojną światową nie odznaczył się niczym szczególnym. Obrazy malowane przez niego były raczej przeciętne. Pewną sensację wzbudziła w środowisku artystycznym jego podróż do Australii, wywołana zawodem osobistym, o czym pisał Boy w swoim szkicu o Witkacym.

Pierwszą wojnę światową spędził w Rosji jako oficer armii carskiej. Szczegół nie pozbawiony znaczenia: po wybuchu rewolucji 1917 r. został wybrany przez żołnierzy komisarzem pułkowym, co świadczyło, iż potrafił sobie zdobyć zaufanie szeregowych. Wróciwszy do Polski od razu rozpoczął ożywioną działalność.

Z kierunkami tzw. awangardy artystycznej zetknął się mocniej podczas pobytu w Rosji. Wydaje się, że szczególnie oddziałała na jego poglądy i teorie grupa suprematystów, na których czele stał malarz, Kazimierz Malewicz.

Okres szczególnej aktywności Witkacego przypada na lata 1919—22. Wydał w tym czasie trzy książki teoretyczne oraz napisał większość swoich dramatów, których zostawił ponad trzydzieści.

Jego działalność nasuwa pararelę z wystąpieniem innego teoretyka, również przybyłego z zagranicy, ale z Zachodu, Tadeusza Peipera. Peiper był zbliżony

raczej do futuryzmu. Obaj pisarze rozpoczynając działalność w kraju mieli rys wspólny: większą dojrzałość, obaj dobrze przekroczyli trzydziestkę. Praktykę awangardy uprawiali artyści, którzy w owym czasie (1919) mieli około dwudziestu lat i dość zielone pojęcie o teoretycznych podstawach własnej działalności.

Twórczość artystyczna Witkacego, tak literacka jak i malarska, pozostaje w ścisłym związku z jego teorią kryzysu w sztuce współczesnej. Upadek sztuki współczesnej Witkiewicz łączył w zasadzie z zanikiem uczuć religijnych u człowieka w miarę postępu cywilizacji. Przykładem może służyć jego koncepcja rozwoju sztuki teatralnej. A więc obrządek religijny, tracąc swoje znaczenie bezpośrednie, rodzi teatr jako drugorzędny produkt swego upadku. Zaczęło się to, zdaniem Witkiewicza, w Grecji, gdzie po raz pierwszy powstał oddzielony od misteriów religijnych teatr. Inny przykład dają czasy zaczynającego się rozkładu chrześcijaństwa w wieku XV. Od porzucenia tematyki religijnej — dalszy rozwój jest ciągłym upadkiem, co trwa aż do naszych czasów. W książce *Teatr* pisał:

> Teatr jest Sztuką, która przez jakość swoich elementów, tj. przez to, że ma do czynienia z ludźmi i ich działaniami, powstaje w swojej najczystszej formie jedynie w miejscu spęknięcia i załamania danego kultu i mając w istocie swojej element rozkładu, z założenia swego jest jakby w ciągłym, postępującym upadku.

Witkacy, jak sam stwierdza, wychodzi z dualizmu treści i formy. Istotą sztuki jest forma: „Forma jest tym, co nadaje pewną jedność złożonym przedmiotom i zjawiskom" *(O Czystej Formie)*. Pojęcie piękna życiowego należy odróżniać od piękna formalnego. Czysta Forma to jest taka forma, która sama przez się wywołuje zadowolenie estetyczne, niezależnie od treści. Zresztą wedle Witkiewicza właściwą domenę Czystej Formy stanowią dwie dziedziny sztuki: malarstwo oraz muzyka. W literaturze czy poezji zbyt silnie występuje „zanieczyszczenie" pierwiastkami życiowymi.

Istotną treścią sztuki ma być przeżycie metafizyczne jedności istnienia.

W społeczeństwie współczesnym następuje upadek nie tylko religii, ale w ogóle wszelkiej metafizyki. To ujawniło się w zjawisku, które Witkiewicz nazywa „nienasyceniem formą" w sztuce, wobec zaniku owych uczuć metafizycznych, stających się w dalszym społecznym rozwoju ludzkości czymś zbytecznym, nieużytecznym.

Przy postępującej mechanizacji życia nastąpiło odrodzenie Czystej Formy w rzeźbie i malarstwie, odrodzenie, które według autora jest też zwiastunem końca.

W koncepcjach swych Witkiewicz wychodzi z założeń częściowo trafnych, ale wysnuwa z nich fałszywe wnioski. Słusznie podkreślając upadek religii, zanik przeżyć religijnych jako podstawy inspiracji dzieł sztuki, nie rozumiał i nie widział społecznego charakteru tego przełomu. Już Feuerbach stwierdzał, że przeżycia i namiętności, dawniej określone jako religijne, w życiu społeczeństwa współczesnego wypierane są przez politykę, przez namiętności i przeżycia polityczne. W dawniejszych ruchach społecznych formuły i hasła religijne stanowiły zamaskowaną postać dążeń społeczno-politycznych swego czasu.

Zacieśniające społecznie było znaczenie, jakie Witkacy przypisywał przeżyciom metafizycznym. Szerokie masy, na które oddziaływuje sztuka, nie przechodziły fazy myślenia metafizycznego. Pozostało ono specjalnością intelektualistów. Metafizykę określano kiedyś jako poezję filozofii. Myślenie metafizyczne było myśleniem intelektualistów.

Społeczne koncepcje Witkacego charakteryzowało rozdwojenie. Z rewolucji, której był świadkiem, wysnuł wnioski o charakterze negatywnym. W zasadzie uznawał on słuszność dążeń klas upośledzonych do ustroju sprawiedliwości społecznej, nieuchronność realizacji tego ustroju. Ale z drugiej strony ten nowy ustrój łączył się w jego umyśle z nieuchronnym upadkiem sztuki, zanikiem, ewentualnie skrajnym spospolitowaniem przeżyć artystycznych. Stanowisko, któremu dawało zresztą wyraz wielu artystów przeszłości; nie obcy takiemu nastawieniu był w swoim czasie Heine.

To rozdwojenie Witkacego nadało szczególny charakter jego utworom literackim.

W swych pracach teoretycznych Witkiewicz w formie supozycji wysuwał program artystycznego oddziaływania, odmienny od dotychczasowych założeń. Wydzielając to, co uważa za wulgarne granie na uczuciach, na sentymencie i co potępia, usiłuje ocalić, o ile się da, owe treści metafizyczne.

Pisze w książce *Teatr:*

Czy nie można by, poświęcając głębię uczucia na korzyść treści metafizycznej, zawartej nawet w formie pojęciowej w niektórych utworach naszej poezji, poświęcając to, co nazwalibyśmy „rykiem bebechów" (cierpiących do obłędu lub szalejących z dzikiej rozkoszy), co delikatniej można by nazwać „głosem ciała" — wydobyć z poematów, które się wprost proszą o inną interpretację, tę syntezę wszystkich istotnych elementów samej formy, nie przez szalone spazmy arytmii, podnoszenia aż do wycia i ściszania, do namiętnych szeptów głosu, tylko przez akcentowanie dźwiękowej, bezpośredniej wartości wyrazów samych, wartości, którą one miały w samej chwili ich tworzenia i którą nie zawsze utraciły przez dziwaczność późniejszych ewolucji *(Teatr).*

Niezbyt jasny wykład możliwości autor egzemplifikuje przez podanie fabuły sztuki, pisanej w myśl takich założeń:

A więc: wchodzą trzy osoby czerwono ubrane i kłaniają się nie wiadomo komu. Jedna z nich deklamuje jakiś poemat (powinien on robić wrażenie czegoś koniecznego w tej właśnie chwili). Wchodzi łagodny staruszek z kotem na sznurku. Dotąd wszystko było na tle czarnej zasłony. Zasłona się rozsuwa i widać włoski pejzaż. Słychać muzykę organów. Staruszek mówi coś z postaciami, coś, co musi dawać odpowiedni do wszystkiego poprzedniego nastrój. Ze stolika spada szklanka. Wszyscy rzucają się na kolana i płaczą. Staruszek zmienia się z łagodnego człowieka w rozjuszonego „pochronia" i morduje małą dziewczynkę, która tylko co wpełzła z lewej strony. Na to wbiega piękny młodzieniec i dziękuje staruszkowi za to morderstwo, przy czym postacie czerwone śpiewają i tańczą. Po czym młodzieniec płacze nad trupem dziewczynki i mówi rzeczy niezmiernie wesołe, na co staruszek znów zmienia się w łagodnego i dobrego i śmieje się w kącie, wypowiadając zdania wzniosłe i przejrzyste. Ubrania mogą być zupełnie dowolne: stylowe lub fantastyczne — pod-

czas niektórych części może być muzyka. A więc po prostu szpital dla wariatów. Raczej mózg wariata na scenie. Możliwe, że nawet tak, ale twierdzimy, że tą metodą można, pisząc sztukę na serio i wystawiając ją odpowiednio, stworzyć rzeczy niebywałej dotąd piękności, może to być dramat, tragedia, farsa lub groteska, wszystko w tym samym stylu, nie przypominając niczego, co dotąd było.

Wychodząc z teatru człowiek powinien mieć wrażenie, że obudził się z jakiegoś dziwnego snu, w którym najpospolitsze nawet rzeczy miały dziwny, niezgłębiony urok, charakterystyczny dla marzeń sennych, nie dający się z niczym porównać. Dziś wychodzi z niesmakiem albo wstrząśnięty czysto biologiczną okropnością lub wzniosłością życia, albo wściekły, że go nabrano przy pomocy szeregu sztuczek *(Teatr)*.

II

Rozpatrując koncepcje Witkacego należy rozróżniać deformację programowo antyrealistyczną od deformacji w ogóle, którą spotykamy i w klasycznych utworach, w zasadzie nawet realistycznych. Tam przeważnie deformacja spraw rzeczywistych wynikała w zasadzie ze sposobu wartościowania zjawisk. Deformacja typu futurystycznego, którą robił Witkacy, była protestem zasadniczym przeciwko realizmowi. Warto pamiętać, że formuły Witkacego bywają teoretycznie niedotarte. Na przykład cytowane sformułowanie o mózgu wariata na scenie. Mamy tu właściwie to samo, co surrealiści nazwali później metodą wolnych skojarzeń. Po prostu Witkacy formułował niektóre rzeczy w zbyt drastycznej formie. Obłąkany, którego mowa pozbawiona jest kontroli intelektualnej, też operuje wolnymi skojarzeniami. Niejasności terminologicznych było u Witkacego sporo, co wynikało z fazy przejściowej po futuryzmie, który silny był raczej przez negatywizm, a postulaty artystycznej praktyki miał ogólnikowe i praktykę raczej nieudolną.

Teoria Czystej Formy neguje zarówno realizm, jak i działanie poznawczo-rozumowe w sztuce.

Rozbieżność praktyki autorskiej z teorią powodowała, że Czysta Forma przez antagonistów artystycznych i niektórych krytyków potraktowana została po prostu jako humbug. Pojęcie Czystej Formy było symplicystyczne, pomimo efektownej dekoracji metafizycznej, w jakiej pojawia się ona u autora. Uzasadniają taką opinię używane przez Witkiewicza tak prymitywnie obrazowe powiedzenia, jak np. w charakterystyce nastawień kompozycyjnych Micińskiego: „nadziewanie starej formy nowym farszem" itp.

Musiała budzić nieufność obrona bezsensu w sztuce w sensownie napisanych, solidnych, choć nie zawsze jasnych artykułach i książkach. Miało się wrażenie, że idzie tu głównie o przewlekły katzenjammer artystyczny tego utalentowanego malarza, dramaturga i teoretyka sztuki.

Koncepcje Witkiewicza były współcześnie krytykowane m. in. w książce Irzykowskiego pt. *Walka o treść*. Irzykowski pisał tam, podkreślając młodopolską genealogię teoretyka Czystej Formy:

Co do Witkiewicza, to wychował się on w atmosferze Młodej Polski i ma dużo podobieństw do Przybyszewskiego. Jak dla tamtego „metasłowo" było wykładnikiem

„nagiej duszy", tak dla Witkiewicza Czysta Forma jest symbolem „jedności w wielości". Obaj uprawiają to, co nazywam filozofią raju utraconego: sztukę uważają za środek, aby na błysk chwili załatać rozdarcia metafizyczne i kulturalne. Obaj jako poeci zazdroszczą muzyce. Obaj tkwią paru korzeniami w filozofii Schopenhauera. Przybyszewski ukuł poemat z dwóch słów: „godzina cudu", i hipnoza jego trwa do dziś. Przywrócić światu na moment jego cudowność. Ale Schopenhauer odnosi to do filozofii, powiada za Arystotelesem, że u początków filozofii stoi *thaumadzejn* — zdziwienie. Poeci odnoszą to do poezji.

Irzykowski mimochodem zaznacza również tło społeczno-polityczne zabobonnego strachu przed treścią w sztuce u teoretyka Czystej Formy (Witkacy lubował się w dużych literach, podkreślających znaczenie terminów).

Schiller mówił o tym, że forma powinna zniszczyć materiał (prawie że materię — *Stoff*), to znaczy zneutralizować, rozpuścić go w sobie. Schiller pisał to w dobie Rewolucji Francuskiej. Zaczął się wtedy lęk przed czymś, co nadciąga. Niemcy były cicho, ich myśliciele wymyślili na pokrzepienie serc system, który tenże Schiller ujął lapidarnie w słowa: *„Nur das Gesetz kann uns die Freiheit geben"* (Tylko prawo może nam dać wolność). Ten paradoks był potem powtarzany w wielu wariantach. Forma była synonimem prawa. Estetyka niemiecka porała się również długo z innym diabłem, który się nazywał *„das Hässliche"* — brzydota. Nie można było tego gościa pominąć przy wyznaczaniu ról w światku „piękna", bo jednak znajdował się na świecie i musiał się też znaleźć w sztuce — trzeba go było przezwyciężyć, ale jak? Oczywiście przez formę. Pojęciem formy w estetyce załatwiano wszystko.

Analogia z czasami Rewolucji Francuskiej ma tu pełne zastosowanie. Wyłączając „treść" ze świata sztuki, Witkiewicz wyłączył przede wszystkim nowe treści — bo treści stare w dużym stopniu już zostały sformalizowane. Natomiast treści nowe, wprowadzone przez rewolucję socjalistyczną naszych czasów, musiały z natury rzeczy rozłamywać stare formy i prawa estetyki, zabezpieczające w jakiś sposób tradycyjne treści społeczne. Te sprawy zresztą nadają się do oddzielnego rozpatrzenia.

III

W latach 1926, 1929 Witkiewicz wydał dwie powieści: *Pożegnanie jesieni* i *Nienasycenie*. Pierwsza wzbudziła zainteresowanie natury trochę skandalicznej — upatrywano w figurach i wydarzeniach nie tylko aluzje do osób i faktów ze środowiska literacko-artystycznego owych czasów, ale po prostu wskazywanie palcem. W przedmowie do drugiej powieści autor protestował zapalczywie przeciwko takim nadużyciom interpretacyjnym.

W istocie mamy tu do czynienia raczej z tym, co nazywamy powieścią filozoficzną. Trudno zaprzeczyć — autor nie wydaje się obcy chęci skandalizowania, to jednak stanowi dziś element drugorzędny, gdyż aluzje owe zwietrzały z biegiem czasu. Głównym motywem było przekazanie światu treści przeżyć i przemyśleń, które nie dały się pomieścić ani w pracach teoretycznych, ani w dramatach, zwłaszcza wobec morderczych restrykcyj, które narzucała doktryna Czystej Formy.

Postulaty teoretyczne, sformułowane bardzo ostro w sensie negatywnym, nie dawały oparcia dla praktyki artystycznej. Wedle znanego rozróżnienia doktryner różni się od teoretyka w tym sensie, że literę swojej teorii stawia wyżej nad praktykę, nie wiąże teorii z praktyką. I tutaj doktrynerstwo Witkacego weszło w kolizje z zadaniami artysty. Bo kiedy zabierał się do pisania, musiał doktrynę odkładać na bok i sam przyznawał, że nie robi Czystej Formy, albo nie w tym stopniu, w jakim by należało. Wikłał się w tym, oznaczając swoje dramaty krzyżykami, kółkami, że niby ten jest bardziej zbliżony do Czystej Formy, a inny do realizmu.

Widać, że nie umiał tych spraw powiązać. Późniejsi surrealiści starali się jednak wiązać praktykę ze swoją teorią.

Twórczość szczytowego okresu, wspomnianych 5 lat, była wynikiem zgromadzenia wielu doświadczeń artystycznych i społecznych. Chodzi tu przede wszystkim o wnioski z rewolucji, które u Witkiewicza miały, jak wspomniałem, charakter negatywny. Wyrzucając to z siebie, znalazł się wobec kolizji swoich założeń teoretycznych z tym, co chciał wypowiedzieć. Teoretyzując przez szereg lat mało zajmował się cudzą praktyką, rzadko występował jako krytyk. Pewne pojęcie dawał entuzjastyczny jak na Witkacego rozbiór *Mopsożelaznego piecyka** Aleksandra Wata. Poemat ten jak najbardziej pasował do powstającej wówczas estetyki surrealizmu.

Zwalczając konwencje wynikłe z tradycji literackiej, Witkacy spostrzegł, że jego teoria nie stwarza właściwie luzów potrzebnych do wprowadzenia tej praktyki i przeszedł na powieść, która w jego pojęciu dawała mu pożądaną swobodę. Wyraźnie mówił, że chodzi o treści, które się w nim burzą, a których w Czystej Formie niesposób było pomieścić.

IV

W powieści *Nienasycenie* można rozróżnić kilka warstw treściowych. A więc istnieje tu — w postaci zdeformowanej — wątek autobiograficzny obok filozofii artystycznej nienasycenia, podanej w sposób poglądowy. Wreszcie mamy też element satyry na społeczeństwo współczesne.

Przeciwnicy autora, podkreślając, że praktyka artystyczna nie odpowiada teorii, wysnuwali wnioski kwestionujące powagę wypowiedzi. Sam Witkiewicz, w swych teoretycznych rozważaniach przyznając się do bardzo kompromisowego stosowania zasad Czystej Formy wpisanych przez siebie utworach, dla zabezpieczenia się przed dalszymi zarzutami robił pewną woltę, zastrzegając się w przedmowie do *Nienasycenia*, że powieści nie uważa za dzieło sztuki czystej — a więc tym samym powieść nie podlega wymaganiom Czystej Formy.

Teoria dorobiona została ze względów praktycznych. Dawne dramaty Witkiewicza były po prostu krótsze — niektóre miały nawet powodzenie u widzów, ponieważ aparat teatralny robił z nich prawie normalne sztuki, redukując programowy bezsens do minimum. Taki programowy bezsens (choćby nawet stosowany nie sam w sobie, lecz dla Czystej Formy) na przestrzeni sze-

---

* Pełny tytuł: *Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka.*

ściuset przeszło stronic powieściowej prozy jest trudny do przeprowadzenia — po prostu mało kto by to czytał. Wyraźniej niż w dramatach Witkiewicza uwydatnia się tu tradycyjna technika opowiadania i stary psychologizm wśród powierzchownych raczej nowości. Elementy programowego bezsensu służą częściowo do pogłębienia charakterystyki społecznej środowiska.

Punktem wyjścia jest katastrofizm. Świadomość rozpadu, upadku starych wartości społecznych i kulturalnych charakteryzuje od szeregu dziesięcioleci nastroje szerokich kół inteligencji europejskiej. Przeważnie o pełnej świadomości kryzysu, jego przyczyn społecznych, trudno mówić, najczęściej spotyka się po prostu głuche przeświadczenie o tym, że kultura mieszczańska upada, a w pojęciu wielu jej przedstawicieli jest to równoznaczne z upadkiem kultury w ogóle. Autor *Nienasycenia* był u nas najjaskrawszym przedstawicielem tego prądu. Jego dwudziestoletnia działalność teoretyczna i artystyczna daje programowy wyraz tym zasadniczym założeniom. Podporządkowany im był również praktyczny sens głoszonej przezeń walki z tendencją w dziele sztuki.

Szczegółowszy rozbiór teorii nienasycenia prowadzi do charakterystyki podłoża ideowego, na którym zrodziły się te poglądy, wspólne wielu współczesnym artystom i teoretykom sztuki mieszczańskiej. Witkiewicz je tylko ostrzej wyraził.

Wrażliwość Witkiewicza, niezmiernie chłonna i ruchliwa, obejmowała zbyt szeroką skalę różnostronnych a sprzecznych odczuwań i przemyśleń z zakresu dawnej sztuki, aby to nie odbiło się na jego właściwościach twórczych. Witkiewicz był przykładem nadużycia estetycznego. Zresztą, według niego, stan zblazowania leży u podstaw nowoczesnych odczuwań artystycznych.

Nie darmo w jego teorii sztuki tyle się mówi o narkotykach. Jest w tym jakiś gruby fizjologizm, przy jednoczesnym negowaniu momentu ideowo-społecznego artystycznych odczuwań. Narkoman odczuwa konieczność powiększania dawek używki — odpowiada temu wzrost perwersji w sztuce przy zajadłej walce z „bebechowością" (powiedzmy: przerostami sentymentalizmu w dawnej sztuce).

Natykamy się tu na prawdziwą, mówiąc słowami autora, „tragedię bez trupów", nie tylko Witkiewicza zresztą. Naturalizm przez trwające od lat kilkudziesięciu (i bynajmniej nie przerwane do dziś dnia), a często powtarzane fotografowanie zewnętrznej powłoki życia obrzydził to pod wielu względami artystom i zdezorientował publiczność. Powtarzanie „naturalnych" uczuć i namiętności spospolitowało ich wyraz. Stąd zrodziły się tendencje deformacji. Deformacja bywa właściwie formą stylizacji — zamaskowaniem obmierzłego kształtu rzeczywistości. Powieść i dramat naturalistyczny przyzwyczaiły nas do takich miejsc na przykład, kiedy to właściwie nic istotnego się nie dzieje. Odbywa się „życie". Ludzie chodzą, mówią o pogodzie, jedzą, śpiewają, rezonują, kichają, życzą sobie pomyślności, słowem — „markują" życie w oczekiwaniu dalszych wypadków. Autorzy radzą sobie w takich miejscach wstawkami rodzajowymi, gorszymi lub lepszymi. Miejsca takie zastępuje u Witkiewicza dialog filozoficzny.

Powieść o nienasyceniu, podobnie jak inne utwory pisarza, wydobywa nieporozumienia, istniejące w duszy Stanisława Ignacego Witkiewicza —

reformatora sztuki. Jest nimi wewnętrzna przynależność do sztuki starej, zapatrzenie się w dawne epoki, w starą treść przy pozorach nowości.

Jeśli kto uważał Witkiewicza za reformatora sztuki, a przynajmniej za jednego z tych, którzy mają plan reformy, to musiał go zrazić beznadziejny pesymizm wypowiedzi pisarza o przyszłości sztuki:

W całym odrodzeniu Czystej Formy znać jednak gorączkowy pośpiech wyczerpania wszystkich środków. Element pośpiechu i gorączki jest tym pierwiastkiem rozkładowym, potęgującym zblazowanie i u twórców, i u widzów, i u słuchaczy, tym, co czyni, że odrodzenie Czystej Formy jest też prawdopodobnie ostatnim jej przedśmiertnym kurczem. Chodzi o to, aby te podrygi były szczere i należycie steoretyzowane — poza tym, według nas, żadne wysiłki tego procesu wstrzymać nie zdołają.

Podobnych wypowiedzi znajdziemy więcej. Nieszczególne to reformatorstwo sztuki. Katastrofista, wieszczący koniec świata w najbliższym czasie, nie jest reformatorem społeczeństwa.

„Chodzi o to, aby te podrygi były szczere i należycie steoretyzowane." Witkacy radzi konającemu, aby wziął lekcje gimnastyki rytmicznej, gdyż to pozwoli mu uregulować jego przedśmiertne drgawki. Czy aby warto? Jeśli mu już wypadło konać, niechże sobie drga jak umie.

V

Witkiewicz w przedmowie do *Nienasycenia* rozprawiał się ostro z interpretatorami, którzy doszukiwali się w poprzedniej jego powieści, *Pożegnanie jesieni*, aluzji do wypadków współczesnych, portretów osób żyjących, szczegółów autobiograficznych. W istocie są to sprawy drugorzędne. Dziś występuje bardziej jaskrawo warstwa satyryczna powieści. *Nienasycenie* należy do utworów z zakresu utopii przyszłościowych. Ale powieść ma wyraźną datę ukończenia (16.XII.1927 r.) i można w niej znaleźć, choć w postaci groteskowej, obraz stosunków w pierwszym roku po przewrocie majowym 1926 r.

Charakterystyczne jest ujęcie problematyki rządów sanacji w Syndykacie Zbawienia Narodowego:

...ludzie, ogłupiali mechanicznością swych czynów, przestawali powoli rozumieć, w imię czego je spełniali, utożsamiając się między sobą w „opupieniu" i bezideowości. Szła jakoś praca, ale co to było *au fonds des fonds*, nikt nie wiedział. Idea państwowości jako takiej (i innych, wynikających stąd złudzeń) dawno przestała być wystarczającym motorem najprostszych nawet poświęceń i rezygnacji z indywidualnej świniowatości. A jednak wszystko szło jakąś tajemniczą inercją, której źródła daremnie się doszukać chcieli ideolodzy pozornie rządzącej partii — Syndykatu Zbawienia Narodowego. Wszystko działo się pozornie — to było istotą epoki.

Powieść tę można by ująć jako rozpaczliwy porachunek ze współczesną inteligencją mieszczańską, porachunek rozłożony na poszczególne postacie i epizody.

O, wstrętny był ten przeciętny inteligent polski tych czasów! Lepsi już byli nawet wysokiej marki dranie lub po prostu tłum... w którego zwojach i skrętach czaiła się złowroga i bezlitosna przyszłość przeżytych warstw ludzkości.

Na tło tej przyszłości, która wydaje mu się złowroga i bezlitosna, rzutuje sprawy i problemy współczesności.

Tradycjonalizm myślowy, w którym Witkiewicz tkwił mimo wszystko, uwydatniał się w tym, że problem władzy w aspekcie artystycznym, to dla niego problem władcy. Było to charakterystyczne dla umysłowości mieszczańskiej przełomu XIX i XX wieku. U nas wystąpiło to w niejednym utworze z czasów Młodej Polski.* Przełamywały się w tym nastroje arystokratyzmu mieszczańskiego, który w owym czasie doszedł silnie do głosu. Mieszczaństwo, zaspokoiwszy swe aspiracje polityczne, zrównawszy się ze szlachtą, wnika po swojemu w istotę problemu wyższości społecznej. Impuls do tego dawała filozofia Nietzschego, historiozofia Carlyle'a (kult bohaterów) oraz innych myślicieli mieszczańskich XIX wieku. Ale też problem wybitnych jednostek, nadających kierunek społeczeństwu, odgrywał znaczną rolę w niektórych prądach półsocjalistycznych czy presocjalistycznych, jak u rosyjskich narodników czy w blanquizmie.

Problem wodzowski (w związku m. in. z ówczesnymi sukcesami faszyzmu) zaprzątał Witkiewicza we wcześniejszych utworach (*Mątwa, Jan Karol Maciej Wścieklica* i in.). Rzecz jasna, zainteresowanie tymi sprawami zaostrzyło się po przewrocie majowym.

Utylitarne społeczeństwo mieszczańskie na przełomie XIX i XX w., wychowane pod znakiem idei pozytywnych, opanowało w zasadzie problem wybitnych indywidualności — uregulowało niejako ich eksploatację. Rezerwą wielkich polityków były partie. W miarę potrzeby kilka tygodni intensywnej kampanii prasowej tworzyło z jednego spośród kilkunastu wybitnych polityków „wielkiego człowieka", ze wszystkimi potrzebnymi zaletami (opatrznościowość, zaufanie społeczeństwa, wiara mas itd.), po czym — gdy wielki mąż zrobił swoje, a przez naturalną ułomność ludzką zaczynał wyzyskiwać swą władzę i stawał się dokuczliwy — nowa kampania prasowa w ciągu kilku tygodni „zmniejszała" go do dawnych rozmiarów. W ten sposób przebiegała kariera niejednego z wielkich polityków w klasycznych krajach wielkiego kapitalizmu.

Witkiewicza zaprzątało to zagadnienie w ramach jego koncepcji indywidualizmu i ogólnego poglądu na współczesne mu społeczeństwo. W *Nienasyceniu* mamy ten problem doprowadzony do pewnej kulminacji.

Witkiewicz przeważnie opierał się na aktualnym materiale. Np. w dramacie *Jan Karol Maciej Wścieklica* upatrywano aluzję do kariery Wincentego Witosa (co zapewniło sztuce powodzenie sceniczne).

Najbardziej szczerym, z duszy poczętym wołaniem bohatera — porucznika-prezydenta w dramacie St. I. Witkiewicza, był kilkakrotnie powtórzony okrzyk: „O, gdyby to było tysiąc lat temu!". I wówczas wykrzyknik ten wyrażał znużenie autora dzisiejszością, ucieczkę w przeszłość.

---

* Wchodził w grę tradycyjny w dawnej sztuce kompleks wodza, księcia, monarchy, w połączeniu z artystą. Obaj po swojemu pracowali na nieśmiertelność, wódz dokonując wielkich dzieł, artysta uwieczniając takowe na papierze, płótnie czy w marmurze.

W *Nienasyceniu* obraz Kocmołuchowicza, przeciwnie, rzutuje owe sprawy w przyszłość w sposób groteskowy, wyolbrzymiony. Pośrednio autor określa tu swe stanowisko wobec Piłsudskiego i zjawiska zwanego piłsudczyzną. Mimo kamuflażu mamy tu jeden z ostrzejszych obrazów owego czasu. Zresztą Kocmołuchowicz nie jest portretem Piłsudskiego — kocmołuchy nie są piłsudczykami, ale specyficzna aura kultu wodza oddana została na swój sposób znakomicie. Znajdziemy tu i niektóre rysy polityki organizacyjno-wojskowej, charakterystycznej dla piłsudczyzny (II tom).

Gdy zestawimy *Nienasycenie* z wcześniej napisanymi utworami, jak *Mątwa*, *Jan Karol Maciej Wścieklica* oraz inne, widać konkretniejsze postawienie sprawy i bodaj próbę przezwyciężenia nastrojów bonapartystyczno-faszystowskich, oczywiście we właściwy Witkacemu sposób. W obrazie Kocmołuchowicza owe półmistyczne tentacje władzy, siła oddziaływania na otoczenie towarzyszą karykaturalnej nicości podstaw myślowych, podstaw koncepcji społecznej.

Witkacy, jak wspomniano, wypierał się wszelkiej aktualizacji o charakterze realistycznym. Ale te realia przebijają w powieści nieustannie.

Że utwór związany był z obserwacjami okresu pisania, świadczy niejeden szczegół. Weźmy np. sprawę owego sztucznego dobrobytu bez podstaw realnych, jakim się cieszy społeczeństwo opisywane w *Nienasyceniu*. Witkacy pisał swą książkę w roku 1927, gdy do Polski wpływały jeszcze kredyty amerykańskie, które uzyskała sanacja w początkach swej władzy. Zresztą przypływ tych kredytów szybko ustał, z 1928 i 29 rokiem przyszedł wielki kryzys. Ale gdy dziś się słyszy opowiadania o życiu tzw. krajów marshallowskich, przypomina się niejeden obraz powieści. Nie można więc odmówić Witkacemu zdolności obserwatora stosunków społecznych.

Poprzez grymas wściekłości w tym obrazie rzekomo przyszłościowym można odczytać sprawy, w czasie pisania książki, arcywspółczesne. Katastrofizm pisarza wobec istniejącego świata wyraził się w wizji jego zagłady spowodowanej przez owych mitycznych Chińczyków, których obraz wynikł z dziwnie wykoncypowanej mieszaniny konwencjonalnych nawyków historycznego myślenia inteligenta mieszczańskiego owych czasów.

Niektóre pomysły Witkacego zużytkował i rozwinął Miłosz w głośnej, przed kilku laty wydanej książce. Naszpikowana dziwnościami mitologia katastrofizmu znalazła zresztą kontynuację u innych autorów mieszczańskich — należy jednak pamiętać, iż u autora *Nienasycenia* występuje ona w aurze satyryczno-groteskowej i na poły kpiarskiej.

VI

O Witkiewiczu pisano w dwudziestoleciu sporo. Jego teorie budziły gwałtowne sprzeciwy — bywało, że aktorzy nie chcieli grać w jego sztukach. Ale Boy-Żeleński pisał o jego dramaturgii z uznaniem, ba, z admiracją. W cytowanej książce polemicznej Irzykowski m. in. rozpatrywał powiązania Witkiewicza z najbliższą wówczas, to znaczy młodopolską, tradycją literacko-artystyczną. Irzykowski miał słuszność. W zasadzie utworzy Witkiewicza stały bliżej, niż się wydawało, owej tradycji literackiej, którą zwalczał. W ogóle z tym kryzy-

sem w dziedzinie literatury rzecz miała się po trosze tak, jak z kryzysem w gospodarce. Dawał się on tym silniej odczuwać, im większa była słabość poprzednio, im mniej zapasów z epoki „dobrych czasów". Jeśli chodzi o powieść, mieliśmy pewną słabość tradycji psychologicznej. W *Nienasyceniu* panują te same, tylko wyolbrzymione, podniesione do absurdu, demoniczno-liryczne metody opisywania uczuć, które stosowali: Przybyszewski, Żeromski a później Kaden-Bandrowski. Pod naporem uczuć bohaterowie wciąż płoną, topią się, giną itp., ich mózgi, serca, wątroby warzą się, pękają miażdżone, rozsadzane. Weźmy np. fragment z opisu oddziaływania muzyki nowoczesnej — jak to sobie przedstawia autor:

Potworne brzęki i mlaski fortepianu miażdżyły ją i rozlizywały na jakieś lubieżne, pełne polipów i pijawek bagno, zdolne pochłonąć Lucyfera aż po same rogi. Diabeł, ten od spraw płciowych, ucztował w jej flakach, na zniekształconym trupie czystej sztuki, żłopiąc pełną gębą jej upadek, zachłystując się nieczystymi sokami „dusznego rozpadu".

Znajdziemy tu wszystkie jaskrawości stylowe szkoły Przybyszewskiego. Nienajlepsza to szkoła — w owym czasie skompromitowana jeszcze przez drugo- i trzeciorzędnych naśladowców. Witkiewicz, zdając sobie z tego sprawę, urozmaica i podnosi rzecz za pomocą ogromnych wstawek filozoficznych, rozważań metafizycznych, psychologiczno-moralnych, teoretyczno-literackich, w których można zresztą znaleźć niejedną kapitalną uwagę literackiego outsidera.

W katastroficznej aurze utworu gra szczególną rolę seksualizm. Witkiewicz prześcignął tu Przybyszewskiego, stosując niebywałe przed nim w beletrystyce środki dopingu wrażeniowego. Ową rozpędzoną brutalność oddaje cytowane w pewnym miejscu rosyjskie przysłowie: *tryń trawa, morie po kolena.* Wzmacnia afekty wszelkimi sposobami. W zasadzie jednak sposoby takie, w znacznej mierze przeznaczone dla epatowania mydlarzy, stosowała szkoła Przybyszewskiego.

Zresztą seksualizm Witkiewicza, mimo całej jaskrawości przedstawienia, wydaje się oschły. Ogromne opisy, robione z dokładnością bodaj przyrodniczą, pozbawione złagodzeń uczuciowych, pozbawione są też wdzięku. Znowu występuje tu przede wszystkim doping wrażeniowy, obliczony na zgorszenie. W dawnej literaturze romantyczno-sentymentalnej miłość bywała i piekłem, i rajem. Tu przeważa *inferno.* U Witkiewicza zasadą bywa rozpętanie spraw fizjologicznych — lubieżność pozbawiona łagodzącego momentu uczuć lub choćby konwenansu sentymentalnego, przyjętego w literaturze pięknej.

Niweczenie iluzji mitologii miłosnej łączy Witkiewicza z autorami czasów moderny: Strindbergiem, Weiningerem i in. Przecież i metafizyka chuci Przybyszewskiego obfitowała w momenty infernalne. Nawiasem mówiąc, w tym diabolicznym przekładańcu dopatrzyć się łatwo jakiegoś inwersyjnego wpływu zasad chrześcijaństwa. Nasuwają się analogie z wizjami ascetów potępieńczo lubieżnymi a również nacechowanymi owym pierwiastkiem nienasycenia, w którym lubuje się Witkacy, acz w sensie odmiennym. Zresztą demaskowanie mitologii sentymentalizmu, odsłanianie podszewki namiętności uprawiał i Lew Tołstoj, który dobrze wiedział, jak bardzo skrajności wyuzdania bliskie są skrajnościom ascezy. To istotny dramat twórczości i nie tylko twórczości Wit-

kiewicza. Sprawy miłosne zabarwia więc ciemno i posępnie — jeśli zjawia się pojęcie urody życia, to chyba wzięte w cudzysłów — za pożądaniem idzie jak cień odraza, za przesytem nienasycenie.

W odróżnieniu od mistrzów młodopolskich Witkacego cechuje zmysł groteski. Rys ważny o tyle, że te parodystyczno-groteskowe motywy najmocniej oddziałały w czasie późniejszym. Nie rozumieli tego autorzy, oskarżając go o blagę.

Weźmy opis ekstazy wywołanej w Szkole Oficerskiej przez wizytę Kocmołuchowicza:

„...komendant szkoły, generał Próchwa, nie wytrzymał: złapał litrową butelkę czystej dzikowskiej i wychlał całą do dna na oczach całej szkoły, po czym wciągnął, również przy wszystkich, w krwawy nochal gram najlepszej, lśniącej kokainy Mercka. „Bo żebym ja miał sobie czego odmawiać dlatego, aby o pięć lat dłużej żyć? Niedoczekanie anielskie. Najwięcej energii kosztują człowieka te wszystkie abstynencje" — mawiał 95-letni starzec.

Mistyfikacyjny doping, ulubiony środek działania autora, przechodzi w czystą groteskę. Figury swoje Witkacy z reguły doprowadzał do groteski. Zgodnie ze swą teorią Witkiewicz nie próbuje stawiać tak zwanych pełnych ludzi w stylu realistycznym, operuje marionetkami. Zresztą w *Nienasyceniu* konwencja realistyczna silniej przebija z natury rzeczy. Ale cel artystyczny pozostał ten sam.

Utwory teatralne Witkacego — to kabaret metafizyczny czy, wedle wyrażenia Boya-Żeleńskiego — nadkabaret. Przedstawienie w teatrze Kwintifrona Wieczorowicza, opisywane w drugim tomie *Nienasycenia,* to właśnie taki nadkabaret, w którym elementy dzisiejszego kabaretu doprowadzono do krańcowej przesady.

Rozpatrując założenia teatru Witkiewiczowskiego Boy robi interesującą uwagę, iż twórczość Witkacego jest bardziej zbliżona do teatru ludowego, w pojmowaniu tradycyjnym, niż ówczesne sztuki salonowe czy farsy. Konwencja realistyczna obca jest tzw. teatrowi ludowemu, takim widowiskom, jak *Żyd w beczce, Młynarz i kominiarz,* opartym raczej na deformacji i na grotesce.

To naprowadza na związek Witkacego z Boyem. Witkacy był jedynym modernistą, który zainteresował Boya w początkach twórczości.

Ale w końcu go chyba rozczarował.

Faktura tych sztuk jest w zasadzie staroświecka. Gdyby u nas był teatr kukiełkowy dla dorosłych, sztuki Witkacego mogłyby znaleźć realizację odpowiednią, a kukiełki nadrobiłyby brak wdzięku artystycznego.

Groteska Witkacego łączy się z ujawnianiem rezerwy autora wobec własnego materiału. Chętnie np. operuje staroświeckim chwytem oceny bohatera za pomocą nazwisk. Tak w sztuce *Mątwa* nazwisko bohatera — Bezdeka, rzekomo genialnego malarza, prześladowanego przez oficjalnych menerów artystycznych, mimochodem dezawuuje postać. 99 dekagramów nie stanowi pełnego kilograma. Owemu geniuszowi brak jednego deka... Kocmołuchowicza autor ukazuje w aurze niepospolitości i genialności, a naprawdę to kocmołuch.

Warto przypomnieć znowu interesujący spór Irzykowskiego z autorem *Nienasycenia* na temat dekadentyzmu.

Termin, zresztą przez długie użycie i nadużycie częściowo wypaproszony z treści, nasuwa się tu w sposób oczywisty. Irzykowski widział w dekadencji, w „perwersjach" artystycznych autora *Wścieklicy* dużo prymitywu. Potwierdzałaby to inna właściwość Witkiewicza, pozornie paradoksalna. Wiele pierwotnej naiwności artysty było w tym teoretyku-katastrofiście, z rzetelną pasją, z rozpaczliwą zaciekłością przekory wieszczącym upadek sztuki i niezbitą konieczność pięknej śmierci współczesnego mu społeczeństwa.

VII

Istotną kwestię stanowi sprawa wpływu Witkacego w okresie dwudziestolecia. Sporny jest charakter jego oddziaływania. Mamy tu właściwie dwie sprawy: wpływ dzieł oraz trudniejsze do ustalenia, bardziej przemijające oddziaływanie osobowości. Rzecz w tym, iż znaczna część wpływu Witkacego — podobnie było z Przybyszewskim — wynikała z osobistego oddziaływania. Witkiewicz miał dużą zdolność działania na otoczenie. Znakomity imitator, trochę na swój sposób iluzjonista, przedstawiał to, co można by nazwać sztuką życia, a co nie zawsze korzystnie odbija się na sztuce w ściślejszym znaczeniu słowa. Chętnie demonstrował wszelkiego rodzaju demonizmy w stylu romantyzmu schyłkowego. Przeszedł w tym mistrza Przybyszewskiego.

Witkiewicz napisał książkę o narkotykach, uważał się za znawcę kwestii, co widać i w *Nienasyceniu*. Portrety swoje podcyfrowywał znakami, mającymi określać stan podniecenia, od peyotlu i haszyszu poczynając. Co prawda gdy mu zapłacono mało lub model go zirytował (o co nie było trudno), cyfrował skromnie u spodu obrazu: dwa małe piwa. Znajome damy częstował jakąś bryją we flakonie, podając, jakoby był to haszysz. Urządzał też seanse kokainowych wtajemniczeń dla młodszych kolegów po piórze. W praktyce wyglądało to mniej groźnie. Narkotyki były drogie, a u artysty nie przelewało się. Ponoć na owych seansach kokainowych podawano do wąchania w charakterze kokainy środek bardziej niewinny — mielony kwas borny. Ale, wiadomo, wiara przenosi góry...

Rzecz jasna, większą rolę od sławionych narkotyków pochodzenia zagranicznego odgrywały — jak w czasach Przybyszewskiego — pospolitsze wywary z krajowych ziemniaków, ewentualnie żyta.

Zresztą sam Witkiewicz był człowiekiem końskiego zdrowia. Mając już pod pięćdziesiątkę potrafił, dobrze zarwawszy nocy przy kieliszku, rano wybrać się na całodzienną pieszą wycieczkę w góry.

Jeśli wspominam o tych sprawach, to dlatego, że pierwiastek oddziaływania osobistego łączył się z wpływem artystycznym. Mistyfikacja z dawna stanowiła swoistą postać działania artystycznego i odgrywała w sztuce znaczną rolę, ale w naszych czasach uwydatniło się to szczególnie silnie. Lecz mistyfikacja, bluff łączą się tu z rzeczywistym tragizmem.

Motto do *Nienasycenia*, zaczerpnięte z Micińskiego, brzmi: „Ja, wybierając los mój, wybrałem szaleństwo". Nie pozbawione to romantycznej pozy. Ale spotykając liczne aluzje środowiskowe czy autobiograficzne niesposób nie zatrzymać się nad jednym ustępem o wymowie proroczej:

Nudy bał się najgorzej. Jeszcze nie dosięgnął jej szczytów, ale znał już dobrze jej boczne, okropne, bezwyjściowe wąwozy, w których czatowała zawsze brzydka, samobójcza śmierć: sucha, zaropiała, skręcona w kabłąk starucha, śmierć człowieka na śmierć zanudzonego, zatrutego niespełnionym życiem i niedorosłą do niego samego twórczością.

To już nie poza, ale przepowiednia fatalnego końca. W dwanaście lat po napisaniu tej książki, w 1939 roku, Witkiewicz skończył samobójczą śmiercią, gdzieś pod Baranowiczami, podczas tragicznego *exodus* dni wrześniowych 1939 roku.

Jednocześnie mamy tu autocharakterystykę własnej twórczości, niedorosłej do koncepcji samego twórcy.

Rozziew między koncepcjami a realizacją uderzał zawsze w twórczości Witkiewicza. Irzykowski określił ją jako genialną grafomanię. Witkiewicza to irytowało — wytykał swemu antagoniście sprzeczność między pojęciem genialności a grafomanii. W zasadzie pojęcia grafomanii zastosować się nie da, ale znajdziemy u autora *Nienasycenia* chwyty z tzw. drugo- i trzeciorzędnej literatury, skrzyżowane z wielkim rozmachem koncepcji.

Filozofia Witkiewicza stanowiła mieszaninę tradycyjnego idealizmu z dość prymitywnym materializmem poszczególnych ujęć. W każdym razie Witkacy nie odznaczał się zdolnością do jasnego wykładu swych poglądów.

Charakterystyczny przykład stanowi pewien odczyt filozoficzny Witkiewicza, zapowiedziany pt. *Spróbuj raz, koteczku...* Filuterny początek miał ukryć cięższą treść. Pełny tytuł, wyłożony przez autora w trakcie odczytu, brzmiał: *Spróbuj raz, koteczku, mieć światopogląd.* Przez półtorej godziny toczyły się ciężkie, grudowate zdania, przetykane dowcipami oraz inwektywami osobistymi pod adresem wrogów prelegenta. Po odczycie otworzono dyskusję toczoną wśród elementarnych nieporozumień myślowych. Wreszcie zabrał głos prof. Kotarbiński, który patronował próbom filozoficznym Witkacego, i w ciągu dziesięciu minut wyjaśnił zebranym, o co chodziło prelegentowi, ku bezspornemu zadowoleniu tegoż. Ten brak zdolności jasnego wykładu wynikał z podstawowego braku skoordynowania w myśleniu i twórczości Witkacego. W ostatecznym razie łączyło się to mimo wszystko z dysproporcjami myślenia o sprawach społecznych.

W związku z mistyfikatorskimi tendencjami Witkacego pomawiano go nieraz o humbug, o bluff. W tym wypadku styl artysty łączył pierwiastki niezbyt spójne.

W perspektywie historycznej przełomy w sztuce dochodzą do nas i bywają utożsamiane z postaciami wielkich artystów. Ale dzieło tych wielkich artystów skupia w rzeczywistości wiele usiłowań rozproszonych. Bywa też, iż na początku przełomów stają doktrynerzy o niezbyt wielkich dokonaniach artystycznych, ale o znacznym napięciu intelektualnym, wielkim uporze i pasji.

Przykładem może tu służyć sławny Marinetti, nie mający dokonań literackich, które by przetrwały, jałowy artysta — odegrał jednak znaczną rolę w powstawaniu futuryzmu, jako ideolog oraz inspirator.

Witkiewicz również nie był artystą większej miary. Doktryner rozprawiający o Czystej Formie, nie tworzył rzeczy formalnie doskonałych. Wspomniane już określenie Irzykowskiego: „genialna grafomania", acz w formie paradoksalnej,

ujmowało podstawową niemoc Witkacego-artysty, którą sam sobie uświadamiał.

Przy tym oddziaływanie jego było większe niż niejednego spośród lepszych od niego artystów. Miał on poczucie nowatorstwa, choć w istocie raczej negatywne. Działalność jego można by przyrównać w pewnym sensie do próbowania gryzącym kwasem dawnych wartości (porównanie użyte przez Boya przy charakterystyce oddziaływania Przybyszewskiego). Pod tym względem Witkiewicz łączy się z parodystyczno-rewizjonistyczną linią w sztuce europejskiej, która w ostatnich dziesięcioleciach miała wybitnych przedstawicieli. Można tu wymienić choćby Jarry'ego, autora *Króla Ubu.* Koncepcje Witkacego na temat inscenizacji szaleństw przypomną się przy czytaniu utworów Kafki oraz innych przedstawicieli tzw. „czarnej literatury".

Zresztą nie wszystkich artystów, którzy borykali się z tradycją realistyczną, można zaliczyć do literatury „czarnej". Walka Witkacego z bebechowością, ze zdezaktualizowanymi uczuciami i sentymentami ma pewną analogię z koncepcjami na przykład Brechta. Różnica polega na tym, że Witkacy nie posiadał określonych idei społecznych, które nadały kierunek dramaturgii Brechta. Mimo przekonania o własnym nowatorstwie Witkacy zapatrzony był raczej w przeszłość.

Nie zdobywszy sukcesu wśród szerszej publiczności, Witkiewicz tym mocniej przyciągał ku sobie uwagę artystów. Można rzec, iż teatr jego przetorował drogę *Zielonej Gęsi.* Z drugiej strony proza Witkacego w niezaprzeczony sposób oddziałała na linię prozatorską, którą u nas reprezentują m. in. Gombrowicz oraz Szulc.

Witkacy uchodził w naszych czasach za autora demoralizującego, niebezpiecznego. Ale niebezpieczeństwa w sztuce bywają różne. Czerpiemy mnóstwo z przeszłości, z tradycji, czerpiemy słusznie. Ale tu powstaje groźba dobrze wychowanej banalności artystycznej. Zjawiają się utwory, które wychodzą z pracowni artysty już pokryte patyną czasów minionych, wnoszące kulturalną nudę i jałowość. Tu działalność Witkiewicza spełniała w jakiś sposób funkcję dezynfekcyjną.

Witkacy nie stworzył wielkich nowych wartości, nie dał w istocie nowych obrazów. Niezbyt szczęśliwy jako artysta, nie mógł się poszczycić większymi sukcesami jako teoretyk. Można by dramat twórczy Witkiewicza przedstawić jako dramat tego, co nazywamy epigoństwem. Ale bywają przecież różni epigoni. Są tacy, którzy w ogóle nie stawiają sobie problemów innych niż zgodność z wielkimi tradycjami. Ludzie owi w kulturalny sposób reprezentują wartości wtórne, kolportują je, popularyzują. Częstokroć cieszą się powodzeniem, sukcesami literackich prymusów, zbierają odznaczenia, nagrody, ich pusto-głębokomyślne utwory zbierają uznanie recenzentów, względy kulturalnej publiczności. Schludne, dobrze obmyślone twory literackich czy artystycznych prymusów tłumaczą się znakomicie.

Epigon młodopolszczyzny w sensie artystycznych środków obrazowania, Witkacy był epigonem zbuntowanym — ryczał, miotał się, obalał bariery, łamał ustalone układy pojęć i środków estetycznych. Jałowy, gdy chodzi o twórczość w ścisłym sensie, odegrał poważną rolę w literaturze dwudziestolecia przez swe gwałtowne zrywy, energię pełną niepokoju, przez brutalne uderzenia w tradycyjny obyczaj literacko-artystyczny. Nie mogąc się poszczycić dzie-

łami artystycznie doskonałymi, niejasny i chaotyczny, działał podważając, stawiając na głowie wartości utarte. Należał do tych, którzy przeciwdziałali na swój sposób sklerozie artystycznej swego czasu.

Nie można go natomiast traktować serio jako wroga realizmu.

Witkiewicz w spisie swych dramatów, podanym w książce *Teatr*, bardzo starannie zaznaczał kółkami i krzyżykami stopień ich „zanieczyszczenia" przez sprawy i zagadnienia życia realnego, ale poza tym głębiej brnął w owo zanieczyszczenie (zwłaszcza w drugiej fazie swej dramaturgii — *Szewcy* i in.).

Antyrealistyczne doktrynerstwo nie dało się pogodzić z chęcią szerszego oddziaływania. Niepośledni temperament pisarza i artysty popychał Witkiewicza do zrywania z przyjętą przez siebie konwencją.

Królestwo Czystej Formy, w ogóle sztuki czystej, nie jest z tego świata. Praktyka literacka Witkiewicza pośrednio, wbrew niemu samemu, potwierdzała siłę działania metod realistycznych.

Andrzej Stawar

Stefan Lichański

Z PERSPEKTYWY „WSPÓLNEGO POKOJU"

Gdyby *Wspólny pokój* wznowiono w roku bieżącym, a nie ubiegłym, byłoby to wznowienie jubileuszowe, ukazujące się okrągło w dwadzieścia pięć lat po pierwszym wydaniu tej książki. Dwadzieścia pięć lat, jedno ćwierćwiecze, to dla powieści — nawet powieści większego kalibru — „wiek niebezpieczny". Za krótki to czas, by zdążyła pokryć się dostojną patyną dawności, zyskać rangę „pomnika literatury ojczystej". Zbyt wiele natomiast liczy już sobie taka książka latek, aby nie groziło jej niebezpieczeństwo utraty powabu świeżości oraz niebezpieczeństwo znalezienia się wśród publikacyj reprezentujących gusty i zainteresowania generacji dopiero odchodzącej w cień, a więc wśród tych, które najbardziej są narażone na ataki dziarskich farysów i argonautów nowego pokolenia, zdobywającego sobie „przestrzeń życiową" kosztem swoich ojców, stryjów i wujków.

Powieść Uniłowskiego wyszła zwycięsko z tej próby, oparła się kłom Kronosa „wszystkopożerającego". I trzeba nawet powiedzieć więcej: czas okazał się jej sprzymierzeńcem. Czyta się ją dzisiaj z większą satysfakcją niż przed dwudziestu paru laty. Podówczas szkodziła *Wspólnemu pokojowi* atmosfera towarzyskiego skandalu. Kto, jak i dlaczego został w tym utworze „obsmarowany" — to było pytanie, wobec którego zeszły na plan dalszy literackie i wszelkie inne walory rewelacyjnego debiutu młodego pisarza.

W *„Roczniku Literackim"* za rok 1932 pisał o tej książce Leon Piwiński:

Utwór ma wartość raczej dokumentu, gdyż odtwarza środowisko nie wyzyskane dotąd w powieści: powojenną warszawską cyganerię literacką i studencką, jakże różną od wszelkich dawniejszych, naszych i obcych, cyganeryj! W odtworzeniu tym autor okazał temperament pisarski nieprzeciętny i wielką zdolność obserwacyjną. (...) Ciasnota, zaduch, nędza, prostactwo, głupota ludzka, nuda straszliwa, kłótnie, dokuczliwości, pijatyki, miłość daleka od wszelkiego romantyzmu, choroby i śmierć — samobójcza lub naturalna, gruźlicza — oto główne składniki tego życia we wspólnym pokoju. Na tym ponurym tle wykwita czasem surowa, pozbawiona czułości, dobroć ludzka. Poza pokojem — knajpa, nudne i nie bardzo inteligentne dyskusje literackie,

pijaństwo i trochę rozpusty. W młodym autorze zdaje się tkwić pierwszorzędny temperament pisarski, któremu brak jeszcze opanowania, krytycyzmu i, mówiąc otwarcie, kultury literackiej. Stąd uleganie złym przykładom i wprowadzanie do powieści ludzi rzeczywistych pod lekko zmienionymi nazwiskami, stąd nadużywanie brutalności słownych, stąd niezaradność kompozycyjna.

Powołuję się na Piwińskiego dlatego, że krytyk ten był jakby Feldmanem dwudziestolecia: posiadał umiejętność formułowania i kodyfikowania obiegowych sądów czytelnika ze sfery inteligenckiej. Opinie jego pokrywały się na ogół bardzo dokładnie z gadanymi recenzjami, powstającymi przy „pół czarnej" w modnych kawiarniach.

We *Wspólnym pokoju* dopatrzono się więc czegoś w rodzaju beletryzowanego reportażu, w którym autor pozwolił sobie na dość nietaktowne opisanie osobistych znajomych. Gdyby się ten osąd potraktowało serio, można by ostatecznie dojść do wniosku, że Uniłowski to po prostu bardziej utalentowana odmiana Jadwigi Migowej, drukującej po „czerwoniakach" jako Kamil Norden odcinkowe powieścidełka, oparte na plotkach „z życia wyższych sfer towarzyskich stolicy".

*

Dzisiaj tego rodzaju opinia wydaje się najoczywistszą omyłką. Jeżeli *Wspólny pokój* byłby tylko *ad personam* adresowanym pamfletem, typową „powieścią z kluczem", to byłby obecnie tak samo mało czytelny, jak te utwory Jana Lama, w których autor *Głów do pozłoty* rozsiewa przeróżne aluzje do rozmaitych ówczesnych wydarzeń i rozmaitych galicyjskich matadorów z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. We *Wspólnym pokoju* kwestia autentycznych modeli figur powieściowych stała się po upływie ćwierćwiecza najzupełniej obojętna. I — co najważniejsze — powieść na tym tylko zyskała.

Materiał czerpany z obserwacji, a nie z głowy autora? Tak jest, za dużo w tej książce drobnych a jakże charakterystycznych szczegółów, za dużo sytuacyj podchwytywanych na gorąco, z całą specyfiką ich jedyności i konkretności, abyśmy mogli podejrzewać Uniłowskiego, że to wszystko jest jedynie wytworem jego wyobraźni, że powstało bez żadnego związku z jakimiś oglądanymi kiedyś przez pisarza realnymi wydarzeniami.

Autentyzm tej powieści nie jest przecież sprawozdawczym autentyzmem reportażu. Uniłowski zaczyna od autentyku, ale na nim nie poprzestaje. Czerpie materiał z rzeczywistości, nie po to jednak, by tworzyć zwierciadlane odbicie tej rzeczywistości. Materiał ten zostaje użyty (chociaż czasem bez wystarczającej transformacji artystycznej, w stanie surowym) do budowania obrazu świata odmiennego niż ten, jaki daje potoczna, aestetyczna obserwacja, do stworzenia wizji posiadającej swoistą atmosferę emocjonalną i w swoisty sposób deformującej wygląd zdarzeń oraz osobowości ludzkich.

*

Uniłowski we *Wspólnym pokoju* odchyla się od realistycznej konwencji przedstawieniowej ku karykaturze. Karykaturalnie potraktowani są bohaterowie powieści, nie wyłączając nawet tych, wobec których autor zachowuje

pewną dozę sympatii (jak np. Stukonisowa czy Todzia); karykaturalnie przedstawione są ich perypetie życiowe, a nawet i życie wewnętrzne. Kiedy dogorywający na gruźlicę Salis roi o swojej przyszłej karierze, sławie, sukcesach literackich, autor obstawia te rojenia scenami ukazującymi w tak kontrastowo odmiennym wyglądzie aktualną sytuację bohatera i jego rzeczywiste otoczenie, że kontrast ten jak najbardziej bezlitośnie kompromituje owe próby marzycielskiego samopocieszania się. Karykaturalnie potraktowane jest i samo tło powieści: mieszkanie Stukonisów, warszawski krajobraz, drobne epizody codziennego życia, jak choćby owa scena wyruszania konduktu pogrzebowego, którą Lucjan obserwuje przez okno: „Orkiestra zagrała sobie jak zwykle marsz pogrzebowy Szopena. Widać było poruszenie i wyraźną radość na twarzach obecnych z powodu wyruszenia. Jakiś wojskowy nastąpił starszemu panu na nogę, przeprosił go pełnym powagi skłonem głowy, przytknął dwa palce do czapki".

Karykaturalność czyni jeszcze zjadliwszą fakt, że Uniłowski troszczy się o to, aby nie przekroczyć w niej granic życiowego i psychologicznego prawdopodobieństwa, aby nie odrealnić swych postaci aż do przeobrażenia ich w figury z farsy. Pozostawia im akurat tyle człowieczeństwa, aby zasugerować nam przekonanie o realności tych ludzi, ale nigdy aż tyle, żebyśmy mogli wzbudzić w sobie serdeczniejsze wobec nich uczucia.

Korzystając hojnie z dostarczanego przez bezpośrednią obserwację autentyku buduje przecież Uniłowski własną wizję świata, zdeformowaną, posępną wizję-karykaturę, kreśloną z zimną, zaciętą, deprecjonującą drwiną. I dlatego zarzut naturalistycznego, reportażowego odpisywactwa nie ima się *Wspólnego pokoju* jako całości, choć może być słuszny w stosunku do niektórych fragmentów tej dosyć przecież workowatej powieści, w którą autor wrzucił sporo nie obrobionego surowca.

*

Ten typ karykatury literackiej, dla którego charakterystyczne jest powstrzymanie się przed odrealniającym przerysowaniem, dyktowane nie sympatią wobec postaci utworu, ale właśnie okrucieństwem wobec nich, do perfekcji doprowadził Céline w *Podróży do kresu nocy*. Ponieważ polski przekład tej powieści ukazał się dopiero w 1933 roku, więc nie mogła ona być dla Uniłowskiego wzorem ani natchnieniem. Własne potrzeby i własne racje kazały mu pisać w ten właśnie sposób, dyktowały mu tę nie pozbawioną złośliwej perfidii metodę działania: wyprowadzić parodystyczne, wyszydzające przedłużenia i konsekwencje artystyczne z realnych elementów jak najbardziej realistycznie widzianej rzeczywistości.

Różnica rang artystycznych! Oczywiście. Daleko Uniłowskiemu do Céline'a. Niemniej analogie między nimi istnieją i warto na nie zwrócić uwagę choćby z tego względu, żeby uwydatnić prekursorską na naszym terenie rolę *Wspólnego pokoju*. Nie zapominajmy jednak o tym, że podobieństwa kształtu artystycznego książek tych obu pisarzy nie muszą bynajmniej świadczyć o bliźniaczym podobieństwie ich założeń światopoglądowych, ich postaw intelektualnych i moralnych.

Céline ma założoną z góry koncepcję człowieka jako zastraszonego szczura

i z tak właśnie pojmowanym człowiekiem zawiera swoisty *modus vivendi*, nacechowany w równej mierze obrzydzeniem, litością i pogardą. *Podróż do kresu nocy* jest książką wyznawczą, jest próbą osądu świata i człowieka, podjętą przez kogoś, kto zwątpił radykalnie w obiektywną ważność wszelkich wartości i kategorii humanistycznych, kto ujrzał w istocie zwanej *homo sapiens* tylko najnieszczęśliwszego i najobrzydliwszego spośród człekokształtnych.

Pesymizm Céline'a jest pesymizmem metafizycznym, gotowym już i utrwalonym w umysłowości pisarza przed zabraniem się do pisania manifestującej ów pesymizm powieści. Trudno założyć istnienie tego rodzaju gotowej i sprecyzowanej postawy filozoficznej u Uniłowskiego. Robi on raczej wrażenie kogoś, kto obserwując ludzi i zdarzenia dostrzega w nich pewne cechy wspólne, wciąż przypominające o sobie typowością objawów. Zaskoczony i olśniony swym odkryciem, zaczyna już teraz obserwować systematycznie. Odkrycie się potwierdza; zaskakujące przypuszczenie zmienia się w pewność. „Więc to tak jest naprawdę!". Od tego momentu myśl cofa się wstecz i odnajduje potwierdzenie nowozdobytej pewności również w faktach dawniej od tej strony nie badanych. Że w tym potwierdzaniu się prawdziwości odkrycia może grać dużą rolę autosugestia, to przypuszczenie bardzo prawdopodobne, nie będziemy jednak szerzej się nad nim rozwodzić.

Nierówna artystycznie i rozepchana zapisywanymi z kronikarską gorliwością a dla zasadniczej koncepcji utworu absolutnie obojętnymi anegdotami, książka Uniłowskiego wywiera wrażenie rzeczy powstającej spontanicznie, nabierającej wagi i znaczenia, rozrastającej się dopiero w trakcie pisania. Toteż jej punkt dojścia: owa po Céline'owsku posępna i pesymistyczna wizja świata, wydaje się nie realizacją gotowego z góry zamierzenia, ale nieuknionym, choć nie przewidywanym (a przynajmniej niezupełnie jasno przewidywanym) epilogiem tego eksperymentu, jakim dla autora było napisanie powieści opartej na własnych doświadczeniach życiowych i obserwacji swego otoczenia. Dlatego też pesymizm Uniłowskiego określiłbym w przeciwieństwie do metafizycznego, świadomie przemyślanego i przyjętego pesymizmu Céline'a jako pesymizm „doświadczeniowy", będący raczej emocjonalną reakcją na własne, ściśle prywatne przeżycia.

*

Co jest przyczyną konstrukcyjnego roztrzęsienia *Wspólnego pokoju*? Po co autor pakuje w tę książkę plotki o swoich znajomych, podszyte prywatną idiosynkrazją złośliwości o jakimś W., o jakimś P. i jeszcze innych kolegach po piórze? Dlaczego nie umie ustalić norm decydujących o doborze i organizacji tworzywa pisarskiego? Najwygodniej oczywiście spędzić wszystko na artystyczną niedojrzałość twórcy.

Nie wydaje mi się jednak, ażeby Uniłowskiemu w ogóle zależało na napisaniu powieści w rozumieniu literackich Pimków „normalnej" i „dojrzałej". Dość monstrualny kształt artystyczny *Wspólnego pokoju* każe mi widzieć w tym utworze swego rodzaju zjawisko graniczne. Żeby jaśniej wytłumaczyć, o co mi chodzi, zacznę od przykładu z historii literatury.

Irzykowski wspomina, że jego młodo zmarły przyjaciel, Stanisław Womela,

pisywał nowele osnute na rzeczywistych przeżyciach bliskich sobie osób i w utworach tych rozwijał, doprowadzał do dalszych konsekwencji wątki w rzeczywistości „niedożyte", w ten czy inny sposób urwane lub zniekształcone. Te swoje próby nazywał on „zniebieszczaniem" spraw ludzkich.

Uniłowski wychodzi również od wątków wyłowionych z obserwacji konkretnych ludzi i zdarzeń, ale nie autonomizuje ich jako zalążkowych wątków samoistnej kreacji artystycznej (spróbuje to robić dopiero w następnej swojej książce — w *Człowieku w oknie).* Pisze on przede wszystkim po to, żeby zrozumieć, żeby w ten sposób zbilansować i wyjaśnić sobie świat, w którym żyje. Nie pasja szukania najdoskonalszego estetycznie kształtu wizji twórczej dominuje w tej wczesnej fazie jego pisarstwa, lecz pasja poznawcza.

Zrozumieć to, co się widzi. Wyjaśnić sobie ludzi, których się co dzień spotyka. Poznać mechanizm ich życia, mechanizm ich losów, z którymi złączył się, splątał bardzo mocno również mój los — oto tak starałbym się określić zamiar pisarski Uniłowskiego jako autora *Wspólnego pokoju.* Mówię „zamiar" nie używając jednak tego terminu w sensie psychologistycznym. Nie wiem przecież, co sobie myślał Uniłowski zabierając się do pisania tej książki. Chodzi mi o „zamiar" jako cel estetyczny, ku osiągnięciu którego skierowane są wysiłki pisarskie autora, ze względu na który posługuje się on takimi, a nie innymi środkami wyrazu, tak, a nie inaczej buduje swój utwór.

I względami na jak najpełniejszą realizację tego właśnie zamiaru wyjaśniałbym konstrukcyjny chaos powieści. *Wspólny pokój* jest bezkształtny konstrukcyjnie dlatego, że jest nie „normalną" powieścią, lecz zbiorem doświadczeń, zbiorem, który formował się według chronologicznego przebiegu i subiektywnego odczucia wagi poszczególnych konkretnych przeżyć, stanowiących dla autora przedmiot badań i roztrząsań. Zasadą konstrukcji jest tu właśnie zrezygnowanie ze szkolarsko pojętej konstrukcji, jest wierność wobec realnego doświadczenia, wobec życia „żytego", tego, które pisarz obserwuje jako człowiek. Konstruować, organizować według jakichś *a priori* założonych postulatów, byłoby w tym wypadku z punktu widzenia autora fałszerstwem i niweczyłoby praktyczno-życiowy, poznawczy sens jego pracy.

*

Tu jednak ktoś ze zniecierpliwionych czytelników targa mnie za rękaw i zapytuje: a co z karykaturalnością rysunku postaci, a co z owym kompromitacjonizmem, o którym wyżej była mowa? Jak pan wyjaśni te sprawy, panie krytyku? Czy nie ma tu na pewno żadnego *a priori* założonego stanowiska autorskiego? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy znowu odwołać się do tekstu.

Choćbyśmy nawet nie wiedzieli, że Lucjan Salis jest postacią na poły autobiograficzną (co nas zresztą nie powinno w tym wypadku obchodzić, bo wiemy to skądinąd, a nie z samej powieści), to w każdym razie byłoby dla nas jasne, że jest on literackim *alter ego* autora, jest tym, którego oczyma patrzy Uniłowski na przedstawione w utworze wypadki i którego reakcjami psychicznymi je komentuje. Otóż Salis jest człowiekiem z „dołów" społecznych, który dzięki talentowi pisarskiemu wydostał się na nieco wyższy

szczebel: znalazł się w gronie młodej inteligencji, w środowisku pisarzy i studentów. Jak Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie robił buchalteryjne zgoła zestawienie aktywów i pasywów swojej aktualnej sytuacji, tak próbuje je robić także Salis przez cały czas, kiedy go obserwujemy: od chwili przybycia do mieszkania Stukonisów aż do chwili śmierci. Tylko że jego bilans wypada ujemnie: awans życiowy okazuje się nader pozorny. Parę drobiazgów rozrzuconych po czasopismach, powieść, na której porządne opracowanie zabraknie już czasu. A poza tym co? Jałowe, nudne życie z dnia na dzień w gromadzie nierobów, gadułów i histeryków, rozmieniających swoje talenty na drobne, plotkujących przy czarnej kawie i upijających się za pożyczone pieniądze. Wysiłek, jakim okupił Salis dostanie się na literacki Olimp z „Ziemiańskiej", nie opłaca się absolutnie. Ten Olimp jest Olimpem z farsy. Wyszedłszy z brutalnego i surowego świata proletariackiego konkretu znalazł się Lucjan w inteligenckim światku z mgły, blagi, hipochondrycznych nastrojów, w irrealnym światku, stworzonym na swój użytek przez życiowych niedojdów i wykolejeńców.

Salis nie spadł jednak w to środowisko z obłoków. Przywędrował do niego ze świata twardej pracy i ludzi patrzących na życie bez złudzeń, trzeźwo i rzeczowo. Obowiązek porządnego wykonywania swej roboty oraz zasada rzetelności i uczynności we wzajemnych stosunkach międzyludzkich — oto podstawowe prawidła etyczne, które wpoiło Lucjanowi jego dawne środowisko. Czy w środowisku tym były one zawsze ściśle przestrzegane, to znowu sprawa inna; niemniej obowiązywały przynajmniej jako normy idealne, jako postulaty, do których realizacji należy dążyć. I te normy określają perspektywę, w jakiej widzi swoje nowe otoczenie początkujący pisarz, Lucjan Salis. To zdeterminowane socjalnie jego wyposażenie intelektualno-moralne decyduje, że nowy świat, do którego z takim trudem i wysiłkiem dążył, rozczarowuje go kompletnie i rozczarowuje nie w sposób tragiczny, lecz właśnie rozśmieszający. Dla oczu Lucjana środowisko, w którym się znalazł, jest obiektywnie śmieszne, jest realnie egzystującą groteską, dziwolągiem nie z prawdziwego zdarzenia. Uniłowski nie wykoszlawia obrazu rzeczywistości, nie przerysowuje go i nie zniekształca ze względu na jakieś swoje założenia, tylko po prostu zapisuje karykaturalność rzeczywiście widzianą przez swojego bohatera.

*

Ten obraz życia literackiego z doby międzywojennej jest przesadny, jednostronny, niesprawiedliwy. Nie zapominajmy jednak, że utwór Uniłowskiego nie ma ambicji całościowego ujęcia tego, co najogólniej nazywa się życiem literackim, że nie jest on nawet powieścią środowiskową, powieścią o pisarzach tamtego czasu. Te syntetyczne czy choćby panoramiczne założenia są Uniłowskiemu najzupełniej obce. Poznać, zrozumieć ten fragment owego życia, tę cząstkę owego środowiska, z którymi był bezpośrednio związany, które określały go i kształtowały przez codzienny, jak najbardziej realny i jak najbardziej osobisty kontakt — na tym właśnie Uniłowski poprzestawał i chciał poprzestać.

Udało mu się coś wydrukować, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Dostał stałą współ-

pracę w tygodniowym piśmie. Przystał do grupy młodych poetów, chwalono jego talent, lubiano go. Ciągle pogłębiał swą wiedzę, uczył się, czytał masę. Do czegóż wreszcie doszedł tą swoją wytrwałością? Jakież rezultaty dało mu ciężkie borykanie się z losem od lat najmłodszych? Wśród kolegów nie znalazł wzniosłych myśli i dążenia do rzeczy wielkich, wśród ludzi zaś napotkał pustkę i chęć jak najintensywniejszego życia. Nie spotkał ludzi mądrych i prawdziwych poetów. W poszukiwaniu czegoś istotnego osłabił swoje nerwy i przeoczył młodość. Kimże jest wreszcie? Wstrętnie okpionym przez rzeczywistość, w nędzy umierającym młodzieńcem.

Oto konkretna sytuacja, która zmusza do rozrachunku, do podjęcia próby samookreślenia i określenia wyznaczników losu Lucjana Salisa. Jeżeli ten prywatny, indywidualny rozrachunek ma obiektywne znaczenie dla naszej wiedzy o dwudziestoleciu, jego literaturze i tworzących tę literaturę ludziach, to właśnie dlatego, że jest rozrachunkiem dokonanym przez realnego człowieka, znajdującego się w realnej, dokładnie określonej sytuacji życiowej. Nie jest on generalną syntezą, ale jednym z jej ważkich i cennych elementów, jedną spośród danych, która wespół z innymi tego rodzaju danymi umożliwia dokonanie takiej syntezy. W każdym zaś razie jest to nie dający się zbagatelizować „pamiętnik dziecięcia wieku".

*

Godzi się zwrócić tutaj uwagę na jeszcze jeden fakt. Po powieści rozsiane są partie (przeważnie dialogowe), w których określa się tak czy owak stan ówczesnej literatury, sytuację życiową jej przedstawicieli czy wreszcie ogólną sytuację kraju. Mam na myśli fragmenty takie, jak np. namiętna tyrada Paczyńskiego, gromiącego swych kolegów po piórze (str. 67—68), rozmowa Turkowskiego z Salisem (str. 221—223) czy „zasadniczy" dyskurs Lucjana z Zygmuntem (str. 273—274). Fragmenty te ważne są jedynie jako zapis trapiących ówczesną młodą literaturę fermentów intelektualnych, typowych dla niej sposobów myślenia i wypowiadania się. Swoich podsumowań i wniosków Uniłowski nie formułuje wprost; przedstawia je w losach głównego bohatera. To, co mogłoby stać się odautorskim referatem czy komentarzem, zostaje przetłumaczone na obraz, sytuację, wątek akcji.

Że wobec tamtych wypowiedzi nie potrafi autor zająć żadnego własnego stanowiska, odmiennego niż stanowisko bohatera, że poprzestaje tylko na samym referowaniu, temu się nie należy dziwić: brakło mu do tego odpowiednich kwalifikacji intelektualnych.

Braki wykształcenia wyrównywała jednak w ogromnej mierze ta praktyczna inteligencja artysty, nazywana potocznie talentem. I dlatego w jego książkach jest coś więcej niż z werwą i plastyką kreślona faktografia. Jest w niej to zawzięte poranie się badającej myśli ze światem faktów i rzeczy, które, jeżeli nawet nie zostaje przez autora doprowadzone do sformułowań o znaczeniu uogólnień filozoficznych, to w każdym razie do takiego właśnie myślenia, poszukującego wniosków najdalszych, ostatecznych, inspiruje czytelnika.

*

Nie zaskoczyło mnie bynajmniej to, co w swoim dzienniku pisze Gombrowicz o entuzjazmie Uniłowskiego wobec *Ferdydurke*. Autor *Wspólnego pokoju* znajdował przecież w tej książce koncepcję pisarstwa jako metody samopoznania i samookreślenia, a także jako metody wyjaśniania sobie charakteru i form tego układu międzyludzkiego, w którym tkwi się jako żywy, konkretny człowiek, oraz pozostającą w ścisłym związku z tą koncepcją zasadę czerpania wyłącznie z materiału treści integralnie własnych, naprawdę w sobie do końca przeżytych i przetrawionych. Były to przecież podstawowe założenia jego własnej poetyki, którymi kierował się już — może instynktownie tylko — przy pisaniu *Wspólnego pokoju*, a daleko bardziej świadomie i konsekwentnie przy pracy nad *Dwudziestoma latami życia*. I skłonny jestem nawet przypuszczać, że ta zbieżność własnej, praktykowanej, a nie tylko teoretycznie wyznawanej, filozofii sztuki z koncepcjami Gombrowicza była dla niego daleko ważniejsza niż inne powinowactwa z twórczością autora *Transatlantyku*, jak np. upodobanie do skłaniającej się ku grotesce karykatury, chłodny, podejrzliwy stosunek do wszelkich przejawów egzaltacji, sentymentalizmu i patosu, czy wreszcie wspólny im obu uraz antyinteligencki, raz po raz dający znać o sobie wybuchami zaciekłej, bezlitośnie napastliwej kpiny. W swoim szkicu *O Zbigniewie Uniłowskim* („*Ateneum*" z marca 1938 r.) pisał Stanisław Ryszard Dobrowolski: „Moralność pisarska Uniłowskiego na tym właśnie polegała, że nie usiłował się stroić w cudze piórka, w których może nawet i byłoby mu do twarzy, ale w których nie czułby się sobą. Rzetelnie spełniał narzucony sobie samemu nakaz nieprzyozdabiania się powagą myśli i przeżyć, których nie przetrawił, nie przyswoił sobie do cna".

*

To jednak, co we *Wspólnym pokoju* było jedynie próbą i zapowiedzią, pełny swój wyraz znalazło w *Dwudziestu latach życia*. Kiedy drugą z tych książek czyta się bezpośrednio po pierwszej, wtedy dopiero widzi się, jak w przeciągu kilku lat rozwinął się i dojrzał talent Uniłowskiego. Takie zresztą łączne czytanie obu tych utworów jest wskazane również z tego względu, że *Dwadzieścia lat* to powrót do tematyki *Wspólnego pokoju*, ale tym razem z wyraźnym rozszerzeniem perspektywy: z próbą prześledzenia historii bohatera od jej najwcześniejszych początków i z próbą ukazania go jako podmiotu akcji.

We *Wspólnym pokoju* bowiem Salis prawie że nie działa. Trochę pisze, trochę pije, trochę rozmyśla, a potem zaczyna umierać i umiera aż do końca powieści. Wydaje się, że punktem wyjścia była dla autora wizja tej śmierci. Dlaczego Lucjan musi umrzeć w taki, a nie inny sposób — oto pytanie, na które odpowiada Uniłowski tamtą książką. W *Dwudziestu latach* Kamil Kurant jest przedmiotem oddziaływań otoczenia i warunków egzystencji, w jakich się znalazł, ale jest zarazem i działającym, jest kimś, kto stara się przezwyciężyć lub choćby wyminąć prawa rządzące życiem jego środowiska, kto usiłuje wywalczyć sobie gdzieś na skraju zasięgu tych praw minimalną chociaż autonomię indywidualnego bytowania.

Mimo że stosunek Uniłowskiego do Lucjana Salisa jest całkowicie przedmiotowy, to jednak *Wspólny pokój* nacechowany jest egotyzmem. Świat

zewnętrzny ważny jest tylko jako „nie-ja" Lucjana. On w tym świecie nie uczestniczy, pada po prostu jego ofiarą. Spoza wszystkich trywializmów językowych, wulgarnego plotkarstwa o znajomych, brutalnie traktowanych scen pijackich i erotycznych wyłania się jako zasada kompozycji wewnętrznej utworu arcyromantyczny konflikt: poeta i świat.

W *Dwudziestu latach* świat uzyskuje pełną realność. Kamil nie jest z niego wyłączony, tkwi jednocześnie w nim i walczy z nim — tak jak my wszyscy. Nie ma tu już fikcyjnego podziału ściśle wyodrębniającego sferę „ja" i „nie-ja". Sfery te zachodzą na siebie, przecinają się wzajemnie, powstaje między nimi ustawiczna wymiana, zawiązują się najrozmaitsze zależności i uwarunkowania. Stosunek Kamila do matki, ojca, ciotek, do kolegów i opiekunów podlega rozmaitym modyfikacjom pod wpływem różnych okoliczności. Czasem kształtuje go Kamil, czasem sam jest przezeń kształtowany. Salis jest postacią statyczną („jakim żeś mnie, autorze, stworzył, takim mnie masz" — od pierwszej do ostatniej stronicy), Kamil na naszych oczach rośnie, rozwija się, kształtuje, dojrzewa.

*

Trudno na podstawie znajomości jednego tylko tomu *Dwudziestu lat życia* zrekonstruować sobie plan całości, określić jej przypuszczalny ostateczny kształt. W każdym razie w okresie pracy nad *Dwudziestoma latami* Uniłowski wyzwolił się już z dręczącej atmosfery poczucia klęski i beznadziejności, która przesycała *Wspólny pokój*. Z zadymionego i zatłoczonego mieszkania przy Nowiniarskiej wyszedł na szerszy świat i odetchnął powietrzem rozległej przestrzeni, wiatrem wiejącym od Wisły.

Wisła... Powiśle... Te motywy zjawiły się w ostatniej książce Uniłowskiego bynajmniej nieprzypadkowo i nie jako błahe, choć konieczne elementy tła.

Żadna z proletariackich dzielnic Warszawy nie ma w sobie tyle wdzięku i nastroju, co Powiśle, Wola i Mokotów, te posępne skupiska nędzy i przestępczych egzystencyj. Powiśle jest romantyczne. Troskę jego mieszkańców potrafi rozproszyć cierpki oddech Wisły. Wieczorem, posmużonymi seledynem lamp gazowych ulicami idą ku rzece, na skwery piersiaste kobiety zaprawione w surowym trudzie codzienności, obok swych mężczyzn, spracowanych robotników, wąsaczy o rozumnym i łagodnym wzroku, w którym czai się świadomość codziennej zbrodni tego nikczemnego świata. A oto para tak pełna szczerej prostoty, jak prosta jest surowa rzeczywistość, w której wzrośli. Twarz dziewczyny osnuwa powaga świadomego i niełatwego szczęścia. Opiera się o ramię swego chłopca, którego ciężki krok świadczy już o latach wysiłku. Po dniu żmudnej troski ten letni wieczór jest dla nich tak nabrzmiały urokiem wzajemności, że idą w milczeniu, zaprawieni wspólną myślą o trudzie przyszłości.

Surowy, jakby wstydzący się sam siebie liryzm tego fragmentu sygnalizuje, że teraz wreszcie pełnym głosem przemówiła plebejskość prozy Uniłowskiego, ta plebejskość, która we *Wspólnym pokoju* manifestowała się przeważnie antyinteligenckimi grymasami i nieokreśloną, mglistą, nie pozbawioną

akcentów rubasznej złośliwości sympatią dla ludzi prostych. Uniłowski sam uważał się za socjalistę. Był to jednak socjalizm bardzo nieokreślony i mgławicowy. Bardzo natomiast żywa i mocna była sympatia Uniłowskiego dla ludzi pracy, dla wielkomiejskiej biedoty z owego Powiśla, które stało się ojczyzną dzieciństwa Kamila Kuranta.

*

Nie tylko jednak o sympatii należy mówić w tym wypadku. Zimny, ostry dowcip Uniłowskiego, jego dar niesłychanie bystrej i dokładnej obserwacji, ostrożność i nieufność wobec wszelkiego patosu i wszelkiej egzaltacji emocjonalnej, oszczędność i nieefektowność leksyki i składni przy dużej jednak celności wyrazu, a wreszcie i owa tak ważna w jego pisarstwie zasada ścisłego związku twórczości z realną sytuacją życiową i kapitałem konkretnych doświadczeń pisarza — te wszystkie elementy jego sztuki — zwłaszcza gdy się weźmie je we wzajemnym funkcjonalnym powiązaniu — czyż nie są naznaczone piętnem socjalnych uwarunkowań, związane ściśle z okresem życia spędzonym w warunkach mniej więcej takich samych jak te, w których przeżywali: Kamil Kurant dzieciństwo, a Lucjan Salis — młodość?

I dlatego, jeżeli trudno nazwać Uniłowskiego pisarzem socjalistycznym, bo ten termin sugeruje posiadanie i świadome reprezentowanie określonej ideologii społecznej i politycznej, to w każdym razie można widzieć w nim reprezentanta tej inteligencji, która wyrósłszy z mas ludowych zachowała typową dla swego macierzystego środowiska mentalność i postawę wobec świata.

Dlatego też określenie „pisarz plebejski" wydaje mi się w odniesieniu do autora *Wspólnego pokoju* czymś więcej niż zamykającą wywód efektowną metaforą lub konwencjonalną etykietką klasyfikatorską. On sam, tak jak Lucjan Salis, był właściwie intruzem w pokoju na Nowiniarskiej, wśród takiego kwiecia młodej literatury i inteligencji polskiej, jak Dziadzia, Zygmunt, Pan Józio, Edward, był intruzem i przybłędą w „Ziemiańskiej"; u „Wróbla", w pokoiku panny Leopard. Jego dom, tak jak dom Kamila Kuranta, znajdował się gdzieś na Powiślu, może właśnie w tej czteropiętrowej kamienicy na Leszczyńskiej, gdzie mieszkała ciotka Zosia.

Uciszyło się, Kamil ogarnął wzrokiem twarze, sprzęty, cały pokój i nagle poczuł się swobodny, jak gdyby przeszedł sen jakiś o Krakowie i Zakopanem; o ojcu i o wszystkich zdarzeniach tych kilkunastu miesięcy. Ot tak, jakby zdrzemnął się przy stole.

*

Poza wszelkim skodyfikowanym programem, poza zreglamentowanymi organizacyjnie formami walki społecznej rozwijała się i dojrzewała do kapitalnych osiągnięć ta twórczość samorodna, spontaniczna i — mimo pewnych analogii, które pozwalałyby rozpatrywać ją w łączności z twórczością Gombrowicza czy Witkacego-powieściopisarza — bardzo na naszym terenie samotna. Nie wiem, czy socrealizm, skoro przestał być ideologią *ex officio* współczesnej sztuki polskiej, może liczyć — nie na wyznawców, bo tacy stworzyliby co

najwyżej jakąś artystyczną sektę lub towarzystwo wzajemnej pomocy i adoracji, lecz na sympatyków traktujących tę ideologię rzeczowo, poważnie i krytycznie. Gdyby tacy, co daj Boże, znaleźli się, to powinni oni bardzo szczegółowo i dokładnie przetrząsnąć cały dorobek twórczy Uniłowskiego. Oczywiście, nie pod kątem widzenia ideologii, programu, hasła bojowego, bo w tym zakresie Uniłowski mało miał do powiedzenia, ale właśnie ze względu na autentyczną, rasową — rzec by się chciało — plebejskość jego prozy.

Gombrowicz i Witkacy piszą przeciw inteligentowi — dla inteligenta; sami tkwią po uszy w rozmaitych inteligenckich narowach i nałogach. Uniłowski to naprawdę ktoś spoza klanu, czystej krwi barbarzyńca, *ho bárbaros,* „nie mówiący po grecku". Jakże określać i wartościować jego twórczość posługując się starymi, „greckimi" kategoriami, kiedy w jego dorobku znajdujemy pozycje takie, jak *Żyto w dżungli* czy *Pamiętnik morski,* pisane — jakby powiedział Gombrowicz — p r z e c i w: przeciw literaturze z kindersztubą, z tzw. odwiecznymi tradycjami, przeciw wszelkim przyjętym i powszechnie uznanym zwyczajom opisywania podróży po egzotycznych lądach i morzach, przeciw samej egzotyce i samemu morzu wreszcie. To „przeciw" jest w obu książkach zanadto wyakcentowane, ich nonszalancja jest zbyt afiszująca się, zbyt na pokaz, ale mimo wszystko trzeba by rozprawiając się z nimi — nawet najbardziej ostro — przejść na teren wybrany przez autora, na teren integralnie „niegrecki".

W jego twórczości przemówił najbardziej własnym, najbardziej autentycznym głosem świat opisywany zazwyczaj przez ludzi z odmiennych środowisk, opisywany często z serdeczną egzaltacją, z chęcią najwierniejszego służenia, na klęczkach zgoła — ale od z e w n ą t r z. Nie o samą jednak integralność owego plebeizmu chodzi w tym wypadku. W Uniłowskim jego świat przemówił nie tylko, aby dać się poznać i przy okazji upomnieć o to czy owo. Nie, autor *Wspólnego pokoju* wszedł do literatury na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi". Włączył swoją plebejskość do ogólnej puli jej punktów widzenia i zasad wartościowania. I na tym polega rewolucyjność jego dzieła.

Ów nurt plebejski, który zademonstrował on w literaturze dwudziestolecia, stanowi czynnik wzbogacający, ale i komplikujący strukturę kultury narodowej. Uniłowski uświadomił nam, że w strukturę tę poczynają przenikać elementy nowe, nie dające się po prostu d o d a w a ć do już w niej obecnych, nie asymilujące się z nimi bez reszty, tak jak sam Uniłowski nie zasymilował się do końca ze środowiskiem inteligenckim, w które wtargnął na zasadzie praw talentu. Sprawa roli i znaczenia tych elementów integralnie plebejskich w życiu i funkcjonowaniu kultury narodowej — to sprawa o dużym znaczeniu. Warto się nad nią zastanowić, warto badać ją jak najbardziej trzeźwo, rzeczowo i bezstronnie.

„To ci, bracie — jak powiada jeden z bohaterów *Dwudziestu lat życia* — są kwestie niepokojące." Ale — dodajmy od siebie — niepokojące zdrowym, twórczym niepokojem.

Stefan Lichański

NOTATNIK JERZEGO ZAWIEYSKIEGO

Nie ma rodzaju literackiego, który byłby marginesowy. Żaden nie zwalnia od dyscypliny. Żadna bowiem forma literacka nie jest, niestety, miejscem wytchnienia. Wybierając, aby wyrazić to, co mamy właśnie do powiedzenia, tę formę, a nie inną, wybieramy wolność największą, najbardziej rozległą, oczywiście. Ale wiemy przecież, nie tylko z literatury, że im większa wolność, tym więcej za nią płacimy, tym więcej rezygnujemy. W sztuce: tym większe rygory jej bronią. Naiwne będzie lekceważące uczucie zazdrości strofkowicza, budującego nienaganny wiersz klasyczny w stosunku do autora wiersza wolnego czy poematu prozą: ale ci dobrze! mnie dopiero ciężko. Wiersz wolny czy poemat prozą narzuca bowiem takie rygory składni, myśli i obrazowania, że wobec nich prawdziwą wolnością jest wiersz klasyczny, gdzie rolę kontrolera i cenzora spełniają przepisy wersyfikacyjne. Tych się można nauczyć raz na zawsze. W tamte trzeba się wprawiać przez całe życie. A już to jest różnica.

Notatnik, notatnik liryczny jest tak samo rygorystycznym rodzajem, jak każda inna forma literacka, poemat czy nowela dla porównania. Notatnik daje dużą dozę wolności, oczywiście. Daje przede wszystkim całkowitą wolność kompozycyjną. Ale nie do zlekceważenia są także jeszcze inne swobody, jak aluzyjność, brak konieczności powiedzenia wszystkiego od początku do końca, prywatność bez obowiązującego uogólnienia. Rygory na pozór nie istnieją. Oczywiście na pozór. Wystarczy bowiem wejść w notatnik, w autentyczny notatnik zamyśleń i wzruszeń, by niepostrzeżenie reagować na tę formę jej wymaganiami. W konfrontacji z konkretnym notatnikiem poetyckim zarysowuje się ta forma literacka: zżymamy się na wszystko, co jest skończone, co brzmi pointą wiersza, złotą myślą aforyzmu, co tchnie laboratorium metafory. Notatnik liryczny — to nie to samo, co notes poety. Notatnik to nie zbiór zapisków do opracowania. On ma w swojej nieskończoności, aluzyjności i fragmentaryczności stanowić skończone dzieło sztuki.

Nasuwa się to wszystko na myśl w związku z *Notatnikiem lirycznym* Jerzego Zawieyskiego. Obiecująca książeczka, jeśli już karta tytułowa tyle wzbudza problemów. Istotnie, jest to autentyczny notatnik poety, tytuł ani nie kłamie, ani nie usprawiedliwia, zapowiada.

Podczas lektury książeczki Zawieyskiego sam zamysł poety precyzuje się, także w swoich brakach, właśnie poprzez nie. One jak gdyby ułatwiają ogarnięcie tych przelewających się poprzez pory roku — lato, jesień i zimę — myśli o świecie i ludzkim przemijaniu. W sposób jak najbardziej naturalny, w taki właśnie sposób, jaki nakazuje ta forma literacka. *Notatnik* Zawieyskiego ukazuje poetę w jego stosunkach ze światem, bez pompy, tej dumy z siebie, jaką bezwiednie nawet wyraża autor wiersza lirycznego czy poematu. Sama skończona forma wyznania (w liryku czy poemacie) usztywnia wyrażane myśli, które usiłują być zawsze ze szlachetniejszego kruszcu niż są naprawdę, które na siłę pragną być złote. W notatniku poeta

jest taki, jakim jest naprawdę. Oczywiście to także jest konwencja. A więc: w notatniku poeta jest taki, jakim siebie widzi. W lirykach, w poematach poeta przede wszystkim pisze dla świata, w notatniku oczywiście także, ale w notatniku tak pisze dla świata, jakby o jego istnieniu nie myślał. Można by tak określić ten rodzaj literacki: notatnik jest to utwór, którym autor chce przede wszystkim olśnić siebie, a więc utwór, który ukazuje same słabe strony autora (autor, chcąc siebie olśnić, pisze tak, ażeby się sobie spodobać, a więc pisze pod swoje gusty). Zamierzyć i wydać notatnik liryczny jest to więc wyznać: moje słabe strony są mocne. Jerzy Zawieyski niemal może to powiedzieć. Niemal: posiada jednak kilka stron słabych, które nie są mocne. Jest ich niewiele i pozbędę się ich od razu. Wydzieram więc z *Notatnika* Zawieyskiego cztery kartki: o Marysi, która nie ma klucza do nieba; o dziewczynce, co gra niewidomemu kolor żółty; o tym, jak powstaje perła; o góralce, która „wie natchniona mądrością Mojry, że z dwu krańców bytu, poprzez zasłonę tajemnicy patrzą na siebie: miłość i śmierć" (to z powodu wetkania nici czarnej obok czerwonej). Ten jeden cytat w jakiś sposób mówi o kierunku moich pretensji. Idę dalej: Zawieyski trochę bawi się ze sobą, trochę swój *Notatnik* traktuje jak własny album, bo przecież niemożliwe, żeby te cztery kartki zostały „napisane dla siebie", one są wyraźnie pisane dla kogoś i zaadresowane na zewnątrz. Zbyt wychuchane i skończone. Któryż pisarz, a tym bardziej tak świadomy piękna jak Zawieyski, da się złapać na wdzięki stylistyczne? Tym bardziej na własne. Pisze przecież dla siebie, z myślą o sobie. Chyba że słabą stroną Zawieyskiego jest targanie na osobności cieniutką strunką ckliwości, tego liryzmu w stanie zbyt naturalnym, tego liryzmu nieokiełznanego sztuką, cywilizacją serca.

Po wydarciu tych czterech kartek czytam *Notatnik* Zawieyskiego z uczuciami, na które zasługuje: z podziwem i zazdrością. Już dawno, bardzo nawet dawno „rozpacz przemijania", poczucie „kruchości istnienia" nie zostały mi ukazane jako fazy szczęścia. Poczucie trwałości (mimo wszystko), uroda stron świata, uroda owoców ziemi, barwy nieba — chociaż mowa o zniklowości ludzkiego losu — potęgują tutaj smak życia.

Dawno nie znalazłem w poezji tak silnego nasycenia urodą zjawisk natury, rzeczy jako takiej, rzeczy jadalnej, owoców, jak w tym notatniku Zawieyskiego. On na codzień — bo przecież nie od święta w poemacie czy lirycznym zachwyceniu — odczuwa świat jakby podwójnie. Ale ten sensualizm jest jednak zwodniczy. Posiada rysy i pęknięcia. Spotęgowane odczuwanie świata ma u Zawieyskiego źródło inne niż czysta i pełna radość zmysłów. Rzecz zastanawiająca: wizje świata, pogańska i katolicka, do pewnego etapu zawsze się ze sobą schodzą. U Claudela na przykład uroda świata jest tak ogromna, tak samodzielna, że Bóg jest już właściwie niepotrzebny. U Zawieyskiego nie. Odczytany powierzchownie *Notatnik* jego może uchodzić za prywatny hymn na cześć materii. To nic, że westchnie o duszy skowronka, bo to cała jego — trochę przekorna — aluzja religijna. Nigdzie nie deklaruje się po stronie nieba i ziemi, nie narzuca Boga. Śpiewa urodę rzeczy ziemskich. Wydaje się bliski, pogański. Aż wreszcie miarka po miarce nasyca nas, czytających, jakimś zrazu nieokreślonym, potem coraz jaśniejszym stanem moralnym. Z jego zapisków promieniuje poczucie szczęścia, które coraz bardziej wydaje się podejrzane. Podejrzane, bo z nieznanego źródła wypływa. Pisze przecież o śmierci ukochanego siostrzeńca, wspomina go z żalem, mówi, że serce ma w żałobie, a jednocześnie świat dookolny, krajobraz, ziemia, morze zaczynają grać jakimiś blaskami, które nie z nich biją, cały świat staje się piękny, mimo smutku, żalu, żałoby, nawet rozpaczy. Przemijanie jest tu radością. Myślimy czytając ten notatnik poety: u człowieka szczęśliwego nawet smutek nie jest naprawdę smutny. I myślimy: co to za szczęście takie, skąd ono? Nie z samego przecież patrzenia na świat, nie z uroków rzeczy. Niestety, z niedostępnych źródeł. Takie szczęście to cała historia. Ażeby je odczuć, trzeba by się przeangażować, zacząć myśleć na nowo jakimiś tajemniczymi odtąd-dotąd i wrócić w te naturalne, porzucone dla sztucznych, raje. *Notatnik* Zawieyskiego wzbudza nostalgię wartości niewątpliwych, wiecznych, które by za nas same strzegły pór roku i pór

życia, wzbudza on, wykrztuśmy i to, nostalgię katolicyzmu.

„Dzieje nieba i dzieje ziemi wypisane są na powierzchni i w głębi wonnego owocu.“ Gałąź jabłoni chylącej się pod ciężarem owoców na jesieni jest w tych oczach zachwyconych światem widomym znakiem tajemnicy. Taka tajemnica — wydaje się mówić, zachęca — nie przytłacza, nie ogranicza, ale odpręża człowieka.

Nasza sztuka katolicka przyzwyczaiła nas do tego, że zwykła była towarzyszyć cierpieniu i umieraniu. Stała pod krzyżem cały czas. Dlatego była nie do przyjęcia. Godziła. Z nędzą, upośledzeniem, losem. Zawieyski w swoim *Notatniku* ukazuje źródła katolickiego wzruszenia światem, które pod żadnym względem i w stosunku do niczego nie są służebne. Jego poezja nie wyraża rozdarcia wewnętrznego i ukrzyżowania wyobraźni. Nie. Jego wzruszenie — to za każdym razem dowody równowagi, spokoju ducha i szczęścia płynące nie z pogodzenia, ale z porozumienia ze światem.

Do pewnego wieku, a więc do pewnej granicy doświadczenia, od poezji żądamy przede wszystkim pokazywania nam świata. A że chcemy nań patrzeć ze swojego miejsca w czasie i przestrzeni, odrzucamy niechętnie wizje, które powstały, nim myśmy patrzeć zaczęli. Młodość zawsze jest awangardowa. Jeśli nie jest awangardowa, to nie liczy się dla sztuki.

Przychodzi jednak prędzej czy później niedosyt. Właśnie niedosyt, bo przesyt jest tutaj niemożliwy. Nigdy dość nowości. Ale sama nowość już nie wystarcza. To jest kategoria wrażliwości. A przecież jest się istotą moralną. Przede wszystkim. Szukamy więc w poezji coraz bardziej, coraz bezwzględniej nie świata samego dla siebie, ale miejsca w tym świecie dla siebie. Miejsca nie tylko do zamieszkania, ale także do życia itd. (żeby się nie roztkliwiać). Coraz mniej szukamy krajobrazów luksusowych do patrzenia tylko. Chcemy dosłownie uprawiać świat. Szukamy w poezji trochę recepty, a trochę nadziei na plony.

Notatnik Zawieyskiego nie miał, myślę, ambicji, świadomej ambicji pomagania komukolwiek. Powstał trochę jak tren na śmierć siostrzeńca, trochę jak próba porachowania się i porozumienia ze światem. A odchodzi się od tej skromnej, bezpretensjonalnej książeczki wzmocnionym. Chociażby w pożądaniu szczęścia, którego tam tak wiele wszędzie się unosi. Najbardziej osobista, prywatna, bez pretensji do uogólnienia poezja ma zawsze nośność powszechną. To jest specyfika tego gatunku. Jego wielkość i niebezpieczeństwo. Poezja daje formy sakramentalne do wszystkiego. Do dobrego, złego i obojętnego. Zawieyski programowo zrobił z nich ten pierwszy użytek.

Zawieyski odważając się na notatnik miał rację. Jego słabe strony są mocne. Jego słabe strony, a więc to, co ukochał ponad miarę instynktownie, intuicyjnie, coraz bardziej pociągają tych ze współczesnych, którzy są skazani na jałową samotność, a więc „dźwiganie swojego patosu kłamstwa wobec świata“.

Zbigniew Bieńkowski

LIRYKA BEZ ZŁUDZEŃ

Bohdan Drozdowski: *Jest takie drzewo.* Kraków 1956, Wydawnictwo Literackie; str. 93.

Twórczość debiutujących w roku 1956 liryków jest poezją konkretu. Smutne doświadczenia „socrealistyczne“ zdewaluowały abstrakcję jako środek wyrazowy w liryce — abstrakcja stała się bowiem kuźnią frazesów. Ta reakcja jest z pewnością zdrowa i naturalna: otwiera perspektywy. Po konkret sięgają poeci o odmiennych zainteresowaniach i odmiennych poetykach: zafascynowany dziwnością rzeczy naszych powszednich Białoszewski, filozofujący Herbert i całkowicie oddany poezji społecznej, poezji aktywnie ustosunkowa-

nej do rzeczywistości — Bohdan Drozdowski. Konkretem Białoszewskiego jest zwłaszcza przedmiot, konkretem Drozdowskiego — sytuacja, zazwyczaj silnie udramatyzowana. Pierwszy jest poetą przede wszystkim plastycznej wizji, drugi — zdynamizowanego obrazka, który otwiera możliwości wprowadzenia elementów bardzo swoistej retoryki. Każda z sytuacji jest obwarowana realiami, uplasowana w miejscu i czasie. Sytuacje wyrażane są bądź przez narrację, bądź też przez formę specyficznego dialogu, w którym przemawia jedna tylko *dramatis persona*. Oba te ujęcia realizują się w tym samym języku: języku całkowicie potocznym, któremu nie obce są zwroty czy frazesy charakterystyczne dla publicystyki, zwłaszcza ubiegłych lat. Styl Drozdowskiego jest stylem publicystycznym. Jest on jednak całkowicie odmienny od tego stylu publicystycznego, do którego przyzwyczaili nas lirycy pokolenia poetyckiego autorów *Wiosny sześciolatki*. Zresztą, aby nie być gołosłownym, porównajmy; oto dobrany przypadkowo fragment wiersza jednego z typowych dla tamtych lat poetów, wyjęty z tomu wydanego w roku 1951:

Tylko gorzka jest wiedza
o ojczyźnie rozdartej
i o westfalskim przemyśle,
co w szponach zbójeckich znów
Europy stał się prochownią.

Zdanie to, zarówno przez swój wybitnie dyskursywny charakter, jak i dobór słów — jest zwykłą publicystyką, napisaną w formie graficznej wiersza. Tego rodzaju dziennikarskie frazesy, jak „szpony zbójeckie", jawią się tu w całym swym prostactwie: nie są lirycznie modulowane przez kontekst poetycki. Ten styl publicystyczny był naprawdę wyrazem ubóstwa treści. U Drozdowskiego jest inaczej:

widzę iż
społeczeństwo w którym żyję
dojdzie do komunizmu
miliony padły za sprawę
miliony padną ponieważ
stary świat broni się
tzw. pazurami
Personalni powiadają
Człowiek to brzmi dumnie
a ja boję się personalnych
ponieważ mój ojciec
miał prywatny ślusarski warsztat

(Jerzy mówi)

Wybrałem przykład szczególnie wyrazisty. Ulubiony w poprzednim okresie frazes „człowiek to brzmi dumnie", cynicznie nadużywany, wzięty tu został w całkiem niedwuznaczny cudzysłów—podobnie zresztą powiedzonko o świecie, który „...broni się pazurami". Poeta dokonuje detronizacji publicystycznego frazesu, mimo że wprowadza go do utworu. Jest on również przedmiotem polemiki. Nie do tego tylko ogranicza się publicystyczność wierszy Drozdowskiego: nie jest ona — jak w cytowanym wyżej fragmencie — jedynie karykaturą. Elementy publicystyczne w omawianym tu tomie podporządkowane zostały retoryce. Przynoszą z sobą język oraz sposób i środki argumentacji. Funkcja ich jest jednak całkowicie inna niż u poetów tzw. „pryszczatych". Różnice dadzą się sprowadzić do dwu punktów: 1. Całkowita odmienność argumentacji: u liryków 1951 roku publicystyczności towarzyszy argumentacja emocjonalna; aktualny temat wspierany jest bądź przez gromko wyrażane oburzenie, bądź przez równie gromko enuncjowaną aprobatę — co nie znaczy bynajmniej, aby rzeczywiście został on lirycznie przeżyty. U Drozdowskiego przeciwnie — to, co pojawia się w publicystycznej warstwie wiersza, zyskuje jak najbardziej rzeczową argumentację: fakty — nieraz tradycyjnie niepoetyckie, jak ceny towarów (nawiasem mówiąc motyw cen obsesyjnie się u Drozdowskiego powtarza — jest to bodaj pierwszy liryk, który sięgnął po ten tak „prozaiczny" wątek). Motywacja roku 1951 jest abstrakcyjna, niesprawdzalna — jej siłą mogła być potencjalnie sugestywność; podstawą motywacji Drozdowskiego jest konkret. 2. Publicystyczność w poezji nie jest tylko sprawą tematu i stylu — stanowią one funkcję swoistego nastawienia poetyckiego, którego istota sprowadza się — jak mi się wydaje — do specyficznie doraźnego interweniowania w to, co się aktualnie dzieje. Interweniowania bądź afirmującego, bądź potępiającego okre-

ślone wydarzenie. Jego charakter decyduje o typie publicystyczności. W roku 1951 była ona afirmująca (nawet wtedy, gdy krytykowała w sposób zazwyczaj niewybredny to, co się dzieje na zachód od linii Łaby, pośrednio dokonywała apologii polskiej rzeczywistości — u podstawy tych wierszy leżał konstrast); publicystyczność u Drozdowskiego służy polemice. Środki publicystyki nasuwają wielkie możliwości: bezpośrednie zwroty do przeciwników, ton swoistej dyskursywności itp. To stanowi właśnie przyczynę owego „dialogowego" charakteru wierszy Drozdowskiego, o czym wspominałem wyżej. Są one bowiem nieustającą rozmową z oponentami — nawet wtedy, gdy oponenci ci nie występują bezpośrednio w tekście. Drozdowski polemizuje przede wszystkim z sielankowym widzeniem świata. Nie jest to jednak rozprawa ściśle literacka. Krytyka sielankowości stanowi wstępną fazę krytyki rzeczywistości — również i z tego względu, że sielankowość sama w sobie jest niezwykle charakterystycznym jej przejawem. Sielankowość, jeśli nie stanowi konwencji literackiej (artystycznie twórczej, zwłaszcza w liryce miłosnej), a jest poetycką metodą wyjaśniania świata, składa się z szeregu mniej czy bardziej odległych od prawdy mitów. Walki z mitotwórstwem nie prowadzi Drozdowski za pomocą nowych mitów: z góry skazana byłaby ona na niepowodzenie. Najlepszą jej formą jest eksponowanie faktów. Wobec faktów mit staje całkowicie bezbronny, szczególnie wobec faktów „gołych", nie poddanych jeszcze interpretacji, przemawiających przede wszystkim przez to, że ich rzeczywistości niesposób kwestionować. W walorach faktu jako środka poetyckiej polemiki tkwi chyba źródło „faktografii", tak charakterystycznej dla liryki Drozdowskiego.

Poszanowanie społecznie sprawdzalnego faktu i jednocześnie nastawienie wybitnie przeciwmitotwórcze uwarunkowało jedną z istotnych cech poezji Drozdowskiego: nazwać by ją można antyromantyzmem. I znowu: antyromantyzm jest charakterystyczny dla wielu liryków nowokształtującej się formacji poetyckiej. Polega on przede wszystkim na niedowierzaniu lirycznej interpretacji, na redukcji bezpośrednio oceniającej funkcji emocjonalizmu, który wychodzi z istoty rzeczy poza sferę przedmiotów lirycznej wizji. Liryzm powstaje z samego rozłożenią przedmiotów w obrazie poetyckim, a nie ze stosunku podmiotu lirycznego do wizji plastycznej, czy — w przypadku Drozdowskiego — „sytuacyjnej", określanego jakby z zewnątrz, nie tkwiącego *implicite* w samym obrazie. U różnych poetów zjawisko to przybiera różne postaci. U Białoszewskiego sprowadza się ono do urzeczenia przedmiotami samymi w sobie, u Herberta — do subtelnego klasycyzowania, u Drozdowskiego do fascynacji społecznie sprawdzalnym faktem, do wyeksponowania go jako głównego środka wyrazu i jednocześnie centralnego punktu zainteresowania. Treści emocjonalne, uczuciowe, jakie poeta wyraża w związku z tymi faktami, nie są jednak bogate. Drozdowski cały oddaje się aktualności — obawiam się, że gdy ta aktualność stanie się daleką przeszłością, wiersze jego utracą dar wzruszania, staną się jedynie zabytkiem. Poezji tej brak szerszych horyzontów intelektualnych i uczuciowych. Będzie ona należała z pewnością do tej liryki, która nie tłumaczy się sama przez się, która wymaga komentarza historycznego — potrzebnego nie tylko do zrozumienia warstwy realiów, ale również do właściwej percepcji aury emocjonalnej tych wierszy. Nie mają one — by posłużyć się modnym ostatnio sformułowaniem — drugiego dna. Są jednopłaszczyznowe. Ich podstawowym walorem nie jest ani głębia przeżycia, ani nowość obrazów poetyckich, ale stworzenie obrazu rzeczywistości przedpaździernikowej bez jakichkolwiek złudzeń. Taki walor jest jednak krótkotrwały.

A więc: czy tomik Drozdowskiego jest książką dobrą? Wydaje mi się, że jest dużo bardziej interesującą niż dobrą. Zainteresowanie, które wzbudziła, nie miało przyczyn czysto literackich — wynikło chyba z jej piekącej aktualności społecznej. Jestem o tym przekonany, że *Jest takie drzewo* nie można zestawić na jednej płaszczyźnie z najlepszymi debiutami poetyckimi roku 1956, z głośnymi zbiorami Białoszewskiego i Herberta czy mniej od nich słynnymi, ale również wartościowymi *Spotkaniami* Jana Czarnego czy *Pożegnaniami*

Julii Hartwig. Artystycznie ten zbiór jest jeszcze bardzo niedojrzały. Obok wierszy najlepiej świadczących o możliwościach poetyckich Drozdowskiego, takich jak *Gedächtnis* (która, nawiasem mówiąc, bardzo przypomina poezję Różewicza z okresu *Niepokoju)* czy *Ach! pozwól mi westchnąć*, znalazło się kilkanaście, które umieszczone zostały w tomie chyba tylko ze względu na swą aktualność; niektóre z nich — np. poemat *List do towarzyszy z KC*, z roku 1950, świadczący zresztą najlepiej o znakomitej trzeźwości poety — były tak słabe, że po prostu — w moim przekonaniu — nie kwalifikowały się do druku, jeśli traktować je nie jako dokument, ale utwór literacki. Ich artystyczna nieporadność rzuca się w oczy nawet przy pierwszej lekturze. Metaforyka bardzo często Drozdowskiego zawodzi. Jego przenośnie przeważnie obracają się w kręgu przedstawień poetyckich, wypracowanych przez Przybosia (rzadziej) i Różewicza (bardzo często). Próby uniezależnienia się od metaforycznej konwencji obu poetów nie przynoszą rezultatów. Wtedy przenośnia staje się bełkotliwa — wiersze przypominają język poezji (z jej „najlepszych" czasów), w której tematyka produkcyjna kojarzyła się z podzwonnymi stylu ekspresjonistycznego (absolutnie jej nie adekwatnego):

byliśmy młodzi
w ustach zamiast języka
soczysty miąższ nowych czasów
(Jest takie drzewo)

To brzmi jak fragment najbardziej nieczytelnych wierszy Andrzeja Brauna. Podobnie o słabości warsztatu poetyckiego Drozdowskiego świadczą niezbyt szczęśliwie stosowane takie zabiegi konstrukcyjne, jak przemilczenie. Sprowadza się ono u niego najczęściej do przerwania obrazu lub toku myśli — przy czym sam moment tego „przerwania" jest zbyt widoczny, aby mógł owocnie spełniać swe funkcje. To, co u Różewicza jest subtelnie cieniowane, u Drozdowskiego jawi się w całym swym natręctwie:

Brzoza
a jeśli brzoza to biała
sentymentalna i polska
jesieninowska albo*
(Brzoza)

Podobnych mielizn można by wskazać wiele. Cytować by można zwłaszcza te wiersze, w których obraca się poeta w kręgu odwiecznych tematów liryki — takich, jak erotyka czy uczucia ojcowskie. Drozdowski ma coś do powiedzenia tylko w sprawie aktualnych wydarzeń politycznych. Należy on do tych poetów, których podstawowym atutem jest współczesność problematyki — nie zyskuje sobie ona jednak większych walorów pisarskich. Poezja ta ma szanse stać się tylko swoistym i cennym dokumentem charakterystycznego dla okresu poprzedzającego Październik 1956 roku wzburzenia serc i umysłów, dokumentem autentycznej ideowej żarliwości. *Jest takie drzewo* Bohdana Drozdowskiego — to jeszcze jedna z licznych w literaturze polskiej książek, o których wartości decydują nie immanentnie w nich tkwiące walory literackie, ale to przede wszystkim, że są przekazami historii. Przekazami Wielkiej Historii.

Michał Głowiński

---

* Ostatni wiersz można by również interpretować — ze względu na dwuznaczność wynikającą z niestosowania znaków przestankowych — jako inwersję. Bardzo to byłaby niefortunna inwersja — nie umotywowana żadnymi względami: nawet wymaganiami rytmiki.

POETA MORALNEGO PORZĄDKU

Witold Wirpsza: *Z mojego życia.* Warszawa 1956, „Czytelnik", str. 150, 1 nlb.

Nowy tomik wierszy Witolda Wirpszy nie szokuje nowością w porównaniu z tym, co przynosiły jego poprzednie zbiorki. Jest to raczej owoc krystalizacji motywów i tendencji dobrze znanych z dotychczasowych tomików. Wirpsza to poeta porządku moralnego, moralnej obsesji. Jest to poeta programowy. Poezja pełni rolę kodyfikatora myśli i uczuć. Z tym poetyckim autoramentem włączył się Wirpsza w nurt literacki, który doń w sposób naturalny przylegał. Nurt ten szczególnie dbały był przecież o hierarchię spraw, szczególnie był skłonny do kodyfikatorstwa zarówno w sferze poetyckiego odczuwania, jak i w sferze poetyckiego rzemiosła.

Rygoryzm poetycki jest dla Wirpszy nakazem wewnętrznym, płynie z wewnętrznej potrzeby koordynacji. Nie został narzucony z zewnątrz. Stąd może płynie klasycystyczny i nieco emfatyczny ton, owo poczucie godności, manifestujące się w jego poezji. Dla przyjęcia obowiązującego kanonu nie musiała bowiem łamać się ze sobą w tym stopniu, co twórczość rówieśników o bardziej żywiołowym, „anarchicznym autoramencie".

Ta właśnie autentyczność określa także poetycką i intelektualną szczerość, z jaką poeta „uczuć skodyfikowanych" dokonuje moralnej i artystycznej korektury swojej poetyki, aż do jej jakościowej negacji.

Nowy zbiorek poetycki Wirpszy otwiera obszerny cykl wierszy autobiograficznych. Cykl ten wprowadza czytelnika w „poetycki kraj" dzieciństwa i młodości, kraj, z którego wywodzi się moralna i estetyczna wrażliwość poety jako podstawowy kapitał jego późniejszego artystycznego samookreślenia.

Również w tych najbardziej intymnych wierszach zwycięża intelektualizm i prymat refleksji. Wspomnienie ojca pochylonego nad dziełami Spencera, ojca — bibliofila i racjonalisty, to również polemika z pozytywistyczną naiwnością mieszczańskiego inteligenta starego pokroju, a romantyczna fotografia matki, wykonana przez egzotycznego fotografa — Greka z Odessy — daje poecie asumpt do romantycznej autosatyry i natrząsania się z nastrojów, wypełniających jakoby kraj rodzącej się poetyckiej wrażliwości.

Jest sporo nie zamierzonego masochizmu w tym wyznaniu poety, pastwiącego się nad mieszczańskim swoim *milieu*, w tym zakłopotaniu intelektualisty, zdającego sobie sprawę z tego, że nie łatwo jest „wybrać kryształ przejrzysty ze skrzyń owego spadku", który przypadło mu dźwigać i przezwyciężać w drodze własnych humanistycznych poszukiwań.

Przed doktrynerstwem doby wszechwładnego personalnika i swoistym „rasizmem klasowym", jaki dawał nam się długo we znaki, tak w życiu jak i w literaturze, ratuje poetę liryzm i żywiołowy humanizm.

Cóż oprócz życia
Daliście życiu —
Mojemu
I nie mojemu? —
Wrażliwość waszą
Noszę po świecie,
Lecz czuję już
Po innemu.

To „czuję już po innemu" brzmi deklaratywnie, zdawkowo. Cenzor wewnętrzny, jak widać, nie zasypiał gruszek w popiele. Tenże nieetatowy cenzor wewnętrzny nieraz jeszcze bruździ w twórczości poety, miesza mu szyki, wtrąca się nawet do najczulszego miłosnego wyznania, jak we wzruszającym zresztą wierszu o *Dziewczynie, którą kochałem,* pod której adresem w poincie pada groźne słowo „wróg", bez pokrycia w lirycznej sytuacji i bez umotywowania.

Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że natrętny cenzor wewnętrzny, który doskwierał nam wszystkim, był zwykłą emanacją realnego, materialnego cenzora.

*

...A ty, przyjacielu mojej młodości,
Jaka była twoja ostatnia myśl
Tam, w Oranienburgu?
Inteligenckie dziecko,
Które zdławił faszyzm?

„Inteligenckie dziecko, które zławił faszyzm", to prowadzący motyw poezji Witolda Wirpszy. Moralna problematyka okresu wojny i obrachunki kombatanckie wypełniają jego autobiograficzne strofy. Dużo w nich sceptycyzmu wobec przeszłego doświadczenia i odziedziczonego spadku intelektualnego i moralnego. Sceptycyzm ten występuje obok heroizacji tegoż doświadczenia i splata się z nim. Tragedia przychodzi później, gdy sceptycyzm wżerać się zaczyna w samą tkankę humanistycznej wrażliwości. Wiąże się to m.in. ze sposobem traktowania partii w niektórych wierszach, z zewnętrznym, „heteronomicznym", jak rzekłby filozof, charakterem ideału partii, nawiedzającego nieraz strofy poety, wstydzącego się czasem własnego humanistycznego doświadczenia.

Tak kształtuje się magia partii, do której płynąć trzeba „z daleka, z daleka", jak do magicznego lądu, tak odległego od własnej, nie byle jakim doświadczeniem okupionej, humanistycznej decyzji *(Rozmowa z sekretarzem).*

Niestety przez długi czas tak pojmowany ideał partii jako misterium odzierał z prostoty pojęcie humanistycznej aktywności, wyrastającej z ludowego doświadczenia, nie obcego przecież autorowi wiersza *Słowo,* jakże bardziej przekonywającego!

Jak to się stało, że w późniejszych wierszach ideał ten oderwał się od antyfaszystowskiego, kombatanckiego doświadczenia, doświadczenia młodości, tak pięknie oddanego w *Słowie?*

Wcześniej niż *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka, bo zimą 1953 roku, ukazał się na łamach *„Nowej Kultury"* głośny wiersz Wirpszy *List o sumieniu.* Pokazane w nim zostały palcem „wydrążone szczeliny" i „korytarze niezwykle bezpieczne", jakie wykopane zostały między partią a narodem. Bowiem:

Co jest najgorsze? Co bolesne?
Zdrada? — Ze zdradą można walczyć.
Klęska? — Zwycięstwo jest po klęsce.
A śmierć? — Śmierć groźna jest dla zdrajcy.
Lecz jeśli w sercu tkwi pytanie,
Któregom zdusić nie jest w stanie,
I jeśli czoło nie jest z miedzi,
Jeśli nie błyszczy czczą pozłotą,
Nie wolno się od odpowiedzi
Uchylić, milczeć.
Stoję o to.

Utwór ten, napisany z pasją, naładowany dużą energią frazy poetyckiej, należy moim zdaniem do najlepszych wierszy politycznych minionego okresu.

Problem moralny jest dla Wirpszy problemem praktycznym i sprawdzalnym, wynika z konfrontacji postaw i uczuć, ich potocznej przydatności. Praktycyzm ten wywodzi się poniekąd z brechtowskiego, humanistycznego utylitaryzmu. Od Brechta przejmuje również Wirpsza aforystyczną budowę wiersza, w którym morał ściśle jest spleciony z sytuacyjną kanwą utworu. Do najlepszych wierszy tego typu należy wiersz pod tytułem *Zagadnienia praktyczne,* z cyklu wierszy okolicznościowych.

*

W dobie kruszenia doktrynerstwa i apodyktyzmu, poczucie niezależności poetyckiego widzenia i artystycznej moralności odegrało pozytywną, rewolucyjną rolę. W tej walce o prawo do artystycznego samookreślenia nie chodziło przecież poecie o zwykłe reaktywowanie tradycyjnego hasła „sztuka dla sztuki".

Czytamy o tym w wierszu programowym Wirpszy pt. *Poeta:*

Nie tylko że ten świat przedstawia,
Mieszając barwy na palecie,
Lecz że mu siebie przeciwstawia
Jak ojciec siebie — swoim dzieciom,
Swą mądrość — dreszczom poznawania,
Łatwowierności — swoje zdania
Zrodzone z wątpień i przekonań,
Zaś politykom — dziejopisom —
Wnętrze człowieka: wiedzę ścisłą.

Uściślenie wiedzy o człowieku znaczy dla liryka — lepiej rozumieć samego siebie. Nurt liryczny oczyszcza się i dojrzewa w nowych wierszach Wirpszy. Ten rozgadany dawniej poeta opanowu-

je formę lirycznej miniatury, której nadaje urzekającą miejscami celność i lakoniczność. Liczne, rozsiane w tomiku „drobiazgi“ poetyckie z trzema tylko gwiazdkami zamiast tytułu należą do osiągnięć naszej powojennej liryki. Zacytujmy dla przykładu wiersz pt. *Pamięć:*

Że po tobie została
Pamięć o wojowaniu,
Bagnet prosty i czysty,
Broń zdatna ku strzelaniu,
Wysoki płomień miłości
I nienawiści węgiel;
Że pamięć o tobie palić
Sumienie moje będzie,
Ilekroć wygoda podszepnie
Okłamać drogę krętą:
Oddala się tragizm śmierci,
Rośnie życia zawziętość.

Lekceważone dotąd „małe“ wzruszenia zyskują prawo obywatelstwa w liryce Wirpszy. Do najpiękniejszych, udanych wierszy lirycznego cyklu należy także wiersz o dziewczynie czytającej Norwida w zatłoczonym tramwaju w Szczecinie, wiersz, w którym rehabilitacja „nieprogramowych“ uczuć, jak to u Wirpszy, w sposób programowy znajduje wyraz i potwierdzenie *(Małe wzruszenie).*

Nurt humanistyczny, nurt zaufania do ludzkiego wzruszenia i rozumu zwycięża w poezji Wirpszy ów źle zaadresowany sceptycyzm, który groził niegdyś załamaniem humanistycznej postawy pisarza. Poeta znacznie rozbudował swoje środki poetyckie, znika niezamierzona chropowatość strofy, coraz rzadziej występują w strofie natrętne zbitki skwierczących spółgłosek i pseudoaliteracji, znikają szczątki programowego antyestetyzmu.

Wirpsza jest poetą umiejącym artystycznie wyzyskać swoją biografię.

Czyż można rylec, choć pół zmarszczki twarzy
Żłobiący, jak zapałkę spaloną — zlekceważyć?
Wrzucić do kosza, na śmietnik? Próżnią wydmuchać kształt?
Bez osobistych dziejów niewiele człowiek wart.

Dobre wiersze obronią się same, a także przed „pryszczatymi“, których nie zabrakło również u startu przeżywanej przez nas ery Wielkiej Odnowy.

Arnold Słucki

STRZĘPKI CZASÓW POGARDY

Tadeusz Różewicz: *Opadły liście z drzew.* Warszawa 1956, PIW; str. 106, 2 nlb.

W odstępie jednego roku ukazały się u nas dwa literackie rozrachunki z okupacyjną młodością: *Rojsty* Tadeusza Konwickiego i *Opadły liście z drzew* Tadeusza Różewicza. Książki te łączą analogiczne koleje wydawnicze i podobieństwo tematyczne, wynikające, przynajmniej częściowo, z przynależności obu pisarzy do Armii Krajowej i przeżycia właśnie w jej szeregach bolesnej utraty młodzieńczych złudzeń, tęsknot i nadziei. Książki te dzieli coś więcej niż odmienność gatunków literackich i formy; tym „czymś“ — przynajmniej w moich oczach — jest inna postawa pisarska wobec traconych złudzeń, która w ogólnym bilansie zawiera chyba więcej aktywów i sald na rzecz Różewicza.

Jeśli Armia Krajowa w swej najbardziej dekadenckiej, przynajmniej w interpretacji Konwickiego, formie jest wyraźnym przedmiotem oskarżycielskiej narracji *Rojstów* — w opowiadaniach Różewicza ma ona charakter bardzo zakamuflowanego bohatera, a raczej tła społecznego fabuły, którego pisarz nie określa nigdy i nigdzie wyraźnie współrzędnymi ideowymi i politycznymi. O przynależności konspiracyjnej młodych ludzi, pojawiających się w każdym utworze Różewicza, nie wiemy niczego dokład-

nie i możemy się jej domyślać tylko — rzecz znamienna — z ich zachowania, psychicznych nawyków i odruchów warunkowych, wreszcie — jakże częstych! — kompleksów i zahamowań. O naszym politycznym zaszeregowaniu tych postaci decyduje zresztą sloganowa kondemnatka, ciążąca od wielu lat w opinii publicznej na tzw. „szarych", a przede wszystkim młodych członkach Armii Krajowej: przywykliśmy z dawna wyobrażać ich sobie jako inteligenckich, czasem przeintelektualizowanych, czasem rozhisteryzowanych chłopców, których — Bogiem a prawdą — można było spotkać tak samo w szeregach Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich.

Toteż rozrachunku Różewicza z okupacyjną młodością nie można utożsamiać z ideowym i politycznym rozliczeniem się z Armią Krajową, do którego, przynajmniej w niektórych partiach, próbują zbliżyć się *Rojsty*. *Opadły liście z drzew* swoją tonacją emocjonalną, a przede wszystkim stosunkiem do realiów przypominają raczej książkę odległą czasem swojej fabuły o 20 lat: *Na zachodzie bez zmian* Remarque'a. Niemiecki maturzysta z okresu pierwszej wojny światowej i polski szesnastolatek, nieprzypadkowo noszący w niektórych opowiadaniach Różewicza drwiące z romantycznych złudzeń imię Gustawa, podobnie boleśnie uczą się poznawać ponure realia, krwawe strzępki czasów pogardy powtarzających się co lat kilkadziesiąt.

Dziesięć opowiadań Różewicza — to dziesięć brutalnie wydartych kartek nie zawsze utrwalanego na papierze pamiętnika, w którym młody człowiek każdej epoki zapisuje swoje marzenia, nadzieje i postulaty wobec siebie, społeczeństwa, świata. Nie jest to troskliwe utrwalanie realiów „epoki pieców", jakie niby oś symetrii skoncentrowało wokół siebie całą powojenną twórczość Adolfa Rudnickiego. Różewicz nie pretenduje również do roli ascetycznego twórcy tzw. prozy dokumentalnej albo autentycznej — gatunku nader popularnego wśród naszych pisarzy i czytelników zaraz po wojnie. Jego utwory mają bowiem w sobie coś — i tu znowu przypomina się Remarque — co łączy wszystkich chłopców wrzuconych niby młode psiaki w odmęty wojny: zdziwienie pomieszane z lękiem na widok niecodziennego — a nagle zmieniającego się w powszedniość — okrucieństwa człowieka wobec człowieka, bezwzględności cierpienia i śmierci wobec życia.

Okrucieństwo, cierpienie i śmierć przeżera — w rozumieniu Różewicza — każdy najbardziej normalny i powszedni czyn ludzki, wybija piętno „czasów pogardy" na najbardziej codziennych i zwyczajnych sytuacjach życiowych. Zjawisko to łączy się w prozie autora *Opadły liście z drzew* z jakąś zatrważającą u młodych bohaterów jego opowiadań ironią i drwiną wobec ustalonej hierarchii wartości ideowych i moralnych, wobec jakiegokolwiek porządku, który w świat doznań i sądów ludzkich wprowadza choć trochę ustalony światopogląd. Dla każdej powołanej przez pisarza na poparcie swego stanowiska postaci lata 1939-45 są okresem zawieszenia w działalności nie tylko uświęconych, ustalonych i spisanych praw i prawd, ale i tych najprostszych, niemal sobie nieuświadamianych bodźców, które np. skłaniają do podania wody spragnionemu człowiekowi *(Pragnienie)*, a syna popychają do obrony pokrzywdzonej matki *(Piwo)*.

Każde z opowiadań Różewicza jest jak gdyby obsunięciem o jeden stopień w dół upadku tego, co zwykliśmy określać w człowieku jako „normalne" i „ludzkie". Sucha, pozbawiona niemal zupełnie elementów emocjonalnych i nastrojowych narracja odnotowuje ze skrupulatną pedantycznością kolejne ustępstwo bohatera — bardzo podobnego do siebie we wszystkich opowiadaniach — na rzecz otaczającego go świata, rządzącego się twardymi rygorami walki o zachowanie życia w najbardziej biologicznym sensie. Na miejsce zniszczonych kanonów i kryteriów moralnych i obyczajowych nie zostaje wprowadzone nic poza — również biologicznym — działaniem instynktu samozachowawczego. Surowa wiedza bohatera o utracie najbardziej cennych elementów swojej młodości nie zawiera w sobie niemal zupełnie nadziei na otrząśnięcie się kiedykolwiek z przygnębiającego dziedzictwa „czasów pogardy".

Gdyby nie to, że omawiany tomik

zawiera na ogół utwory powstałe w pierwszych latach powojennych, co najmniej dziwną by się wydała dysproporcja ideowa i artystyczna, jaka odgradza od siebie poezję i prozę Tadeusza Różewicza. Nie idzie mi bynajmniej o brak nasycenia jego opowiadań w tym samym stopniu co wierszy treściami — w najlepszym sensie tego zaszarganego zwrotu — politycznymi: ostatecznie *Niepokój* również składał się w większości tylko ze wstrząsających wyznań nieco uabstrakcyjnionego podmiotu lirycznego. Rzecz w tym, że w nieustannym nawrocie młodego poety do lat wojennych istotną rolę odgrywa chęć przeciwstawienia sobie lat 1939-45 i tych, które po nich nastąpiły, na zasadzie totalnie i historiozoficznie, niemal po heglowsku pojętej tezy i antytezy. W opowiadaniach Różewicza natomiast jest obecny tylko pierwszy człon dialektycznej triady: surowa, nieco dantejska, wizja zagłady najbardziej elementarnych dóbr, jakie nosi w sobie każdy człowiek.

Tutaj właśnie wpadamy na trop istotnej zalety, ale zarazem wady okupacyjnej prozy Różewicza, którą by można nazwać odpsychologizowanym psychologizmem. Strzępki czasów pogardy, najbardziej niebezpieczne, bo moralne, pozostałości po „epoce pieców" odnajduje pisarz konsekwentnie za każdym razem i w każdym opowiadaniu w sercu i umyśle młodego człowieka — czyni to jednak w sposób daleki od metod nie tylko Prousta, ale nawet Nałkowskiej. Różewicz jest behaviorystą: nieład we wnętrzu swojego bohatera rozpoznaje on po jego zachowaniu i czynach kłócących się z tymi, nieco optymistycznymi, wyobrażeniami, jakie zwykliśmy od wieków wiązać z młodzieżą — nie tylko w literaturze. Zupełna utrata złudzeń łączy dziwnie ścisłym, choć mało serdecznym węzłem zrozumienia bohatera prozy Różewicza i czytelnika, poznającego jego losy. Ale to ścisłe, niemal naukowe rozpoznanie moralnych skutków ostatniej wojny, jakie potrafi zawrzeć w swoich opowiadaniach Różewicz, decyduje głównie o aktualności i sugestywności jego prozy jeszcze dziś.

Usterką tego literackiego zapisu czasów pogardy są jego — mimo wszystko — zbyt małe ambicje literackie. Zestawienie z Remarque'iem jest dla Różewicza tyleż pochlebne, ile niepokojące — świadczy bowiem pośrednio o pozbawieniu wizji polskiego pisarza nieodzownych współrzędnych historycznych. Gdyby autor omawianych opowiadań nie zatrzymał się na behaviorystycznym progu i zaczął uważniej wnikać w psychologiczne zakamarki przerażenia czasami pogardy — utraciłby może sporo wartości estetycznych, ale i znalazł to, co bardziej istotnie różni od siebie niemieckiego maturzystę z roku 1916 i polskiego partyzanta z roku 1942: sens i cel ich walki z wrogiem. Różnica przyczyn, dla których młodzi chłopcy w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej chwycili za broń, jest bowiem zbyt istotna, aby ją można usprawiedliwić chęcią choćby najbardziej zobiektywizowanego, faktograficznego opisu...

A jednak — by wrócić do porównania uczynionego na początku — opowiadania Różewicza są bardziej słuszne ideowo i udane artystycznie od powieści Konwickiego. Surowość oceny swojej okupacyjnej młodości kształtuje się bowiem u każdego z tych pisarzy inaczej: Różewicz wystawia ją ze zbyt surową, „dorosłą" powściągliwością, Konwicki — ze zbyt młodzieńczym, rozwichrzonym, czasem aż niesmacznym, samooskarżaniem się i wzgardą wobec swojego *Sturm- und Drangperiode*. Wynikające z tego zestawienia miłe dla Różewicza wnioski nie zmieniają jednak w niczym faktu, że zarówno *Opadły liście z drzew*, jak i *Rojsty* zaliczamy do rzędu tych książek, na których czas wybił swoje wyraźne, cenne, ale i odcinające się od teraźniejszości piętno. A cóż będzie z przyszłością Różewicza-prozaika?

Zbigniew Pędziński

PŁOMIEŃSKI REDIVIVUS

Jerzy Eugeniusz Płomieński: *Twórcy bez masek.* Wspomnienia literackie. Przedmowa Artura Hutnikiewicza. Warszawa 1956. „Pax"; str. 304, 2 nlb.

Po wielu latach (nie dobrowolnego chyba) milczenia przypomniał się nową książką autor *Szukania współczesności*, jeden z najbardziej aktywnych krytyków okresu międzywojennego, Jerzy Eugeniusz Płomieński. Tym razem wystąpił jako autor wspomnień o swoich dawnych przyjaciołach literackich. Wspomnienia te osnuwają się wokół sześciu postaci: Franciszka Pika-Mirandoli, Karola Irzykowskiego, Stefana Grabińskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Tadeusza Dąbrowskiego i Julii Dickstein-Wieleżyńskiej. Obejmują więc okres bardzo rozległy, bo od schyłku Młodej Polski (szkic o Tadeuszu Dąbrowskim) aż po ostatnie miesiące drugiej wojny światowej (wspomnienie o Irzykowskim).

Książka Płomieńskiego reprezentuje rzadki u nas typ prozy z pogranicza eseju i pamiętnika. Rzadki na naszym terenie jest również ten rodzaj stosunku do pisarzy, jaki znajdujemy w *Twórcach bez masek.* Płomieński nie uprawia „czystej biografistyki", tzn. zbierania materiałów do „przyczynków" życiorysowych, ani też ryzykownych prób wyjaśniania czyjejś twórczości pisarskiej w całości i bez reszty jego biografią; nie jest też popularyzatorem w rodzaju Dębickiego, który anegdotami z życia pisarzy ozdabia swoje *Portrety* jedynie ze względów ubocznych: aby uczynić je bardziej atrakcyjnymi dla czytelnika. Może najbardziej przypominają wspomnienia Płomieńskiego szkice literacko-biograficzne Boya. Są od tych ostatnich mniej błyskotliwe, ale też mniej minoderyjne, nie obliczone na epatowanie czytelnika i budzenie w nim zainteresowań Racinem od tej strony, czy był on, czy też nie był trucicielem swej kochanki, albo Pascalem od strony jego przypuszczalnego ojcostwa nieślubnego dziecka jakiejś tam księżniczki.

Celem książki Płomieńskiego jest przekazanie pamięci potomnych doświadczeń zebranych z osobistych kontaktów z kilku nie żyjącymi już pisarzami. Beletryzując swoje wspomnienia w bardzo czasem zabawne i zgrabnie napisane nowelki (np. historia o tym, jak to za namową S. I. Witkiewicza udawał pułkownika wywiadu), autor nie podejmuje tak popularnej u nas tradycji gawędy zabarwionej czasem — w swych najwyższych formach — tonami filozoficznej refleksji lub lirycznej zadumy.

Poza stanowiącym wyjątkową w książce pozycję szkicem o Julii Dickstein-Wieleżyńskiej, najbardziej zbliżonym do „klasycznej" formy życiorysu, wspomnienia Płomieńskiego o jego literackich przyjaciołach układają się w cykle luźnych glos psychograficznych, socjograficznych, kulturograficznych, które nie mają bynajmniej ambicji pełnego wyczerpania tego splotu zagadnień, jaki stanowi określona osobowość twórcza, ale natomiast naświetlają ludzką osobowość danego pisarza z bardzo różnych punktów widzenia — i to przede wszystkim od strony jej kontaktów z praktycznym życiem, z innymi ludźmi, od strony warsztatu pisarskiego, rozważań nad własną sztuką. Dlatego też postaci twórców, z którymi zapoznaje nas Płomieński, rysują się w naszych oczach plastycznie i wyraziście. Książka ta jest zbiorem relacyj autora, przekazujących jego wiedzę o żywych ludziach i o powiązaniu ich życia i twórczości, o wzajemnych uwarunkowaniach tych dwu stref ich egzystencji.

Sądzę, że dla wielu czytelników będzie rewelacją to, czego dowiedzą się ze wspomnień Płomieńskiego o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, jednym z najbardziej fascynujących ludzi i godnych uwagi artystów dwudziestolecia. Ten szkic może ułatwić im w poważnym stopniu zrozumienie powieści i dramatów Witkacego, aklimatyzację w świecie myśli tego fenomenalnego pisarza. *Renesansowy człowiek* to również jedno z najlepszych w naszej literaturze studiów charakterologicznych artysty. Daje ono bardzo

dużo materiału do badań nad psychologią sztuki i psychologią twórcy.

Szkic o Mirandoli to nie tylko jedna z niewielu prac o tym niesłusznie zlekceważonym i zapomnianym dziś niemal zupełnie poecie i tłumaczu. Ułatwia nam ona zrozumienie stylu życiowego i myślowego Młodej Polski, pokazuje ten styl w perspektywie codziennego życia — bez tendencji do legendaryzowania go czy też karykaturowania. Z tym szkicem o charakterze kulturologicznym splata się tragiczna historia poety, który przeżył swoją epokę. Tak jak we wspomnienie o Witkiewiczu wpisany jest zarys wielkiej analitycznej powieści-studium w stylu i na miarę *Pałuby*, tak we wspomnieniu o Mirandoli odnajdujemy materiał — nawet jakby wstępny szkic — przepojonego liryzmem opowiadania czy dramatu o śmiertelności stylów literackich i tragediach ludzi, którzy stali się wyrazicielami takiego stylu, odnajdując w nim możliwości najpełniejszego wypowiedzenia się.

Szkic o Stefanie Grabińskim zapoznaje nas nie tylko z dziejami krótkiego a jakże smutnego życia autora *Demona ruchu*, lecz także stanowi dobre wprowadzenie w lekturę jego utworów. Przynosi on poza tym wiele informacji o życiu literackim dwudziestolecia, o różnych jego zaburzeniach i konfliktach, o jego atmosferze. Historia rokowań ze Steinsbergiem o honorarium dla Grabińskiego, gdy się ocenia ten fragment wyłącznie ze względu na jego literackie walory, to znów kapitalna nowelka i świetny wizerunek właściciela firmy „F. Hoesick". Ci, którzy pamiętają osobiście Steinsberga, mogą w pełni potwierdzić trafność jego portretu skreślonego przez Płomieńskiego.

Szkic o ciekawym, a zapomnianym niemal zupełnie krytyku, Tadeuszu Dąbrowskim, zawiera parę kapitalnych obrazków charakteryzujących dawną Galicję, a pośrednio i całą c.-k. Austrię, oraz migawek z czasu wojny. Ten szkic jest najsilniej przepojony elementami prozy powieściowej. Prezentuje w nim Płomieński swoje możliwości oryginalnego prozaika ujmując dzieje życia i twórczości Dąbrowskiego w formę już nie z pogranicza eseju i prozy beletrystycznej, lecz zgoła powieściowego szkicu o bardzo pasjonującej problematyce psychologicznej.

Szkic o Julii Dickstein-Wieleżyńskiej nazwałem już powyżej najbardziej zbliżonym do „klasycznej" formy życiorysu. Może dlatego jest on spośród wszystkich zamieszczonych w książce najbardziej „statyczny", najmniej efektowny. Daje on jednak starannie opracowaną charakterystykę bardzo osobliwej organizacji umysłowej, charakterystykę nowoczesnej „entuzjastki", działaczki rezygnującej niejednokrotnie w zapale pracy społeczno-kulturalnej z realizowania swoich zamiarów pisarskich. Ciekawa i godna uwagi jest również charakterystyka środowiska rodzinnego tej pisarki, stanowiąca cenny przyczynek do dziejów inteligencji polskiej z przełomu XIX i XX wieku.

Za poważne osiągnięcie Płomieńskiego uważam wspomnienie o Irzykowskim. Jest to próba biografii intelektualnej, pokazującej nie tyle drogi rozwoju, ile raczej p r a w a r o z w o j o w e twórczości autora *Pałuby*. Szkic biograficzno-wspomnieniowy nie jest oczywiście i nie może być pracą omawiającą wyczerpująco tak niezwykłe zjawisko literackie, jak Irzykowski. W każdym razie szkic Płomieńskiego świadczy o tym, że nikt inny z naszych współczesnych nie wydaje się upoważniony w równym jak on stopniu do napisania wielkiej, zasadniczej monografii o Irzykowskim.

Tyle o poszczególnych szkicach i ich głównych bohaterach. Nie zapominajmy jednak, że u Płomieńskiego znajdujemy jeszcze bardzo interesujące i z rozmachem skreślone portrety ludzi zjawiających się w tej książce jako figury epizodyczne. Szczególnie godne uwagi są sylwetki K. L. Konińskiego, Kadena, Makuszyńskiego, Orkana i dr. Breyera, wybitnego znawcy zagadnień spirytyzmu i okultyzmu, filozofa i religiologa, autora kilku interesujących rozpraw na tematy dotyczące tych właśnie dziedzin. Są to sylwetki literackie, które Płomieński mógłby nawet rozwinąć w osobne szkice. Jego umiejętność kreślenia interesujących charakterystyk przejawia się również w krótkich, epizodycznych scenkach. Przypomnę choćby umieszczoną w szkicu o Witkacym sylwetkę Micińskiego, charakterystykę p. Eugenii Borkowskiej (współautorki, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, *Bzika tropikalnego*) czy zamieszkałych w Witkiewiczówce

krewnych autora *Sonaty Belzebuba*. Płomieński daje się poznać w swej nowej książce nie tylko jako krytyk, ale również jako psychograf, psycholog, psychosocjolog (o tej rozległości zainteresowań świadczą zresztą i jego poprzednio ogłoszone prace).

Książka jest zbiorem wspomnień o ludziach i zdarzeniach. Tak została pomyślana i napisana. Stosując jednak w każdym ze szkiców odmienny, jakby specjalnie przystosowany do osobowości głównego bohatera sposób przedstawiania zagadnień, odmienną tonację stylistyczną i emocjonalną, Płomieński stwarza w swej książce wieloaspektowość widzenia różnych spraw z zakresu kultury, literatury, psychologii i socjologii twórczości. Ponieważ jednak pozostaje on ciągle w kręgu zagadnień życia literackiego, naświetlając z coraz to innych punktów widzenia różne jego kwestie, *Twórcy bez masek* przeobrażają się w szkicową monografię tego właśnie życia ze schyłku Młodej Polski i czasów międzywojennego dwudziestolecia.

Nie trzeba przecież zapominać o tym, że Płomieński należy do pokolenia, które najdonioślejsze dla siebie inspiracje światopoglądowe otrzymało jeszcze w czasach sprzed pierwszej wojny światowej. Jest to okoliczność, która nie pozostała bez wpływu ani na styl pisarski Płomieńskiego, ani też na właściwe jemu widzenie świata, człowieka i sztuki. W *Twórcach bez masek* te charakterystyczne cechy stylu i umysłowości pisarza uwydatniają się tym dobitniej, że książka ta zawiera dużo elementu beletrystycznego, że stoi na pograniczu biografistyki, eseju i powieści.

Nowy tom Płomieńskiego ukazał się prawie w trzydziestopięciolecie jego działalności pisarskiej. Jest to więc publikacja niemal jubileuszowa i stwarzająca okazję do obszerniejszego pomówienia o dotychczasowym dorobku autora. Taki właśnie charakter szkicu bilansującego posiada otwierająca *Twórców bez masek* przedmowa Artura Hutnikiewicza, wykorzystująca okazję jubileuszu do sporządzenia dokładnego rozrachunku z pisarstwem Płomieńskiego.

Stefan Lichański

„ROCZNIK LITERACKI 1955"

Rocznik Literacki 1955. Komitet redakcyjny: Zofia Szmydtowa (redaktor naczelny), Paweł Hertz, Tadeusz Zabłudowski. Warszawa 1956. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 675.

Pierwszy po wojnie tom wznowionego *„Rocznika Literackiego"* jest niewątpliwie wydarzeniem dużej miary w naszym życiu kulturalnym. Próba doraźnego podsumowania dorobku literackiego nie może z istoty swej stać się wyłącznie pozycją bibliograficzną, porządkującą i informującą, stanowi natomiast w okresie odzyskiwania przywileju wolności w dziedzinie twórczości literackiej dokument o szerszym znaczeniu, zajmując — a jest to założone w treści oceny — stanowisko w toczącej się dyskusji.

Komitet redakcyjny *„Rocznika"* może to uczynić bądź stosując zasadę selekcji podawanej informacji, bądź też przez dobór autorów — współpracowników. W danym wypadku nie zrobiono ani jednego, ani drugiego. Informacja jest jak najbardziej pełna, dobór zaś autorów poszczególnych artykułów nie ułatwia odczytania poglądów Komitetu Redakcyjnego na sytuację i rozwój literatury w Polsce w roku 1955.

Ma to oczywiście swoje zalety: stwarza pozory pewnej bezstronności, ale ma też i wady, a o tych trzeba parę słów powiedzieć.

„Rocznik" będzie miał niewątpliwie znacznie szerszy krąg czytelników, aniżeli przypuszczał Państwowy Instytut Wydawniczy drukując go skąpo w ilości 2 tysięcy egzemplarzy. Nakłady książek i czasopism literackich są miarą zainteresowania literaturą w naszym kraju. Nie trudno więc przepo-

wiedzieć, że publikacja mająca stanowić przewodnik po literaturze współczesnej, dająca jej krytyczną ocenę i wyczerpującą bibliografię uzyska popularność nie tylko w środowisku zainteresowanych naukowców i pisarzy. Z punktu widzenia tego właśnie przeciętnego zjadacza naszej literatury pozorny obiektywizm „*Rocznika*" stanowi jego mankament.

Pozorny — bo przecież uważne odczytanie zamieszczonych prac ujawnia zasadnicze różnice w ocenie nie tylko poszczególnych utworów (co jest zresztą zupełnie normalnym zjawiskiem), ale — a to jest już sprawą znacznie poważniejszą — w ocenie zarysowujących się tendencji, w referowaniu dyskusji posiadającej tak poważne znaczenie dla dalszego rozwoju literatury. Nie łatwo będzie czytelnikowi, sięgającemu wyrywkowo po „*Rocznik*", zorientować się w tych różnicach. Utrudnią mu to zadanie sami autorzy, którzy dążą raczej do maksymalnej ostrożności sformułowań, do zakamuflowania stanowisk, kładąc głównie nacisk na analizę walorów artystycznych, „formalnych" omawianych utworów, unikając zaś analizowania ich treści moralnej i społecznej.

W okresie minionym krytyka przyzwyczaiła nas do oceniania dzieła literackiego przede wszystkim jako faktu politycznego i społecznego. Nie miejsce tu wdawać się w dyskusję, o ile taki punkt widzenia był słuszny, należy jednak przypomnieć, że jeden koniec krytycznego kija zaopatrywany bywał w werdykt, mający niekiedy wręcz posmak donosu. Dlatego niepokoi wstrzemięźliwość krytyków w ocenie roku 1955, w którym dzieła literackie w znacznie większym i poważniejszym niż uprzednio stopniu posiadały ładunek polityczny.

Wspomniana wyżej wstrzemięźliwość cechuje przede wszystkim rozprawę o liryce i poemacie znanego krytyka, Hieronima Michalskiego, oraz artykuł Tadeusza Drewnowskiego o powieści i opowiadaniu. Natomiast należy jej przeciwstawić jasne formułowanie sądów i podkreślanie aktualności utworów literackich w pracy Andrzeja Kijowskiego o czasopismach literackich. Niewątpliwie Kijowski miał przed sobą zadanie prostsze, albowiem zwarte publikacje, które omawiają Michalski i Drewnowski, zawierają dopiero pierwsze odważniejsze głosy w rozpoczynającej się w tym roku dyskusji. Tym bardziej jednak było zadaniem krytyków podkreślenie tych elementów, które już równocześnie na łamach prasy literackiej a także politycznej rozrastały się do istotnych nurtów dyskusji na zasadnicze tematy.

Mimo jednak dużej ostrożności i wstrzemięźliwości krytycy dają wyraz zajętym przez nich w tym okresie stanowiskom. Odczytać je można nie tylko w deklaratywnych zdaniach o przełomie, jaki rok 1955 przyniósł, lecz również w ocenach osiągnięć i niepowodzeń literackich. Ujawnia to na przykład omówienie trzech pozycji poetyckich tego roku przez Hieronima Michalskiego, a mianowicie: antologii *Poezji Polski Ludowej*, tomu wierszy Mieczysława Jastruna *Poezja i prawda* oraz *Wierszy wybranych* Pawła Hertza. Autor szkicu krytycznie zapatruje się na „absolutny prawie, poza uszczypliwymi docinkami, brak rezonansu przygotowywanej z niemałym nakładem sił i środków antologii". Uważa, że „sama manifestacja niechęci wobec sprezentowanego podług odrzuconych recept obrazu współczesnej naszej poezji zastąpiła znowu potrzebę poważniejszej oceny dorobku dziesięciolecia i stanu naszej twórczości poetyckiej". A przecież ów brak rezonansu był, zdawałoby się, normalną reakcją na pomnikowe opracowanie tego, co autorzy antologii bardzo jednostronnie uważali za poezję dziesięciolecia. Brak cezury lat 48/49, zagubienie wielu najbardziej cennych utworów tego okresu i wysunięcie na plan pierwszy twórczości, która już w 1955 roku była należycie oceniona, wszystko to usprawiedliwiało przyjęcie, z jakim antologia się spotkała. Nie mógł tego widocznie krytyk dostrzec, skoro „schematyzm" określa na tej samej stronie jako „wyłącznie przejściowy epizod, będący niepotrzebnym i dramatycznym nieporozumieniem, zakłócającym ciąg rozwojowy poezji".

To właśnie ograniczanie się do czysto formalnej analizy zjawiska nie pozwala też odczytać krytykowi właściwego znaczenia *Poezji i prawdy* Jastruna. Bardzo pięknym kartom poświęconym poezji Jastrunowskiej brak dostatecznie jednoznacznego wyjaśnienia miejsca tych wierszy w roku 1955,

istotny problem, który krytyk piszący dla publikacji periodycznej, jaką jest rocznik, musi mieć na uwadze.

Podobnie przedstawia się sprawa z odczytaniem drugiej części *Wyboru wierszy* Pawła Hertza. Utrzymanie terminu „treści samotnicze" w odniesieniu do wierszy, które zupełnie inaczej odczytał nie tylko krytyk urzędowy, ale także przeciętny czytelnik, jest jednak próbą uniknięcia określenia własnego stanowiska wobec postawy reprezentowanej przez poetę, postawy tym jaśniejszej, że potwierdzonej w opublikowanych w marcowym numerze *„Twórczości"* 1955 roku nowych wierszy.

Ten zasadniczy mankament wynagradza w pewnej mierze bardzo szczegółowe omówienie wszystkich pozycji poetyckich, jakie się w tym roku ukazały, i wiele ciekawych uwag o poezji w ogóle.

Podobne wątpliwości nastręcza „kronikarski szkic" (według definicji samego autora) Tadeusza Drewnowskiego o powieści i opowiadaniu. I tu „uniki" stosowane są przy omawianiu wybitnych pozycji, *Gwiazdy zarannej* Marii Dąbrowskiej i *Złotego lisa* Jerzego Andrzejewskiego, po stronie zysków i w ocenie „swoistej detektywistyki" po stronie strat. Tym stratom należało, być może, szczególnie pisząc ów szkic z perspektywy całego roku, poświęcić nieco ostrzejsze słowa albo pominąć je milczeniem. „Nie chodzi tu bynajmniej o kwestionowanie podobnych faktów"— powtarzam za autorem, faktów istnienia szpiegów, dywersji etc., chodzi tu o to, że pisarze, „którzy jawnie ułatwiali sobie zadanie szukając źródła wszelkich naszych trudności i niepowodzeń w działaniu wroga", bardzo niedobrze zasłużyli się swemu społeczeństwu.

Przeciwstawiając tym dwóm szkicom Andrzeja Kijowskiego *Czasopisma literackie*, podkreślić należy odczytanie przez autora podtekstów toczącej się dyskusji i jasne zajęcie stanowiska w ocenie poszczególnych stron. W *„Roczniku Literackim"*, stawiającym sobie zadanie zobrazowania roku polskiej twórczości literackiej, posiada to szczególnie duże znaczenie.

Nie chciałbym ograniczać się wyłącznie do polemiki z dwoma szkicami *„Rocznika"* nie zaznaczywszy równocześnie, że jest to niewątpliwie poważne osiągnięcie. Przegląd zawartości pozwala na stwierdzenie, że otrzymaliśmy bardzo potrzebne i pożyteczne podsumowanie dorobku literatury polskiej w roku 1955.

Prawie siedmiusetstronicowy tom zawiera czterdzieści trzy artykuły ujęte w trzech działach: literatura polska, miscellanea i literatura obca w przekładach polskich. Artykuły poprzedzone są bibliografią, która „obejmuje polską produkcję wydawniczą r. 1955 w zakresie druków samoistnych z dziedziny literatury pięknej (oryginalnej i tłumaczonej), krytyki literackiej oraz nauki o literaturze (teorii i historii literatury), wreszcie prac z innych dziedzin (wiedza o książce, sztuka, muzyka i in.), mających związek z literaturą". W związku z tym, że był to Rok Mickiewiczowski, wyodrębnione zostały i wysunięte na czoło spośród wydawnictw r. 1955 mickiewicziana.

Wznowiony *„Rocznik"* jest, jak to już zaznaczyliśmy, wydarzeniem tak poważnym, że powinien zmobilizować do wypowiedzenia się zarówno naukowców, jak i krytyków. Pomoże to niewątpliwie sprecyzować koncepcję całego wydawnictwa, jak też i poszczególnych artykułów. Nota niniejsza, nie pretendując do oceny *„Rocznika"*, pragnie jedynie zwrócić uwagę na pewne niekonsekwencje, które zresztą odnajdujemy w innych działach. Tak na przykład bardzo rozmaicie potraktowali swe zadanie autorzy szkiców o literaturze obcej w przekładach polskich. Obok bardzo ładnego artykułu Adolfa Sowińskiego o literaturze niemieckiej, w którym główny nacisk położono na omówienie poszczególnych utworów i całokształtu pracy tłumacza oraz najciekawszej chyba w tym dziale pracy Stanisława Kołodziejczyka o literaturze antycznej znajdujemy bardzo profesorski szkic o przekładach z literatury hiszpańskiej, miejscami wręcz agresywny w swej filologicznej analizie. I w tym wypadku musi komitet redakcyjny powziąć decyzję na przyszłość, jaki typ oceny przekładów powinien znaleźć się w *„Roczniku"*.

Na zakończenie pragnę wspomnieć o pozycji, którą wielu czytelników powita z prawdziwą przyjemnością, a mianowicie o wznowionym po paru latach *Diariuszu Wydarzeń Literackich* (prowadzonym w krakowskim okresie *„Twórczości"* przez Piotra Grzegorczyka). Autorem diariusza w obecnym *„Roczniku"* jest W. Giełżyński. Chciał-

bym przy tym zwrócić uwagę na pewne niedopatrzenie. Diariusz, omawiający bardzo szczegółowo wydarzenia literackie, nie powinien pomijać tych, które w poszczególnych artykułach *„Rocznika“* zostały podkreślone, chodzi mi w danym wypadku o ukazanie się w lutowym numerze *„Twórczości“* opowiadania Marii Dąbrowskiej *Na wsi wesele*, w marcowym zaś — wierszy Pawła Hertza. Utwory te były przecież przedmiotem interesującej dyskusji, której apogeum była awantura po *Poemacie dla dorosłych* Adama Ważyka.

Wreszcie Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu pogratulować należy kolejnej, starannie wydanej i bardzo cennej pozycji wydawniczej.

Henryk Krzeczkowski

SPRAWA DNIA

Jednym z najpoważniejszych zagadnień społecznych, jakie wypłynęło na powierzchnię naszego życia publicznego po Październiku ze szczególniejszą siłą — jest zagadnienie szowinizmu i rasizmu. Zagadnienie z natury swej bolesne i trudne, gdyż godzące bardzo wyraźnie w jedność narodu i jątrzące z dawna zdawałoby się zabliźnione rany. Obywatele naszego kraju, na którego obszarze uśmiercono w sposób haniebny miliony Żydów, gdzie zabijano ze straszliwym bestialstwem kobiety i dzieci — nie mają prawa z ironią mówić o „rasie uprzywilejowanej". Dziwny to przywilej śmierć i prześladowanie.

Antysemityzm jest jednym z objawów walki z tym wszystkim, co osiągnęła ludzkość na drodze ku powszechnemu dobru. Jest sprzeciwem przeciwko humanizmowi — we wszystkich znaczeniach tego bardzo pojemnego słowa. W antyhumanistycznej postawie drobnomieszczaństwa znajdował on zawsze schronienie. Życie drobnego mieszczanina staje się czasami niższe od trawy, cichsze od wody — jak powiadają Rosjanie — ale nie ginie on nigdy i przy sprzyjających okolicznościach podnosi głowę. Tak samo i jego antysemityzm, który zaczyna skrzeczeć jak żaby, gdy tylko ciepły deszcz pada. O tym wiemy dobrze i wiedzą obywatele naszego kraju pochodzenia żydowskiego. Nie powinni się oni przejmować antysemityzmem typu kołtuńskiego.

Chodzi tu tylko o ten ciepły, łaskawy deszcz, sprzyjający plenieniu się najgorszych chwastów. Gdy sprzyja tego typu pogoda, gdy pomyślny opad rosi z tych miejsc, które powinny być zimne jak lód i nieprzejednane jak skała — dziwić się nie można, że niepokój ogarnia znowu Polaków pochodzenia żydowskiego. I jeżeli w swym niepokoju poczynają traktować tę kwestię nie tak poważnie, jak na to zasługuje — myślę, że można im to wybaczyć. Nawet gdyby czasami mylili legendy chrześcijańskie z żydowskimi...

Histeria jest jednak złym doradcą. Nie chciałbym, aby moi przyjaciele stracili całkiem zaufanie do ojczyzny Krzywickiego, Nałkowskiego, Karola Szymanowskiego i, z całą skromnością powiedziawszy, do mojej ojczyzny — i wiarę, że w tej ziemi, dla której śpiewał Tuwim i której dzieje badał Askenazy, Handelsman i Kleiner, znajdują się jeszcze uczciwi ludzie i prawdziwi demokraci. Nie można tracić wiary w Polskę dlatego tylko, że nienawiść zjawia się tam, gdzie z samej istoty głoszonej nauki nie ma dla niej miejsca. Tak samo, jak wierzący katolik nie może tracić wiary, jeżeli spotka objawy nienawiści w łonie instytucji, której podstawą ma być miłość do człowieka. Musi pracować nad tym, aby zatryumfowała miłość.

Życie każdego obywatela naszej ojczyzny jest bardzo ciężkie, a przede wszystkim połączone z olbrzymią odpowiedzialnością. Nie sądzę, aby ułatwiało innym obywatelom spełnianie ich obowiązków — wspaniałomyślne zrzeczenie się tych obowiązków, umycie rąk, oddalenie się na puszczę. Sądzę, że i Tuwim, i Słonimski zdawali sobie sprawę z tego, że ich życie po powrocie do Polski będzie trudne. Jednak wrócili. Jeżeli mam za złe Miłoszo-

wi to, że uciekł za granicę — to dlatego, że bał się wzięcia odpowiedzialności za nasze zbiorowe życie. Że nie chciał razem z nami cierpieć i walczyć o wartości ludzkie. Oczywiście, można się modlić: „Panie, oddal ode mnie ten kielich!". Ale kiedy się kto urodził w Polsce, musi wychylać owe kielichy goryczy, a czasem nawet trucizny.

A jednak jest to los zaszczytny w tej chwili być Polakiem, wbrew wszystkiemu i wszystkim. I mieć tę, może złudną, wiarę, że dokonujemy prac ważnych i wielkich. Wszyscy razem.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Niepokojąco przedłuża się *status quo* w układzie czasopism literackich. Wydało się, że puentą Zjazdu będzie powstanie nowych czasopism i ukonstytuowanie się grup literackich, których programy zaczęły się w końcu jakoś ujawniać i krystalizować. Tymczasem, jak dotąd, nic z tego. Słychać nawet, że zabiegające o pisma grupy spotykały się z odmową kompetentnych czynników.

Nie wiem, jaka będzie sytuacja za półtora miesiąca, kiedy ten felieton dotrze do rąk czytelnika. Obawiam się, że moje ubolewanie z powodu utknięcia na martwym punkcie tej sprawy będzie wtedy jeszcze bardziej uzasadnione niż obecnie.

Tymczasowość i wyczekiwanie widać bardzo wyraźnie na szpaltach czasopism. Wciąż brak nazwisk wielu wybitnych i aktywnych pisarzy, o których wiadomo, że z takich czy innych przyczyn z istniejącymi czasopismami nie współpracują, a należą do zespołów zabiegających o pisma nowe.

Redakcje zdają się wstrzymywać z ostrym stawianiem problematyki literackiej. Gra tu z pewnością rolę prosta lojalność wobec przeciwnika milczącego i pozbawionego trybuny. Kiedyś Kazimierz Brandys napisał w *„Nowej Kulturze"*, że istnienie i żywotność tego pisma są bezpośrednio uzależnione od istnienia przeciwników. Tylko wtedy *„Nowa Kultura"* — twierdził Brandys — z oficjalnego organu ZLP stanie się wyrazem grupowych poglądów i interesów. Po „zamachu stanu" w tej redakcji i deklaracji zespołu powstała sytuacja groteskowa: *„Nowa Kultura"* stała się jedyną grupą literacką. I to ani najliczniejszą, ani najpoważniejszą. Nawet nie prorządową. Przepraszam, zapomniałem o *„Tygodniku Powszechnym"*, którego pierwszy numer nowej „serii" ukazał się na gwiazdkę. Serdeczne powitanie pisma, które ma za sobą długie, bogate i burzliwe dzieje, pozostawiam sobie na później. Później zajmę się również nadziejami, jakie można rokować w związku z wejściem na arenę literacką tego nowego i z pewnością poważnego partnera. Co do programu politycznego, to—jak się zdaje—właśnie *„Tygodnik Powszechny"* będzie jedynym prorządowym czasopismem. Może będzie nawet dołączany obowiązkowo do każdego numeru *„Nowej Kultury"* dla pozytywnej przeciwwagi. Ale mniejsza z polityką. Pod tym względem środowisko literackie wyraźnie się wypaliło. To znaczy, że oprócz ogólników nie miało nic do powiedzenia. Nie mogę inaczej zrozumieć milczenia, jakie zalega wokół fundamentalnych i tak bardzo obchodzących literaturę spraw, jak np. reforma szkolnictwa ogłoszona przez ministra Bieńkowskiego, jak przygotowywana reforma sądownictwa, jak sprawa upowszechnienia kultury, jak sprawa książki wobec przygotowywanego podwyższenia cen księgarskich i decentralizacji ruchu wydawniczego i księgarstwa.

O szkolnictwie ukazał się w ubiegłym miesiącu tylko jeden artykuł — korespondencja właściwie — Heleny Grabowskiej, *Szkolnictwo w sytuacji podbramkowej* (*„Po prostu"*, Nr 50). Obserwację autorki, zebrane z woj. szczeciń-

skiego, można streścić następująco: faktyczną władzą szkolną był Komitet Wojewódzki partii, rola tej instytucji była zdecydowanie szkodliwa: o sprawach szkolnych wypowiadali się ludzie do tego niepowołani, szkołę traktowano po prostu jako komórkę propagandy politycznej, poniżano godność nauczyciela, wielu z nich pozbawiono prawa nauczania, tych, którzy pozostali, wyniszczano materialnie — przez niskie pensje, moralnie — przez przymuszanie ich do wypowiadania rzeczy niezgodnych z ich sumieniem i wiedzą, umysłowo i biologicznie — przez przeciążanie ich pracą. Obecna sytuacja nauczycieli nie jest do pozazdroszczenia. „Przez wykonywanie odgórnych instrukcji — pisze Grabowska — nauczyciele w dużej mierze stracili wśród uczniów zaufanie, które trudno będzie odbudować. Jeśli ktoś wmawiał do ostatniej chwili (bo np. w nauce o Konstytucji Ministerstwo Oświaty do ostatniej chwili nie zarządziło żadnych zmian) że: w Polsce jest idealnie, zbrodniarz jest przyjacielem dzieci, poezja Kasprowicza uległa burżuazyjnym wpływom, że wreszcie należy się uczyć grafomańskich wierszyków o »jednostkach« — trudno nam będzie odwołać to wszystko. Nauczyciel nie jest działaczem politycznym, który może unieważniać wydane przez siebie w innej sytuacji dekrety. Nauczyciel nie może zamknąć się w gabinecie — jest ciągle wśród uczniów, których wielu sprzyja poszukiwaniu prawdy i ideałów".

Tragedia nauczyciela to wielki temat. Szkoła to wielki temat. Godny naprawdę nowych *Syzyfowych prac.*

Szkołą zajmuje się również w 51 numerze *„Po prostu"* Asmodeusz. Stały felietonista tego pisma, z właściwym sobie ciężkawym humorkiem, snuje przewidywania w związku z wprowadzeniem nauki religii do szkół. Pozostawiając na boku znaczenie tej decyzji dla olbrzymiej większości społeczeństwa, na przykład dla wsi, której nastroje są właściwie decydujące dla naszego kraju, Asmodeusz skupia uwagę na losie dzieci rodziców niewierzących. Dzieci te — stwierdza felietonista, będą prawdopodobnie narażone na bardzo duże przykrości ze strony kolegów i nauczycieli wierzących oraz ze strony nietolerancyjnych księży, będą osamotnione, napiętnowane, udręczone. Większość — większością — zdaje się mówić Asmodeusz — ale co będzie z tą mniejszością, która ma rację?

Tu dotykamy niesłychanie istotnego problemu, który, jak sądzę, winien stać się przedmiotem wielkiej dyskusji. W głosie Asmodeusza i wielu innych wystąpieniach publicystycznych daje się odczuć lekką pogardę czy pobłażliwość dla tej części społeczeństwa, która korzysta z ideologicznych ustępstw partii. Tak, trzeba ustąpić — zdają się mówić nasi oświeceni — istnieją polityczne i ekonomiczne konieczności, wobec których nie należy się upierać przy programie intelektualnej przebudowy naszego społeczeństwa. Trzeba d a ć ludziom religię, jeśli to wpłynie na dostawy obowiązkowe, trzeba d a ć ludziom trochę wzruszeń nacjonalistycznych, jeśli to wzmocni dyscyplinę, trzeba d a ć ludziom trochę popularnych nazwisk, zrehabilitować różnych starych działaczy, jeśli to naprawi stosunki między nami a narodem. Przypomina się tu scena z powieści Miłosza *Zdobycie władzy,* której fragment drukowało ostatnio *„Życie Literackie"* — powodując tym samym powrót znakomitego pisarza do literatury krajowej. Tematem wydrukowanego fragmentu jest werbowanie byłego faszysty do zmontowania katolicko-nacjonalistycznej przybudówki partii. Autorem machinacji jest pracownik partii, odpowiedzialny za ideologię. Otóż on właśnie mówi językiem pogardy — pogardy, jaką oświecona mniejszość ma dla ciemnej większości, wiedząc, że posiadanie władzy jest zależne od irracjonalnych odruchów „tych w dole".

Cóż tu powiedzieć? Czy istnieje tragedia władzy? — względnie tragedia oświeconej mniejszości, która wiedząc na pewno, że ma rację, musi podporządkować się irracjonalnym odruchom ciemnej większości? Tragedia ta istniałaby, gdyby... Gdyby ktokolwiek mógł być pewien, że ma rację. Oczywiście gdyby nikt takiej pewności nie miał, byłoby niemożliwe życie intelektualne. Myśl i sztuka nie znają tolerancji i liberalizmu. Jednakże myśl i sztuka póty są myślą i sztuką, póki nie mają środków pozaintelektualnych i pozaartystycznych do przekonania reszty świata o swej racji. Gdy te środki znajdą się w rękach filozofów

i poetów, filozofia i poezja stają się tyranami, a sztuka i myśl narzędziem ucisku.

Trzeba być pewnym swojej racji, ale nie do tego stopnia, aby zmuszać innych do jej przyjęcia. Tak postępuje głupiec lub fanatyk.

Żal mi dzieci, którym wierzący koledzy porozbijają nosy. Myślę, że słuszność ma Asmodeusz, gdy z jednej strony apeluje do kleru i katolickich rodziców o tolerancję, a z drugiej strony do państwa o stworzenie szkół bezwyznaniowych. Ale nie chciałbym, aby w tych szkołach pod ochroną państwa wzrastało nowe pokolenie „oświeconych" pełnych pogardy, żyjących chęcią ponownego uporządkowania świata, zgodnie ze swoją niezachwianą i niewątpliwą racją.

Pamiętajmy, że tolerancja to nie znaczy ustępstwo. Tolerancja to znaczy niepewność.

Jan Kott obiecywał kiedyś, że napisze artykuł o tym, czy młodzież trzeba wychowywać w sceptycyzmie. Czekamy! A może ktoś inny?

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na świetny esej Zygmunta Kubiaka we wspomnianym już gwiazdkowym numerze *„Tygodnika Powszechnego"*. Esej ten pt. *Natura czy obłęd* jest niejako analizą duszy totalizmu.

Esej Zygmunta Kubiaka wydaje mi się najciekawszą pozycją nowego *„Tygodnika Powszechnego"*. Nie bez wzruszenia brałem do ręki numer pełen znanych i godnych szacunku nazwisk, których zniknięcie z naszego piśmiennictwa było ponurą hańbą. Z radością czytam dzisiaj wznowione pismo, z radością widzę, iż może ono dziś zabierać głos w sprawach naprawdę pryncypialnych.

Jednocześnie jednak budzą się pewne refleksje. Czym będzie i czym może się stać *„Tygodnik Powszechny"* w naszym życiu literackim? Pismo to straciło dwa atuty swojego rozwoju. Pierwszy atut to środowisko, w którym działało w latach 1945—48: Kraków, który wtedy był dużym skupiskiem intelektualistów, dziś jest pusty. Pisarze, nawet nie-katolicy w ścisłym tego słowa znaczeniu, którzy wówczas współpracowali z *„Tygodnikiem Powszechnym"*, odeszli i to nie zawsze do marksistów — jak twierdzi Kisiel — ale do tak zwanego Frontu Narodowego, albo po prostu do Warszawy. Jeżeli mogą drukować w *„Nowej Kulturze"* czy w *„Przeglądzie Kulturalnym"*, jak Jasienica (lub Koźniewski — przyp. diabła), to nie będą drukować w *„Tygodniku Powszechnym"*, który z tych wszystkich powodów skazany jest na partykularyzm.

A drugi atut — polityczny. *„Tygodnik Powszechny"* był kiedyś jedynym opozycyjnym pismem w Polsce. Stąd jego popularność i atrakcyjność. Dzisiaj — odwrotnie. Jest pismem rozsądku. Sensacji tam nikt nie będzie szukał. Oczywiście, zmieniła się postawa inteligencji konserwatywno-liberalnej, która jest właściwym adresatem *„Tygodnika Powszechnego"*. Inteligencja ta już tak za sensacją nie leci — ma jej dość. Boi się nawet więcej niż inteligencja partyjna, zwłaszcza młoda, która odrabia teraz lata posłuszeństwa. Filozofia „neopozytywizmu", głoszona przez Stommę i Kisielewskiego, jest dzisiaj bardziej popularna niż wtedy, gdy głosił ją Aleksander Bocheński, Paweł Jasienica (i Koźniewski — przyp. diabła). Ale już nie jest wyłączną własnością *„Tygodnika Powszechnego"*. Głosi ją nawet Roman Bratny. Oczywiście szansą istnienia pisma wcale nie jest absolutna oryginalność i przewrotność. Toteż nie o to chodzi, a po prostu o to, czy pismo ma coś własnego do powiedzenia w sprawach polityki i literatury. Nie, nie pismo: katolicyzm. I to jeszcze nie wszystko. Wszystko zależy od tego, jakich się ma przeciwników. Otóż wydaje mi się, że obydwie strony, t.zn. marksiści i katolicy, nie dorastają do konfliktu między sobą. Że w tym stanie swoich doktryn nie mają po prostu nic do powiedzenia o współczesności.

W dzienniku Witolda Gombrowicza (*„Przegląd Kulturalny"*, Nr 51/52) czytam:

> Uważam, że absolutnie nie da się zignorować egzystencjalizmu ani wyminąć go jakąkolwiek dialektyką. Sądzę, że artysta, literat, który nie zetknął się z tymi wtajemniczeniami, nie ma w ogóle pojęcia o współczesności (marksizm go nie zbawi). A także uważam, że brak tego przeżycia — przeżycia egzystencjalnego — w kulturze polskiej, zawartej dziś bez reszty w ramach katolicyzmu i marksizmu, opóźni ją

znowu o jakie 50 lub 100 lat w stosunku do Zachodu.

Zabawne, że Jean-Paul Sartre twierdzi, iż intelektualista bez wtajemniczenia marksistowskiego, nie ma pojęcia o współczesności.

Wypadnie chyba powtórzyć zdanie, już kiedyś na tym miejscu wyrażone: że kultura europejska atakowana przez upiory totalizmu i technokracji, znajduje się w stadium synkretyzmu. I że w gruncie rzeczy filozofia — oznacza dziś obronę godności ludzkiej. Cała reszta to trochę spór wydziedziczonych ziemian o herby i koligacje. *Wydziedziczeni* — to dobry tytuł do powieści o filozofach XX wieku. Jak *Mandaryni*.

I na zakończenie jeszcze Gombrowicz:

Albowiem już przyzwyczaiłem się do tego, że filozofia musi być klęską i wiem, że w tej dziedzinie możemy rozporządzać tylko myśleniem roztrzaskanym, wiadomo, że jeździec, który tego konia dosiada, musi spaść. Nie, nie jestem wymagający. Nie dopraszam się absolutnych odpowiedzi na absolutne pytania, zadowoliłbym się w biedzie mojej choćby dialektycznym ochłapem prawdy.

Andrzej Kijowski

PORTRET BERNARDA SHAW

Bardzo uroczyście obchodzono w Anglii stulecie urodzin Bernarda Shaw — prawie równie uroczyście, jak u nas w Polsce.

Istotna różnica polegała na nastawieniu: w Anglii rocznica jego urodzin stanowiła dogodną okazję dla próby generalnej oceny całokształtu twórczości pisarza w różnych jej aspektach, w Polsce oddano mu zaledwie hołd, jak przystoi przy tego rodzaju okazjach.

W Anglii starły się ze sobą różne sądy i opinie, wiele uwagi poświęcono wspomnieniom o pisarzu, tym cenniejszym, że ludzie, którzy przez szereg lat mieli możność obcowania z Bernardem Shaw, należą dzisiaj do pokolenia, które już odchodzi. Wzbogaciła się nasza wiedza o człowieku wybitnym, pisarzu śmiałym, którego dzieło związane jest najbardziej bezpośrednio z wielką kontrowersją, jaka towarzyszy epoce głębokich przemian i w jakiej my również żyjemy.

W Polsce wystawiono go na cokół, uczyniono z niego tabu, chroniono przed każdym atakiem. Człowiek, który za życia na równi chlubił się ilością przyjaciół co i wrogów, który celowo wzbudzał ferment, stanął poza zasięgiem krytyki.

Na skutek pokutujących u nas wciąż jeszcze nawyków myślowych uczyniono to przez aklamację. Ktokolwiek usiłuje pominąć negatywne strony twórczości Shawa, musi zapomnieć o niejednym. Nie są to drobne potknięcia myślowe, łatwe do odkrycia z perspektywy lat i zmienionych warunków, ani nawet momenty natury artystycznej, które w dziele literackim mają i mieć muszą znaczenie pierwszorzędne, lecz zasadnicze błędy koncepcyjne i podstawowe założenia filozoficzne.

Chociaż więc miarą wielkości pisarza są najwybitniejsze jego dzieła, to jednak pełnowartościowa ocena możliwa jest wyłącznie na podstawie całokształtu twórczości i Shaw nie może stanowić pod tym względem wyjątku. Nie wolno nam wobec niego stosować zasady przemilczeń.

Dla nas Bernard Shaw jest przede wszystkim jednym z najwybitniejszych burzycieli dziedzictwa krzywd, jakie pozostawiła w spadku dziewiętnastowieczna Anglia — autor *Profesji Pani Warren*, *Szczyglego Zaułka*, wróg nędzy z *Major Barbary* — Shaw, geniusz negacji.

Lecz zamiarem Shawa nie było wyłącznie burzenie starego świata, jego ambicje sięgały znacznie dalej, pragnął on wytyczyć drogi tym, którzy nadchodzili, by budować. Chęć tworzenia nowego była w nim równie silna, co szlachetna pasja niszczenia zła.

Jaka więc była jego koncepcja jutra?

Odpowiedź — zdawać by się mogło — jest jednoznaczna: Shaw od chwili, kiedy w młodości zetknął się po raz pierwszy z francuskim przekładem *Kapitału*, do końca życia uważał się za socjalistę. Ogólne założenia socjalizmu są u nas dostatecznie znane i nie wymagają dalszych komentarzy, natomiast to, co Shaw rozumiał przez socjalizm, zasługuje na analizę, ponieważ zaledwie w niektórych fragmentach jest zbieżne z nauką Marksa.

Materializm historyczny i dialektyczny i marksistowska ekonomia polityczna są elementami jednej i tej samej kontrukcji myślowej i wzajemnie się warunkują. Shaw przejął tylko niektóre tezy marksistowskiej ekonomiki, w pozostałych zagadnieniach szukał własnych rozwiązań. Ponieważ teatr Shawa jest w pierwszym rzędzie teatrem idei, dyskusja nad nim w ostatecznej instancji musi toczyć się na płaszczyźnie ideologicznej. Najłatwiej zacząć ją od krótkiego podsumowania tez samego autora.

Filozofia Shawa jest próbą indywidualnej, eklektycznej adaptacji myślowej różnych teorii naukowych i filozoficznych zeszłego stulecia. Od Bergsona zapożyczył jego *élan vital* — siłę witalną. Dla jej motywacji posłużyła mu biologiczna teoria rozwoju gatunków Lamarcka i Butlera, która jest próbą rewizji teorii Darwina. Darwin, motywując ewolucję gatunków, założył konieczność dostosowania się organizmów żywych do zmienionych warunków, Lamarck szukał niesprawdzalnych naukowo uzasadnień i wprowadził do swojej teorii moment świadomości i celowości jako zasadniczą przesłankę ewolucji. Teza Lamarcka jest próbą szukania kompromisu między materialistyczną teorią Darwina a wierzeniami religijnymi.

Shaw nie poprzestał na adaptacji teorii Lamarcka, lecz wprowadził do niej nowy moment. Jego zdaniem, świat składa się z dwóch elementów: życia i materii nieożywionej; życie wstępuje w materię i ożywia ją. Stosunek między życiem a materią jest stosunkiem antagonistycznym, z walki tych dwóch elementów rodzi się postęp. Kiedy życie potrafi wyzwolić się z materii, a więc z ciała, stanie się ono myślą w jej krystalicznie czystej formie. W najbliższej perspektywie warunkiem postępu jest wyparcie człowieka przez nadczłowieka; tak więc przybył Shawowi jeszcze jeden nauczyciel, ojciec duchowy nadczłowieka — Nietzsche.

Prawdziwe niebezpieczeństwo wszelkich irracjonalnych teorii ujawnia się w pełni dopiero wtedy, kiedy odarte z abstrakcyjnego i poetyckiego frazesu stają się dyrektywą działania. Nietzschego skompromitował Hitler, Shaw zdążył się sam skompromitować.

Nie uprzedzając jednak wypadków należałoby wpierw wyłożyć teorię nadczłowieka Shawa. Różni się ona nieco od swojego nietzscheańskiego prototypu; nadczłowiek Nietzschego jest arystokratą krwi i wojownikiem. Shaw nie ma równie jasno sprecyzowanej koncepcji nadczłowieka. W *Podręczniku rewolucjonisty*, który stanowi część składową *Człowieka i nadczłowieka*, Shaw długo waha się z wyborem: „Niestety, sami nie wiecie, jakiego rodzaju człowieka chcecie. Może przystojnego filozofa-atletę?". Gdzie indziej w tym samym tomie bardziej precyzuje swoją myśl i mówiąc o nadczłowieku wymienia Szekspira, Goethego, Shelleya; o sobie wprawdzie nie wspomina, lecz trudno oprzeć się wrażeniu, że przerwał myśl w jej toku, tym bardziej że niektóre jego wskazania dotyczące nadczłowieka mają wyraźnie autobiograficzne podłoże.

Nadczłowiek jest w każdym razie mężczyzną, ograniczenie możliwości intelektualnych kobiety wynika z faktu, że jest ona obarczona funkcjami rozrodczymi, które absorbują ją bez reszty. Jest ona bardziej niż mężczyzna istotna dla procesu życia — to Lilith w *Z powrotem do Methusalema* samorodnie zrodziła Adama i Ewę. Dlatego intelektualna treść życia staje się domeną — z punktu widzenia biologicznego znacznie mniej ważnego — mężczyzny.

Wzajemny stosunek płci jest inny od powszechnego na ten temat sądu. Kobieta, której pragnieniem jest zrodzenie nadczłowieka, jest stroną atakującą, mężczyzna zaś w końcu ulega jej grze, pozbawionej wszelkich skrupułów.

Znowu nieprzypadkowa chyba zbieżność poglądów z poglądami Nietzschego. Złośliwi twierdzili, że u podstaw wrogości Nietzschego wobec kobiet le-

żała jego niemoc. Nie wiadomo, jak się te sprawy przedstawiały u Shawa; różne na ten temat krążyły wersje, stały się one do tego stopnia natarczywe, że Shaw, chcąc im położyć kres, oświadczył kiedyś oficjalnie, iż wbrew wszelkim plotkom nie jest ani sodomitą, ani impotentem. Faktem jest, że według bardzo miarodajnego, bo własnego świadectwa, do 29 roku życia żył w celibacie, a mając lat 41 ożenił się ze starszą od siebie milionerką; małżeństwo to za obopólną zgodą nigdy nie zostało skonsumowane. Dziwne to było małżeństwo, chociaż zgodne. Shaw zdecydował się na nie, kiedy już był zmęczony, nie będąc jeszcze sławnym; na swoich pięć powieści nie znalazł wydawcy, dochody ze sztuk były wciąż jeszcze nikłe, długotrwała choroba sprawiła, że lęk przed nędzą, z którego nigdy nie umiał się wyzwolić, stawał się coraz bardziej natarczywy. A Shaw twierdził przecież, że artysta, a więc nadczłowiek, wyzyska bez żadnych skrupułów matkę i żonę, by tylko mieć możność tworzenia. Zgodnie z tą maksymą nie wahał się dziewięć lat pozostawać na utrzymaniu matki w trudnych i nieprzyjemnych warunkach, by spełnić to, co — jak wierzył — było jego posłannictwem w życiu. A jednocześnie ten człowiek, pełen wewnętrznych sprzeczności, zupełnie bezinteresownie poświęcał wiele czasu i energii pracy propagandowej w Towarzystwie Fabiańskim. Miliony jego żony, o których często i chętnie wspominał na wpół serio, na wpół żartem, przyszły wtedy, kiedy były mu już prawie niepotrzebne; wkrótce zyskał sławę i w parze z nią powodzenie materialne.

Ta krótka dygresja biograficzna nie miałaby uzasadnienia, gdyby można było zrozumieć twórczość Shawa w oderwaniu od jego własnych doświadczeń życiowych. Tak jednak nie jest. Cała działalność literacka Shawa ma nie tylko wyraźne implikacje pozaliterackie, lecz jednocześnie podłoże autobiograficzne, jest w równej mierze subiektywna, co dydaktyczna.

Celem uzasadnienia niniejszego twierdzenia należy zbadać doktrynę w działaniu, skonkretyzować abstrakcję i odrzucić metafizykę.

Człowieka i nadczłowieka napisał Shaw w roku 1903, *Z powrotem do Methusalema* — w roku 1921. W tych dwóch sztukach, a chyba jeszcze w większej mierze we wstępach do nich, wyjaśnił i uzasadnił swoją filozofię, stąd też ich kluczowe znaczenie dla zrozumienia całokształtu inspiracji intelektualnej Shawa. Natomiast popularne u nas sztuki, takie jak *Profesja Pani Warren* czy też *Szczygli Zaułek*, bez względu na ich wartość artystyczną i wymowę społeczną, pod względem tematycznym i chronologicznym zamykają jedynie pewien etap w jego twórczości, którego znacznie pełniejszym odpowiednikiem jest społeczna i publicystyczna działalność Shawa w Towarzystwie Fabiańskim. Miarą talentu Shawa jest fakt, że sztuki te nie straciły dotychczas nic ze swojej atrakcyjności, mimo że aktualność społeczna poruszanych w nich zagadnień nie jest dziś większa aniżeli w niektórych powieściach Dickensa. Ambicja Shawa sięgała zawsze poza doraźne cele społeczne: realistyczną fasadę umiał wzbogacić swoistą symboliką i wskutek tego zasięg jego sztuk nie obejmuje wyłącznie tylko sfery zagadnień bezpośrednio poruszanych, lecz daje się rozszerzyć na cały kompleks problemów pokrewnych. Dlatego właśnie założenia filozoficzne, które sprecyzował w roku 1903, a potwierdził w roku 1921, mają znaczenie fundamentalne i każda próba umniejszenia ich wagi byłaby niezgodna z intencjami samego Shawa.

Człowiek i nadczłowiek i *Z powrotem do Methusalema* mają fundamentalne znaczenie dla całej twórczości Shawa; z ich ducha zrodziła się *Genewa* i *Wielki Kram*, w nich zawarta jest kwintesencja antydemokratycznych sympatii tego wielkiego pisarza, o którym Chesterton mówi: „Jego wielkim błędem jest i był brak sympatii demokratycznych. Nie było nic demokratycznego ani w jego humanitaryzmie, ani w jego socjalizmie. Na jego chwałę przypisać należy to, że współczuł zwierzętom jak istotom ludzkim, jego błędem było, że współczuł ludziom zaledwie tak, jakby byli zwierzętami".

Socjalizm Shawa uwarunkowany jest nie rozwojem społecznym, lecz mitycznymi procesami biologicznymi: „Naszą jedyną nadzieją jest ewolucja. Człowieka musi zastąpić nadczłowiek. Jedyny podstawowy i możliwy socjalizm osiąg-

nąć można drogą socjalizacji selektywnej hodowli człowieka — innymi słowy drogą ewolucji. Musimy wyeliminować Yahu, w przeciwnym bowiem razie jego głos zniszczy państwo".

Kto nie przeżył lat grozy, nie jest w stanie zrozumieć strasznej wymowy słowa „eliminować", rzuconego w pustkę, bo Shaw wprawdzie nie nazywa po imieniu ani oprawców, ani ich ofiar, z toku jego myśli wynika jednak w sposób niedwuznaczny, że prawo życia i prawo śmierci jest wyłączną prerogatywą samozwańczych instytucji nadludzi.

Człowiek, który z przekonaniem twierdził, że jest socjalistą, w ten oto sposób wyraża się o proletariacie: „Nie mam żadnego uczucia dla klasy pracującej, z wyjątkiem chęci obalenia jej i zastąpienia ludźmi rozsądnymi".

Godny uwagi jest fakt, że każde sformułowanie teoretyczne Shawa bezpośrednio postuluje czyn, jego pewność siebie ma wszelkie znamiona arogancji i wypływa z pogardy dla człowieka i braku sympatii dla jego aspiracji. Demokracja, która zakłada równość między ludźmi, dla Shawa jest koncepcją absurdalną; nie tylko wyszydził ją w *Wielkim Kramie*, gdzie głupkowatym ministrom przeciwstawił mądrego króla, ale w *Podręczniku rewolucjonisty* tak wyraża się o demokracji: „Gdyby mniejszy umysł potrafił zmierzyć większy, tak jak podziałką centymetrową można zmierzyć piramidę, istniałaby celowość w powszechnym głosowaniu. Tak jak sprawy przedstawiają się obecnie, problem polityczny pozostaje nie rozwiązany". W innym znów miejscu twierdzi: „Jeśli despotyzm zawiódł dlatego, że nie było mądrego i życzliwego tyrana, jakie szanse ma demokracja, która wymaga, by cała ludność była zdolna do głosowania".

Rozwój wypadków sprawił, że wkrótce znaleźli się ludzie i powstały systemy polityczne, które z brutalną konsekwencją realizowały mity o nadczłowieku. Demokracja została zepchnięta do defensywy, zdawało się niektórym, że przeżywa ona poważny kryzys, świat stał się ponury, Shaw zaś triumfował, jego szutka *Genewa* to paszkwil na demokrację. Napaść Mussoliniego na Abisynię poparł bez żadnych zastrzeżeń. Shaw nigdy nie zrewidował swego stanowiska, nawet w obliczu najbardziej wstrząsających faktów, a w roku 1945, w przedmowie do zbiorowego wydania swoich sztuk, wyraża ubolewanie, że „Anglia nie protestowała, kiedy Mussoliniego zlinczowano w sposób haniebny w Mediolanie".

Są to fakty, o których zapomnieć nie wolno, a które u nas od szeregu lat wstydliwie się przemilcza. Istniały racje, które sprawiły, że ten heretyk uzyskał *imprimatur*. W imię prawdy należy go w końcu ukazać w prawdziwym świetle i we właściwych proporcjach. Taki cel postawił sobie St. John Ervine w swojej wielkiej monografii *, która ukazała się w ramach uroczystości ku czci Bernarda Shaw. W dziele swoim St. John Ervine zebrał olbrzymi materiał faktyczny i biograficzny i na jego tle w sposób bardzo ostrożny starał się uzasadnić swoje tezy. Było to zadanie o tyle niełatwe, że St. John Ervine nie podziela ani socjalistycznych, ani antydemokratycznych poglądów Shawa, z drugiej zaś strony darzy wielkim podziwem pisarza, którego wieloletnią przyjaźnią się chlubił. Ciekawym i nie stosowanym dotąd eksperymentem było wciągnięcie w orbitę zainteresowań nielicznego zresztą grona przyjaciół Shawa i poświęcenie im wiele uwagi, nawet odrębnych krótkich studiów monograficznych, przez co uwypuklił Ervine postać samego Shawa i zbliżył go do czytelnika. Bardzo szczegółowe potraktowanie okresu dublińskiego, warunków domowych, wzajemnego stosunku rodziców, atmosfery, w jakiej dojrzewał, może ułatwić wyjaśnienie przyczyn, dla których twórczość Shawa jest tak uboga w treść emocjonalną, chociaż Ervine takich sugestii nie wysuwa. Rodzice Shawa byli małżeństwem pod każdym względem niedobranym; przyczyn dysonansów było wiele, nic natomiast, co by je w pewnej przynajmniej mierze rekompensowało. Jak pani Shaw, osoba zimna, wyzbyta wszelkiej uczuciowości, miała możność przekonać się wkrótce po ślubie, małżeństwo jej, zawarte z wyrachowania, nie spełniło pokładanych w nim nadziei; toteż nie widzia-

* St. John Ervine: *Bernard Shaw his Life Work and Friends*, Constable, London.

ła powodów, by nie wyciągnąć z tego faktu odpowiednich wniosków. Za jej sprawą proces rozkładu życia rodzinnego zaczął się w niewiele lat po ślubie i skończył się separacją. Jej stosunek do dzieci był równie oschły i nieprzyjemny, jak do męża; jej egoizm wykształcił w Bernardzie Shaw egocentryzm, jej chłód zabił w nim uczuciowość. Stąd też bogactwo przeżyć intelektualnych idzie u Shawa w parze z ubóstwem doznań emocjonalnych. Shaw stara się rozwiązać wszystkie problemy wyłącznie na podstawie przesłanek racjonalnych i chyba dlatego tak często się myli; widocznie zanadto złożona jest natura ludzka, by móc ją odcyfrować przy pomocy jednego tylko klucza. Kto pomija lub neguje znaczenie czynnika emocjonalnego w życiu człowieka, ten go nigdy zrozumieć nie potrafi. Dlatego Shaw nie stworzył wielkich postaci, dlatego nie wzrusza, tylko zaskakuje, olśniewa śmiałością i oryginalnością sformułowań, zasypuje lawiną wspaniałych aforyzmów. Jego temperament artystyczny nie ma sobie równego, jego pewność siebie nie zna wahań, im mniej ma racji, tym bardziej jest agresywny. Słusznie też zauważył Chesterton we wspomnianej już poprzednio pracy, że Shaw zamierzał stworzyć teatr problemowy, a stworzył teatr propagandowy — właściwie różnica między problemem a propagandą sprowadza się do stosunku wobec poruszanych zagadnień.

Niektórzy krytycy zarzucają Bernardowi Shaw, że nie stworzył charakterów, tylko chór posłusznych manekinów, które wyrażają wyłącznie jego własne opinie. Sąd ten jest niesłuszny i krzywdzący wobec autora *Świętej Joanny* i *Pygmaliona*, lecz — jak w każdym uproszczeniu — jest w nim również i ziarno prawdy. Zasadniczym celem, jaki postawił sobie Shaw, była nie analiza charakterów, lecz zagadnień, i wnioski, jakie wysnuwał, miały zawsze charakter syntetyczny. Myśl Shawa biegnie nieodmiennie od wyimaginowanego konkretu do najszerszych uogólnień, ambicją jego było ustanowienie czegoś na kształt praw fizyki w dziedzinie, której tego rodzaju prawom podporządkować niesposób. Tezy Shawa nie są uwarunkowane indywidualnymi cechami, wartość cech indywidualnych polega wyłącznie na tym, że służą one do optymalnego naświetlenia praw, które Shaw chce uznać jako ogólnie obowiązujące.

Wszystko, do czego zmierzał Shaw w dziedzinie teatru, było śmiałe i nowatorskie, dlatego tak długo musiał czekać na pierwsze sukcesy. Długa i trudna była jego droga do sławy; jej dramatyczny przebieg relacjonuje Ervine z dużą skrupulatnością, śledzi każdą premierę, odnotowuje każdy sukces, cytuje recenzje, konfrontuje opinie, sam bardzo sumiennie ocenia każdą sztukę z osobna. Swoje zastrzeżenia uzasadnia w sposób przekonywający i zawsze stara się zachować umiar w sądach.

Portret samego pisarza odmalowany jest w barwach bardzo ciepłych, ukazuje nam człowieka zupełnie innego, aniżeli można by się spodziewać na podstawie jego dzieł. Shaw w życiu codziennym był człowiekiem niezwykle skromnym, nie miał żadnych potrzeb osobistych, życie jego wypełniła bez reszty praca i poza nią nie miał żadnych pragnień ani ambicji. W miarę jak upływały lata i rosła sława, Shaw w niczym się nie zmienił, wierzył w swój geniusz, kiedy inni go kwestionowali, a ponieważ zawsze był przekonany, że ma we wszystkim rację, więc i powszechne uznanie nie było dla niego niczym niespodziewanym — chociaż miło jest zbierać piękny plon pracowitego żywota.

Bronisław Wiśniowski

KRONIKA ANGLOSASKA

Dorocznym zwyczajem popularny amerykański tygodnik literacki „*Saturday Review*“ zamieścił 22 grudnia ubiegłego roku spis książek, które kilkudziesięciu krytyków, dziennikarzy, pisarzy i naukowców uważa za najlepsze pozycje wydawnicze roku 1955. Zaszczyt figurowania na tej liście otrzymało ponad pięćdziesiąt książek, podzielonych na trzy grupy według następujących kryteriów: „ogólne“ (filozofia, historia, publicystyka), „poezja“, i „powieść“. Wydaje się, że nawet proporcje statystyczne są ciekawe; mamy więc 27 pozycji „ogólnych“, 15 poetyckich i 11 powieściowych. Nie zostały wzięte pod uwagę tłumaczenia, co jest zastrzeżeniem o tyle istotnym, że pośród best-sellerów, zaliczanych do prawdziwej literatury, na pierwszym miejscu pod względem poczytności stoją dwie książki młodej powieściopisarki francuskiej, Françoise Sagan.

Zestawienia noworoczne nie zawsze są miarodajne, wystarczy przypomnieć, że przed stu pięciu laty zabrakło na podobnej liście *Moby Dicka;* pozwalają one jednak zorientować się przynajmniej w ogólnych upodobaniach krytyki i czytelników.

Na szczególną uwagę zasługuje popularność poezji. Wydaje mi się, że w dziedzinie znajomości poezji angielskiej (w języku angielskim) zaniedbania są u nas bardzo poważne. W kołach inteligencji humanistycznej przeważa znajomość języka francuskiego, przekładów poezji angielskiej prawie w ogóle nie ma, przekłady zresztą nie wystarczą. Polskie wydawnictwa i pisma literackie powinny zastanowić się nad możliwościami usunięcia tego zaniedbania, warto by może było zwrócić się do znawców tej poezji w kraju i za granicą.

Z recenzji w pismach literackich angielskich dowiadujemy się, że w Londynie ukazała się książka profesora Uniwersytetu Warszawskiego, pani Margaret Schlauch, o współczesnej poezji amerykańskiej i angielskiej. W polskiej prasie głucho o tej książce, w księgarniach oczywiście jej dostać nie można. A przecież *Modern English and American Poetry* Margaret Schlauch zdobyła sobie bardzo pochlebną opinię nawet w Anglii. „*Times Literary Supplement*“ poświęcił jej w jednym z grudniowych numerów artykuł wstępny, w którym autor podkreślając rzetelność marksistowskiej analizy i cenność wywodów autorki zaznacza: „W okresie bardzo wielkiego napięcia pomiędzy Zachodem a krajami sowieckiej sfery wpływów rzeczą orzeźwiającą jest spotkanie z książką, która sugeruje możliwość porozumienia pomiędzy krytykami z tej i tamtej strony żelaznej kurtyny na innej płaszczyźnie aniżeli grzeczne unikanie istotnych problemów względnie prześciganie się w obrzucaniu gniewnymi wyzwiskami“.

Wracając do wspomnianej na wstępie listy, musimy stwierdzić, że rewelacji na niej czytelnik nie znajdzie. Krytyk amerykański omawiający w innym miejscu tegoroczny dorobek powieściowy stwierdza, że był to rok przeciętny, żadnych szczególnych wzlotów ani też niezwykłych upadków. Oczywiście mogą się mylić autorzy listy, ale nawet uważna lektura recenzji ukazujących się systematycznie i szybko w najrozmaitszych czasopismach potwierdza ich opinię.

Jak zwykle dużo było wznowień. Panuje w tej dziedzinie pewna moda. Wygląda na to, że po okresie entuzjazmowania się pisarzami wiktoriańskimi wkraczamy w okres powodzenia literatury lat dziewięćsetnych i międzywojennej. Byłoby to zresztą zgodne z trwającą już od pewnego czasu w innych mniej poważnych dziedzinach popularnością tych lat. Czytelnikom angielskim przypomniano pod koniec roku dwie wybitne osobistości pierwszej połowy wieku: Virginię Woolf i Lyttona Stracheya, wydając tom ich korespondencji.

Znakomita pisarka i słynny historyk należeli do grupy angielskich intelektualistów ochrzczonych lekceważącym początkowo mianem grupy „Bloomsbury“ (dzielnicy Londynu). Z czasem nazwa ta utraciła odcień dezaprobaty,

rewoltujący zaś publiczność lat dziewięćsetnych intelektualiści przeszli zwykłą rzeczy koleją na szanowne stronice historii literatury, nie dość jednak odległe, by pozwolić na opublikowanie ich papierów osobistych bez poważnych skrótów. O pełnym wydaniu pamiętników pisarki chwilowo jeszcze nie ma nawet mowy.

Wznowienia, dokumenty, prace o pisarzach cieszą się stałym zainteresowaniem. Nie ogranicza się ono zresztą do pisarzy angielskich. Rok ubiegły był na przykład szczególnie pomyślny dla Prousta. Ukazała się po angielsku i znalazła bardzo szeroki oddźwięk odnaleziona niedawno wczesna powieść Prousta *Jean Senteuil* (stanowiąca jakby wstępny wariant jego wielkiego cyklu), wyszły w przekładzie jego listy do matki i tom esejów *Contre Sainte-Beuve*, ostatnio zaś przekład książki Germaine Brée i angielska praca o nim pióra J. M. Cockinga.

W dziale ogólnym prymat mają książki historyczne. I to przede wszystkim książki historyków-amatorów. Historyk-amator jest niewątpliwie zjawiskiem związanym z ustrojem społecznym i gospodarczym kraju. Musi on mieć czas, pieniądze, doświadczenie i solidne wykształcenie. Nic dziwnego, że spotykamy go jeszcze w Anglii i że w Polsce dawno już zaginął. Angielska tradycja parania się piórem w okresach niebrania udziału w życiu publicznym sięga bardzo dawnych czasów. Tak powstały eseje Bacona, tak pisali możni panowie osiemnastego wieku. Tak pisze w wieku dwudziestym sir Winston Churchill.

Historycy zawodowi nie patrzą przychylnym okiem na te „pożyteczne zajęcia". Skłania ich ku temu wiele powodów. Odnajdują nieścisłości, gorszą się zbyt śmiałymi wnioskami, tendencją do przeprowadzania ryzykownych analogii, wreszcie oczywistą stronniczością autorów. Nie wyrażają jednak swych wątpliwości zbyt głośno, ograniczając się zazwyczaj do ogólnikowych pochwał, tym bardziej wyszukanych, im wyższe stanowisko zajmuje w społeczeństwie przedmiot ich antypatii. Tak właśnie mówił o drugim tomie *Historii narodów Anglii* (tytuł dzieła brzmi w oryginale *The History of the English Speaking Peoples*, autor w drugim tomie doprowadza ją do wieku XVII) pewien uczony specjalista przez radio. Jak wynika jednak z wielu recenzji, które już się ukazały, sprawa nie jest bynajmniej prosta. Przeszło osiemdziesięcioletni autor posiada olbrzymią erudycję, rzetelną wiedzę historyczną i pisze piękną i klarowną angielszczyzną.

Pochwały posypały się ze wszystkich stron. Chwali komunistyczny „*Daily Worker*" i zazwyczaj zjadliwy labourzystowski „*New Statesman and Nation*", chwali krytycznie niedawno uszlachcony przywódca opozycji, Attlee, i oczywiście cała prasa konserwatywna. Każdy stara się znaleźć takie czy inne usterki (są to prywatne popisy uczoności), ale powszechną opinię wyraził, jak mi się zdaje, Michael Howard pisząc: „Sława sir Winstona i jego sztuka pisarska są dostateczną gwarancją tego, że dzieło jego będzie dla wielu pokoleń zwykłych czytelników jedyną historią Anglii. Miliony ludzi na całym świecie będą się z tej książki uczyły historii, jedynej, jaką kiedykolwiek będą znali. Nie należy wobec tego nie doceniać faktu, że jest to dzieło wyważone, ścisłe, że można na nim polegać; niewątpliwie nie jest to najmniejszym długiem, jaki świat zaciągnął u tego zadziwiającego człowieka".

Książka Harolda Actona o neapolitańkich Burbonach (*The Bourbons of Naples, 1734—1825*) nie stawia sobie tak ambitnych zadań, jest jednak książką fascynującą, łączy ją zaś z poprzednią przynależność do tego samego gatunku amatorskiej historiografii. Siedmiusetstronicowe dzieje bardzo niepopularnej dynastii władców Obojga Sycylii są nie tylko próbą apologii ale, i to przede wszystkim, protestem przeciwko... Rewolucji Francuskiej. „Harold Acton — pisze Christopher Hollis w tygodniku „*Observer*" — nie stara się ukryć swych zdecydowanych sympatii klerykalnych i konserwatywnych. Dla niego Rewolucja Francuska jest nieszczęsnym nudziarstwem, próba zaś narzucenia jej doktryn — zwykłą tyranią." Otrzymali więc czytelnicy angielscy ciekawie napisaną książkę a równocześnie pamflet polityczny, jakich zapewne już niewiele ukazuje się na świecie.

Do działu „ogólnego" zaliczyć nale-

żałoby szereg książek poświęconych problemom nauki i techniki współczesnej. Ciekawsze z nich poświęcone są problemowi bardzo doniosłemu zarówno dla nas jak i dla krajów Zachodu: wykorzystaniu energii jądrowej. P.M.S. Blacketta *Atomic Weapons and East-West Relations (Broń atomowa i stosunki między Wschodem a Zachodem)*, E. W. Tittertona *The Atomic Future (Przyszłość atomowa)* i J. G. Crowthera *Nuclear Energy in Industry* (Energia jądrowa w przemyśle) — że wymienię tylko kilka nowości — zasługują na wyczerpujące i poważne omówienie w naszej prasie zarówno przez specjalistów fizyków, jak i przedstawicieli nauk społecznych.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o dwóch popularnych rodzajach książek, ukazujących się w krajach anglosaskich: o zbiorach rysunków humorystycznych *(„cartoons")* i o antologiach utworów drukowanych w prasie. Książki te posiadają swe świetne tradycje i spełniają znacznie szersze zadanie aniżeli literatura wyłącznie rozrywkowa — są one doskonałymi kronikami i dokumentami socjologicznymi. Najwybitniejszy ze współczesnych angielskich karykaturzystów politycznych, Low, wydał w grudniu swą autobiografię. Pochwały, jakie otrzymał z prawa i z lewa, świadczą o tym, że Low stał się już instytucją. Przy takiej okazji, jak opublikowanie autobiografii narodowej „instytucji", Anglicy rezygnują z docinków, demonstrują swą kurtuazję, za którą bardzo często kryje się szczera sympatia.

Henryk Krzeczkowski

KRONIKA NIEMIECKA

W ostatnim kwartale ubiegłego roku ukazała się w Niemczech z niecierpliwością oczekiwana antologia pt. *Deutsche Stimmen. Deutsche Stimmen* to pierwsza książka wydana wspólnie przez wydawnictwa NRD i Niemiec Zachodnich (Krenz-Verlag w Stuttgarcie i Mitteldeutsche Verlag w Halle). Redaktorzy antologii pochodzą również z obu części Niemiec: Johannes Weidenheim i Hans Lipinsky-Gottensdorf z Niemiec Zachodnich, Marianno Arans i Heinz Rusch z NRD. We wstępie czytamy: „Rola szczególna przypadła tolerancji i to zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Trzeba było dowieść i trzeba będzie dowodzić coraz dobitniej, że w obecnym momencie jest rzeczą nie tylko konieczną, lecz również możliwą, by czytelników jednej części Niemiec zapoznać z autorami — drugiej..." I dalej: „Nie było zamierzeniem wydawców, by przez ten jeden, objętościowo niewielki, tom dać pełny przekrój wszystkich uprawianych obecnie w Niemczech kierunków literackich; niemniej zarysował się obraz, na który składają się najrozmaitsze odmiany stytu, różne obrazy świata". Następnie: „Pokazanie człowieka jako właściwego tematu literatury w ogóle nie może przełamywać się w jednym sposobie widzenia. Nasza książka jako taka jest już dialogiem: oby w tej swojej postaci wniosła coś, wzbogaciła odważny dialog toczący się w naszym narodzie".

Książka spotkała się z pozytywną oceną w obu częściach Niemiec, chociaż recenzenci zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie domagali się pewnych zmian, uzupełnień, wyższego poziomu, wyraźniejszych kontrastów, bardziej reprezentatywnego wyboru (Paul Hühnenfeld w hamburskiej *„Zeit"*), zwłaszcza jeśli chodzi o lirykę. Niemniej wszyscy zgadzają się n ajedno: na uznanie zasługuje zarówno inicjatywa wydawnictw jak i wydawców. „Książka na pewno przyczyni się zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie do przezwyciężenia pewnych przesądów, przyczyni się do tego, że przerzucone zostaną mosty, które są nam tak nieodzownie potrzebne."

Do pierwszego tomu tych szerokich zamierzeń nawiązuje tom liryki *Anthologie 56. (Gedichte aus Ost und West,* Herausgeber J. Gerlach. Verlag Neues Leben — Berlin 1956). Kry-

terium wyboru tej młodej liryki, jak zaznacza Gerlach we wstępie, była *Polemika dokoła zagadnienia życia ludzkiego naszych czasów*. Sformułowanie jest bardzo niekonkretne, bardzo ogólne, niemniej — jak zaznacza autor wstępu — takie właśnie być powinno. Wiersze zamieszczone w tomiku są wierszami z obu stref Niemiec, są utworami młodych liryków o bardzo różnych poglądach na świat, z różnych środowisk. Jasne więc, że antologia w sposób niezamierzony odzwierciedla podzielone, rozdarte Niemcy. „Byłoby — mówi autor wstępu — bezsensem, rzeczą szkodliwą, gdyby nie brać pod uwagę myśli i rozwoju etapów przemian strony przeciwnej. Spór jest nieunikniony, nadchodzi, już się rozpoczął czas wielkich rozmów. Oby ułatwił je zbiorek *Anthologie 56*."

Czy istnieje wschodnia i zachodnia liryka? — pyta dalej autor wstępu. Wspólne są „wieczne" motywy liryki — uczucia nadziei i zwiątpienia, nienawiści i ufności, miłości i rezygnacji — ogniwa każdej drogi poznania i grożące jej bezdroża i ślepe uliczki. Wspólny jest język i powaga w poszukiwaniu prawdy.

Czy istnieje wschodnia i zachodnia liryka? Tak i nie — odpowiada autor wstępu. Złe i dobre wiersze powstają i tu, i tam i to stanowisko jest niewątpliwie słuszne. Zastrzeżenia budzi próba sprowadzenia różnic między liryką wschodnich i zachodnich Niemiec do „przewagi" elementu treści w jednych czy elementów formy w drugich. Samemu zresztą autorowi wstępu wydają się te kryteria zbyt ogólnikowe, nie bardzo przekonywające.

W wyborze *Anthologie 56* wydawca starał się zebrać wiersze, świadczące o własnym obliczu młodych liryków, wiersze, które wyrastają z powiązania głęboko odczutej tradycji narodowej z własną postawą w stosunku do rzeczywistości.

Antologia obejmuje trzydzieści nazwisk i stanowi następne ogniwo tego, co zostało zapoczątkowane przez książkę *Deutsche Stimmen* — dialog Wschodnich i Zachodnich Niemiec.

*

W Berlinie (Schlossparktheater), w Tivoli-Theater Pankow, w Dreźnie, Düsseldorfie, Konstanzy, Hamburgu, Karlsruhe odbyła się niemiecka prapremiera utworu, który nie jest ani utworem poetyckim, ani sztuką teatralną w sensie dramatycznym, a jednak — wystawiony w Niemczech Wschodnich i Zachodnich — i tu, i tam oceniony został równie pozytywnie.

Pamiętnik Anny Frank udramatyzowali Frances Goodrich i Albert Hackett. Jest to pamiętnik trzynastoletniej żydowskiej dziewczynki, zmarłej w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen w marcu 1945 roku, dwa miesiące przed wyzwoleniem Holandii. Pamiętnik przetrwał. Żyje na scenach NRD i NRF oraz poza Niemcami.

Papier jest cierpliwszy niż ludzie. Często o tym myślę podczas moich smutnych dni...

Tyle się zdarzyło rzeczy... Tak, jak gdyby przekręciła się ziemia! Ale, Kitty, jeszcze żyję i to jest najważniejsze, jak mówi ojciec. Tak, żyję, nie pytaj mnie tylko jak. Pewnie nie rozumiesz mnie już dzisiaj zupełnie...

Wieczór w wieczór szaleją po ulicach szare i zielone auta wojskowe. „Zieleni" (to niemiecka SS) i „czarni" (holenderska nazistowska policja) szukają Żydów. Tam, gdzie znajdują j e d n e g o, zabierają całą rodzinę. Dzwonią do każdych drzwi, a jeśli na próżno — wchodzą do sąsiedniego domu. Często wyprawiają się w drogę z listami nazwisk i wtedy systematycznie zabierają „napiętnowanych". Nikt nie ucieknie przed tym losem, chyba że w porę zniknął. Czasem każą sobie płacić...

Jak kiedyś polowanie na niewolników. Często stają mi przed oczyma szeregi dobrych, niewinnych ludzi, z płaczącymi dziećmi, kilku strasznych ludzi wydaje rozkazy, bije, popędza, strąca z nóg. Wszyscy bez wyjątku: starcy, dzieci, ciężarne kobiety, chorzy — wszyscy w tym tańcu śmierci...

Czy to prawda, że dorosłym jest tutaj ciężej niż młodym? Nie, to na pewno nieprawda!

Literatura emigracyjna, obozowa, nabiera w obecnej chwili w Niemczech szczególnego wyrazu i szczególnego znaczenia. Interesują się tą literaturą obie części Niemiec, a jeden z krytyków NRF, Hans Sahl, stwierdza: „Ponad dziesięć lat trwało, nim pierwsza wojna europejska znalazła swoje odbicie w literaturze, w książce Remarque'a czy Renna. Możliwe, iż zdarzenia, które zamykają lata 1933—45,

zdarzenia tak długo usuwane ze świadomości, dojrzały obecnie do tego, by stać się przedmiotem literackiego opracowania. Sądząc z powodzenia, jakim cieszy się *Pamiętnik Anny Frank* oraz inne książki tego rodzaju i sztuki teatralne — wydaje się, że rzeczywiście nastąpił czas rozrachunku z tym, co było". Krytyk NRD, Hermann Ihering, podkreśla, że wystawienie sztuki o Annie Frank jest nie tylko słuszne — jest konieczne.

„W berlińskich teatrach coś się rusza" — mówi ten sam krytyk, nawiązując do liczącego 110 miejsc teatru eksperymentalnego, który powstał pod kierownictwem Fritza Wistena na trzecim piętrze domu mieszkalnego. Teatr wystawia nowe sztuki, wprowadza również nowych aktorów. Pierwsza próba to *Bessie Bosch* Johannesa Wüstena, który, prześladowany przez faszystów zmarł w r. 1943 w więzieniu w Brandenburgu. Sztuka mówi o walce z reakcją i faszyzmem. Po tragedii wystawiono satyrę na *Arlekina i Colombinę* Günthera Rückera — pedantyzm i schematyzm. „Jako początek — mówi Ihering — zjawisko pocieszające i budzące nadzieje."

*

Między 1—5 października toczyły się obrady niemieckich germanistów nad twórczością Goethego. Prof. dr Wolfgang Kayser podkreślił w swym zagajeniu rolę i znaczenie tego nawrotu do Goethego i niemieckiej klasyki. Z siedmiu referatów — sześć dotyczyło jej bezpośrednio lub pośrednio, siódmy nawiązywał do zagadnień języka. Pod względem metodycznym na czoło wybiły się dwa referaty dotyczące wyłącznie twórczości Goethego. Prof. Hans Egon Hasz mówił o ironii w *Westoestlicher Diwan*, prof. Emil Staiger zajmował się pojęciem i zagadnieniem klasycyzmu.

„Klasyka Goethego nie jest epoką przezwyciężoną. Współczesna literatura i współczesna nauka o literaturze znajdą tam wiele materiału dla siebie, dla zestawień z aktualnością" — taka była teza przewijająca się podczas dni frankfurckich i podkreślona w podsumowaniu. Kongres świadczy o wyraźnym zbliżeniu w zasadniczym podejściu do zagadnienia klasyki w literaturoznawstwie Wschodnich i Zachodnich Niemiec, o celowości wspólnych posiedzeń, niezależnie od pewnych zgrzytów, w które obfitowało np. wystąpienie prof. Benno v. Wiese (Münster).

To co wspólne znalazło swe odbicie również w przygotowanej w związku z Kongresem wystawie książek.

Stały obok siebie poświęcone „umarłym" dzieła Tomasza Manna, Bertolta Brechta, Gottfrieda Bennsa, Hansa Carossy. Znalazły się obok siebie również egzemplarze czasopism literackich, wychodzących na emigracji: *„Internationale Literatur"*, *„Deutsche Blätter"* (Johannes R. Becher w Moskwie), *„Die Sammlung"* (Klaus Mann), *„Mass und Wert"* (Thomas Mann und Konrad Falke), *„Die Neue Rundschau"*, *„Das Wort"* (Bertolt Brecht, Lion Feuchtwanger, Willi Bredel).

*

„Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung" w Darmstadt zamierza wydać bibliografię powstałych na emigracji czy wygnaniu utworów i pism pisarzy niemieckich, którzy jako przeciwnicy reżymu hitlerowskiego zmuszeni byli po 1933 r. do opuszczenia kraju. Prace przygotowawcze poruczono W. Sternfeldowi, przewodniczącemu „Thomas Mann-Gruppe" w Londynie, byłemu sekretarzowi „Pen-Zentrums deutscher Autoren im Ausland". Pełnomocnik Akademii zwrócił się do wszystkich pisarzy niemieckich, jacy po roku 1933 znaleźli się na wygnaniu, z prośbą o nadesłanie dokładnego wykazu swych książek, które ukazały się czy powstały za granicą.

Barbara Rafałowska

POKŁOSIE ZJAZDU LITERATÓW

Zamieszczamy poniżej pełny tekst depesz i listów, jakie nadesłano z zagranicy z okazji Walnego Zjazdu Związku Literatów Polskich, który odbył się na przełomie listopada i grudnia.

*

Moskwa, 1 grudnia 1956

Pisarze radzieccy gorąco pozdrawiają zjazd, który reprezentuje ogół pisarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stop Z całej duszy życzymy pisarzom braterskiej Polski nowych osiągnięć twórczych dla dobra narodu polskiego stop Oby związki naszych literatur służyły umocnieniu przyjaźni naszych narodów i sprawie pokoju na całym świecie.

Zarząd Związku Pisarzy ZSRR

*

Phenian, 6 listopada 1956

Drodzy przyjaciele, koreańscy pisarze z gorącą sympatią pozdrawiają zjazd polskich pisarzy i życzą im dalszych twórczych sukcesów stop Związek Pisarzy Koreańskich Han Sel Ia, Pak Pal Yang, Se Man Il, Yuh Du Hen.

*

Nowy York, 7 listopada 1956

Szanowny Panie Przewodniczący! Z okazji Zjazdu Związku Pisarzy Polskich, który odbywa się obecnie w Warszawie, my — redaktorzy i grupa współpracowników pisma *„Partisan Rewiew"* — przesyłamy pozdrowienia polskim pisarzom, intelektualistom i naukowcom, którzy odgrywają kierowniczą i odważną rolę w walkach o wyzwolenie narodowe spod stalinowskiego terroru i obcej dominacji. Z największą sympatią śledzimy ruch demokratyzacji w Waszym kraju i mamy nadzieję, że dalsza działalność Waszego Rządu w najbliższym czasie da możność Waszemu ludowi swobodnego wyboru formy rządzenia i systemu społecznego. Jesteśmy przekonani, że literatura, sztuka i twórcza myśl mogą się najlepiej rozwijać tylko w warunkach wolności słowa i autonomii kultury. Różnice poglądów na ekonomiczną organizację społeczeństwa nie wykluczają jednolitego poglądu na tę kwestię intelektualistów całego świata, którzy cenią wolność. Tragiczne doświadczenia naszych czasów dowiodły, że demoralizacja i oszukiwanie samego siebie są rezultatem podporządkowania myśli dogmatom, narzuconym przez państwa i partie. Oczekujemy wznowienia osobistych i intelektualnych kontaktów pomiędzy pisarzami Waszego i naszego kraju.

William Phillips i Phillip Rahv — redaktorzy *„Partisan Rewiew"* oraz Newton Arvin, William Barret, Jacques Barzun, Saul Bellow, Eric Bentley, Harvey Brent, Richard Chase, Richard Gordham Davis, Allen Dowling, F. W. Dupee, Leslie Fiedler, Clement Greenberg, Horace Gregory, Elizabeth Hardwick, Sidney Hook, Alfred Kazin, Louis Kronenberger, Max Lerner, Robert Lowell, Mary McCarthy, Lenore Marshall, Marianne Moore, Dr Reinhold Neibuhr, Meyer Schapiro, Jean Stafford, James Johnson Sweeney, Mark van Doren, Morton White, William Carlos Williams.

*

Paryż, 3 listopada 1956

Panie Prezesie! Z okazji Walnego Zjazdu Związku Literatów Polskich niżej podpisani pisarze francuscy, którzy zwykli wyrażać się na łamach *„Preuves"*, przekazują swe serdeczne życzenia zgromadzonym na obrady pisarzom polskim i zapewniają ich, że z wielkim zainteresowaniem i sympatią śledzą od dawna rozwój kultury polskiej. W minionych już bezpowrotnie czasach, gdy twórczość literacka i swobodna myśl krytyczna były w waszym kraju krępowane, pismo *„Preuves"* niejednokrotnie drukowało dzieła Waszej myśli i świadectwa Waszej kultury, między innymi utwory Stanisława Vincenza, Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza. W ciągu ostatnich lat podkreślaliśmy stale rolę pisarzy i intelektualistów polskich w walce

o wolność słowa. W oczach wielu obywateli Zachodu, przywiązanych nie tyle do pewnego reżimu własności i określonego systemu ekonomicznego, co do wolności i autonomii kultury, identyfikacja totalitarnego terroru stalinowskiego z systemem ekonomicznym uchodzącym za socjalizm skompromitowała całą postępową tradycję rewolucyjną. Przywracając socjalizmowi całą jego treść humanistyczną i wolność, bez której jest on tylko karykaturą samego siebie, pisarze polscy torują nowe drogi porozumieniu wszystkich ludzi dobrej woli, ponad granicami państw i przedziałami ideologicznymi. Co do nas, uważamy, że porozumieniu temu należy zapewnić powodzenie i porzucając dawne kontrowersje trzeba nam teraz realizować stałą, wzajemnie wzbogacającą konfrontację różnych postaw i doświadczeń ludzkich. Proszę przyjąć, Panie Prezesie, wyrazy naszego głębokiego szacunku.

Raymond Aron, Marc Bernard, François Bondy, Jacques Carat, Michel Collinet, Pierre Courthion, Driss Chraibi, André Dhotel, Jean Follain, Jean Guehenno, Franz Hellens, Edmond Humeau, Jeanne Hersch, Georges Izard, René Lalou, Maxime Leroy, Herbert Luthy, Gabriel Marcel, Claude Mauriac, Jules Monnerot, André Philip, Gaetan Picon, Armand Pierhal, Georges Pillement, Henri Poulaille, Dominique Rollin, Alfred Rosmer, Denis de Rougemont, Remy Roure, David Rousset, Michel Seuphor, Boris Souvarine, Manès Sperber.

*

Paryż, 6 listopada 1956

Panie Prezesie! Z okazji Walnego Zjazdu Związku Literatów Polskich pisarze hiszpańscy na wygnaniu, współpracujący z naszym pismem, Salvador de Madariaga, Luis Araquistàin, Ramon Sender, Arturo Barca, Francisco Garcia Lorca, Jorge Guillén i José Ferrater Mora—prosili mnie o przekazanie ich serdecznych życzeń pisarzom polskim, zgromadzonym po raz pierwszy w tym roku w nowym klimacie politycznym. Nasze pismo „*Cuadernos*" ma wśród swoich współpracowników pisarzy hiszpańskich i południowo-amerykańskich, posiadających długie doświadczenie w walce o wolność. Socjalistów, liberałów, anarchistów łączy wspólna walka przeciwko dyktaturze totalitarnej, faszystowskiej czy stalinowskiej. Przy każdej okazji broniliśmy wolnych wartości kulturalnych narodu polskiego, a ostatnio z głębokim wzruszeniem śledziliśmy odważny wkład pisarzy polskich do demistyfikacji kłamstwa stalinowskiego. Niektórzy z nas ucieszyli się szczerze na wieść o tym, że dawni ich towarzysze broni z wojny hiszpańskiej — robotnicy i intelektualiści — stanęli w pierwszym szeregu tych, którzy potrafili przeciwstawić się machinacjom stalinowców, mającym na celu uniemożliwienie narodowi polskiemu odnalezienia drogi do prawdziwego socjalizmu. Proszę przyjąć, Panie Prezesie, wyrazy mojego głębokiego poważania

Julian Gorkin
dyrektor „*Cuadernos*"

*

Londyn, 5 listopada 1956

Z okazji dorocznego zjazdu Związku Pisarzy Polskich pragniemy przekazać Wam nasze przyjacielskie pozdrowienia. Ostatnie wydarzenia budzą w nas nadzieję, że stosunki pomiędzy pisarzami polskimi a pisarzami Zachodu rozwijać się będą w kierunku coraz ściślejszej przyjaźni i współpracy. Z naszej strony serdecznie powitamy taki rozwój stosunków i z radością będziemy oczekiwać wzajemnej i owocnej współpracy.

Stephen Spender i Irving Kristol — redaktorzy „*Encounter*", oraz Kingsley Amis, A. J. Ayer, C. Day Lewis, E. M. Forster, Victor Gollancz, Graham Greene, Suart Hapshire, Jacquetta Hawkes, John Lehmann, Rose Macauley, Edin Muir, William Plomer, J. B. Priestley, Herbert Read, Bertrand Russell, William Sanson, Christopher Sykes, Phillip Toynbee, C. V. Wedgwood, Angus Wilson, Leonard Woolf.

*

Rzym, 7 listopada 1956

Wyrażamy reprezentowanym przez Was intelektualistom polskim nasz po-

dziw z powodu upartej walki prowadzonej wspólnie z klasą robotniczą o wyzwolenie spod stalinowskiego jarzma swobodnej myśli, demokracji i sprawiedliwości społecznej stop Żywimy po bratersku razem z Wami wszystkimi nadzieję na wolną Polskę w wolnej zjednoczonej i pokojowej Europie stop Przesyłamy z całego serca życzenia pomyślnych obrad.

Ignazio Silone i Nicola Chiaromonte
dyrektorzy *„Tempo Presente"*

*

Kopenhaga, 8 listopada 1956

Z podziwem i sympatią śledziliśmy Waszą walkę o wolność myśli w Polsce i będziemy śledzić Waszą dyskusję na nadchodzącym zjeździe z najgorętszym zainteresowaniem.

„Perspektiv"
czasopismo literacko-naukowe

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI

W radzieckiej prasie literackiej miejsce ostrych polemik o konkretnych, szokujących „śmiałością" rozwiązań zjawiskach literackich — zajęły ostatnio rozważania natury ogólniejszej, bardzo ostrożnie formułujące konieczność rewizji do niedawna wszechwładnie panujących dogmatów i schematów literackich. Od czasu do czasu odzywa się co prawda głos, będący echem niedawnej dyskusji nad artykułem Nazarowa i Gridniowej w sprawie rewizji dziejów teatru i dramatopisarstwa radzieckiego, nad nową — demaskatorską — powieścią Dudińcewa *Nie tylko chlebem* (o czym pisałem w poprzednich przeglądach). Na ogół jednak — fala dyskusji raczej opadła.

W rozprawce *Historyzm a dogmaty* (*„Nowyj Mir"* Nr 12/56) teoretyk literatury A. Mietczenko zwalcza wciąż jeszcze w nauce o literaturze żywotne wpływy wulgarnego socjologizmu. Przeżytki te przeszkadzają właściwemu stosowaniu zasad historyzmu w ocenie zjawisk przeszłości i współczesnych procesów literackich.

Brak poczucia historyzmu sprawia, iż wiele prac i dysertacji historyczno-literackich przypomina raczej rozprawki krytyczne albo zlepek recenzji o poszczególnych utworach. Często niektóre prace — zarówno pod względem tematycznym, jak i z uwagi na przyświecające ich autorom cele, zbliżone do krytyki literackiej — raczej przypominają stylem prace naukowe. Dużą rolę odegrało tu powszechne w minionym okresie utrudnianie krytykom dostępu do wielu książek, czasopism, materiałów i dokumentów historyczno-literackich, nie mówiąc już o całych archiwach, zamkniętych — jak się wyraża Mietczenko — „na siedem spustów", co niezmiernie zawężało punkt widzenia krytyków.

Są to owe „białe plamy" na historycznej mapie rozwoju literatury, o których dość dużo w ostatnich czasach pisała radziecka prasa literacka. Mietczenko przypuszcza, że dzięki ożywieniu ruchu wydawniczego właśnie w zakresie edycji dzieł pisarzy niesłusznie zapomnianych lub wręcz dyskryminowanych i przemilczanych w okresie stalinowskim — w ciągu najbliższego roku, a najwyżej dwóch lat wiele „białych plam" zostanie usuniętych. Wyjdą jednotomowe wybory utworów takich pisarzy, jak: A. Wiesołyj, I. Babel, W. Kiryłłow, W. Kirszon, M. Gierasimow i wiele innych.

Jednakże dla stworzenia rzeczywiście naukowej historii literatury to nie wystarczy; teoretycy literatury powinni otrzymać możność odtworzenia pełnego i prawdziwego obrazu rozwoju procesów literackich, skomplikowanej i często zygzakowatej drogi artystycznej poszczególnych pisarzy. Mietczenko wyraża obawę, że w niektórych wydaniach dzieł wybranych, a zwłaszcza zebranych, nadal dokonuje się „nieuzasadnionej sterylizacji". Niekiedy zmiany pierwotnego tekstu wy-

chodzą spod pióra żyjących jeszcze autorów, którzy oczywiście mają do tego prawo, jednak historycy literatury na takich zmienionych wydaniach dzieł dawniejszych opierać się nie powinni.

Gorzej przedstawia się rzecz w wypadkach samowolnych zmian w tekście np. Gorkiego czy Majakowskiego. Na kilku przykładach zaczerpniętych z ostatniej edycji dzieł zebranych Gorkiego autor artykułu *Historyzm a dogmaty* udowadnia, że — mimo dążeń do poskromienia samowoli redaktorów — także i obecnie można zauważyć wypaczające dzieje literatury — „nowe warianty poprawiania historii". Mietczenko bardzo ostro potępia praktyki „prostowania" klasyków. W postulatach odkłamania historii literatury radzieckiej idzie jednak dalej. Dla pełnego poznania prawdy o jej pełnych dramatycznych spięć dziejach — konieczna jest, jego zdaniem, analiza przejawów ideowej obcości i wrogości niektórych pisarzy. Takich — wyjaśnia Mietczenko — „którzy konsekwentnie bronili pozycji reakcyjnych i oczerniali rzeczywistość radziecką. Musimy bardziej szczegółowo, szerzej potraktować i przedstawić, z jakimi reakcyjnymi ideami i rzeczywistymi wrogami walczyła literatura radziecka, musimy w porę odpierać próby wypaczania obrazu tej walki".

W związku z tym warto podać interesujący szczegół. Mietczenko bardzo ostro polemizuje z próbami wysuwania — zwłaszcza przez niektórych nieradzieckich pisarzy — Borysa Pilniaka.

Rzecz charakterystyczna: Ze słów Mietczenki wynika, że wśród radzieckiej młodzieży literackiej, która — jak pisze — „o Pilniaku nic nie słyszała", przebąkuje się o tym dobrym pisarzu lat 30-tych. Mietczenko zastanawia się nad tym, czy nie lepiej „nieco szczegółowiej i gruntowniej" mówić o takich pisarzach, jak Pilniak, by młodzież przeciw podobnym „prowokacjom" uodpornić.

Tak więc Mietczenko w sposób bardzo istotny wiąże sprawę zrewidowania pewnych poglądów historyczno-literackich z zagadnieniami i zadaniami współczesnej krytyki literackiej. Mietczenko zajmuje się również nienowym w Związku Radzieckim problemem zbliżenia historii literatury do krytyki literackiej. Historyk literatury — argumentuje Mietczenko — posiada nad krytykiem tę wyższość, że zna wyniki próby czasu, że jest w stanie zrewidować jego pierwszy sąd o utworze, sąd decydujący o losie książki. Mietczenko jest przeświadczony, iż zbliżenie krytyki i historii literatury powinno nastąpić bez zamazywania istniejących między tymi dziedzinami specyficznych różnic — poprzez znaczne zmniejszenie dystansu, dzielącego utwór i jego ocenę ze strony krytyków od — interwencji historyka literatury.

Sądy krytyków, w chwili ich wydania nawet prawdziwe i słuszne, mogą z biegiem czasu stracić na aktualności, a niekiedy okazać się ocenami fałszywymi. „Jednym z najtrudniejszych obowiązków historyka literatury — pisze Mietczenko — jest dopilnowanie w porę, by sąd, niegdyś słuszny, nie przekształcił się w martwy dogmat — nie mówiąc już oczywiście o konieczności rewizji sądów błędnych." Mietczenko twierdzi, że w radzieckiej literaturze dość powszechnym zjawiskiem jest uporczywe trwanie wielu ciasnych sądów krytyki literackiej — sprzed 25 lat.

Do takich zastarzałych błędów, wymagających gruntownej rewizji, Mietczenko zalicza sądy o zrzeszeniach i ugrupowaniach literackich, działających w latach 1917-32. Zdaniem autora omawianego artykułu, historycy literatury radzieckiej potraktowali tę sprawę jednostronnie; skrzętnie rejestrowali błędy i ujemne przejawy działalności grup literackich, pomijali natomiast dobre jej strony. Na poparcie swojej tezy Mietczenko przytacza wiele przykładów. Przyświecające potępianym w czambuł „proletkultom" zasady teoretyczne rzeczywiście nie mogły sprzyjać rozwojowi literatury proletariackiej, „proletkulty" miały istotnie w swoich szeregach poetów antyrewolucyjnych, niemniej jednak znaleźli się tam i opiewający rewolucję robociarze-poeci (Aleksandrowski, Gierasimow, Kiryłłow, Filipczenko). Podobnie rzecz się przedstawia, gdy chodzi o uważaną za niezdolną do stworzenia trwałych wartości literackich „Kuźnicę", której członkowie byli co prawda zwolennikami poezji abstrakcyjnej, „kosmicznej", ale grupa ta zrzeszała także i wybitnych prozaików, takich jak Gładkow, Laszko, Bachmietiew.

Jeszcze więcej nieporozumień historyczno-literackich wywołała sprawa grupy „Serapionowy Bratia", której apolityczne deklaracje już przed trzydziestu laty zostały wprawdzie potępione, ale utwory wielu ex-Braci (Tichonowa, Fiedina, Iwanowa, Kawierina, Zoszczenki) weszły do historii literatury. I w odniesieniu do tych wybitnych pisarzy zatriumfował dogmatyzm. Po prostu — wszystkie dobre książki pióra członków grupy uważa się za powstałe... pod wpływem Gorkiego; co zaś do Zoszczenki, to wiadomo, że został on szczególnie ostro potępiony w osiemnaście lat po zlikwidowaniu „Braci Serapiona" — w osławionym referacie Żdanowa (1946 r.).

Mietczenko zwalcza rozpowszechniony pogląd o ideowo-artystycznej jedności członków poszczególnych grup literackich. W rzeczywistości kierunki literackie rodziły się w łonie ciągle zmiennych, pełnych wewnętrznych sprzeczności zespołów, w których — zwłaszcza u „Braci Serapiona", w grupie „Lef" (Majakowski!) fermentowały burzliwe sympatie do rewolucji, do literatury socjalistycznej. Zdaniem Mietczenki — rewizji wymaga też stosunek do RAPP-u, do którego należało wielu zdolnych pisarzy (np. Furmanow, Fadiejew, Libiediński, Stawski). Wszystkie niemal wymienione ugrupowania, a także „Pieriewał" („Przełęcz", do tej grupy należeli: Pryszwin, Pawlenko, Karawajewa, Małyszkin i in.) — orientowały się na realizm, a nawet postulowały — realizm. Prawda historyczna wymaga — wywodzi Mietczenko — by grupy literackie traktować ewolucyjnie, z uwzględnieniem konkretnych warunków życia politycznego i walk literackich w latach 20-tych.

Przeanalizowawszy sprawę narodzin terminu „realizm socjalistyczny" (zdaniem Mietczenki bynajmniej nie Stalin go wymyślił; po raz pierwszy użyto go w maju 1932 r. w artykule *„Litieraturnej Gaziety"*, dopiero później zaczęto go przypisywać Stalinowi) autor artykułu *Historyzm a dogmaty* przedstawia proces przekształcania estetyki socjalistycznej w zbiór kanonów. Mietczenko analizuje towarzyszące temu procesowi zaliczanie do kategorii „wiecznych prawd" wszystkiego, co w życiu i sztuce pośrednio lub bezpośrednio, łączono z nazwiskiem Stalina. Z tych tendencji zrodziły się obowiązkowe „wymagania", stawiane historykom literatury. A więc: rozwój literatury radzieckiej należało pojmować jako proces ciągły, wstępujący po linii prostej; badacz musiał wykazać, że literatura lat 30-tych stała wyżej od literatury lat 20-tych itd.

Stworzono kanony budowania monografii, która musiała się kończyć analizą najlepszego dzieła danego pisarza. „Wymagania fasadowości zmuszały do unicestwiania logiki badań w tych wypadkach, kiedy ostatni utwór pisarza był dziełem co prawda literacko mocnym, ale — satyrycznym. A więc zarysu twórczości Majakowskiego nie można było zakończyć analizą jego dramaturgii satyrycznej, a nawet cała ta dziedzina twórczości wybitnego poety uważana była za jego piętę Achillesa." Mietczenko postuluje całkowite przewartościowanie pojęć sparaliżowanych dogmatyzmem.

Z rozważań Mietczenki nad realizmem socjalistycznym wspomnę jeszcze tylko o tym, co rzadko rozbrzmiewa w dyskusjach radzieckich. Uważa on, że przeważnie nie docenia się roli romantyzmu rewolucyjnego w procesie kształtowania się realizmu socjalistycznego, uchodzącego dość powszechnie za rozwinięcie w warunkach socjalistycznych — realizmu krytycznego. I jeszcze jedno. Polemizując — głównie z polskimi pisarzami — w sprawie realizmu socjalistycznego Mietczenko posługuje się, oczywiście, dobrze znanymi argumentami, przyznaje jednak, że „powinniśmy wziąć pod uwagę to, co w tej krytyce rzeczywiście odnosi się do ujemnych skutków kultu jednostki".

O tym, że międzynarodowa dyskusja o realizmie socjalistycznym zaczyna trafiać do przekonania niektórym pisarzom radzieckim, świadczą też pewne myśli, zawarte w *Uwagach literackich* K. Simonowa (*„Nowyj Mir"* Nr 12/56). Przyznaje on, że traktowanie realizmu socjalistycznego jako „metody" nie jest — „być może w danym wypadku absolutnie trafne". Z terminem „metoda" kojarzy się pewne, krępujące pisarzy-artystów w ich indywidualnych możliwościach artystycznych, ujednolicenie rutyny, maniery, stylu. „Dlatego może — pisze Simonow — trafniej byłoby mówić nie o »metodzie«, ale o zasadzie

realizmu socjalistycznego, zasadzie ustosunkowania się artysty do rzeczywistości.“ Simonow przyznaje też, iż termin „realizm socjalistyczny“ wybrany został o tyle niefortunnie, że nie uwzględnia tkwiących w jego szeroko pojętej treści pierwiastków romantyzmu, a zawiera tylko „realizm“.

Poczucie kryjącego się w tej nazwie niebezpieczeństwa dla literatury rodziło się — zdaniem Simonowa — wtedy, gdy niektórzy pisarze i krytycy „poczynali szukać obowiązkowej przewagi realizmu nad romantyzmem w takich, pełnych romantycznej symbolistyki, utworach, jak: *150.000.000* lub *Misterium-Buffo* Majakowskiego, *Optymistyczna tragedia* Wiszniewskiego lub *Dumka o Opanasie* Bagrickiego“. Oczywiście, podobne rozważania nad ustaleniem procentowego udziału „romantyzmu“ i „realizmu“ w utworach — to kazuistyka i naciąganie żywych dzieł literatury pięknej do ustalonych dogmatów. W wyniku dłuższej, zresztą nieciekawej, analizy Simonow stwierdził, że w literaturze radzieckiej, zwłaszcza powojennej, dochodziło do „kompromitacji“ realizmu socjalistycznego przez lakierowanie rzeczywistości. Zaprzeczeniem zasad realizmu socjalistycznego jest — zdaniem Simonowa — m. in. *Światło nad ziemią* Babajewskiego. W wypowiedzi Simonowa na temat sposobu „dyskredytowania“ socrealizmu przez twórców i krytyków radzieckich słychać nowe, dotychczas w dyskusji nie rozbrzmiewające tony.

W artykule redakcyjnym *„Litieraturnej Gaziety“* z 15.XII. ub. r. *Literatura w służbie narodu* znajdujemy próbę krytycznej analizy dotychczasowych wyników dyskusji literackiej po XX Zjeździe. W przekonaniu redakcji pisma z zarysowujących się w dyskusji dwóch tendencji — „nihilistycznej“, „czarnowidzkiej“ i konserwatywnej, lakierniczej — żadna nie daje odbicia obiektywnej rzeczywistości i rozwijających się procesów literackich. Pomimo braków i niedociągnięć — dochodzi do wniosku *„Litieraturnaja Gazieta“* — dyskusje literackie przyniosły dużą korzyść, zwłaszcza historii literatury, nauce o literaturze w ogóle. Lecz wielu literatom brak jeszcze rzetelnego stanowiska historycznego dla ocenienia przejawów rzeczywistości i utworów literackich. „Niekiedy — czytamy w omawianym artykule *„Litieraturnej Gaziety“* — brak trzeźwego i przemyślanego ustosunkowania się do tych lub owych wydarzeń życia literackiego. Krytycy pochopnie opatrują je etykietkami i darzą epitetami, śpieszą z rozróbką, nie rozważają spokojnie, swoich sądów nie analizują do końca.“

Kilka nowych myśli na marginesie dyskusji o realizmie socjalistycznym zawarł teoretyk literatury J. Elsberg w artykule *Bogactwo człowiecze i artystyczne* (*„Litieraturnaja Gazieta“* z 20.XII. ub. r.). Elsberg jest rozgoryczony tym, że w polemikach literackich (radzieckich i zagranicznych) „często znikała zasadnicza, estetyczna strona zagadnienia; realizm socjalistyczny traktowano w oderwaniu od światowego rozwoju artystycznego i przeinaczano w pojęcie czysto światopoglądowe albo nawet czysto polityczne“. Przyczyniły się do tego praktyki krytyków, którzy do gotowych utworów mechanicznie przykładali normatywy ogólnikowych sformułowań realizmu socjalistycznego, zamiast zajmować się analizowaniem najwybitniejszych dzieł literackich i doszukiwaniem się ich właściwości nowatorskich. (Nb. przeciw traktowaniu realizmu socjalistycznego jako estetyki normatywnej obecnie wypowiadają się nieomal wszyscy...)

Po przykłady estetycznego nowatorstwa w realizmie socjalistycznym Elsberg sięga do twórczości Gorkiego, Szołochowa. „Oczywiście — stwierdza z żalem — wielu jest takich pisarzy radzieckich, którzy nie są zdolni do rozwiązywania kardynalnych problemów estetycznych realizmu socjalistycznego.“ Za pewnego rodzaju regresję na tym polu Elsberg uważa „»pruderyjną« niechęć do odtwarzania ludzkich instynktów w pełnej ich sile i sprzecznościach. Przecież taki *bon ton* naturalnie przynosi sztuce szkodę. Szołochow odrzuca tę pruderię, gdyż nie lęka się przedstawić mąk, towarzyszących narodzinom tego co nowe“.

Wychodząc z założeń, że realizm socjalistyczny jest rozwinięciem od dawna występującej ogólnoludzkiej i estetycznej „tendencji do przenikania literatury w głąb sprzeczności życia społecznego, psychologii i życia dołów społecznych“ — Elsberg dopatruje się cech realizmu socjalistycz-

nego w twórczości — Laxnessa i Brechta. Nazywając Laxnessa „islandzkim Gorkim", wyznaczając Brechtowi „specjalne i odrębne miejsce w ramach realizmu socjalistycznego" — autor *Bogactwa człowieczego i estetycznego* nie wyklucza tym samym możliwości zmieszczenia w tych tak rozległych i rozciągliwych „ramach" rozmaitych i różnorodnych kierunków literackich, rzeczywiście uprawiających nowatorstwo estetyczne. Być może, sumienny badacz to ryzykowne twierdzenie, rzucone w ferworze polemiki z burżuazyjnymi krytykami (głównie — z Amerykaninem, Malkolmem Colie) — w jakiejś gruntowniejszej pracy później bliżej uzasadni. Ale na razie — śledzimy za biegiem jego myśli.

„Nasuwa się przypuszczenie — pisze Elsberg — iż naszą krytykę i teorię cechuje jeszcze niedocenianie wielości i różnorodności dziedzictwa estetycznego, nowatorstwa i rozwojowych możliwości realizmu socjalistycznego oraz rozmaitych nurtów w jego granicach (...). Jest również rzeczą ciekawą, że nurtów zarysowujących się w literaturze radzieckiej wciąż jeszcze nie nazywamy po imieniu — »a nuż coś z tego wyniknie!«. W najlepszym wypadku mówi się o nurcie romantycznym, jako w istocie jedynym, ale w takim razie cóż to za »nurt«? Zresztą może nie ulegać wątpliwości, iż żywy rozwój literatury wyłoni własne nurty, które będą same zdecydowanie domagały się nowych, a nawet być może — jak się to często u nowatorów zdarza — polemicznie jaskrawych, ostrych nazw..."

Przyszłość okaże, czy i jak dalece trafne są te optymistyczne przewidywania Elsberga.

W omówionych — i innych — pracach polemicznych wiele zarzutów padło pod adresem teoretyków literatury. Leningradzki krytyk W. Druzin, który niedawno odwiedził Polskę i był także gościem *„Twórczości"*, w artykule *Historia jeszcze nienapisana* (*„Litieraturnaja Gazieta"* z 13.XI. ub. r.) zanalizował błędy popełnione w szczególności przez historyków i krytyków poezji. W przeciwieństwie do twórczości poetyckiej, która w ostatnich czasach znacznie się ożywiła — krytyka i historia poezji wykazują martwotę. „Nasi krytycy — pisze Druzin — mówią o poezji mało i niechętnie, nie zwracają uwagi na mnóstwo ukazujących się utworów poetyckich. Rzecz charakterystyczna: książki o Majakowskim zazwyczaj przedstawiają go w jakiejś dziwnej poetyckiej izolacji, jak gdyby obok Majakowskiego nie tworzyli jego przyjaciele-poeci, jak gdyby w poezji ówczesnej nie istnieli jego przeciwnicy, jak gdyby wokół niego nie wrzały zacięte boje poetyckie."

Brak jest poważniejszych prac monograficznych o twórczości Briusowa, Bunina, Jesienina, Bagrickiego, Biednego, Asiejewa, Twardowskiego, Isakowskiego, a więc najwybitniejszych poetów radzieckich. W rozprawach o poezji krytycy, nie uwzględniając specyfiki twórczości poetyckiej, często stosują kryteria przyjęte w badaniach nad prozą. Lista zarzutów Druzina pod adresem krytyków i historyków jest dość długa. Wspomnę jeszcze tylko o proponowanej przez niego nowej periodyzacji dziejów poezji radzieckiej (okres I — okres rewolucji i wojny domowej, II — lata 20-te, III — lata 30-te, IV — okres ostatniej wojny, V — lata powojenne).

Z innych spraw poruszonych przez Druzina na uwagę zasługują jego wywody na temat „eksperymentowania" formalnego i nowatorstwa. Wypowiada on pogląd, że poeci, którzy ukształtowali się w latach 30-tych (np. Isakowski, Twardowski, Szczipaczow, Surkow), nigdy nie ulegli urokowi „eksperymentatorstwa" formalnego. (Dodajmy — urokowi owocu zakazanego). Natomiast poeci, którzy wcześniej weszli do poezji (Tichonow, Asiejew, Sjelwiński), mają w swoich wczesnych utworach wiele „strof zepsutych bezpłodnym eksperymentowaniem".

Gwoli sprawiedliwości należy uzupełnić tę myśl. Druzin przyznaje bowiem: „Wytężona praca nad formą, nad stylem, językiem, nawet nad słownictwem — wywoływała nierzadko także i owocne skutki". Innymi słowy — Druzin proponuje historykom i krytykom poezji, by rzetelnie analizowali sprawę nowatorskich poszukiwań poetów. To samo dotyczy skomplikowanych problemów metaforyki w poezji radzieckiej. Druzin zwalcza głoszony przez wielu krytyków — a zwłaszcza przez autorów podręczni-

ków — pogląd, że wczesny Majakowski był słabszy, gdyż stosował złożone i rozwinięte metafory, a w latach dojrzałości poetyckiej rzadziej do nich powracał. Zdaniem Druzina — ewentualnych różnic między poetyką Majakowskiego wczesnego a poetyką Majakowskiego dojrzałego „należy szukać bodaj tylko w jakości jego metaforycznego myślenia".

Na krótko zatrzymam się jeszcze nad dwoma artykułami polemicznymi, nad *Emocjonalnym światem bohatera* Z. Gusiewej (*„Oktiabr"* Nr 11/56) i *Pisarzem i jego bohaterami* pióra W. Nazarenki (w grudniowym zeszycie *„Zwiezdy"* z ub. r.). Wychodząc ze słusznych założeń (po prostu — truizmów) o znaczeniu impulsów emocjonalnych dla bodźców ideowych, Gusiewa ostro krytykuje ignorujący emocjonalny świat bohaterów schematyzm. Pisze ona: „Wysuszający duszę bohatera zimny racjonalizm, wyrozumowane moralizowanie" — w różnych postaciach jeszcze i dziś prześladują czytelników powieści. „Ileż to żon i kobiet zakochanych — pisze Gusiewa o bohaterkach produkcyjniaków — z samowoli autorów odczuwało w sercu... przypływ chłodu z powodu produkcyjnych uchybień albo innych wykroczeń ukochanego? Czyż nie naginano nawet miłości do produkcyjnych zwycięstw, względnie klęsk bohaterów, rozpalając ją lub tłumiąc, zależnie od rezultatów produkcyjnych?"

Na przykładach zaczerpniętych z ostatnich nowości wydawniczych, Gusiewa ilustruje żywotność innej postaci schematyzmu — uleganie urokowi aktualności tematyki. „Ale taka »aktualność« — pisze Gusiewa — przypomina tekturową dekorację ulicznego fotografa z wycięciem, do którego na życzenie można wsunąć jakąkolwiek twarz. Czy chodzi o odlew stali, czy o szybkościowe skrawanie metali, o budowę wieżowców względnie roboty ziemne — obojętne, wszystko to daje zaledwie mignięcie twarzy w szczelinie martwego schematu."

Inna postać schematyzmu polega na prymitywizowaniu postaci powieściowych celem ich „uprzystępnienia" czytelnikowi. Pisze o tym Nazarenko, występując ostro przeciw zakorzenionemu podziałowi postaci powieściowych na „ludzi prostych i nieprostych". „Tendencję do prymitywizowania, zubożania charakterów »prostych ludzi« — czytamy w artykule Nazarenki — wyczuwa się naturalnie nie tylko wtedy, gdy są oni w powieści postaciami epizodycznymi, ale i w wypadkach, gdy są głównymi bohaterami." Gdy „szarzy prostaczkowie" byli postaciami drugoplanowymi, autorzy stosowali szablon, polegający na obniżaniu, kurczeniu postaci drugoplanowych, by drogą kontrastu z tymi prymitywnymi istotami — wysunąć głównego bohatera. A więc — „kult jednostki". W konkluzji Nazarenko postuluje, by pisarze stanowczo wyzbyli się „pobłażliwego" patrzenia na „prostego człowieka" — z wysoka.

Józef Spinc

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

5 stycznia 1957 roku po ciężkiej i przewlekłej chorobie zmarł w wieku lat 65 Leonard Podhorski-Okołów.

Poeta, tłumacz poezji, historyk i krytyk literatury, znawca i badacz Mickiewicza — Leonard Podhorski-Okołów w każdej z uprawianych przez siebie dziedzin sztuki i wiedzy stworzył rzeczy wybitne.

Poeta, tworzył niewiele, nie jest więc znany szerokiemu ogółowi czytających. W wydaniu książkowym opublikował dwa zbiory poezji: *Białoruś* i *Droga do Emaus*. Sporo liryków jednak jest rozproszonych po czasopismach literackich. Poezja Podhorskiego-Okołowa doczeka się z pewnością i zbiorowego wydania, i osobnego studium, chociażby wersyfikacyjnego. W dziedzinie rytmu i rymu wniósł on bowiem do polskiej poezji wartości własne, nowe, oryginalne, co nie jest mało powiedziane. Jego poszukiwania rymowe — poszukiwania rymu pełnego, o zgodności dwuzgłoskowej — są jedynym może nieefemerycznym przedsięwzięciem wersyfikacyjnym od czasów romantyzmu.

Jako tłumacz poezji Leonard Podhorski-Okołów przyswoił polskiej kulturze sporo utworów z liryki rosyjskiej. Najświetniejsze są jego przekłady utworów Lermontowa ze słynnymi, kongenialnymi spolszczeniami *Kołysanki kozackiej* i *Borodina*.

Szerokiemu ogółowi czytelników Leonard Podhorski-Okołów znany jest głównie jako mickiewiczolog. Jego wieloletnie studia nad życiem i twórczością Adama Mickiewicza doprowadziły go do niemałych odkryć a nawet rewelacji. Nasza wiedza o Mickiewiczu zawdzięcza mu ogromnie dużo. Szkice z tej dziedziny publikowane i przed wojną, i po wojnie po czasopismach (także w „*Twórczości*") stanowiły pasjonującą lekturę i wzór solidności dowodowej. Część tych szkiców Podhorski-Okołów opublikował w dwóch tomach *Realiów Mickiewiczowskich* (PIW). Pozostałe, a nawet kto wie czy nie większość, czekają na wydanie książkowe. Podhorski-Okołów zwlekał z doprowadzeniem ich do druku mając ciągle uczucie, że jeszcze wszystkiego nie zbadał, że są fakty wymagające nowego potwierdzenia. Pedantyczny w poszukiwaniach, gotów był po natrafieniu na jakikolwiek aluzyjny cień śladu, przeczący dotychczasowym jego wywodom, zacząć całą rzecz, a więc i wywód od nowa. Było tak, pamiętamy, z odczytywaniem adresu wiersza *Do D. D.*

„*Twórczość*" była w stałym kontakcie z Leonardem Podhorskim-Okołowem. Kilka jego prac opublikowaliśmy. Niestety, ostatnio kontakt ten ograniczył się do ponawiania próśb i obietnic. Leonard Podhorski-Okołów ciągle był na tropie, ciągle szukał, a opracowanie rzeczy do druku odkładał na wolniejszą chwilę. Przeciążony pracą, schorowany, od wielu miesięcy utrzymywany przy życiu zastrzykami — tej wolniejszej chwili nie doczekał. Sądząc po zapowiedziach i aluzjach do swoich badań, musiał pozostawić spuściznę bogatą. Wymaga ona zapewne uporządkowania. Instytut Badań Literackich z pewnością nie omieszka zaopiekować się tą spuściz-

ną, chociażby po to, by w dziedzinie badań nad Mickiewiczem zapracować sobie jakiś tytuł do chwały.

zb

„DEKADA" LITERATURY ESTOŃSKIEJ

W drugiej połowie grudnia ub. r. odbyła się w Moskwie dekada literatury i sztuki estońskiej, a więc — skrótowy przegląd najnowszych osiągnięć artystycznych tej niewielkiej republiki nadbałtyckiej. W tym okresie ukazała się w Moskwie i Tallinie duża ilość rosyjskich przekładów z estońskiej literatury, odbywały się wieczory autorskie i konferencje czytelnicze, spotkania pisarzy estońskich z literatami i czytelnikami moskiewskimi, toczyły się ożywione dyskusje, zespoły teatrów estońskich wystawiały najnowsze sztuki rodzime.

Z omawianych w czasie dekady ciekawszych pozycji estońskiej prozy na uwagę zasługują powieści: Johannesa Sempera *Czerwone goździki*, Aadu Hinta *Brzeg wiatrów*, Ernsta Krustena *Serce młodych*, Rudolfa Sirge *Ziemia i lud*, Hansa Leberekhta *Kapitanowie* i *Żołnierze wracają do domu*. Zaledwie jedna z wymienionych książek — *Kapitanowie* — daje obraz dzisiejszej Estonii, jest to zresztą dość słaby produkcyjniak. W swej ostatniej powieści, *Żołnierze*, Leberekht opisuje przeżycia ostatniej wojny, kreśli dzieje rozległej galerii postaci — żołnierzy i oficerów estońskiej dywizji piechoty (Armii Czerwonej), która w boju szła na Zachód, ku wyzwoleniu ojczystego kraju. Inne powieści już to powracają myślą do dramatycznych przeżyć 1939—1940, do chwil powstania Estońskiej Republiki Radzieckiej *(Czerwone goździki, Ziemia i lud)*, już to dają panoramiczny obraz walk narodowo- i społeczno-wyzwoleńczych Estonii, zwłaszcza w rewolucyjnych latach 1905—7 *(Brzeg wiatrów, Serce młodych)*.

Z wymienionych powieści największe uznanie czytelników i krytyków zdobyły *Czerwone goździki* i *Brzeg wiatrów*. W pierwszej z nich poeta i prozaik starszego pokolenia, Semper, dał interesujący obraz społeczeństwa w ostatnich latach burżuazyjnej Estonii. Mimo słabej kanwy powieściowej i lekkiego przeładowania publicystyką — książka ta jest artystycznie przekonywająca.

Brzeg wiatrów Hinta i *Serce młodych* Krustena nawiązują stylem i nastrojem do klasyka estońskiej powieści realistycznej, Edwarda Wilde'a.

Podczas dekady stosunkowo niewiele mówiono o mającej świetne tradycje nowelistyce estońskiej; uprawiają ją bez mała wszyscy pisarze — starzy i młodzi, prozaicy, dramatopisarze (Jakobson) i poeci (Raud, Smuul). Pęd do prozy w Estonii ilustruje fakt, że w tym małym kraiku w ciągu dwóch lat wydano 11 powieści, nie licząc rzeczy drukowanych w czasopismach literackich.

Ma swoje wieloletnie tradycje także i estońska dramaturgia. Podczas dekady moskwiczanie zobaczyli powstałą przed dwoma laty „dramatyczną satyrę" (oryginalny podtytuł) polityczną Jakobsona pt. *Raj utracony*, współczesną sztukę moralno-obyczajową E. Ranneta *Sumienie* — oraz kilka sztuk klasycznych, estońskich i obcych. Słabiej niż proza i dramaturgia rozwija się w Estonii poezja (również oparta na tradycjach narodowych). Niestety, na liryce zaciążyła ilustracyjność i retoryka, a więc po prostu — schematyzm.

J. S.

ODGŁOSY WIZYTY DELEGACJI JUGOSŁOWIAŃSKICH PISARZY W POLSCE

Przewodniczący delegacji jugosłowiańskiej na Zjazd Literatów Polskich, wybitny poeta Tanasije Mladenowić, podzielił się z czytelnikami w 30 numerze (z 9.XII. br.) tygodnika *„Književne Novine"* (Wiadomości Literackie) swoimi wrażeniami z pobytu w Polsce. Tytuł wywiadu brzmi: *Cała Polska na nogach*. W ten sposób Mladenowić nazwał okres Października w Polsce. Wypowiedź poety jugosłowiańskiego zaczyna się od słów: „Po pierwsze — atmosfera pełnych swobód demokratycznych", dalej mówi o tym, że jednym z dowodów istnienia takiej atmosfery jest rozkwit publicystyki.

Autor wywiadu podkreśla, iż wszędzie (delegacja zwiedziła Gdańsk, Gdynię, Poznań, Wrocław, Kraków i Śląsk) pisarze jugosłowiańscy spotykani i po-

dejmowani byli bardzo serdecznie. Wspomina m. in. o wizytach złożonych w redakcjach poszczególnych czasopism literackich i w wydawnictwach: „...Z redakcją jedynego polskiego miesięcznika literackiego, „*Twórczość*", na którego czele stoi znany literat, Jarosław Iwaszkiewicz, omawialiśmy sprawę wymiany materiałów, wymiany współpracowników oraz możliwość poświęcenia jednego numeru „*Twórczości*" literaturze jugosłowiańskiej i jednego z belgradzkich miesięczników literackich, „*Književnost*" (Literatura), utworom pisarzy polskich..."

Wywiad swój Mladenović kończy stwierdzeniem, iż olbrzymia większość pisarzy polskich i intelektualistów w pełni popiera linię polityczną, wytyczoną narodowi polskiemu przez VIII Plenum PZPR.

Z. S.

KONFERENCJA PISARZY KRAJÓW AZJI

Konferencja ta odbyła się po raz pierwszy w dziejach literatury w ostatniej dekadzie grudnia ub. r. z inicjatywy pisarzy hinduskich. Do Delhi przybyli pisarze z kilkudziesięciu krajów azjatyckich, a także wielu obserwatorów ze wszystkich stron świata, z Polski — Wojciech Żukrowski.

Konferencję zagaił w dłuższym przemówieniu wybitny pisarz hinduski, prof. Humaiun Kabir, po czym rozpoczęły się pięciodniowe obrady na następujące tematy: Tradycje azjatyckie, w szczególności — wolnej, przebudzonej Azji; Pisarz i Wolność; Pisarz i jego warsztat; Wymiana kulturalna.

Na konferencji wygłoszono mnóstwo referatów o literaturach azjatyckich. Hindusi opowiedzieli o swojej różnojęzycznej literaturze: Sahu — o literaturze w języku oria, Sriniwas Rahhawan — o twórczości literackiej w języku tamili, K. Naraian — o pisarzach, tworzących w języku telugu, o literaturze Pendżabu mówił Kurbah Singh. Wielkie zainteresowanie wywołały referaty pisarzy bengalskich: Hopal Haldar, Tarashankar Banerdżi i Monadże Bassu — o literaturze, która dała światu Rabindranatha Tagore.

Przemawiał też jeden z najstarszych pisarzy hinduskich, Radżá Doralatshari, który nawiązał do tematu „Pisarz i wolność" i na równi z żądaniem swobody artystycznej wysunął hasło odpowiedzialności pisarza wobec narodu, wobec społeczeństwa. Właściwą dyskusję na ten temat zagaił referat hinduskiego literata, Annadashankara Rai. W dyskusji tej burmański pisarz U Tein Pe oświadczył m. in.: „Jesteśmy przedstawicielami narodu, więc swoją twórczością powinniśmy przyczyniać się do wzbogacania narodu w wartości kulturalne. Nasza wolność tworzenia musi mieć cel i tendencję. Po to domagamy się dla siebie tej wolności, by móc służyć narodowi. Tylko w ten sposób możemy wypełnić swoje obowiązki i funkcje wobec społeczeństwa".

O drogach rozwoju literatur narodowych mówili przedstawiciele Indii, Chin, Japonii, Tadżykistanu, Uzbekistanu, Gruzji, Korei, Mongolii, Pakistanu i Nepalu.

W delhijskim Pałacu Nauki, gdzie toczyły się obrady konferencji, odbył się interesujący konkurs poetów. Oto jak opisał go uczestnik konferencji, ormiański prozaik G. Sewunc:

„Część gości zasiadła przy małych stolikach na wyścielanych kanapkach i fotelach, część zaś — wprost na usłanej puszystym dywanem posadzce sali. Przewodniczący spotkania poetów siedział pośrodku sali, bynajmniej nie przy stoliku — i zapraszał poetów do recytacji. Głosy poetów rozbrzmiewały w najrozmaitszych językach. Konkurs był tak frapujący, iż nestor irańskich uczonych, prof. Nafisi, zaimprowizował wiersz, który z miejsca na język chiński przełożył i wyrecytował Emi Sjao. Jakiś młody wietnamski poeta zaśpiewał własny wiersz, o którym powiedział: «Wczoraj ujrzałem hinduską dziewczynę i zakochałem się w niej. Po bezsennie spędzonej nocy napisałem dla niej ten oto wiersz». Również poeta pakistański, Abder Rezach, zaśpiewał wiersz własny. Przykład ten podziałał na Anatola Sofronowa — zaśpiewał własną pieśń o rodzinnym Rostowie."

Na zakończenie konferencji, 28.XII ub. r., uchwalono deklarację wzywającą pisarzy do współpracy na polu wzajemnego zrozumienia i przyjaźni między narodami.

J. S.

Książki nadesłane

Klasycy literatury polskiej

Mickiewicz Adam — *Trybuna Ludów.* „Trybunę Ludów" oraz przemówienia i odezwy włoskie i francuskie przełożył Leon Płoszewski. Artykuł „O dyplomacji francuskiej" przełożył Artur Górski. Objaśnienia opracował Adam Mauersberger. Opracowanie graficzne: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 483, 1 nl.

Adam Mickiewicz 1798—1855. W stulecie śmierci. UNESCO. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 260, 4 nl.

Prus Bolesław — *Kroniki.* Tom pierwszy. Część 1 i 2. Opracował Zygmunt Szweykowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; cz 1 str. 462, 2 nl.; cz. 2 str. 547, 1 nl.

Strug Andrzej — *ŻÓŁTY KRZYŻ.* Tom I. *Tajemnica Renu.* Tom II. *Bogowie Germanii.* Tom III. *Ostatni film Evy Evard.* Przypisy opracował Jan Józef Lipski. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956; tom I str. 343, I nl.; tom II str. 294, 2 nl.; tom III, str. 325, 1 nl.

Żeleński Tadeusz (Boy) — *PISMA.* Seria pierwsza: tom I—VIII. Tom I. *Słówka.* Tom opracował i przedmową opatrzył Jan Kott. Tom II. *Znasz-li ten kraj?... i inne wspomnienia.* Tom opracował Władysław Kopaliński. Tom III. *Ludzie żywi.* Tom opracował Henryk Markiewicz. Tom V. *Obrachunki fredrowskie.* Tom opracował i przedmową opatrzył Henryk Markiewicz. Kronikę życia i twórczości Tadeusza Żeleńskiego (Boya) opracowała Barbara Winklowa. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I str. 498, 2 nl; tom II str. 581, 3 nl; tom III str. 473, 1 nl; tom V str. 413, 3 nl.

Żuławski Jerzy — *Na srebrnym globie. Rękopis z księżyca.* Ilustracje Stefana Żechowskiego. Przedmowę napisał Stanisław Lem. Okładkę projektował Stefan Żechowski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 340, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Andersen Hans Chrystian — *Baśnie.* Tom I. Tłumaczyli: Stefania Beylin, Stanisław Sawicki, Jarosław Iwaszkiewicz. Wstęp i redakcja Jarosława Iwaszkiewicza. Okładkę, obwolutę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 443, 1 nl.

France Anatol — *HISTORIA WSPÓŁCZESNA. W cieniu wiązów. Manekin trzcinowy. Pierścień z ametystem. Pan Bergeret w Paryżu.* Przełożyli: Jan Sten i Julian Rogoziński. Wstępem opatrzył Julian Rogoziński. Oprawę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 706, 2 nl.

Gogol Mikołaj — *PISMA WYBRANE.* W czterech tomach pod redakcją i ze wstępem Ziemowita Fedeckiego. Tom II. Opowiadania. Tłumaczyli: Jerzy Brzęczkowski, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 289, 3 nl.

Hugo Wiktor — *Bug-Jargal.* Przełożył Zygmunt Glinka. Posłowiem opatrzył Zbigniew Bieńkowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 232.
— *Nędznicy.* Tom I, II, III. Przełożyła Krystyna Byczewska. Posłowie i przypisy Zbigniewa Bieńkowskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I str. 554, 2 nl.; tom II str. 534, 2 nl.; tom III str. 459, 1 nl.

Ibsen Henryk — *DRAMATY. Podpory społeczeństwa. Dom lalki. Wróg ludu. Dzika kaczka. Hedda Gabler.* Przełożyli: Jacek Frühling, Józef Giebułtowicz, Włodzimierz Lewik, Cecylia Wojewoda. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 929, 3 nl.

Mann Tomasz — *Buddenbrookowie. Dzieje upadku rodziny.* Przełożyła Ewa Librowiczowa. Opracowanie graficzne:

Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 687, 1 nl. — *Nowele.* Przełożył Leopold Staff. Wyboru dokonał i posłowiem opatrzył Roman Karst. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 501, 3 nl.

Mörike Eduard — *Podróż Mozarta do Pragi.* Przełożyła Maria Kurecka. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 201, 3 nl.

Sofokles — *Król Edyp. Edyp w Kolonie. Antygona.* Przełożył Ludwik Hieronim Morstin. Wstępem poprzedził Jerzy Krókowski. Komentarzem opatrzył Leon Joachimowicz. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 253, 3 nl.

Stendhal (Henri Beyle) — *Pustelnia Parmeńska.* Tom I i II. Przełożył i wstępem poprzedził Tadeusz Boy-Żeleński. Posłowie i przypisy Leona Bielasa. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie III; tom I str. 268, 4 nl; tom II str. 300, 4 nl.

Wells Herbert George — *Opowieści fantastyczne.* Wyboru dokonał Władysław Kopaliński. Okładka i karta tytułowa: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 561, 3 nl.

Poezja, dramat

Czerkawska Maria — *Wiersze wybrane.* Okładkę projektował Witold Skulicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 135, 3 nl.

Trzy salwy. Biuletyn poetycki. Władysław Broniewski, Stanisław Ryszard Standé, Witold Wandurski. Okładka Mieczysława Szczuki z wydania pierwszego z roku 1925. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 47, 5 nl.

Wierszu, rodzona moja mowo... Wybór poezji współczesnej. Ilustrował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Zawieyski Jerzy — *Wysoka ściana.* Dramat w trzech aktach. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 84, 4 nl.

Proza

Andrić Ivo — *Most na Drinie.* Z serbochorwackiego tłumaczyła Halina Kalita. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 431, 1 nl.

Beylin Karolina — *Tajemnice Warszawy. Z lat 1822 — 1830.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 382, 6 nl.

Chesterton Gilbert K. — *Zywy człowiek.* Przełożył Zygmunt Jakimiak. Okładkę i stronę tytułową projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 222, 2 nl.

Coppard A. E. — *Spacer w marzeniach.* Tłumaczyli Anna Trzeciakowska i Jan Zakrzewski. Opracowanie graficzne: Andrzeja Radziejowskiego. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 208, 4 nl.

Czajka (Izabela Stachowicz) — *Ocalił mnie kowal.* Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 170, 2 nl.

Dobraczyński Jan — *W rozwalonym domu.* Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Rysunki wykonał Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 287, 1 nl.

Dziarnowska Janina — *Arkusz 7-A.* Powieść. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956 wydanie I; str. 478, 2 nl.

Erenburg Ilia — *Odwilż.* Część druga. Przełożył Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 172, 4 nl.

Filipowicz Kornel — *Krajobraz niewzruszony.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Ilustracje: Maria Jarema, Tadeusz Kantor, Adam Marczyński, Jonasz Stern. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie III zmienione; str. 242, 2 nl.

Goff Inna — *Serce bije.* Tłumaczyła Ema Dmowska. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 251, 1 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Krata.* Okładkę projektował Jerzy Cherka. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 252, 4 nl.

Greene Graham — *Sedno sprawy.* Przełożył Jacek Woźniakowski. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 364, 4 nl.

Grigorowicz Dmitrij — *Anton Nieborak i inne opowiadania.* Tłumaczył Jerzy Brzęczkowski. Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 296, 2 nl.

Jirotka Zdeněk — *Człowiek z psem.* Tłumaczyła Cecylia Dmochowska. Projekt okładki i ilustracje: Zbigniew Lengren. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 159, 1 nl.

Klimas-Błahutowa Maria — *Przedmieście.* Powieść. Okładkę projektowała Barbara Pawlikowska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 275, 1 nl.

Konwicki Tadeusz — *Z oblężonego miasta.* Okładkę projektował Jan Lenica. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 243, 1 nl.

Krzysztoń Jerzy — *Sekret i inne opowiadania.* Okładkę i rysunki wyko-

nał Gabriel Rechowicz. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 203, 1 nl.

Kwiatkowski Jerzy — *Bohater do wynajęcia.* Okładkę projektował Józef Mroszczak. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 299, 1 nl.

Laxness Halldör K. — *Niezależni. Saga Islandzkiej Doliny.* Tłumaczyła Maria Skibniewska. Opracowanie graficzne: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 544, 4 nl.

Lisboa Rosalina Coelho — *Kainowy siew.* Z języka francuskiego tłumaczyła Wanda Urstein. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 422, 2 nl.

London Jack — *Biały kieł.* Przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska. Okładkę projektował Bohdan Bocianowski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 243, 5 nl.

Malewska Hanna — *Sir Tomasz More odmawia.* Okładkę projektował Zbigiew Rychlicki. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 283, 5 nl.

Nexö Martin Andersen — *Rodzina Franków.* Tłumaczyła Maria Kelles-Krauzowa. Okładkę projektował Antoni Pucek. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 139, 1 nl.

Melcer Wanda — *Ulica Panieńska.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Miedyński Grigorij — *Maria.* Przełożył z języka rosyjskiego Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Okładkę i stronę tytułową projektował Mirosław Pokora. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie II; str. 610, 2 nl.

Opowiadania pisarzy radzieckich. Tom pierwszy. Obwoluta i tłoczenia: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 691, 1 nl.

Paton Alan — *Za późno ptaszku.* Tłumaczył z angielskiego Wacław Niepokólczycki. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 275, 1 nl.

Paulhac Jean — *Nie prosiliśmy się na świat.* Z francuskiego przełożyła Stefania Zgórska. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 323, 1 nl.

Paustowski Konstanty — *Opowieść o łasach.* Tłumaczył z rosyjskiego Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Opracowanie graficzne: Jacek Siennicki. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 351, 5 nl.

Ruth-Buczkowski Marian — *Złota trzcina.* Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 137, 3 nl.

Nałkowska Zofia — *Pisma wybrane.* Wyboru dokonał i przedmową opatrzył Wilhelm Mach. Tom I i II. Wydanie drugie rozszerzone. Obwoluta, tłoczenia i karta tytułowa: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, tom I str. 700, 4 nl; tom II str. 776, 4 nl.

Novy Karel — *Niegasnące ognie.* Opowiadania z dawnych czasów. Przekład z języka czeskiego: Helena Gruszczyńska-Dubowa. Okładka i zdobniki Bożeny Plewińskiej. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str 181, 3 nl.

Roy Claude — *Klucze do Chin.* Przełożył Jan Błoński. Wiersze przełożył Tadeusz Nowak. Opracowanie sinologiczne: Olgierd Wojtasiewicz. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 481, 1 nl. 1 knl.

Ruciński Marian — *Opowieści morskiej fali.* Ilustrował Antoni Uniechowski. Okładkę i tytuły projektowała Jadwiga Okońska. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 209, 3 nl.

Rytard Jerzy Mieczysław — *Barba.* Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Posłowie napisał Jerzy Eugeniusz Płomieński. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 316.

Sierebrow Aleksander (A. N. Tichonow) — *Czasy i ludzie. Wspomnienia. 1898—1905.* Przełożyła z rosyjskiego Jadwiga Dmochowska. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 306, 6 nl.

Staniukowicz K. M. — *Nowele morskie.* Tłumaczył z rosyjskiego Jerzy Bohdan Rychliński. Opracowanie graficzne Tadeusza Bogdańskiego. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 736, 4 nl.

Steinbeck John — *Perła.* Tłumaczył Juliusz Kydryński. Ilustrował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 427, 1 nl.

Strittmatter Erwin — *Tinko.* Tłumaczyła Cecylia Lewandowska. Wiersze tłumaczyła Janina Preger. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 427, 1nl.

Ścibor-Rylski Aleksander — *Styczeń.* Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 159, 1 nl.

Świderska Alina — *Adam.* Tom II. Przedmowę napisał Juliusz Kleiner. Okładkę i ilustracje wykonała Teresa Stankiewicz-Chamiec. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 255, 5 nl.

Terlecki Władysław Lech — *Kocie łby.* Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Ilustracje wykonał Jerzy Baranowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 130, 2 nl.

Tołstoj Aleksy — *Aelita*. Przełożyła Alicja Stern. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie I; str. 191, 1 nl.

— *Emigranci*. Tłumaczyli Zofia i Stanisław Głowiakowie. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 366, 2 nl.

Undset Sigrid — *Gymnadenia*. Tłumaczyła Maria Morstin-Górska. Obwolutę i okładkę projektował Andrzej Kowalski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 404, 4 nl.

Uniłowski Zbigniew — *Wspólny pokój*. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 294, 2 nl.

Vogler Henryk — *Niepospolici. Sceny z życia rodziny*. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 374, 2 nl.

Zawieyski Jerzy — *Gdzie jesteś przyjacielu?* Okładkę i kartę tytułową projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 226, 2 nl.

— *Pokój głębi*. Opracowanie graficzne: Maria Dolna. Poznań, „Pallottinum", 1956, wydanie I; str. 348, 4 nl.

Żukrowski Wojciech — *Ręka ojca*. Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Ilustracje projektował Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 235, 1 nl.

Reportaże

Babinicz Waldemar — *Przygoda w świetlicy*. Okładka i przerywniki Teresy Obmińskiej. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 169, 3 nl.

Gitlin Jan — *Do zobaczenia Brazylio*. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 209, 5 nl.

Satyra

Askenazy Ludwik — *Aniołek czyli samokrytyka*. Z czeskiego tłumaczył Stefan Dębski. Ilustrowała Helena Zmatlikova. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 143, 3 nl.

Żywulska Krystyna — *Tak zwane życie*. Ilustrował i okładkę projektował Zbigniew Lengren. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 182, 2 nl.

Esej, krytyka

Błoński Jan — *Poeci i inni*. Okładkę projektował Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 275, 5 nl.

Hutnikiewicz Artur — *Żeromski i naturalizm*. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1956; str. 207, 1 nl.

Kott Jan — *Mitologia i realizm*. Wydanie drugie przejrzane przez autora. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 230, 6 nl.

— *SZKICE. Postęp i głupstwo*. Tom I i II. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; tom I str. 388, 4 nl.; tom II str. 365, 3 nl.

Płomieński Jerzy Eugeniusz — *Twórcy bez masek*. Wspomnienia literackie. Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 304, 2 nl.

Rogalski Aleksander — *Literatura i cywilizacja*. Eseje i studia. Okładkę projektowała Teresa Stankiewicz-Chamiec. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 322, 2 nl.

Sandauer Artur — *Moje odchylenia*. Okładkę projektował Witold Skulicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 243, 3 nl.

Publicystyka

Bieńkowski Władysław — *Otwórzmy okno na wieś*. Okładkę projektowała Jadwiga Cybulska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 163, 1 nl.

Szewczyk Wilhelm — *Skarb Donnersmarcków*. Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 284, 4 nl.

NAUKA O LITERATURZE

ODRODZENIE W POLSCE. Historia literatury. Pod redakcją Jerzego Ziomka. Indeksy opracowała Janina Abramowska-Kułtuniakowa. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 557, 3 nl.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Amicis Edmund de — *Serce*. Opowiadania miesięczne. Tłumaczyła Maria Konopnicka. Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 76, 4 nl.

Bahdaj Adam — *Droga przez góry*. Ilustrował Mieczysław Majewski. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 381, 3 nl.

— *Nad strumykiem*. Ilustrowała Eugenia Różańska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 8 knl.

Brzechwa Jan — *Kaczka Dziwaczka.* Ilustrował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 8 knl.

Bürger Gotfryd August — *Przygody Münchhausena.* Ilustracje Gustawa Doré. Przekład Hanny Januszewskiej. Okładkę projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 142, 2 nl.

— *Przygody Münchhausena.* Ilustracje Gustawa Doré. Przekład Hanny Januszewskiej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 126, 2 nl.

Centkiewiczowie A. i Cz. — *Na białym szlaku.* Ilustrował Roman Owidzki. Okładkę, stronę tytułową i wyklejkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 265, 3 nl.

Czukowski K. — *Zamieszania.* Przełożył Włodzimierz Boruński. Ilustrował Kazimierz Mikulski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 8 knl.

Daudet Alfons — *Port—Taraskon.* Ostatnie przygody sławnego Tartarena. Przełożył z języka francuskiego, wstęp i przypisy opracował Zdzisław Ryłko. Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 171, 1 nl.

Długoszewski B. M. — *Przy kominie o szarej godzinie.* Ilustrował Ludwik Maciąg. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 156, 4 nl.

Gajdar Arkady — *Czuk i Hek.* Tłumaczył z języka rosyjskiego Aleksander Wat. Ilustrował Jarosław Kirylenko. Okładkę seryjną projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie IV; str. 46, 2 nl.

Górska Maria — *Pięciu braci Li.* Chińskie bajki ludowe i przysłowia. Ilustrował Witold Chmielewski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie IV; str. 54, 2 nl.

Goździkiewicz Teodor — *Okruchy przyrody.* Szkice. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 188, 4 nl.

Jaworczakowa Mira — *Zielone pióro.* Ilustrował Mieczysław Kwacz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 230, 2 nl.

Kann Maria — *Baśń o srebrnorogim jeleniu.* Ilustrował Ali Bunsch. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 84, 4 nl.

Kędziora Jacek — *Anielcine domki.* Ilustrowała Anna Seifertowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 76, 4 nl.

Kozak W. i Steinmetz H. — *Budowa i obsługa własnego radiowęzła.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 139, 5 nl.

Mackiewicz Maria — *U Eskimosów.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 6 knl.

Majakowski Włodzimierz — *Wiersze dla dzieci.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Tłumaczyli z języka rosyjskiego Władysław Broniewski, Artur Sandauer i Anatol Stern. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 60, 4 nl.

Makarczyk Janusz — *Dżafar z Bagdadu.* Ilutrował Antoni Uniechowski. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 258, 2 nl.

Marianowicz Antoni — *Kara Mustafa.* Ilustrował Karol Ferster. Okładkę i wyklejkę projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 34, 2 nl.

Marszak S. — *Bliźniaki.* Przełożył J. Minkiewicz. Ilustrowała H. Czajkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; 16 knl.

Morcinek Gustaw — *Gwiazdy w studni.* Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I powojenne; str. 216, 4 nl.

— *Uśmiech na drodze.* Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II poprawione; str. 82, 2 nl.

Porazińska Janina — *Za dziewiątą rzeką.* Baśnie ludu polskiego. Ilustrował Ludwik Maciąg. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 194, 2 nl.

Puchalski Włodzimierz — *W krainie łabędzia.* Wklejki i rysunki projektował Władysław Siwek. Okładkę i układ graficzny ilustracji: Aleksander Haupt. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 129, 3 nl.

Schiller Fryderyk — *Ballady.* Wybór. W przekładach Kazimierza Brodzińskiego, Walentego Chłędowskiego, Jana Nepomucena Kamińskiego, Adama Mickiewicza. Wybór i opracowanie: Izabela Korsak. Wstęp: Adolf Sowiński, Ilustrował Jerzy Skarżyński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 46, 2 nl.

Słabczyński Wacław — *Na wyspach Pacyfiku.* O Janie Kubarym, badaczu Oceanii. Okładkę projektował Franciszek Barącz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 111, 5 nl.

Stefański Lech Emfazy — *Biały pył.* Piosenka: Stanisław Prószyński. Ilustrował Jerzy Ćwiertnia. Okładkę projektował Feliks Lewin. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 218, 2 nl.

Szymański Edward — *Wiersze.* Ilustrował Józef Kotlarczyk. Okładkę projektował Zygmunt Kotlarczyk. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 60, 4 nl.

Umiński Władysław — *Samolotem dookoła świata.* Ilustrował Mateusz Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 361, 3 nl.

Verne Juliusz — *Piętnastoletni kapitan.* Przełożyła z języka francuskiego Maria Zajączkowska. Ilustracje: Mieczysław Majewski. Okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Mapkę opracował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 366, 2 nl.

Walles M. F. — *Drobne zwierzęta wodne w akwarium.* Rysunki wykonał Stanisław Mrowiński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 105, 3 nl.

Wirowska I. — *Kleo.* Ilustrowała Katarzyna Latałło. Opracowanie literackie: Maciej Słomczyński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 107, 1 nl.

SZTUKA

Teatr

Dąbrowski Stanisław, Górski Ryszard — *Kazimierz Kamiński.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 139, 1 nl.

Helena Modrzejewska na scenie krakowskiej. 1865 — 1869. Wstęp i objaśnienia Jerzy Got. Obwoluta i opracowanie graficzne: Marek Rudnicki. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 43, 1 nl, IX, 1 nl.

Hennelowa Józefa, Szaniawski Jerzy — *Juliusz Osterwa.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 73, 1 nl.

Kowalska Aniela — *„Momus" Alojzego Żółkiewskiego. 1820 — 1821.* Karta z dziejów prasy i sceny warszawskiej. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 235, 1 nl.

Kreczmar Jerzy — *Polemiki teatralne.* Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 273, 3 nl.

Ordyński Ryszard — *Z mojej włóczęgi.* Okładkę projektowała Barbara Biernat. Przedmowę napisał Wilam Horzyca. Przypisy opracował Juliusz Kydryński. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 429, 5 nl.

Ciepliński Jan — *Szkic dziejów baletu polskiego.* Londyn, „Veritas", 1956; str. 85, 11 nl.

Pamiętniki, wspomnienia

Fiderkiewicz Alfred — *Wspomnienia z Ameryki.* Okładkę projektował Mirosław Pokora. Ilustrował Józef Czerwiński. Warszawa, „Iskry" 1956; str. 390, 2 nl.

Kisielewski Władysław — *Z Torunia do Londynu podróż z przeszkodami.* Okładkę projektował i ilustrował Mirosław Pokora. Opracowanie literackie i wstęp: Stefan Kozicki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 209, 3 nl.

Machejek Władysław — *Rano przeszedł huragan.* Okładkę i kartę tytułową projektował Konstanty Sopoćko. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie III; str. 302, 2 nl.

Potocki Jarosław — *Na szlakach i bezdrożach Alaski. Wspomnienia myśliwskie.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie I; str. 265, 3 nl., 1 knl.

Rzepecki Jan — *Wspomnienia i przyczynki historyczne.* Okładkę projektował Marian Stachurski. Mapy według szkiców autora wykonał Zdzisław Topolewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 313, 3 nl.

KULTURA, OŚWIATA

Cierniak Jędrzej — *Zaborowska nuta.* Opracował Jerzy Zawieyski. Wstępami poprzedzili Stanisław Pigoń i Jerzy Zawieyski. Okładkę projektowała Zofia Kryńska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 419, 3 nl.

ODRODZENIE W POLSCE. Materiały sesji naukowej PAN 25—30 października 1953 roku. Tom II. Historia nauki. Część 1 i 2. Pod redakcją Bogdana Suchodolskiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; część I str. 457, 3 nl; część II str. 441, 3 nl.

Plastyka, rzeźba

Bogucki Janusz — *Szkice krakowskie (Od Stwosza do Kantora).* Obwolutę wykonał Wojciech Krakowski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 215, 5 nl.

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Polska bibliografia literacka za rok 1947. Opracował zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN pod kierunkiem prof. dra Stefana Vrtela-Wierczyńskiego. Wrocław, Wydawnictwo Zakładu im. Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. XX, 531, 1 nl.

Rocznik Literacki 1955. Bibliografię opracował Marceli Poznański. Indeks opracował Adam Wróblewski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 675, 1 nl.

JĘZYKOZNAWSTWO

Słownik łaciny średniowiecznej w Polsce. Tom I — zeszyt 4. *Ambeo - Appellatio.*

Rada redakcyjna: Al. Birkenmajer, R. Grodecki, L. Piotrowicz, M. Plezia, J. Safarewicz, Wł. Strzelecki, A. Vetulant. Pracownia słownika łaciny średniowiecznej: Kraków, Straszewskiego 27, kierownik Marian Plezia. Współpracownicy: K. Burgielska, J. Mrukówna, D. Turkowska. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I.

RÓŻNE

Bem Józef — *O powstaniu narodowym w Polsce.* Przygotował do druku Eligiusz Kozłowski. Okładkę i stronę tytułową projektował J. Kulesza. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 215, 1 nl.

Brun-Bronowicz Julian — *Narodziny armii narodowej. 1789—1794.* Tłumaczył z języka francuskiego Paweł Hertz. Okładkę projektował Tadeusz Gronowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 147, 1 nl.

Co się dzieje w ZMP? Okładkę projektował Jerzy Zbijewski. Opracowała Róża Jurkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 320, 4 nl.

Czarnecki Tadeusz — *Pułapki szachowe.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 510, 2 nl.

Gołębiewski W. i Stroynowski J. — *Królowie ringu i bieżni.* Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 287, 5 nl.

Górnicki Wiesław — *Trzy skandale.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 212, 4 nl.

Jaworska Halina, Wojnacki Wacław — *Warszawa nasza stolica.* Okładkę i karty tytułowe projektował Bohdan Butenko. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956; str. 234, 2 nl.

Katalog Biblioteki Wojskowej. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, str. 393, 3 nl.

Klarner Janusz — *Nanda Devi.* Przedmowa: J. A. Szczepański. Obwoluta, okładka i karta tytułowa: Jan S. Miklaszewski. Mapy: Lech Wróblewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 240, 4 nl.

Kosidowski Zenon — *Gdy słońce było bogiem.* Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 363, 1 nl.

Marciniak Zbigniew — *Zygmunt Sierakowski.* Bojownik o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie narodowe. Okładkę projektował Mieczysław Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I: str. 260, 4 nl.

„Po prostu". 1955—1956. Wybór artykułów. Wyboru dokonał Jerzy Urban. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 254, 2 nl.

Rek Tadeusz — *Pierwsze lata dyktatury Piłsudskiego. 1926—1930.* W świetle sprawozdań sejmowych i senackich. Okładkę projektowała Julitta Gadomska. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956; str. 318, 2 nl.

Tazieff Haroun — *W jaskiniach Pierre Saint-Martin.* Przełożył Rafał Unrug. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 157, 3 nl.

Zagadnienia przyrodnicze. Wskazówki metodyczne dla kółek dyskusyjnych. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 15, 1 nl.

Pachoński Jan — *Zmierzch sławetnych.* Z życia mieszczan w Krakowie w XVII i XVIII wieku. Okładkę projektował Krzysztof Trzebicki. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 532, LX tablic.

Drugi Krajowy Zjazd Zrzeszenia Studentów Polskich. 2—4 grudnia 1955 r. Okładkę projektował Jan Śliwiński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 221, 3 nl.

Elsztein Paweł — *Idziemy na start.* Okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Rysunki autora. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 177, 3 nl.

Grajewski J. i Sochacki J. — *Podręcznik sternika.* Okładkę projektował M. Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 135, 1 nl.

Klementiew S. — *Elektryczne ręce.* Tłumaczył z rosyjskiego Władysław Urbańczyk. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 151, 5 nl.

Lesiński Bogdan — *Stanowisko kobiety w polskim prawie ziemskim do połowy XV wieku.* Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 210.

Odolska Wanda — *Ostrowiecki proces.* Okładkę projektował Jan Śliwiński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 47, 5 nl.

Pluciński Mieczysław — *Budujemy kajak „P 17".* Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie II przejrzane i uzupełnione; str. 45, 3 nl, 8 arkuszy rysunkowych.

Piwowarczyk Andrzej — *Stary zegar. (Kapitan Gleb opowiada. I.)*

Okładkę i kartę tytułową projektował Konstanty Sopoćko. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 65, 3 nl.

— *Królewna?! (Kapitan Gleb opowiada. II).* Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Rocki. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 182, 2 nl.

Przybylski W. i Rokita A. — *Zgaduj-zgadula... czyli bawmy się razem.* Okładkę projektował Eryk Lipiński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 57, 7 nl.

Przygotowanie młodzieży do obrony ojczyzny. Komsomoł i Dosaap. Tłumacz: Adam Kurowski. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 138, 2 nl.

Statut Zrzeszenia Studentów Polskich uchwalony na II Krajowym Zjeździe ZSP dnia 4 grudnia 1955 roku w Warszawie, Warszawa, „Iskry", 1956; str. 47, 1 nl.

Storczijenko P. i Stasiewicz R. — *Ze spadochronem na „ty".* Tłumaczył Adam Iwiński. Okładkę i stronę tytułową projektował Mieczysław Wiśniewski. Rysunki z oryginału. Winiety: Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 278, 2 nl.

Szyszkin S. — *Chałchin-goł.* Tłumaczył z rosyjskiego J. Chlabicz. Okładkę i stronę tytułową projektował A. Jeżowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 76, 4 nl.

Zielona droga dla kukurydzy. Materiały z Krajowego Zjazdu Młodych Przodowników Uprawy Kukurydzy. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 45, 3 nl.

Żukowski Jerzy — *Rozgrywka na Krzywym Kole.* Okładkę i kartę tytułową projektował Konstanty Sopoćko. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 59, 1 nl.

FRANCJA

1945—1957

OBRAZ WSPÓŁCZESNOŚCI

polityka
nauka
filozofia
sztuka
film
teatr

●

L i t e r a t u r a

POEZJA – PROZA – KRYTYKA

●

WYBÓR WSPÓŁCZESNEJ POEZJI FRANCUSKIEJ

●

KRONIKI – SZKICE – FELIETONY

W kwietniu 1957
ukaże się
francuski numer specjalny

„TWÓRCZOŚCI”

W specjalnym numerze „Twórczości”

piszą

Robert ANTELME, Andre BAZIN, Andre BRETON, Claude BOURDET, Albert CAMUS, Jean CASSOU, Andre CHAMSON, Maurice CHAVARDES, Jean DUVIGNAUD, Pierre EMMANUEL, Edouard GLISSANT, Henri LEFEBVRE, Claude LEFORT, Pierre MAC ORLAN, Jacques MADAULE, Dionys MASCOLO, Francois MAURIAC, Andre MAUROIS, Maurice MERLEAU-PONTY, Edgar MORIN, Maurice NADEAU, Claude ROY, Jean-Paul SARTRE, Roger STEPHANE, Roger VAILLAND, Antonina VALLENTIN, VERCORS, Louis de VILLEFOSSE.

Wybór współczesnej poezji francuskiej

Louis ARAGON, Antonin ARTAUD, Georges BATAILLE, Samuel BECKETT, Pierre-Albert BIROT, Rene CHAR, Robert DESNOS, Paul ELUARD, Philippe JACOTTET, Michel LEIRIS, Henri MICHAUX, Raymond QUENEAU, Francis PONGE, Jacques PREVERT, Jules SUPERVIELLE, St. John PERSE.

Jeśli chcesz mieć pewność, że dostaniesz ten numer —

ZAPRENUMERUJ „TWÓRCZOŚĆ”

●

Prenumeratę przyjmują listonosze i wszystkie urzędy pocztowe

Kwartalna 30 zł. Półroczna 60 zł Roczna 120 zł.

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Wielemir Chlebnikow — Wiersze • Tadeusz Gaycy — Opowiadanie • Walentyna Kolberg-Szalitowa — Brzozowski jakiego znałam • Jerzy Lisowski — Henry Miller • Julian Stryjkowski — Fragment powieści • Dylan Thomas — Wiersze